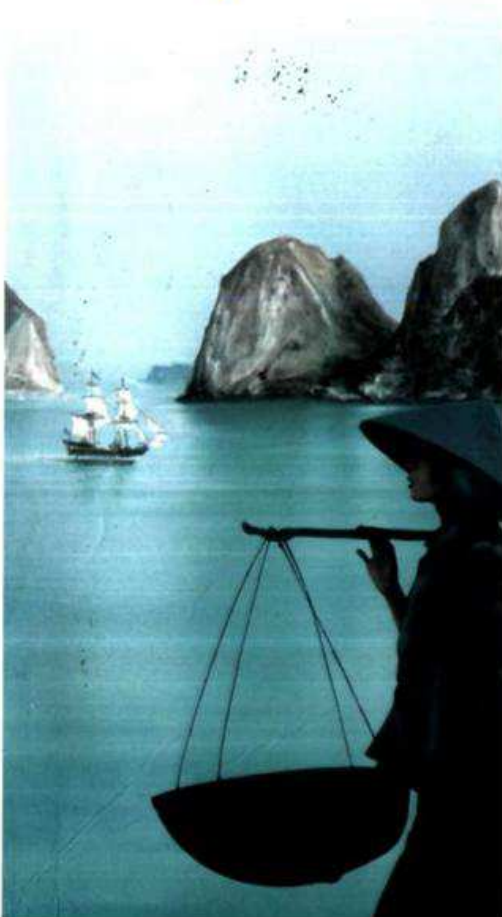
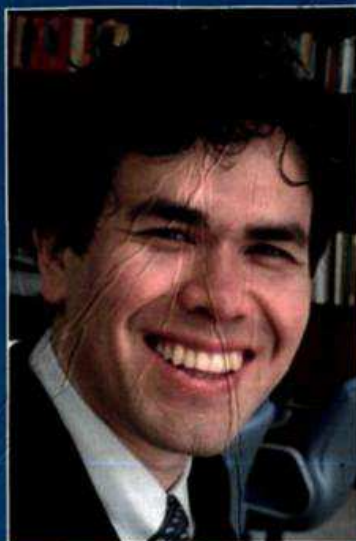


Misjonarz

KIEN

NGUYEN





Barwna opowieść o XVIII-wiecznym Wietnamie,
w której czytelnik odnajdzie egzotykę, walkę i miłość.

W stylu epickich powieści Jamesa Clavella, autora SHOGUNA.



COLONI
307
0761

KIEN
NGUYEN
Misjonarz

Z angielskiego przełożyli MARIA i CEZARY FRĄC



WARSZAWA 2007

Tytuł oryginału: LE COLONIAL

Copyright © Kien Nguyen 2004

All rights reserved

This edition published by arrangement with Little, Brown and Co., Inc., New York

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2007

Copyright © for the Polish translation by Maria Frąc & Cezary Frąc 2007

Redakcja: Jacek Ring

Ilustracja na okładce:

Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii:

Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7359-339-8

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa

t/f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.empik.com

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24,

02-954 Warszawa

Wydanie I

Skład: Laguna

Druk: Łódzkie Zakłady Graficzne,

Łódź

*Żonie Kathleen
i dzieciom, Danny'emu i Amory'emu*

*Puste skorupy napelnione wieloma rękami.
Tyle pracy dla krótkiej chwili wspaniałości.
Im głośniej wybuchniesz, tym bardziej cię rozerwie.
Zostawisz po sobie tylko echo.*

„Fajerwerk”, NGUYEN HUU CHINH (?–1787)

CZEŚĆ PIERWSZA

Wiara

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Awinion, Francja, 1771

Pędzel wykonano z gałązki hikory, której koniec rozbito na miękki, szpiczasty frędzelek. Malarz pociągał nim po płótnie, malując długi szlak kobaltowego błękitu – światło przedświt. Kolejne muśnięcie, pociągnięcie, skręcenie pędzla i na horyzoncie zarysowała się kępa palm kateszowych. Smuga chmur na tle kolonii gwiazd przywodziła na myśl podmuchy wiatru.

Był pierwszy dzień zimy. W kościele panował taki chłód, że artysta widział w blasku świec parę dobywającą się z ust. Obraz olejny, malowany na prostokącie owczej skóry rozpiętej na drewnianej ramie, daleki był od wspaniałości i rozmachu średniowiecznej architektury, ale cechowały go za to śmiałe barwy. Na wełnianym płaszczu artysty wisiąca przywiązana sznurkami kolekcja osobliwości – skorupy glinianych dzbanów, szyszki sosnowe, metalowy kielich, pęki piór, ptasie skrzydło. Reszta dobytku leżała pod ścianą – pięć rulonów nieukończonych obrazów, szkice i tobołek z brudnymi ubraniami.

Niski głos budził echa, ale skoncentrowany artysta ich nie słyszał. W kaplicy ksiądz czytał swoje notatki zgromadzonym nowicjuszom.

– Te wysokie palmy, z pniami prostymi i gładkimi jak maszty okrętu, mają kudłate korony z wielkich wachlarzowatych

liści. Rosną w głębokich cieniach pradawnego lasu, otaczając malownicze rzeki, góry i wioski. Podróżowałem przez tajemnicze ziemie Tsiampa, odwiedziłem ruiny Angkor w Kambodży, widziałem piękno i bogactwo nadmorskich miast Kochinchiny...

Artysta cofnął się i przyjrzał swojej pracy. Kompozycja cieszyła oko, lecz brakowało szczegółów. Oczyścił pędzle i sięgnął do kieszeni, szukając innego koloru, jasnej zieleni z odcieniem błękitu. Wyobraził sobie dywan bujnej leśnej roślinności czekającej na promienie słońca.

Wokół niego pogodne twarze świętych i aniołów spoglądały spod złotych aureoli z malowideł, gobelinów i fresków. Choć pierwszy raz był w Awinionie, znał historię miasta. Na początku czternastego stulecia wzniesiono tu pałac papieski, nową siedzibę papieża Klemensa V, który przeniósł stolicę apostolską z Rzymu do Awinionu. Ponad czterysta pięćdziesiąt lat później kompleks pałacowy, potężna forteca złożona z wież połączonych kamiennymi galeriami, wciąż uchodził za jeden z najbardziej imponujących zamków gotyckich w Europie. Dla malarza jednak największym bogactwem i pięknem była sztuka.

– Tam, w egzotycznych krainach Azji – czytał ksiądz – ujrzałem różnych ludzi, różne społeczeństwa i formy władzy politycznej nieznaną światu zachodniemu...

Kaplica, którą młody malarz wybrał do pracy, znajdowała się w wieży Świętego Jana, którą upodobali sobie uczeni. Zadrżał, gdy pierwsze promienie słońca zatańczyły nad rzędem szarych kamiennych korytarzy. Oczy go piekły, burczało mu w brzuchu, bolały go wszystkie mięśnie. Minęło wiele dni, odkąd najadł się do syta czy wyspał porządnie. Gwarry Awinion nie był gościnnie dla żebraków, wagałundów i artystów.

Długie, wąskie przejście prowadziło do nawy. Pod szeregami gobelinów ukazujących męczeństwo świętego Sebastiana w ławkach kulili się seminarzyści z wielu zakonów, patrząc na księdza w czarnej szacie. Malarz słuchał jego głosu. Nad ołtarzem na

krzyżu wisiał Chrystus wyrzeźbiony z drewna – pochylona głowa, twarz ukryta pod splątanymi włosami. Artysta wiele razy kopiował ten wizerunek, próbując oddać istotę Jezusa.

Ksiądz odłożył notatki i pochylił się, przemawiając do słuchaczy bardziej od siebie.

– Jesteście przygotowani do wyświęcenia. – Mówił niskim tonem, a jego głos wibrował w ogromnym wnętrzu. – Podbój pogańskich krajów umożliwi krzewienie chrześcijaństwa. Nowicjuszm z każdego zakonu, mającym silną wiarę, oferuję służbę na obcej ziemi oraz życie wieczne w niebie. Wiele wypraw wyruszy do Azji Południowo-Wschodniej, by pogan nawracać na prawdziwą wiarę. Potrzebujemy także lekarzy, naukowców, botaników, inżynierów i artystów, żeby zapoczątkować i utrwalić nową erę chrześcijańską...

Artysta zastygł w połowie pociągnięcia pędzlem. Zdawało się, że ostatnie słowa zostały wypowiedziane specjalnie do niego. Zrozumiał, że intuicja dobrze mu powiedziała, by przyszedł w to miejsce.

Blask wlewał się przez rzędy witrażowych okien, spływając na posągi. Freski na ścianach chłonęły światło i wyobrażone postacie zdawały się oddychać. Artysta zakaszłał. Seminarzyści odwrócili głowy i zaczęli szeptać do siebie. Pызaty młodzieniec w brązowym habicie zakonu benedyktynów zmierzył go wzrokiem. Ksiądz postukał kłykciami w pulpit, żeby przyciągnąć uwagę.

Jego głos brzmiał dobitnie, choć sam kapłan wyglądał niepozornie. Był szczupły, miał wysokie czoło, a rzadkie ciemne włosy, choć zaczesane gładko do tyłu, nie zakrywały łysiny. Osadzone głęboko oczy przechwytywały złoty odcień światła słonecznego, lecz nie odbijały jego ciepła. Gdy mówił, widać było rząd nierównych, żółtych zębów w dolnej szczęce. Zarówno rysami twarzy, jak i prostotą sutanny przypominał artyście portrety świętych męczenników z minionych epok.

Młody mężczyzna w drugiej ławce podniósł rękę. Ksiądz pozwolił mu zabrać głos.

– Proszę, monsinior de Béhaine. – Kaptur przysłał twarz nowicjusza, którego głos jednak sugerował, że młodzieniec ma dwadzieścia kilka lat. Był nieco starszy od artysty. – Powiedz nam więcej o geografii tych miejsc. Nigdy o nich nie słyszałem.

Książd wysunął brodę i odparł:

– Dobrze. Bracie João, czy słyszałeś o Chinach?

– Tak, panie. To kraj leżący na wschód od Indii.

– Doskonale. Wyobraź sobie teraz tuż pod Chinami, na brzegu Morza Południowochińskiego, które stanowi część Oceanu Spokojnego, kraj długi na trzy tysiące kilometrów. Zwiemy go Annamem, a mieszkańców Annamitami. Tworzą oni prymitywne, choć starożytne społeczeństwo. Kilkaset lat temu wojna domowa podzieliła kraj na dwa królestwa. Północne zwane jest Tonkinem, południowe zaś to Kochinchina. Obaj królowie zostali namaszczeni w dzieciństwie, dlatego ich krajami rządzą arystokraci zwani wicekrólami.

Umilkł, żeby seminarzyści mogli przyswoić zasłyszane informacje.

– Zrozumienie różnic pomiędzy kulturą tamtejszą i naszą zajęło mi dużo czasu. Jeśli postanowicie towarzyszyć mi w następnej podróży, obiecuję, że zdobędziecie więcej wiedzy o świecie, niż moglibyście wyczytać z książek... jeśli w ogóle znajdziecie takie, które opisują te nieznanne kraje. Kto spośród was czuje głód przygód i gotów jest na poświęcenia wymagane od misjonarza?

Zapadła cisza. Zdawało się, że nawet święci na ścianach odwracają oczy.

Monsinior zaśmiał się.

– Tutaj, w Europie, zostaliśmy pobłogosławieni prawdziwą religią. Kapłan musi być bez skazy, ponieważ reprezentuje Boga, a także dlatego, że inni mieszkańcy ziemi błędzą i potrzebują przewodnictwa. Ratowanie dzikich jest naszym nowym obowiązkiem. Nic nie może powstrzymać nas przed wypełnieniem misji.

Po tych słowach znowu zapadła cisza. Ten sam nowicjusz wstał, ściągnął kaptur. Był przystojnym, smagłym młodzieńcem.

– Jakich niebezpieczeństw mamy się spodziewać, jeśli przyłączymy się do ciebie?

De Béhaine wyprężył ramiona.

– Wschód jest miejscem dziwnym i tajemniczym. Często panuje tam głód i zdarzają się katastrofy naturalne. Śmierć jest na porządku dziennym. Krajowcy nie wierzą w naszego Boga. Niewątpliwie zadanie będzie bardzo niebezpieczne.

– Dlaczego zatem, panie, mamy narażać życie? – dociekał brat João.

– Powinniście i musicie, ponieważ obowiązek kapłana polega na służeniu Królestwu Bożemu i Kościołowi. Wasze życie nie należy do was. Jest własnością naszego Ojca niebieskiego.

Poprawił szpilkę na prawym ramieniu podtrzymującą długą do kostek jedwabną sutannę. Zatknął za szarfę duży krucyfiks, który nosił na rzemyku na szyi. Popatrzył na słuchaczy, ale nie dostrzegł malarza, który zniknął w jednym z licznych korytarzy. Zostało tylko płótno, leżało na ławce, obok której mrugała świeca.

Nowicjusze spojrzeli tam gdzie ksiądz. Zapomniawszy o obyczajnym zachowaniu, ściszonymi głosami komentowali obraz. Monsinior znów postukał kostkami o pulpit, ale nikt tego nie usłyszał.

De Béhaine zszedł z podwyższenia przed ołtarzem i zbliżył się do obrazu. Zapomniał o kazaniu, gdy podniósł płótno za ramę. Farba była jeszcze wilgotna.

Monsinior przyglądał się górom i palmom w dżungli. Bładoniebieska woda rzeki pieniała się na skałach i spadała do porośniętego trawą wąwozu. Pędzel młodego mężczyzny ożywił milczący pejzaż ciągiem urywanych krzywizn i gwałtownych skrętów.

Monsinior roześmiał się głośno z satysfakcją. Wnikliwy artysta odtworzył daleki świat ze zdumiewającą wiernością.

– Cisza! – nakazał. – Czy ktoś zna malarza, który zostawił to płótno? – Podniósł obraz nad głowę, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

– Kościół pozwala nieznajomym wchodzić i wychodzić wedle woli – odparł brat João. – Nie wiemy, kim on był. Może włoścuzem szukającym jałmużny i schronienia w Domu Bożym.

– Nie, technika jest zbyt finezyjna jak na wagabundę – powiedział de Béhaine. Ściszym głosem dodał: – To na pewno człowiek wykształcony. Ten obraz nie jest darem. Nie wątpię, że znów zobaczymy malarza.

ROZDZIAŁ DRUGI

Monsinior Pierre Pigneau de Béhaine po kolacji udał się do swojego pokoju. Na wbitym w ścianę żelaznym haku wisiała miedziana misa, a w niej żarzyły się węgle. Wieczór był zimny, wiatr kęsał dotkliwie. Snopy szarego światła przesuwały się nad Rodanem jak dym. Przez niewielkie okno z kryształowymi szybami Pierre zobaczył mnicha, który szedł przez łąkę ku brukowanym drogom Awinionu. Latarnia w jego ręku cięła mrok jak złote ostrze.

W wieży Świętego Jana panował spokój. Klasztor benedyktynów, w którym kwaterował Pierre, był niską, mroczną, czternastowieczną budowlą sąsiadującą z kościołem. Za zgodą papieża Klemensa XIV monsinior wraz z innymi misjonarzami podróżował po dużych miastach, werbując braci z różnych zakonów do pracy na Dalekim Wschodzie. Awinion był ostatnim miastem, w którym gościł przed powrotem do Annamu.

Trzydniowe starania nie doprowadziły do zwerbowania wielu chętnych. W całej Francji mówiono o prześladowaniach misjonarzy na Dalekim Wschodzie, a niekiedy o ich męczeńskiej śmierci. Świeżo wyświęceni księża słuchali jego kazań z lękiem i sceptycyzmem. Nie rozumiał ich zastrzeżeń. Przecież inny jezuita, Alexander de Rhodes, pochodzący właśnie z Awinionu już sto pięćdziesiąt lat temu zaniósł ewangelię do Annamu.

Portugalczycy od dwóch stuleci wysyłali swoich misjonarzy na te niezbadane terytoria. Dlaczego nowicjusze są takimi lekliwymi ignorantami? We wczesnych dniach służby Bogu monsinio-rem kierowało pragnienie poznania świata i bezbrzeżne oddanie wierze, oddanie, którego najwyraźniej brakowało młodszym kapłanom. Czuł się bezradny wobec ich obojętności.

W poprzek szyi monsiniora biegła blizna, sina i wypukła jak tatuaż jakiegoś prymitywnego tubylca. Pierre z roztargnieniem dotknął w tym miejscu skóry. Często wyjaśniał słuchaczom, że to pieczęć boska przybita ręką annamskiego pana – niezatarte świadectwo jego chrześcijańskiej wiary. Pierre nie był zwolennikiem odgórnego wyznaczania kapłanów do działalności misyjnej, chociaż sam został wybrany do pracy na Dalekim Wschodzie już w seminarium. Wolałby przyjąć grupę ochotników. Z jego doświadczenia wynikało, że ludzie odważni i zdecydowani mają największe szanse na to, żeby ich starania zakończyły się sukcesem.

Słuchał uspokajających odgłosów nocy – płynącego przez cienkie mury cel chrapania seminarzystów, poskrzypywania otwieranych i zamykanych drzwi, szurania szcurzych łap na drewnianych belkach. Lubił samotność i spokój czterech ścian, lubił być sam na sam z książkami. Sporządzał notatki do słownika annamsko-łacińskiego, który miał służyć przyszłemu pokoleniu misjonarzy.

Niewielu domyślało się prawdy: monsinior nie cierpiał Annamu. Jego ekspedycje służyły celom wyższym. Miał obowiązki przede wszystkim wobec Ludwika XV, króla Francji, który rozpaczliwie potrzebował nowych kolonii, żeby powiększyć dochody państwa. Francja już straciła wpływy w Indiach na rzecz Anglików, a Chin monsinior nie brał pod uwagę, bo było to zbyt ambitne. Annam, choć niewielki, posiadał ogromne skarby, a jako że był osłabiony długą wojną domową, wydawał się bezbronny. Jeśli Pierre zdoła utworzyć w Annamie silny przyczółek, bogactwa tego kraju pomogą przywrócić status Towarzystwu Jezusowemu, które w ostatnich latach nie cieszyło się łaskami króla i parlamentu.

Poza tym miał zobowiązania względem Kościoła. Szerzenie słów Jezusa Chrystusa i chrzczenie pogan leżało u podstaw doktryny katolickiej. Europa została skażona przez protestantyzm – wynalazek diabła wcielonego – Marcina Lutera. Monsinior czuł, że został wybrany, aby siać ziarno prawdy bożej na nowych terytoriach Dalekiego Wschodu. Napotykał wiele trudności i praca była ciężka, ale podnosiła go na duchu świadomość, że jest jednym z pierwszych badaczy. Wiedział, że zbawienie, jak wszystkie inne wartościowe rzeczy, ma wysoką cenę. Praca w tym obcym kraju nie stanowiła wyjątku. Poza tym obmyślił pewien plan.

Pukanie wyrwało go z zadumy. Zapalił świeczkę i wyrównał stojące w stosach na podłodze książki, dopiero potem otworzył drzwi. Za progiem stał siwowłosy benedyktyn. Monsinior przy-mrużył oczy, patrząc w mroczny korytarz. Mnich podniósł latarnię, żeby pokazać twarz.

– Monsiniorze de Béhaine, masz gościa – wymamrotał.

Zanim kapłan zdążył odpowiedzieć, benedyktyn pochylił się i szepnął: – Nalegał, abym ci powiedział, że jest artystą. Bądź ostrożny, ojcze. Wiesz, że oni wszyscy są złodziejami.

Pierre uśmiechnął się.

– Wszystko w porządku, bracie Angusie. Spodziewałem się go. Niech wejdzie.

Mnich odszedł, szurając nogami, rozdrażniony, że intruz prze-rwał mu sen.

Postać wysunęła się z ciemności – malarz, który był na po-rannym kazaniu. Miał około dwudziestu lat, jego głęboko osa-dzone oczy skrywały się w cieniu gęstych brwi. Przełożył tobo-łek z dobytkiem z jednego ramienia na drugie. Patrząc w głąb celi, zobaczył swój obraz, który Pierre postawił na biurku. Lekki uśmiech pojawił się na jego zarumienionej twarzy.

– Przyszedłeś po obraz, jak miemam – rzekł monsinior.

Artysta pokręcił głową i zaczął coś mówić, lecz umilkł w pół słowa. Zatarł ręce. Pierre zauważył, że czubki palców gościa są brudne i poplamione pigmentami. Szerzej otworzył drzwi i cofnął

się. Obecność drugiej osoby uświadomiła mu, jak mała jest jego cela. Skinął ręką, zapraszając gościa.

– Wejź. Wewnątrz będzie wygodniej.

Blask sączył się spod grubej warstwy popiołu w miedzianej misie, oświetlając skrzynie z książkami, które towarzyszyły monsiorowi w podróżach. Pod wpływem ciepła kartki zwinęły się na rogach. Artysta westchnął z przyjemności, gdy ciepło przepędzało ziąb z jego mięśni. Przysłonił usta, żeby stłumić kaszlnięcie. Pierre wskazał mu jedyne krzesło, a sam usiadł na drewnianej skrzyni.

– W tym zimnie – mruknął – przebywanie w pobliżu gorących węgli może uchronić płuca przed chorobą. Czujesz się lepiej?

Młodzieniec pokiwał głową, wciąż trzymając tobołki.

– Jestem monsior Pierre Pigneau de Béhaine. A ty, panie, jakie nosisz nazwisko i tytuł? – Pochylił się, bacznie przypatrując się gościowi.

Artysta odpowiedział spokojnym spojrzeniem.

– Nazywam się François Gervaise. Jak widzisz, jestem skromnym malarzem bez tytułu szlacheckiego.

Pierre patrzył, jak młodzieniec drapie się po głowie. Gęste kasztanowe włosy miał splecione w warkocz.

– Zdejmij płaszcz – powiedział. – Odłóż manatki. Rozgość się.

François zerknął na niego spod oka i rozpiął płaszcz.

– Wybacz, że składam wizytę o tak późnej porze. Jeśli sobie zyczysz, wrócę kiedy indziej.

– Nie bądź śmieszny! Już tu jesteś. Obejrzałem obraz, który zostawiłeś. Na tym ci zależało, nieprawdaż?

– Chcę wyrwać się z Francji – oznajmił François.

Pierre parsknął zdumionym śmiechem.

– I myślisz, że mogę ci w tym pomóc? Monsieur Gervaise, nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy. Jak się dowiedziałeś o mnie, o moich wykładach, o planowanych podróżach?

Artysta zwrócił na niego pełne nadziei niebieskie oczy.

– W klasztorze kartuzów Val-de-Bénédiction.

– Aha, w kartuzji. Leży za rzeką, w miasteczku Villeneuve les Avignon? – zapytał kapłan, chcąc się upewnić.

– Tak, panie. Jest tam trzech mnichów jałmużników, którzy każdego popołudnia karmią głodnych na jednym z krucżganków. Dzięki swoim przygodom stałeś się żywą legendą, Usłyszałem ich rozmowę jakieś dwa dni temu.

Monsinior znowu się roześmiał i podniósł ze skrzyni.

– Posłuchaj mnie, jestem misjonarzem, nie kapitanem okrętu. Werbuję tylko kapłanów. – Sięgnął do klamki.

– Proszę, pozwól mi wyjaśnić – nalegał François. – Potrzebujesz artysty, żeby utrwalił piękno krain, po których podróżujesz, i udokumentował twoją pracę. Pamiętasz, jak zareagowali seminarzyści na widok obrazu? Moja sztuka pomoże im doznać tego samego wzruszenia, jakie ty kiedyś przeżyłeś. Do tego potrzebujesz mojej pomocy.

– Ach! – Monsinior zmrużył oczy. – Pomyślałeś więc o wszystkim, co świadczyłoby na twoją korzyść, nawet o reakcji seminarzystów. Ale czy pomyślałeś o niebezpieczeństwach misji? Krajowcy często nieprzyjaźnie traktują intruzów. Mogą cię unikać, torturować, nawet zamordować.

– Codziennie z podobnym ryzykiem stykam się we Francji.

– Monsieur Gervaise, nie zachowujesz się jak zwyczajny wagabunda – rzekł ksiądz cicho. – W istocie wyglądasz inteligentnie i działasz z rozmysłem. Powiedz mi, dlaczego opuszczenie kraju jest dla ciebie tak ważne? Przed czym uciekasz?

François zgarbił się na krześle i ze spuszczoneym wzrokiem stukał obcasem w kamienne płyty podłogi.

– Dopiero co się poznaliśmy. Wolałbym nie mówić o swojej przeszłości. Wystarczy, że będziesz wiedział, iż mam talent i jestem dobrym, uczciwym człowiekiem. Mogę się przydać.

Pierre skierował spojrzenie w czarną pustkę za oknem. Choć miał tylko trzydzieści lat, umiał wykorzystywać opanowanie,

żeby sprawiać wrażenie starszego. Bawiło go onieśmianie innych i nadawanie tonu rozmowie.

– Dlaczego miałbym wierzyć w twoją dobroć? Jak dotąd pokazałeś mi tylko, że jesteś niespokojnym duchem.

Gość kaszlnął, przeciągając paznokciem po szczelinie w murze.

– A te twoje rysunki? – zapytał kapłan, sięgając po szkicownik. Bez pytania o pozwolenie zaczął przewracać arkusze, wodził po nich czubkami palców, rozkładał je na łóżku jak talię kart. Ciszę celi mącił tylko szelest papieru i trzask węgielków. – To prace utalentowanego artysty – oznajmił po chwili. – Gdzie nauczyłeś się takiej techniki? Kto był twoim nauczycielem?

– W znacznej mierze jestem samoukiem.

Kapłan obrzucił go powątpiewającym spojrzeniem.

– W wieku szesnastu lat – dodał François – zostałem przedstawiony panu Jeanowi-Baptiste'owi-Siméonowi Chardinowi w jego apartamencie w Luwrze i miałem to szczęście, że zaprosił mnie do uczestniczenia w swoich zajęciach.

Pierre nie krył zaskoczenia. Chardin był jego zdaniem jednym z najlepszych malarzy swoich czasów, choć niedocenionym przez Akademię Królewską z powodu prostoty tematów. Pamiętał, że widział jedną z wczesnych prac artysty, przedstawiającą młodzieńca grającego w karty.

Chrząknął.

– Monsieur Chardin ma poparcie wielu możnych patronów, łącznie z Jego Wysokością Ludwikiem XV. Jak ty, włóczęga, możesz znać tak znamienitą osobę?

François w odpowiedzi rysował niewidzialne wzory na ścianie. Pierre stracił cierpliwość.

– Mam surowe zasady. Ponieważ nie chcesz odpowiedzieć na najprostsze pytania, nie mogę cię przyjąć. Jakież byłyby z ciebie misjonarz, skoro nie chcesz być szczery w rozmowie z przełożonym?

– Będę szczery, panie, we właściwym czasie.

– Czas jest czymś, czego mam niewiele. Niebawem opuszczę to seminarium. Jeśli masz coś do powiedzenia, mów teraz. Jako ksiądz jestem zobowiązany do dochowania tajemnicy spowiedzi. Jesteś katolikiem, synu?

– Tak.

– Zatem powiedz mi, skąd pochodzisz, jeśli chcesz się do mnie przyłączyć.

François bez słowa zebrał rysunki z łóżka i schował do teczki. Pierre odprawił go ruchem ręki.

– Głupiec z ciebie! Nie zwracaj mi dłużej głowy.

Twarz artysty spochmurniała. Młodzieniec pochylił się i wymamrotał błagalnie:

– Zaczekaj, proszę. – Spuszczając oczy, zaczął: – Pobłogosław mnie, ojczu, bo zgrzeszyłem. Dwa lata i dwadzieścia cztery dni minęły od mojej ostatniej spowiedzi. Urodziłem się w Villaume trzydziestego pierwszego października roku tysiąc siedemset pięćdziesiątego pierwszego.

W migotliwym blasku świec uśmiech wykrzywił kąciki ust monsiniora. Kapłan sięgnął pod poduszkę po drewnianą skrzyneczkę, w której trzymał Biblię.

Gdy François wyrzekł słowa, które wiodły do jego przeszłości, zalała go fala wstydu. Przyszedł do księdza, licząc, że ten umożliwi mu ucieczkę. Wierzył, że sam talent wystarczy, by zrobić na kapłanie wrażenie. Teraz zrozumiał, że musiałby oddać monsiniorowi część siebie, żeby osiągnąć cel.

François był zrozpaczony. Zanim przybył do Awinionu, musiał walczyć o rzeczy najniezbędniejsze do egzystencji. Zdawało się, że wszystkie zmiany, jakie poczynił w życiu, pogłębiają jego upadek. W tej chwili cieszył się tylko z tego, że przebywa w ogrzonym pomieszczeniu, i wzdrażał się na myśl o powrocie na zimno.

– Villaume – powtórzył ksiądz. – Gdzie to jest?

– Panie...

– Nie mów – de Béhaine przerwał mu w pół słowa. – Słyszałem już tę nazwę. Villaume leży pomiędzy Saint Gilles i Beaucaire, w Nîmes?

François pokiwał głową. Słyszając nazwę rodzinnej wioski z ust obcego, uświadomił sobie, jak bardzo jest nieprzygotowany do zmierzenia się z przeszłością.

– Urodziłem się w Villaume – powtórzył. – Jako około tygodniowe niemowlę zostałem porzucony w stajni klasztoru Świętej Marii Magdaleny, gdzie znalazł mnie zakonnik. Klasztor był moim jedynym domem przez dwadzieścia lat. Dostawałem jedzenie i ubrania od parafian, a kształcił mnie ojciec Dominik, mój opiekun i nauczyciel.

Ból wykrzywił jego twarz. Chwyił płaszcz w jedną rękę, tobołek w drugą i zarzucił jedno i drugie na ramię.

– Dość powiedziałem – mruknął, wstając. – Nie mogę dodać nic więcej. Co z ciebie za ksiądz, skoro odprawiasz z kwitkiem potrzebującego? – Gwałtownie otworzył drzwi.

Zanim monsinior zdążył zareagować na oskarżycielskie słowa, François zniknął w mroku. Dźwięk kaszlu powoli cichł w korytarzu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Czas rozpoczął tortury zaraz po wyjściu gościa. Pierre, bojąc się następnych sześciu godzin ciemności, rzucił się na łóżko. Dobrze znał bezsenność. Po raz pierwszy zaczęła nękać go w dawnej sypialni, gdy miał dziesięć lat, w wieczór śmierci matki, i od tej pory trapiła go co noc. Tutaj, w kolejnym obcym pokoju, gdy światło przygasło, znów stał się tamtym osieroconym chłopcem.

Noc widziana spod na wpół przymkniętych powiek przemieniła się w fale indygo, które go zalewały. W tej kleistej przestrzeni płonęły czerwone węgielki, nikłe jak słońce widziane z głębokiego dołu.

Pierre wyruszył na Daleki Wschód w wieku dwudziestu czterech lat; mieszkał w Indiach, Syjamie, Kampuczy i Annamie. Sześć lat temu pod kępą bambusów na skraju ryżowiska zbudował pierwszą misję, skupisko krytych strzechą chat z błota. Obraz Annamu, który znał, stopił się z malowidłem wagabundy. Zdumiewające, jakie było wierne, zważywszy na to, że stworzył je ktoś, kto nigdy nie postawił stopy w tropikach. Czyżby artysta zyskał taką wiedzę dzięki intuicji?

Niebawem Pierre znów wyruszy na Daleki Wschód i zapomni o zimie.

Przewrócił się na bok i zamknął oczy, próbując przywołać senność. Uważał się za szczęściarza, jeśli udawało mu się w nocy przespać dwie godziny. Często maskował frustrację, głosząc kazania przed świtem i przy okazji drwiąc z przysypiających zakonników czy nowicjuszy. Tych, którzy dogadzali sobie długim snem, uważał za grzeszników. Wiedział, że ciemne kręgi pod oczami i letargiczne ruchy zdradzają jego cierpienie.

Pierre wsunął palce pod poduszkę, żeby znaleźć drewnianą kasetkę. Surowe drewno było znajome w dotyku. Na wieczku wymacał metalowy krucyfiks przymocowany obok spłowiełej inskrypcji. W kasetce przechowywał niewielką Biblię, różaniec z pestek oliwnych i kilka nieotwartych listów od brata Josepha. Tylko te rzeczy zostały mu z przeszłości.

Krzepiące słowo „dom” przywodziło na myśl uspokajające obrazy. Ileż to razy wiosną siedział na progu domu na przedmieściach Origny, patrząc na braci i siostry bawiących się na łące. Raz za rzędem jabłoni spostrzegł parę młodych kochanków, których kolorowe stroje odcinały się od zielonego listowia jak dojrzałe owoce. Przyglądał się z ciekawością. Ich namiętność skłoniła go do zastanowienia się nad własnym seksualnym zobojętaniem. Jak tylko sięgał pamięcią, nie interesowały go kobiety, nigdy do żadnej się nie zalecał. Odniósł wrażenie, że coś jest z nim nie w porządku; był przekonany, że wina leży w sercu. Zamiast kochać, Pierre żywił tylko urazę, głównie do ojca, doktora Abrahama Pigneau de Béhaine. Ciało matki jeszcze nie ostygło w grobie, gdy sprowadził do domu nową żonę.

Gdy Pierre jako siedemnastoletni młodzieniec postanowił opuścić dom, guwernantka mademoiselle Émilie Tournelle od ponad siedmiu lat była madame de Béhaine i matką pięciorga dzieci, w tym bliźnięt. Pierre potrzebował zmiany w życiu. Wstąpienie na *l'université théologique de Paris* było sposobem na ucieczkę od szpitala, domu pełnego hałaśliwych dzieci, wiejskiego życia i prostackiej kobiety, która codziennie próbowała wymazać z jego pamięci matkę. Wiedział, że jeśli pozwoli

rozmyć się tym wspomnieniom, wraz nimi przepadnie jego duch. Wówczas on, Pierre, stanie się pustą skorupą, chodzącym trupem. Całą siłą woli podsycił wiarę w niebo, w którym teraz mieszkała jego matka.

W miarę zbliżania się wyjazdu do seminarium w domu panował coraz większy, ale złudny spokój. Doktor de Béhaine, który wciąż pracował w ponurym wiejskim szpitalu, miał nadzieję, że najstarszy syn odzyska zdrowy rozsądek i zajmie przynależne mu miejsce, obejmując po nim dziedzictwo. Cud się nie zdarzył. Doktor z mieszanymi uczuciami pogodził się z decyzją pierworodnego. Nie darzył Kościoła taką estymą jak Pierre, ale teraz nawet on nie miał prawa wstępu do królestwa, które jego syn dzielił z Bogiem. To była prywatna sprawa młodego człowieka.

Pierre pamiętał konie galopujące po bruku, świeży zapach wiosennego poranka i troje rodzeństwa – Theresę, Marie i Josepha – przyciskających twarze do szyby w kuchennym oknie. Pamiętał również, jak się zmuszał, żeby być uprzejmym i nie zdradzić swoich uczuć w czasie pożegnania z ojcem i macochą.

W Paryżu skorzystał z uzyskanej wolności, żeby poświęcić się nauce. Powoli jego serce stało się lodowate jak zima w Origny.

Nazajutrz o świcie Pierre głosił kazanie w wieży Świętego Jana. W pewnej chwili urwał w połowie zdania i spojrzał ponad głowami studentów. Ciemny wylot korytarza, gdzie wczoraj stał artysta, był pusty.

François Gervaise i jego obraz nie dawały spokoju monsiniorowi. Wagabunda zrobił duże wrażenie na nim i na nowicjuszach, nie mógł temu zaprzeczyć. Dlaczego on nie potrafił przykuć uwagi słuchaczy tak jak jeden prosty obraz? Artysta powiększył zamęt już panujący w jego głowie.

Podjął kazanie. Słowa padały szybko jedno za drugim, zdanie goniło zdanie, jakby chciał nadrobić stracony czas. Przemawiał z takim ferworem, że sam zaczął się zastanawiać, czy nie oszalał. W podnieceniu podniósł głos i wyciągnął ręce. Zdawało mu się, że powietrze nad ostatnią ławką wciąż jest przesycone zapachem farby. Wszystko, na co patrzył, stało się jasne i kolorowe, obiecujące.

Zadecydował, że znajdzie François Gervaise'a i zmusi go do konfrontacji. Sam talent nie wystarczy, żeby poruszyć serce monsiniora de Béhaine'a.

Pierre postanowił rozpocząć poszukiwania w Villeneuve. Miasto słynące ze szczodrości, w przeciwieństwie do Awinionu, przyciągało biedaków. Większość przychodziła do kartuzji de Val-de-Bénédiction na darmowy posiłek. Uznał, że bez trudu zauważy w tłumie François, który nosił charakterystyczne rulony płócien.

Przeprawa promem przez rzekę trwała pół godziny. Monsinior zobaczył cel podróży u stóp fortecy Świętego Andrzeja, za wieżą Filipa Pięknego. Leżący po drugiej stronie Rodanu Awinion, skupisko gotyckich zamków okolone bursztynowym listowiem, przypominał olbrzymi słonecznik. Zima na południu Francji, choć łagodniejsza niż w Origny, mroziła do szpiku kości. Długi spacer w porywistym wietrze męczył nogi i przyprawiał o skurcze, ale Pierre nie pozwolił sobie na odpoczynek. Przyspieszył kroku i w końcu dotarł do kartuzji.

Był to jeden z największych klasztorów kartuzjańskich, jakie dotąd widział. Składał się z kościoła i trzech klauzur z czterdziestoma eremami dla mnichów, przynajmniej tak mu powiedziano. Wszystkie budynki były zbudowane z wapienia i kryte dachówką. Poza zakonnikami w prostych czarnych habitach na terenie kartuzji przebywało ze sto osób. Konwersi w brązowych szatach mieszały się ze sługami i robotnikami w zgrzebnych portkach

i kaftanach. Jezuicki strój Pierre'a rzucał się w oczy. Członkowie Towarzystwa Jezusowego często wzbudzali wrogie uczucia z powodu złej reputacji swego zakonu.

Wszedł do kaplicy, w której złoto, marmur i obrazy na ścianach świadczyły o bogactwie kartuzów. Na większości fresków i na drewnianych wewnętrznych okiennicach – tych, których nie zniszczył czas – widniały sceny z życia Jana Chrzciciela. Widok tych wspaniałości podnosił na duchu. Pierre zachwycał się artystycznymi wyobrażeniami cudów Chrystusa, uczyty Herodiady, ścieścia Jana Chrzciciela. Błądził po budynku, roztaczając wokół siebie aurę pewności siebie, co powodowało, że nikt mu nie przeszkadzał.

Obejrzał kilka zadbanych ogrodów i wszedł do przedsionka klasztoru, gdzie zgromadzili się ludzie, a potem znalazł drogę do świętych klauzur z celami mnichów. Nikogo nie było w zasięgu wzroku. Kroki odbijały się echem w kamiennych krużgankach. Pożałował, że nie zapytał o drogę do kuchni. Przemierzywszy ciąg galerii, poczuł ostry zapach pieczonego. Gdzieś w tym labiryncie mnisi przygotowywali jedyny dzienny posiłek.

Wreszcie znalazł kuchnię, mały prostokątny budynek pod północnym murem klasztoru, z dymiącym kominem na dachu. Zawahał się, przystając o wyciągnięcie ręki od rdzewiejącej klamki. Kartuzi są zgromadzeniem zakonnym o surowej regule kontemplacyjnej i Pierre nie był pewien, z jakim się spotka przyjęciem. Na placyku z lewej strony zauważył grupę ponad pięćdziesięciu osób, głównie kobiet i dzieci. Ich też zwabił zapach jedzenia.

Spojrzał na te twarze. Widział wiele podobnych w szpitalu Świętego Rocha, gdzie pracował jego ojciec. Rozpacz szklifa oczy biedaków i gasiła ducha. Głód przygniatał ich ramiona niczym ciężki koc. Każdy okazany im gest miłosierdzia miał sflaknąć niezauważenie, gdyż oni nigdy się nie zmieniają. Wspomnił, jak w dzieciństwie pomagał matce rozdzielać żywność wśród chorych. Wówczas jej obecność potęgowała jego dumę i

poczucie obowiązku. Z biegiem czasu stracił tamtą czystą życzliwość i zostało mu tylko oddanie wierze.

Nie wypatrzył artysty w tej grupie, ale było jeszcze wcześniej i wciąż napływali ludzie. Pierre postanowił czekać. Włożył białe rękawiczki i naciągnął głębiej kapelusz dla ochrony przed zimnym wiatrem, po czym usiadł na trawie pod drzewem. Kilka kroków dalej cztery dziewczynki brudnymi rękami zrywały żółte kwiatki. Patrzył, jak przyczepiają je do sukien, lecz nie śmiały się przy tym, a ich ruchy były mechaniczne. Śmiech nie płynął z ich ust.

Zastanawiał się, czy te dzieci zostały ochrzczone.

Zerwał kwiat dwoma palcami. Mleczny sok ściekał z przerwanej łodyżki, tworząc brązową plamę na rękawicze. Zwiędłe żółte płatki opadły, rozszedł się zapach świeżego błota. Zaskoczone dziewczynki podniosły głowy, jedna wyciągnęła w jego stronę kwiatek. W otoczeniu żebraków czuł się skrępowany. Przez całe życie czuł się wyobcowany; zdawało się, że rodzina, cały świat – wszyscy – stoją po jednej stronie drogi, a on po drugiej.

Nikt się nie odzywał. Dorośli na niego patrzyli.

– Śmiało, weź – powiedziała dziewczynka, podsuwając kwiat. Odgarnęła z oczu brązowy lok. Była ubrana w poplamioną sukienkę z szorstkiego szarego płótna i nie miała butów pomimo zimna. Pierre zobaczył, że jej buzia, podobnie jak wszystkie odsłonięte części ciała, jest brudna. Przyjął podarek, uważając, żeby przypadkiem jej nie dotknąć.

– Co to za kwiatek? – spytała.

– *Dent-de-lion* – odparł. – Widzisz, płatki przypominają lwie zęby, prawda?

– Jeśli czekasz na jedzenie, musisz stanąć w kolejce jak inni – powiedziała dziewczynka. – I nie proś mnichów o mięso, jak nie masz pieniędzy na zapłatę.

Matka zabrała dziewczynkę. Pierre drgnął. Nagle zrozumiał, dlaczego wszyscy na niego patrzą. Nie dlatego, że jest jezuitą, doszedł do wniosku. Wszyscy myślą, że chce wejść bez kolejki.

– Przeszedłem tu, bo kogoś szukam – wyjaśnił. Podniósł się i zwrócił do dorosłych: – Czy ktoś zna mężczyznę... młodego artystę około dwudziestu lat? Nazywa się François Gervaise.

Odpowiedziała mu cisza. Pierre zapytał głośniejszym, z rozkazującą nutą w głosie:

– Czy ktoś zna wędrownego malarza, François Gervaise'a?

– Ja znam – odezwała się jedna z kobiet. – Za dwa su zaprowadzę cię do niego.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po wyjściu z celi monsiniora de Béhaine'a François wrócił na ulicę. Miasto spało pogrążone w ciemności. Pochodnia skwierczała mu w rękę, rzucając niewielki krąg światła. W dali pies wył do bezkسیężycowego nieba.

François potykał się i dygotał. Nie mógł się powstrzymać od szczękania zębami, bo drżenie płynęło z samych kości. Droga przed nim zdawała się ciągnąć w nieskończoność, klucząc wśród sosen.

Brakowało mu ciepła celi monsiniora, widoku stosów książek i papierów pod wilgotnymi kamiennymi ścianami. Z jaką przyjemnością rzuciłby się na drewniane łóżko, żeby zwalczyć chorobę pod grubymi wełnianymi kocami. Miał nadzieję, że monsinior zaproponuje mu nocleg. Okazało się, że w zamian za ciepło kosza z węglami musiałby wyjawić sekrety, które pogrzebał z taką starannością. Nie był gotów wyznać ich nawet na spowiedzi.

Kilka kilometrów od Rodanu François znalazł jedyne schronienie, na jakie mógł sobie pozwolić: opuszczoną stajnię w lesistej okolicy za Villeneuve. Takie kryte strzechą szopy z wikliny, z kopcami słomy na polepie, często spotykało się wokół Awinionu. Gdy miasto się rozrosło, nowe zagrody zbudowano bliżej klasztorów, a stare zostawiono na łasce pogody i losu. Stały się one domami kalek i żebraków, a czasami służyły jako kryjówki

przestępcom. Wybrał szopę niemal niewidoczną wśród wysokich świerków. Dach był zarwany, François ulokował się więc w kącie, pod stryszkiem na siano.

Wyciągnął się na pościeli z suchych liści i siana i wtedy zrozumiał, że nie jest sam. Rytmiczne posapywanie w sąsiednim boksie świadczyło, że jakaś ladacznica uprawia swoje rzemiosło w tym prowizorycznym schronieniu. Pijackie mamrotanie przeplatało się z jej jękami. François zakrył uszy i wtulił się głębiej w zimną podściółkę.

Gorączka nie ustępowała, wręcz przeciwnie – narastała w ciągu nocy. Głowa pękała mu z bólu, język miał suchy. Czuł na policzkach dwie palące ogniste plamy. Ataki choroby następowały jeden po drugim, zalewając go niczym fale. Stopniowo tracił siły, aż w końcu mógł tylko uzalać się nad sobą.

Nękały go wyrzuty sumienia i wiedział, że przed nimi nie ucieknie. Tylko siebie mógł winić za kłopoty, które wypędziły go z rajy wiejskiego życia w Villaume. Prześladowała go przeszłość, od zaprawionych kroplą goryczy wypadków z dzieciństwa do ostatniego nieszczęsnego zdarzenia. Jakże wspaniałe było dawne życie w niewiedzy i zajmowanie należnego miejsca w świecie! Na myśl, że wszystko utracił, łzy popłynęły mu z oczu. Gdyby tylko okazał większą siłę charakteru.

Pojękiwanie ladacznicy stapiało się z szumem wiatru. François zauważył, że jej boks przysłania zasłonka, dlatego nie zauważył spółkującej pary, kiedy się tu dowłókł. Chciałby odciąć się od tych dźwięków udawanej rozkoszy. W przeciwieństwie do regularnych fal gorączki, podrygiwanie prostytutki nie miało ustalonego rytmu. Był przekonany, że stłumiła ziewnięcie, gdy ciężkie posapywanie na chwilę przycichło.

Fałszywa rozkosz prostytutki była oczywista, on jednak pamiętał kobietę, która okazała się znacznie bardziej zakłamana. Nie miał odwagi o niej myśleć. Za późno! Imię już tłuło się w jego czaszce niczym echo. Helene! Helene! Pamiętał konary dębu sięgające do okna jej sypialni, tworzące naturalną drabinę,

po której wielokrotnie się wspinał. Ostatnim razem zobaczył pomarańczowy blask mrugających świateł w jej pokoju, przez kurtynę liści, przez zasłonę gąszczy...

Stękanie nabrało tempa.

– A niech cię, diablico! – ryknął, czując żyły nabrzmiące na skroniach. – Na miłość boską, przestańże pochrząkiwać!

– Bądź grzeczny, kochasiu – wymruczała ładacznica z drugiej strony stajni. – Słuchaj, a może czegoś się nauczysz.

Jej kamrat zarechotał.

– O Boże, Boże, Boże, zmiłuj się nade mną – wyjęczała.

Wiatr wył i zasłona smagała ścianę. François zamknął oczy, a wówczas zobaczył obraz skrywany w głębi duszy. Zesztywniał, patrząc na scenę odgrywaną w wyobraźni. Płomyki świateł tańczyły w podmuchach wiatru, który wpadał przez zapraszająco otwarte okno pokoju Helene. Zobaczył dwa splecione nagie ciała, skórę różowiejącą w blasku ognia. Helene leżała na plecach, patrząc prosto na niego. Rozkosz malująca się na jej twarzy paliła mu wnętrzości...

Ponad nim szemały drzewa. Mrugały do niego lodowate gwiazdy rozsiane na czarnym niebie. Powtarzał sobie, że musi wznieść się ponad cierpienie i wyrzucić uczucia z serca. Drzemał niespokojnie, na przemian tracąc i odzyskując świadomość. Skrzywił się, gdy ostre światło słońca przeniknęło przez zamknięte powieki.

Ocknął się. Drżał. Było wczesne popołudnie. Kilka czarnych wron krążyło wysoko na niebie. Z miejsca, gdzie leżał, wyglądały jak latające krzyże. Las wokół niego milczał. François nie wiedział, czy prostytutka i jej klient odeszli, czy po prostu śpią.

Przewrócił się na bok i podniósł na łokciu. Zawroty głowy przyprawiły go o mdłości. Poczł gorzki smak żółci podchodzącej mu do gardła. Gdy przełknął, gwałtowny skurcz ścisnął mu żołądek. Dostał torsji i długo wymiotował, mając wrażenie, że tonie.

O Boże, o Boże, Boże, zmiłuj się nade mną! – krzyczał w duchu, naśladując jęki prostytutki. Błękitne powietrze ponad nim zbladło.

Gdy osuwał się w szarą otchłań, usłyszał głos tej samej kobiety.

– Czy tego artysty poszukujesz, ojczyste?

Roztopiał się. Jego ciało przemieniło się w rzekę farby. Tam, dokąd zabrał go nurt, nie istniało pojęcie czasu. Był tylko potworny strach – dławił go i narastał, aż w końcu François stał się drobiną dryfującą w bezkresie czystego przerażenia. Na każdą kroplę wody spuszczoną na język, na każde muśnięcie ust wilgotnym gałgankiem żołądek odpowiadał strugami gorzkiej żółci. Ktoś masował mu plecy. Ręka była gorąca jak ogień, parzyła.

W świetle błyskawicy zobaczył owal twarzy Helene, kaskady gęstych jasnobrązowych włosów spływających na ramiona, wysokie kości policzkowe... Gwałtownie wciągnął powietrze. W trawionej gorączką głowie Helene symbolizowała wszystko, co utracił. Błyskawica oświetliła łóżko i ją w ramionach kochanka. Odwrócili się, żeby na niego spojrzeć, gdy stał jak skamieniały za otwartym oknem sypialni, w deszczu zalewającym mu oczy. Mężczyzna przerwał rozkołysany ruch. Przestraszona Helene mocniej objęła rękami i nogami jego lśniące ciało. Potem coś uderzyło François w bok głowy. Nie poczuł bólu, gdy gorący wosk obryzgał mu policzki. Zobaczył, że Helene sięga po drugą świecę.

Oddałem ci całe serce. Dlaczego mi to robisz?

Odejdź! Jej krzyk smagnął go w twarz, słowa ociekały jadem. To koniec. Nie kocham cię. Już mnie nie bawi chłopięcy brak doświadczenia.

W uszach François rozbrzmiały szept nieznajomych. Zdawało się, że ludzie wchodzą i wychodzą, mówią do niego i o nim.

Starał się wsłuchać w ich słowa. Głosy łączyły się i rozdzielały, aż stały się jednym, należącym do jezuickiego monsiniora. Słowa napływały z daleka, zniekształcone i dziwnie wydłużone. *François...* Słyszał powtarzane imię, szept pełen rozpaczliwego błagania. *François, proszę, proszę! Błagamy Boga o miłosierdzie w Jego chwale, na wieki wieków.*

W głowie mu pojaśniało i majaki przybrały fizyczną postać. Szepty stały się cieniami ludzi przemykających szybko pod ścianą. Zobaczył, że leży na łóżku w mrocznym, wielkim, wysoko sklepionym pomieszczeniu. Czarna kurtyna odgradzała go od reszty sali. Jego ciało wydawało się dziwnie lekkie. *François...* Szept powrócił, a zaraz potem głos zabrzmiał wyraźnie:

– Bardzo się cieszę, że wracasz do zdrowia, François Gervaise.

Odwrócił się i ujrzał twarz monsiniora de Béhaine, przypominającą pergamin zawieszony w nikłej aureoli światła. Okno za plecami księdza było zasłonięte, ale przez wąską szczelinę wlewała się srebrzysta strużka. Monsinior patrzył na niego z wysoka i François wybuchnął płaczem.

– Gdzie jestem? – zapytał, szlochając. Jego chude ramiona podrygiwały jak skrzydła kurczaka. Zdał sobie sprawę, że nie jest ubrany. Spod okrycia dolatywał smród odchodów.

Monsinior usadowił się na parapecie. Zdjął białe rękawiczki i wygładził je na kolanie, potem podwinął długie rękawy. François nie widział jego twarzy, ale głos kapłana brzmiał łagodnie.

– Jesteśmy w kartuzji Val-de-Bénédiction. W mieście wybuchła cholera. Poddano cię kwarantannie. – Rozejrzał się po sali i dodał: – Ich też. Wielu czeka śmierć.

– Jak długo tu jestem, ojcze?

– Trzy dni. Czuwałem przy tobie.

François zakrył twarz rękami i zapłakał, wzruszony postawą księdza.

– Panie, nie powinienes narząać życia, ratując moje. Nie jestem godzien twej troski.

Kapłan pochylił się i sięgnął do skrzynki, która stała pod ścianą. Wyjął butelkę z bezbarwnym płynem, polał nim dłońie i przedramiona. W powietrzu rozszedł się zapach octu.

– Moimi rękami – powiedział – Bóg sprawił wiele cudów. Twoje ocalenie jest jednym z wielu. Od dzieciństwa mam dar uzdrawiania. Czuwają nade mną aniołowie w niebie, dlatego niczego się nie lękam. Nie uwierzyłbyś, panie, jak wielką sprawiłeś mi radość, wracając do zdrowia. Ale jesteś wyczerpany. Zostawię ci samego, żebyś mógł odpocząć. W tej sali jest wielu innych, którzy potrzebują mojej posługi. Porozmawiamy dłużej, gdy wrócę wieczorem. Mnich przyniesie ci miskę z wodą, abyś mógł się obmyć. Zabrałem twoje rzeczy i położyłem je na podłodze przy łóżku. Stare ubranie zostało spalone, będziesz więc musiał włożyć świeże. – Złośliwość błysnęła w oku de Béhaine'a, gdy pochylił się i spojrział w twarz François. – W malingnie wiele razy z rozpaczą wykrzykiwałeś imię. Helene! Kim ona jest, monsieur Gervaise? Zapewne kimś ważnym. Może duchem z twojej burzliwej przeszłości?

Nie czekając na odpowiedź, nałożył kapelusz o szerokim, sztywnym rondzie i odszedł.

Ciszę w sali przerywały tylko pojękiwania. Bez wątpienia inni chorzy też śnili przerażające koszmary.

François przeklinał swój godny pożałowania stan. Co mówił w czasie gorączki? Czy zdradził się ze swoją hańbą? Opuścił głowę na poduszkę i poczuł, że znów się pogrąża w stanie półświadomości. Obrazy zaczęły napływać, choć się przed nimi bronił. Zobaczył dach przydrożnej karczmy, dachówki lśniące w letnim słońcu. Zbliżył się do kamiennej budowli, patrząc na wysokie szczyty i ozdobne elementy na tle jasnego nieba...

Przestań...

François nie mógł jednak przestać.

Śmiech i muzyka płynące przez grube ściany karczmy zbudziły w nim tęsknotę bliską nostalgii. To wspomnienie było nieszkodliwe, nie przyprawiało go o ból serca. Postanowił wejść do karczmy tylnymi drzwiami przy kuchni. Wiedział, że ją tam zastanie, urodziwą kobietę kilka lat starszą od niego. Tuliła do piersi duży bochenek chleba. Skórka w kolorze miodu rozsiewała rozkoszny zapach, aż ślina napłynęła mu do ust. Patrzył na chleb i na kobietę. Miał pustkę w głowie, ale żołądek burczał głośno.

Jestem Helene, córka karczmarza... – Opuściła chleb, a wówczas zobaczył piersi w głębokim dekolcie. Nigdy z tak bliska nie widział równie pięknej skóry. Podniósł wzrok i podchwycił jej spojrzenie. Spod kształtnych brwi patrzyły duże oczy, błękitne jak niebo. Zdawało się, że zaglądają one do jego głowy i odczytują myśli...

François jęknął. Dobrze znane wspomnienie się rozmyło, zatraciło ostrość, jakby oglądał sceny z życia odbite w tafli jeziora. Wystarczyło jedno dotknięcie, a wszystko, co ongiś było prawdziwe, rozplynęło się w zmarszczkach utworzonych na powierzchni. Gdy woda się uspokoiła, zobaczył inną scenę.

Co zrobić, żeby uciec przed tym rzucającym urok spojrzeniem? Nawet gdyby żył tysiąc lat, nie wymyśliłby odpowiedzi. Zwalczył pragnienie przywarcia do jej stóp i trwania tam niczym jej cień. Helene sięgnęła po prześcieradło, żeby okryć nagość. Parę kroków dalej stał jego rywal. François odwrócił głowę i spojrzał wprost na niego.

Wynoś się! W jej głosie nie było śladu współczucia.

Nie mogę! Powiedz mi, co takiego zrobiłem, że przestałaś mnie kochać.

Jej śmiech go rozwścieczył. Patrzył, jak zbliża się bezwstydnie nagi mężczyzna. Płomiennie rude włosy i ciemnobrązowe oczy współgrały z blaskiem ognia za jego plecami. Nieznajomy pochylił się nad stosem ubrań i podniósł sztylet, który zaczął przerzucać z ręki do ręki. François zrozumiał, że rywal ma doświadczenie w walce wręcz. Nawet jego uśmiech onieśmielał.

Masz dość odwagi, żeby się ze mną zmierzyć? – zapytał.

Helene trzęsa się ze śmiechu. Przycisnęła dłoń do piersi by-łego kochanka, zmuszając go, żeby się cofnął. François poczuł na plecach deszcz wpadający przez otwarte okno. Helene patrzyła na niego. Położyła obie ręce na jego piersi. Okrywające ją prześcieradło zsunęło się na podłogę. Czarne kręgi źrenic kobiety nagle się rozszerzyły. Bez słowa pchnęła go z całej siły.

Zaskoczony, wypadł przez okno. Gałęzie drzewa objęły go, złagodziły upadek...

François usiadł. Był zlany potem. Monsinior stał przed nim jak posąg. Jego czarna szata zlewała się z ciemną zasłoną.

– Co tutaj robisz? – zapytał artysta.

Monsinior popatrzył na niego.

– Mnisi zawsze uważali tę kaplicę za jedno z najświętszych miejsc na południu Francji. Na szczęście znam opata Beauforta, przełożonego tej kartuzji. Monsieur Beaufort jest przyjacielem biedaków. Jesteś pod jego opieką, a ja nad tobą czuwam.

Na twarzy François odmalowało się poczucie winy.

– Moja choroba sprawiła wszystkim wiele kłopotów, zwłaszcza tobie.

Monsinior wzruszył ramionami.

– Moim obowiązkiem jest gorliwa służba Bogu bez oglądania się na korzyści. To On chciał cię ocalić. Twój powrót do zdrowia świadczy, że Bóg wyznaczył ci jakiś święty cel. Ja jestem tylko prostym kapłanem, którego On wybrał do wypełnienia swojego planu.

– W jakim celu ocalił mi życie?

– Monsieur Gervaise, w dzieciństwie modliłem się do Boga, kierując do Niego osobistą prośbę. Prosiłem, żeby ocalił dwoje ludzi drogich mojemu sercu: matkę i brata Josepha. W tym czasie oboje zapadli na śmiertelną chorobę. Bóg wysłuchał mnie tylko w połowie. Postanowił oszczędzić mojego brata. Nie ma

potrzeby pytać, dlaczego cuda zdarzające się nam są takie, a nie inne. We właściwym czasie Pan odsłoni przed tobą przyczynę swojej decyzji.

Monsinior wciągnął powietrze przez zęby i kontynuował:

– Teraz mam obowiązek zaproponować ci udział w misjonarskiej pracy. Kiedyś mnie odszukałeś, aby wyrazić to, co uważam za najpiękniejszą z cnót chrześcijańskich: najwyższe oddanie Bogu. Postanowiłem przyjąć twoją propozycję służby.

François chwycił koc i przyciągnął go bliżej do piersi.

– Dziękuję ci za życzliwe słowa, ale nie jestem tak szlachetny, jak twierdzisz. Chciałem tylko wziąć udział w najbardziej ekscytującej przygodzie, o jakiej można marzyć. Jednakże, panie, w czasie naszej ostatniej rozmowy zażądałeś ode mnie wyjawienia przeszłości... Muszę wyznać, że moje stanowisko nie uległo zmianie.

– Poważnie chora osoba – zaczął monsinior nieledwie z pogardą – jest zmuszona do konfrontacji z własnym sumieniem, do wysłuchania głosu swojego serca. Monsieur Gervaise, jeśli należysz na ochronę swojej przeszłości, uszanuję twoje życzenie. Nie poproszę cię ponownie o rozmowę na ten temat. Kiedy postanowisz zrobić to z własnej woli, a uwierz mi, że przyjdzie taki dzień, chętnie cię wysłucham. Czy masz dość sił, by chodzić?

– Mogę spytać, dokąd się udajemy?

– Do Awinionu. Do wieży Świętego Jana.

ROZDZIAŁ PIĄTY

François rozsunął zasłony i rozejrzał się po infirmera, gdzie spędził trzy dni, podczas których majaczył w gorączce. Umyty i ubrany, gotów był rozeznac się w sytuacji. Zobaczył, że jego łóżko stoi blisko wejścia. Na prawo od niego z kolumny sterczała wielka marmurowa misa z wodą święconą. Z biegiem lat palce wiernych poźłobiły brzeg kamiennego naczynia, tworząc gładkie wklęsnięcia. W drugim końcu wielkiej sali znajdowały się schody z białego kamienia. François doszedł do wniosku, że jest w głównej kaplicy kartuzji. Podłogę tworzyła polepa ogrzewana lekko promieniami słońca, które wpadały przez okienka pod sufitem. Zapach ziemi nie maskował otaczającego go smrodu choroby.

Zobaczył ustawione w szeregu drewniane prycze z siennikami. Na każdym łóżku leżało po cztery czy pięć osób. W przeciwieństwie do niego większość nie miała prześcieradeł ani koców, zapewne dlatego, że pranie pociągałoby dodatkowe koszty. Ścisk pomagał chorym utrzymać ciepło. Wśród nich krążyli księża i zakonnicy, ich głosy zlewały się w niezrozumiały pomruk. Twarze chorych przypominały oblicza czaszek i François zastanowił się, czy sam wygląda lepiej. Długie loki już nie spadały mu na ramiona. Ogolono mu głowę.

W sali unosił się smród płonącego tłuszczu. Dopiero po paru

minutach François rozumiał, że to odór palonych zwłok. Czy bez należytego pogrzebu te nieszczęsne dusze zostaną wpuszczone do raju? – pomyślał.

Wciąż czuł sięgające po niego macki śmierci, przypominały korzenie drzewa szukające wody. Przestało mieć znaczenie, kim był wcześniej, nieważne stały się wspomnienia i cała przeszłość. Choć słaby, był świadom, że jego pięć zmysłów funkcjonuje. Myśli i wrażenia zalewały go, aż w końcu zdrzął z czystej radości życia.

Monsinior stał pod ścianą, przecierając paznokcie namoczoną w occie szmatką. Obserwował go z cierpliwością myśliwego.

Wiedziony nawykiem włóczęgi, François sięgnął po swoje rzeczy. Rozwiązał tobołek i zobaczył, że ubrania są złożone starannie, niż je zostawił.

Ogarnęła go panika. Ile ktoś mógł dowiedzieć się o jego przeszłości, przeglądając skromny dobytek? Podniósł głowę. Monsinior spokojnie ocierał palce gałgankiem. Lekkim uśmiechem odpowiedział na jego pytające spojrzenie.

Macając pod warstwami płótna, François poczuł pod palcami szorstką skórę. Bez patrzenia pogłodził pierwszą poszukiwaną rzecz: prywatny szkicownik. Nie był to zbiór ilustracji, które pokazał de Béhaine'owi; tamte przedstawiały ludzi, przyrodę, senne wioski i architekturę katedr. W wyobraźni ujrzał zawartość tego szkicownika: naga Helene we wdzięcznych pozach, jej twarz, gesty, krągłość piersi i pośladków, wszystko, co niegdyś bez reszty pochłaniało jego myśli.

Odwróciwszy się plecami do monsiniora, rozwiązał sznurek i rozchylił okładki, żeby rzucić okiem na kartki. Spojrzały na niego namalowane na papierze oczy, błękitne i obojętne. Wyglądało na to, że szkiców nikt nie tykał. Ich widok przyniósł ulgę przemieszaną z bólem, bo z jednej strony był szczęśliwy z odzyskania szkicownika, ale z drugiej – czuł, że nigdy nikogo ani niczego nie pokocha tak bardzo, jak kochał Helene.

Próbując skupić myśli, przejrzał resztę rzeczy. Znow szukał ważnego przedmiotu.

Ktoś sapnął w kącie. Dwaj posługacze włożyli drewniane urządzenie do ust pacjenta, żeby je rozewrzeć, a trzeci lał gęstą, czarną ciecz, zmuszając go do przełykania. François słyszał rżenie i odmawianą po łacinie modlitwę. Kamienne mury odbijały echo jęków niewidocznych chorych, grzechot blaszanych dzbanów i misek, poskrzypywanie ciężkich noszy z nieruchomymi ciałami. Jak inni trafił do tego miejsca kwarantanny, żeby umrzeć. Nie rozumiał, dlaczego został oszczędzony, ale wiedział, że śmierć tutaj nie była mu pisana.

Palce namacały skórzaną sakiewkę. François odetchnął z ulgą, lecz zaraz potem zobaczył, że jest pusta. Leżała na spodzie worka, rozdziawiona, jak gdyby z niego szydząc. Kto mógł skraść ten przeklęty sztylet? Złodziej? Ksiądz czy mnich? A może sam monsinior?

Brak sztyletu wzbudził w nim mieszane uczucia – strach, wściekłość, podniecenie. Zajmował on bowiem poczesne miejsce w jego myślach, jego kształt, obosieczne ostrze, elegancko wygrawerowany herb rodu na rękojeści. Odkąd sięgał pamięcią, nóż zawsze był lśniący, złowieszczy, cenny i gotowy do uderzenia. Nigdy nie brał go do ręki w innym celu, jak tylko po to, żeby go naostrzyć albo urzeczonym wzrokiem przyglądać się rękojeści, która przypominała egipski symbol *anch*. Herb otaczały szmaragdy i rubiny, a wzdłuż rękojeści biegły dwie rzeźbione kolumnienki, jedna z czarnego hebanu, zwieńczona literą E, druga z kości słoniowej z literą C.

Chcąc zamaskować zatroskanie, zapytał:

– Skąd się tu wziąłem? Jak mnie znalazłeś?

– Po twoim odejściu udałem się na poszukiwania – odparł monsinior z uśmiechem. – Za parę monet jakaś ladacznica zaprowadziła mnie do ciebie. Była twoją sąsiadką w leśnym schronieniu. Z przykrością informuję, że zmarła wczoraj po południu. Masz szczęście, że przeżyłeś.

François zjrzał do worka. Bez patrzenia mógłby wymienić wszystko, co zawierał. Większość miejsca zajmowały płócienne

koszule i wełniane spodnie, jego najlepsze ubrania. Do tego kilka par robionych na drutach skarpet, rękawniki, blaszany kubek do wody, papier, pędzle i flakoniki z pigmentami, które mieszał z olejem lnianym, żeby otrzymać farbę. Sztylet przepadł. Ale do-ciekawie, co się z nim stało, spowodowałoby pytania, których starał się unikać.

– Biedna kobieta – powiedział. – Oby Bóg ulitował się nad jej duszą.

– Możemy iść? – zapytał de Béhaine.

– Tak, jestem gotów – odparł François. Zamaszystym ru-chem zarzucił worek na ramię, żeby ukryć niechęć.

Podmuch wiatru zgasił świeczkę w dłoni de Béhaine'a. Kory-tarz prowadzący do bocznego wyjścia z infirmerii był szary i zimny. Monsinior wziął wielki klucz i wsunął go do zamka. Z trudem podnieśli dębową belkę z uchwyty. Gdy pchnęli ciężkie drzwi, do środka wpadł zimny podmuch. François skulił ramio-na. Gdy schodził po schodach, słońce okładało go tysiącami pię-ści, przyprowadzając o dreszcze.

Dwaj strażnicy w jasnożółtych barwach opactwa spojrzeli na nich czujnie. Podnieśli muszkiety w drżących rękach.

– Stać! Za czym pozwoleniem opuszczacie dom zarazy? – warknął wyższy, stojący bliżej wejścia.

– Czy wiecie, kim jestem? – zapytał ksiądz, zdejmując kape-lusz.

Strażnik opuścił muszkiet.

– Monsinior de Béhaine, nie poznałem was. Kim jest wasz towarzysz?

– Nie lękaj się, dobry człowieku. Zapewniam, żaden z was nie zarazi się od niego. Bóg go pobłogosławił. Mój towarzysz odchodzi stąd za zgodą opata Beauforta. Przepuście nas!

Jego opanowanie uspokoiło strażników. Obaj ustąpili z drogi. François zrobił kilka kroków. Czuł się słaby jak niemowlę.

Na końcu żwirowej ścieżki czekał kryty powóz zaprzęzony w parę kasztanków. Drzwiczki się otworzyły. Konie zarzuciły łbami i zarżały. François zamrugał, gdy słońce odbite od okna powozu poraziło mu oczy.

Z powozu wysiadł siwowłosy mnich, który przyprowadził go do wieży Świętego Jana, do monsiniora. Policzki miał zaróżowione od zimna. On i monsinior wymienili lekkie ukłony.

– To brat Angus – przedstawił go de Béhaine. – Zabierze cię do mojej celi w Awinionie.

– A ty, ojczu? – zapytał François. – Nie pojedziesz z nami?

Ksiądz pokręcił głową.

– Mam parę spraw do załatwienia. Spotkamy się, gdy wrócę za kilka dni. Tymczasem brat Angus zadba o twoje potrzeby.

François, któremu wciąż kręciło się w głowie, wsparł się na ramieniu brata Angusa. Wsiadł z trudem do powozu i zajął miejsce przy oknie. Gdy resory ugięły się pod jego ciężarem, miał wrażenie, że unosi się w czasie.

Stary benedyktyn zajął miejsce obok niego.

Kołysanie powozu uspiło zmysły François.

Wspierając głowę o szybę, młodzieniec patrzył na przemykające drzewa. Mokra trawa miażdżona żelaznymi obręczami drewnianych kół rozsiewała świeży zapach. Milczał, świadom tylko własnego oddechu. Z wyjątkiem drzenia w miejscu, gdzie twarz stykała się z szybą, jego ciało było ledwo świadome podróży. Monotonny rytm pieścił kończyny, wprawiał go w senność.

Rozmyślał o de Béhainie. Obdarzony powściągliwym charakterem monsinior nie okazywał nawet cienia życzliwości. Czarna sutanna i szerokie rondo kapelusza skrywały jego myśli.

François niejedyn raz próbował nawiązać z nim kontakt wzrokowy, ale napotykał tylko lekki, nieokreślony uśmiech.

Dlaczego ksiądz zostawił go tak nagle, choć wcześniej poświęcił tyle czasu, by pomóc mu przezwyciężyć chorobę? Obaj byli obcy w Awinionie; François włóczęga i ksiądz werbujący nowych uczniów. De Béhaine nie miał powodu, aby wybrać się w nową podróż, chyba że szukał kolejnych misjonarzy. Ale jeśli tak, dlaczego opuścił pałac papieski, który był centrum chrześcijańskiej działalności? Może ruszył w dalszą drogę, by się od niego uwolnić?

– Czy mogę wiedzieć, dokąd się udał monsinior de Béhaine?
– zapytał brata Angusa.

– Oczywiście, dlaczego nie? Jak najbardziej... Ale czemu mnie pytasz? Czy monsinior nie wyjawiał ci planu podróży?

– Nie pomyślałem, żeby go spytać. Zdawał się tak zajęty misjonarską pracą, że nie chciałem mu przeszkadzać. Dokąd ruszył? Czy prędko wróci do Awinionu?

Mnich poprawił poduszkę, na której siedział.

– Wydaje mi się, że monsinior wspomniał, iż wybiera się w dwudniową podróż do Villaume.

François głośno wciągnął powietrze. Zaginiony sztylet. Jego wioska. Zadowolony uśmiech księdza. Nagle wszystko nabrało sensu. Villaume było najlepszym miejscem na zebranie informacji o jego przeszłości. Na miejscu monsiniora zrobiłby to samo. François wbił paznokcie w dłonie.

– Muszę go znaleźć! – krzyknął.

Chłód przypawił go o drzenie. Dzwoniło mu w uszach. W każdej chwili mógł powrócić silny ból głowy.

– Monsieur Gervaise, dobrze się czujesz? – zapytał mnich. Sięgnął ręką do jego ramienia.

– Nie! – François zerwał się z miejsca. – Nie wolno mu jechać do Villaume! Muszę go zatrzymać, to jedyny sposób!

– O c-co ci chodzi? – wydukał mnich.

– Stać! Stać! – François wytknął głowę przez okno i krzyknął

do stangreta. Zaskoczony mężczyzna ściągnął lejce i powóz się zatrzymał. – Z kozła! – warknął François. Kopniakiem otworzył drzwi i polecił mnichowi: – Wsiadaj!

Smagnięte biczem konie ruszyły galopem po ubitym trakcie. Droga do Nîmes była łatwa, a François już kiedyś ją przebył. Podróż do Villaume miała trwać prawie godzinę. Daleko na horyzoncie, za szerokim polem, pod słońcem skrytym w mgiełce, widział zabudowania wioski. Czuł chłodny oddech natury, zapach świeżego powietrza. Droga rozmywała się w szarą smugę, przywodząc mu na myśl płynącą rzekę.

Droga stała się bardziej wyboista, powóz się kołysał. Konie galopowały miarowo. François mocno trzymał lejce. Mięśnie miał napięte, jakby frunął w powietrzu, a nie siedział na koźle. Przyglądał się mijanym ludziom. Kilka kobiet zirytowanych jego lekkomyślnością spojrzało na niego gniewnie. Skupiał uwagę na jednej myśli: musi zatrzymać monsiniora de Béhaine'a przed klasztorem Świętej Magdaleny.

Zobaczył ciemną sylwetkę z boku drogi. Z daleka rozpoznał na klusującej klaczy odzianą w czerń postać. Z krzykiem przynaglił konie, wyprzedził jeźdźca i skręcił, tarasując monsiniorowi drogę. Powóz pośliznął się na zablokowanych kołach. François opadł na kozioł, zasapany. Kątem oka zobaczył, że monsinior patrzy na niego z miną, jakby się go spodziewał.

– Monsieur Gervaise, postanowiłeś mnie odszukać – powiedział ksiądz. – Jesteś gotów na spowiedź? A może o twojej przeszłości opowie mi twój opiekun, ojciec Dominik, przełożony klasztoru Świętej Magdaleny?

– Ojcze, nie dajesz mi wyboru – odparł François z goryczą.

– Muszę wiedzieć, kim jesteś, i zrozumieć twoją naturę, zanim cię zatrudnię. – Monsinior sięgnął w zanadrze i wyjął wysadzany klejnotami sztylet. Ostrze drżało, gdy mówił z naganą w głosie: – Herb na tym sztylecie należy do szlacheckiego rodu.

Jak wagabunda wszedł w posiadanie takiej cennej broni? Czy kradzież jest jednym z twoich grzechów?

François skrzywił się, słysząc oskarżycielski ton księdza.

– Wybacz – wyszochał.

– Czy skradłeś ten sztylet?

– Gorzej, ojczu. Ale zanim wyznam ci prawdę, powiedz mi, proszę, czy przyjmiesz mordercę do wypełniania świętego dzieła?

Głęboka zmarszczka przecięła czoło de Béhaine'a.

– Nie zajmuję się ludzkim prawem. Lękam się gniewu bożego i potępienia naszej nieśmiertelnej duszy. Jakikolwiek boskie przykazania złamałeś, jakiegokolwiek śmiertelne grzechy popełniłeś, nawet jeśli myślisz, że nic nie odkupi twoich win, nasz Pan jest sprawiedliwy i wybacza. Wypowiadaj się, a udzielę ci rozgrzeszenia.

François milczał, nie otwierając oczu. Szloch wyrwał się z jego ust – bolesny krzyk cierpienia i żalu.

– Proszę, nie jedź do Villaume.

– Podaj mi powód.

Łzy spłynęły po policzkach artysty.

– Sama wzmianka mojego imienia mogłaby zabić ojca Dominika. Ciężko znosi moją hańbę. Błagam, nie przysparzaj mu trosk.

– Dość tych uników! – krzyknął ksiądz. – Przestań wreszcie kręcić i wyznaj prawdę.

Klacz zatańczyła.

François, który zaczął się łamać pod wpływem siły woli monsiniora, już nie mógł się dłużej opierać.

– Jak sobie życzysz. Sztylet w twoim ręku należał do mojego rywala, wicehrabiego Étienne'a de Charneya, syna gubernatora Villaume. Możesz zobaczyć inicjały hrabiego na rękojeści. – Spuścił oczy i zniżył głos. – Zabiłem go w pojedynku. To był wypadek, ale de Charney zmarł. Wszystko to stało się przez moją słabość, gdy zaślepiła mnie wiarołomna kobieta. Zatrzymałem jego broń ku pamięci, że kłamałem, cudzołożyłem i odebrałem

człowiekowi życie. Z powodu tych zbrodni, a także gniewu rodziny de Charney, która straciła pierworodnego, musiałem porzucić wszystko, co było mi drogie na tym świecie: dom dzieciństwa, klasztor. – Schował twarz w dłoniach. – Rozumiesz teraz, dlaczego tak bardzo chcę opuścić Francję i rozpocząć nowe życie gdzieś indziej.

Monsinior zsiadł z konia i wyciągnął ręce.

François zeskoczył na ziemię, chwycił palce księdza i schował zapłakaną twarz w spoconych dłoniach.

– Cicho – szepnął de Béhaine uspokajającym tonem. – Opanuj się, synu, żebyśmy mogli pomodlić się o odpuszczenie twoich grzechów.

François pokiwał głową. Kapłan zaintonował:

– Żałuję, dobry Boże, że zgrzeszyłem...

François powtórzył słowa.

– Albowiem jesteś nieskończenie dobry i grzechem się brzydzisz. Czynię mocne postanowienie z pomocą łaski Twojej już Cię więcej nigdy grzechem nie obrażać, a pokutę odprawić pokornie i szczerze, z głębi duszy.

Ksiądz podniósł brodę młodzieńca i popatrzył na niego oczami o barwie miodu.

– Mocą spowiedzi udzielam rozgrzeszenia twojej nieśmiertelnej duszy. Czy w pełni poddasz się woli bożej? Czy zostaniesz Jego pasterzem, odcięty od świata do czasu wyświęcenia? Czy będziesz ratować dusze innych i przemieniać Dom Boży w świątynię piękną?

François pokiwał głową.

– Tak.

– W takim razie pošlę cię, abyś przez dwa lata studiował dyscyplinę i cnotę na uniwersytecie w Awinionie. Gdy tylko ukończysz nauki i zostaniesz wyświęcony, przyłączysz się do mnie. Nie mogę zaoferować ci sławy ani fortuny. Dam ci jeden najcenniejszy świecki dar, jakim nasz Pan mnie obdarzył: wolność. Kiedy staniesz na ziemi Annamu, będziesz mógł

wypełniać dzieło boże w taki sposób, jaki uznasz za stosowny. Będziesz mógł podróżować po annamskich miastach, przyjmować uczniów, nauczać Biblii, służyć annamskiemu królowi jako doradca albo nawet wstąpić do jego armii – wszystko, byle wyrwać Annam ze szponów pogaństwa. Mój synu, możliwości są nieograniczone. Twoimi rękoma Bóg czynić będzie cuda. François otarł łzy z oczu.

– Rad jestem, że przemówiłeś do mnie tak szczerze. Moje myśli są teraz czyste. Zabierz mnie, panie. Chcę pójść z tobą.

– Możesz wziąć udział w mojej następnej wyprawie do Annamu – oznajmił de Béhaine. – Ale najpierw musisz zostać wyświęcony na księdza. Jako misjonarz przysięgniesz wierność papieżowi, a nadto zostaniesz wypytany, bo trzeba sprawdzić, czy się nadajesz do takiego wielkiego przedsięwzięcia. Muszę cię przestrzec, że śluby, jakie złożysz, nie są dla ludzi słabej wiary. – Podniósł głos. – *Iustum necar reges impius* – sprawiedliwie jest zabijać bezbożnych królów, heretyckich gubernatorów i barbarzyńskich władców.

– Kiedy wyruszysz w następną podróż? – zapytał François.

– Synu, to nie wszystko. Nauczony zostaniesz udawania: wśród rzymskich katolików będziesz rzymskim katolikiem. Wśród reformatorów będziesz reformatorem, wśród kalwinów kalwinem, wśród protestantów protestantem. Musisz zdobywać ich zaufanie i gromadzić informacje dla naszego zakonu jako wierny żołnierz papieża. Bez przelania krwi żaden człowiek nie dostąpi zbawienia.

Surowość tych słów przygasiła entuzjazm François.

– Ale czy Bóg pragnie rozlewu krwi? – zapytał, pociągając nosem.

– Papież jest wikariuszem Chrystusa, najczystsą postacią boskości w ludzkim ciele. W przypadku szlachetnego człowieka wystarczy dane słowo. Okazałeś szczerość. Teraz moja kolej. Mój przyjaciel jest kapitanem żaglowca „Wędrowiec”. Mamy styczeń roku tysiąc siedemset siedemdziesiątego pierwszego.

Czeka cię wiele pracy, żeby się przygotować do opuszczenia Francji. Za dwa lata w maju musisz być w Marsylii, żeby wsiąść na ten statek. Załatwię wszystko, łącznie z miejscem w kajucie. Potrzebuję nowych misjonarzy. Masz wybór, synu, albo ruszysz do nieznanego świata i weźmiesz udział w przygodzie, o jakiej niewielu śmie marzyć, albo wrócisz na ulice i będziesz malować pozbawione znaczenia obrazki. Mam nadzieję, że następnym razem spotkamy się w Pondiherri w Indiach. Tam będzie nasz przystanek w drodze do świętej misji w Annamie.

Tak oto, na porośniętej mchem ścieżce do Villaume, François powierzył swe losy Bogu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Paryż, 1772

Henri Jacques Monange już w wieku trzynastu lat miał zwyczaj spoglądać wstecz na swoje życie. W ciągu kilku lat zyskał większe doświadczenie, niż wielu innych zdobywa przez całe życie. Jego wspomnienia często przepojone były rozpaczą, ale nauczył się, że najlepszym sposobem na pokonanie rozczarowań jest po prostu godzenie się z losem.

Decyzja zdania się na los nie była pozbawiona zalet, gdyż i tak nie miał większego wpływu na jego koleje. Jak wielu innym, chłopcu przeznaczone było życie w nędzy. Urodzony w Genewie jako najstarszy z siedmiorga dzieci, w wieku dziesięciu lat był jedynakiem. Bracia i siostry przeżyli nie więcej niż kilka lat.

Rodzina Henriego wywodziła się z Owerniaków, którzy zamieszkiwali wulkaniczne Monts du Cantal. Jego ojciec, Maurice Monange, kontynuował rodzinną tradycję i zajmował się rozwożeniem węgla. Henri już jako mały chłopiec został nauczony tajników zawodu.

Dobytek rodziny stanowił wóz z koniem i beczki do przewożenia węgla. Te skromne środki pozwalały im zarabiać na życie. Wzdłuż rzeki Allier i kanału Briare jeździli do Paryża, by tam sprzedawać drewno i węgiel, a po powrocie do domu na nowo podejmowali wędrowną. Trudne podróże nadszarpane zdrowie ojca jak rdza, która przeżarła żelazne elementy wozu.

Pewnej nocy, gdy wjechali do miasta, gwałtownie się ochłodziło. Zima przyszła wcześniej tego roku. Porywisty, przenikliwy wiatr smagał ich okryte łachmanami ciała, kłusząc skórę przez dziury w płaszczach. Henri, wówczas dwunastoletni, siedł za wozem pomiędzy rodzicami, którzy osłaniali go przed podmuchami. Zaciskał zmarznięte palce na deskach wozu, pozwalając się ciągnąć zmęczonemu koniowi. Wóz kołysał się na deskach, które dla ułatwienia jazdy kładziono na wyboistych ulicach. Cel ich podróży, bulwar du Temple, był spowity mgłą, przyprószone śniegiem, milczący i pusty, jeśli nie liczyć kilku skulonych żebraków.

Przed Hôtel Dieu, szpitalem dla ubogich, na tobołku szmat siedział stróż z ciężką pałką w dłoni. Wstał, by w blasku płonącej w pobliżu pochodni przyrzeć się przybyszom. Dłużej zatrzymał spojrzenie na kobiecie. Henri widział, jak matka kryje twarz w cieniach kaptura.

– Nie mogę wpuścić was wszystkich – oznajmił mężczyzna.
– Szpital jest przepełniony, wolno przyjmować tylko chorych. Matka z dzieckiem może wejść, jeśli chce, ale dla ciebie nie będzie miejsca. – Ruchem brody wskazał ojca Henriego.

Chłopiec poczuł rękę ojca na plecach. W ciszy nocy koń dyssał chrapliwie, rozdymając nozdrza.

– Idźcie – polecił ojciec, pokazując zęby w wymuszonym uśmiechu. – Szliście przez wiele dni bez odpoczynku. Prześpijcie się. Ja i tak muszę zostać, żeby pilnować beczki z węglem.

– Nie. – Matka pokręciła głową. – Zostaniemy razem.

– Nie bądź uparta. Pomyśl o chłopcu i śpij dobrze, za mnie też. – Popchnął ich w stronę budynku.

Matka zdjęła pelerynę i rozłożyła na wozie, robiąc dla męża poślanie.

– Przykryj się moim płaszczem, gdy położysz się spać – powiedziała i odwróciła się, zabierając syna.

Stróż odsunął się od wejścia.

– Witaj w Hôtel Dieu – szepnął w twarz matki. – Ale nie zominaj, że jesteś mi winna przysługę. – Henri czuł gorzałkę w jego oddechu.

Nie czekając na odpowiedź, mężczyzna zarzucił szalik na ramię. Henri wiedział, że stróż uśmiechnął się pod warstwą grubej wełny.

W środku było dużo włóczęgów. Ponad pięć tysięcy ludzi zajmowało około tysiąca dwustu łóżek. Wielu siedziało opartych plecami jeden o drugiego, żeby zatrzymać ciepło.

Henri i matka brnęli przez gąszcz ludzkich kończyn, mieli nadzieję, że znajdą wolne miejsce. Wreszcie musieli się położyć obok konających i martwych. Tuzin zwłok zaszytych w worki piętrzył się na stosie w pobliżu wejścia, czekając na zabranie. Henri widział przez okno ojca, który ulokował się za beczką z węglem. Stróż przyszedł parę minut później, nucąc pod nosem. Rozpoznał ich, podszedł i wcisnął buty pomiędzy chłopca i matkę.

– Czego od nas chcesz? – zapytała matka, siadając.

Henri słyszał znużenie w jej głosie.

– Przyszedłem prosić o odwzajemnienie przysługi.

Przecięgnął pałką po jej koszuli, obrysowując piersi.

Uśmiechnął się szeroko. Kobieta się skuliła.

– Nie mam niczego, żeby ci dać. Przyszliśmy tu szukać schronienia, dla dobra syna.

– Zostaw nas – szepnął Henri – bo przyprowadzę ojca.

– Czemu tego nie zrobisz? – zapytał mężczyzna. – Tylko co mnie powstrzyma przed wyrzuceniem was na dwór? – Do matki powiedział: – Dla dobra syna dałem wam miejsce do spania. Nie masz co dać? To, czego chcę, nie będzie cię kosztować ani jednego su. – Mrugnął do niej.

Matka westchnęła.

– Nie patrz na mnie – przykazała Henriemu. – Połóż się na boku i śpij.

Odwrócił się. Oczy miał szeroko otwarte. Mężczyzna zaśmiał

się głucho, pochylając się nad nią. Okrył ją płaszczem, rozpostartym niczym skrzydła wielkiego nietoperza. Ich ciała napierały na stos worków z trupami. Kobieta nie próbowała się bronić.

Na zewnątrz wychudła twarz ojca stopiła się z ciemnością, ale zdawało się, że dwie krople wody błyszczą w miejscu oczu, odbijając niebo. Wiatr zawodził. Śnieg rozpadał się na dobre, tańcząc po ulicach w miękkich, puszystych kłębkach jak surowa wełna. Blask w oczach ojca stawał się coraz bardziej matowy. Chłopca morzył sen, mimo że kołysały się worki, o które się opierał. Posapywanie stróża mieszało się z nieustającym kaszlem. Smród, jakby świńskich szczyn, gryzł Henriego w nos.

Nazajutrz rano odkryli zamrożone ciało ojca, trzymał beczkę z węglem, jakby do końca próbował strzec dobytku. Zmarł w nocy, w wieku trzydziestu dwóch lat. W sztywnych palcach zaciśniętą pelerynę żony.

Bezceremonialnie wrzucono go do worka i pochowano na cmentarzu biedoty w Clamart. Matka zasypała grób wapnem, a potem poszła z Henrim na targ i sprzedała węgiel.

Bez ojca zmuszeni byli zrezygnować z dotychczasowego zajęcia. Przez parę miesięcy żyli z pieniędzy za węgiel. Wynajmowali pokój na piętrze taniego hotelu na rue de Lappe, którą mieszkańcy nazywali „ulicą zbrodni”. Brudny, zapuszczony zaułek był siedliskiem cudzoziemców, robotników i złodziei. Na parterze domów mieściły się sklepiki, winiarnie i garkuchnie, zaopatrujące w węgiel i wino nie tylko miejscowych, ale również mieszczan z sąsiednich dzielnic.

Henri doskonale zdawał sobie sprawę, że oszczędności się kurczą. Matka chorowała od czasu tamtej nocy w Hôtel Dieu. Większość czasu spędzała w łóżku, rżąc i kaszląc w chusteczkę. Już nie mogła sama piec chleba ani gotować zupy w żelaznym garnku. Niewiele z sobą rozmawiali. W nocy Henri nieraz widział, jak matka patrzy w mrok, a wówczas odwracał się,

owijał płaszczem ojca i udawał, że śpi. Nie mógł jej wybaczyć, że oddała się stróżowi, i winił ją za śmierć ojca. Opłakał go w milczeniu, ale nie chciał dzielić z nią żalu.

Aby unikać matki, stołował się w garkuchniach, a to wychodziło znacznie drożej niż przyrządzanie posiłków w domu. Nie pozwalał sobie na wiele, choć w tym wieku powinien jeść znacznie więcej; z rozpaczą patrzył, jak staje się coraz wyższy i chudszy. Nie on jeden cierpiał niedostatek. Tysiące robotników nie mogło utrzymać rodzin.

Zima nie ustępowała, bieląc miasto śniegiem. Pod koniec stycznia większość mieszkańców rue de Lappe cierpiała głód i śmierć zbierała coraz większe żniwo. Zwierzęta żyjące pod gołym niebem spotykał równie tragiczny los. Rankiem, gdy robotnicy miejscy obchodzili ulice, Henri pomagał im ładować martwe psy, koty i ptaki na ręczne wózki. Pewnego dnia musiał dobrać do stosu ofiar zimy ukochaną kobyłę. Oczy miała takie, jakie niedawno widział u ojca, martwe i zmętniałe od mrozu. Choć był głodny, myśl o zjedzeniu jej mięsa napawała go wstrętem.

Trzeciego miesiąca pobytu w Paryżu Henri oznajmił matce, że zacznie pracować jako woziwoda. Potrzebował jej do pomocy przy ciągnięciu wozu. Postanowił wyczyścić beczkę, żeby zaможnym mieszkańcom wozić w niej wodę do kąpieli. W Paryżu było brudno, dlatego przewidywał duże zapotrzebowanie na swoje usługi.

Musiał jednak wiele się nauczyć o handlu. Szybko odkrył, że woziwodów są dwie kategorie. Pierwszą grupę tworzyli zaradni, bogaci Owerniacy, mający własne wozy i konie, przewożący jednorazowo po osiemset, dziewięćset litrów. Płacili urzędnikowi, żeby rezerwował dla nich miejsce przy zbiornikach, dzięki czemu nie czekali w długich kolejkach. Ci mniej szczęśliwi musieli zadowalać się kilkudziesięcioma litrami wody dziennie, roznoszonymi w kubłach na nosidłach.

Henriemu serce zamarło, gdy zobaczył długą kolejkę przed publicznym rezerwuarem. Ludzie opatuleni w skóry i futra przypominali zwierzęta powoli sunące do wodopoju. Ustawił się z

wozem, czekając na swoją kolej przy kurku. Robotnicy dla zabicia czasu rozmawiali o pracy na żaglowcach, które pływały do Nowego Świata. Według nich najszybciej rozwijającym się miastem we Francji była Marsylia. Henri nigdy dotąd nie słyszał tej nazwy, ale słuchał rozmowy z głębokim zainteresowaniem, puszczając wodze fantazji.

Czekanie doprowadzało go do szaleństwa i nie potrafił zapamiętać nad złością. Był wściekły głównie na siebie – szkoda, że wcześniej nie dowiedział się o tej robocie. Mógłby zaoszczędzić trochę pieniędzy przez wszystkie te zmarnowane miesiące. Narastający gniew sprawił, że poczuł się jeszcze bardziej osamotniony.

Handel wodą przynosił niewielkie zyski. W mieście roiło się od podobnych do niego nieszczęśników, konkurujących w tym fachu. Bogaci klienci korzystali z niedoli nosiwodów, żądając dodatkowych usług. Za parę su życzyli sobie gorącą wodę do kąpiei, a gdy ktoś rozlał choć jedną kroplę, spotykała go kara.

Codziennie rano mężczyźni i kobiety w futrach z królików wylęgali na bulwar du Temple, dźwigając cebry na nosidłach. Wykrzykiwali znajome uliczne zawołanie, żeby przyciągnąć uwagę klientów, *Oia! A l'eau!* Każda sylaba była wyśpiewywana głębokim tonem, gardłowo i donośnie, żeby głos docierał na najwyższe piętra.

Henri ścisnął dyszle wózka i podążył w ludzkim strumieniu, omijając pagórki lodu, które się skrzyły jak tłuczone szkło. Pomimo zimna kropelki potu zraszały jego czoło. Przywykł do ciężaru beczki. Urósł i zmężniał, już nie potrzebował pomocy matki. Ile miesięcy minęło od przyjazdu do miasta? Dwanaście, może czternaście, nie pamiętał. To nie miało znaczenia. Za każdym razem, gdy pchał wózek po bulwarze, samotność przypominała mu, że w Paryżu nie ma i nigdy nie będzie dla niego miejsca. Odnosił wrażenie, że ponure kamienice napierają na niego,

a cienie handlarzy przemykają niczym wilki w skąpych strużkach światła słonecznego. Przyspieszył, skupiając wzrok na bryzgającej z beczki wodzie, a myśli na tych radosnych czasach, gdy żył ojciec.

Paryż nie zawsze był odstręczający. Niekiedy tłum Henriemu nie przeszkadzał i dostarczanie wody było ekscytującym zajęciem. Lubił zwłaszcza te poranki, gdy kąpiel brała madame Leyster. Młoda żona zapracowanego perukarza była jego ulubioną klientką, jedyną, którą zawsze pragnął zobaczyć. Na myśl o niej uśmiechał się pod rondem filcowego kapelusza.

W ciągu miesięcy dostarczania wody zaskarbił sympatię madame. Nie miał nic przeciwko jej nawykowi targowania się o cenę – trzy su za pełną wannę. W Boże Narodzenie schowała pieniądze w parze zielonych wełnianych skarpet i dała mu je w prezencie. Nosił je z wielką ostrożnością pod starszą parą, żeby się nie niszczyły. Sprawiały, że myślał o niej – miękka wełna trąca o nogi sugerowała aksamitną gładkość jej skóry. Wrażenie było tak przemożne, że usychał z tęsknoty.

Henri skręcił w uliczkę, mając nadzieję, że zobaczy madame Leyster na schodach domu. Wolał podchodzić po cichu, niż przyciągać jej uwagę łamiącym się młodzieńczym głosem. Zadrżał na myśl, jak głupie musi sprawiać wrażenie. Madame Leyster już kiedyś się z niego naśmiewała. W konsekwencji unikał rozmów i odzywał się tylko wtedy, gdy musiał. Choć starał się modulować głos, i tak często skrzeczał jak kogut. Czasami ton był tak wysoki, że głos niemal zanikał.

Widział już dom madame Leyster, jeden z nielicznych przebudowanych z drewnianego, z kamiennymi fundamentami i ceglanyścianami dla ochrony przed pożarem. Nikt nie stał na schodach. Henri podszedł bliżej i zobaczył swoją klientkę przez małe okno. Siedziała przy pracy, szpikulcem uzupełniając kępkę włosów w peruce. Czerwone płomienie buchały w kominku. Słońce zaglądało przez szybę, ale nieśmiałe promienie błądy przy buzującym ogniu. Henri patrzył z zachwytem, jak żar różowi policzki kobiety. Zadowolony zapukał w okno.

Madame Leyster podniosła się z krzesła. Biała siateczka podtrzymywała jej włosy, ale parę złocistych loków, o ton ciemniejszych niż czupryna Henriego, wymknęło się i spłynęło na piersi. Grymas niezadowolenia ściągnął jej ostre rysy, lecz duże brązowe oczy spoglądały niewinnie, jak oczy niemowlęcia. Zdawało się, że go nie poznaje. Henri wskazał beczkę i uśmiechnął się. Dzieliło ich tylko parę kroków.

– O co chodzi? – spytała.

Gruba szyba tłumiła głos.

– Madame, kąpiel – odparł krótko.

Jej wyraz twarzy świadczył, że go rozpoznała.

– Już minął miesiąc? – zdumiała się, oglądając paznokcie. – Jeszcze mam czyste ręce.

Na dowód przycisnęła dłoń do szyby. Henri zobaczył brud pomiędzy palcami, ale nie chciał z nią dyskutować.

– Wybacz, pani. Przyjdę w przyszłym tygodniu.

Pchnął wózek.

– Hej, Owerniaku!

Przemknęła przez pokój, żeby spotkać się z nim przy wejściu. Czerwona spódnica ciągnęła się za nią, przysłaniając stopy.

– Ile masz zagranej wody?

Henri przesunął się i podniósł ciężką pokrywę, żeby pokazać wodę wrzącą w miedzianym kociołku na piecyku.

– Trzydzieści litrów – odparł i pomyślał: Jeśli chcesz, mogę zagrzać więcej.

– Na co czekasz? Wnoś wodę do piwnicy i przygotuj kąpiel. Pamiętaj, jaką lubię, prawda?

Pamiętał każdy szczegół jej kąpielowych zwyczajów. Wiedział, ile wody nalać do wanny, żeby się nie przelała, gdy madame Leyster się zanurzy. Nauczył się kłaść twarde mydło z sodą – z wybrzeża Morza Śródziemnego, pachnące jak łąka hiacyntów – na podłodze w zasięgu jej ręki. Stał teraz w pobliżu drzwi łaźni, słysząc płynące z drugiej strony jęki rozkoszy i plusk wody.

Wonne smugi pary przedostające się szczeliną pod drzwiami świadczyły, że woda jest dostatecznie gorąca.

Henri przyjrzał się drzwiom łaźni. Z brzegu miały szparę, która gapiła się na niego niczym ciemne oko. Zdrowy rozsądek radził mu odejść. Nie miał prawa tu przebywać, gdy dama brała kąpiel. Ale w suterenie nie było żywego ducha z wyjątkiem rudego kota, drzemącego u podnóża schodów. Henri wiedział, że dopóki kot śpi spokojnie, jemu też nic nie grozi.

Podniecenie przemieszane ze strachem wstrząsnęło jego ciałem. Wstrzymując oddech, podkraść się do drzwi i przycisnąć policzek do szorstkiego drewna. Musiał stanąć na palcach i wyciągnąć szyję, ale w końcu udało mu się zajrzeć przez szczelinę. Wnętrze zasnuwała mgła pary. Spojrzał. Zaschło mu w ustach.

Przez chwilę myślał, że madame Leyster unosi się w powietrzu. Jej biała koszula, stanik i szkarłatna spódnica obracały się jak gdyby w tańcu. Postać wiła się we mgle niczym duch i strach ścisnął mu serce. Po chwili zobaczył linkę i zrozumiał, że patrzy na ubranie, nie na madame. Zdawało się, że strój żyje w falującym powietrzu.

Usłyszał ciche nucenie. Pośrodku pomieszczenia stała wielka wanna zrobiona z drewnianych klepek, opasana żelaznymi taśmami jak beczka. Henri zobaczył madame zanurzoną w wodzie. Siedziała plecami do niego. Piękne jasne włosy schowała pod czepkiem. Widział lśniące krople spływające po długiej szyi. Jak nektar z lilii, pomyślał i zacisnął pięści.

Kot miauknął u stóp schodów, ale Henri, zbyt pochłonięty widokiem, nie zwrócił na to uwagi. Madame Leyster wysoko podniosła łokieć. Zobaczył meszek pod pachą, wpił oczy w wypukłość pełnej, jędrnej piersi. Krąg sutka pociemniał z gorąca; stercząca brodawka drżała w odpowiedzi na energiczne szorowanie. Henri chciał zaczerpnąć tchu, ale coś ścisnęło go w gardle.

Późniejsze wydarzenia rozegrały się w okamgnieniu. Henri nagle znalazł się w powietrzu, poderwany za kołnierz. Jego stopy zawisły kilka centymetrów nad ziemią.

– Emmanuelle! – ryknął mąż. – Ten głupi nosiwoda podgląda cię w kąpielni. Ci Owerniacy to brudne bydłeta.

Henri czuł, jak kołnierz zaciska się wokół jego szyi i próbował rozluźnić uchwyt. Mógł myśleć tylko o tym, jaki zawód sprawił madame Leyster, zdradzając się ze swoją lubieżnością. Słyszał, jak kobieta krzyczy za drzwiami. Perukarz sapnął. Był roslym mężczyzną i wszystko w nim wydawało się przesadne, łącznie z zapachem czosnku obecnym w jego oddechu.

Madame Leyster już się nie miotła w drewnianej wannie. Henri usłyszał plaskanie bosych stóp po kamiennej podłodze, potem jakiś niewielki przedmiot stuknął głucho w drzwi, a następnie rozległ się głośny łoskot i krzyk przechodzący w stłumione, żalodne zawodzenie.

Wciąż walcząc o oddech, Henri patrzył, jak drzwi łaźni dygoczą, kopane z drugiej strony, aż w końcu się otworzyły. Perukarz okręcił go w powietrzu, mimo woli zdzierając z niego kapotę. Henri upadł, trafiając ręką na mydło, na którym pośliznęła się madame Leyster. Naga kobieta leżała na plecach, zasłaniając się tylko rękami. Jedną nogę miała zgiętą pod nienaturalnym kątem. Henri zobaczył szpic złamanej kości sterczący spod skóry, a na posadzce kałużę krwi.

Gdy zwróciła na niego oczy szkliste z bólu, podniecenie, jakie czuł w czasie podglądania, ustąpiło wstydomi. Próbował nie myśleć o strasznych konsekwencjach swojego postępku, o obraźliwych słowach męża: Ci Owerniacy to brudne bydłeta. Chciałby zniknąć jak para z kąpielni. Zdesperowany skoczył na równe nogi. Nikt nie próbował go zatrzymać, gdy popędził ku schodom. Perukarz nawet nie zwrócił na to uwagi, jego troskę budziła złamana noga żony.

Henri biegł ulicami, mijając kopce śniegu, które bieleły niczym posypane wapnem bezimienne mogiły. Zatrzymał się dopiero w domu. Pokonał dwa ciągi schodów i zapłakał bezgłośnie przed wejściem do izby, pragnąc, aby łzy zmyły choć część upokorzenia. Nie potrafił zapomnieć widoku udręczonej twarzy madame Leyster i jej lodowatego spojrzenia.

Matka siedziała przy oknie, okryta kocem, który opadał na podłogę. Od kilku miesięcy spędzała tam większość czasu. Mróz wyrzył nowe zmarszczki na jej wymizerowanej twarzy, odbarwił usta, wprawił ręce w drżenie. Henri zastanawiał się, czy widziała, jak jej syn biegnie z płaczem po ulicy.

– Wybacz mi, matko. – Słowa wyprzedzały myśli. – Muszę natychmiast opuścić Paryż i nie mogę cię zabrać. Pójdiesz do Hôtel Dieu i tam na mnie zaczekasz. Wrócę za kilka miesięcy.

– Masz kłopoty?

Nie odpowiedział.

– Dlaczego nie mogę iść z tobą? Nie chcę tam wracać.

Odpowiedzialność za nią ciążyła mu jak żelazne jarzmo na karku, zaciskając tchawicę.

– Nie mam wyboru, matko. – Głos mu się załamał. – Jesteś chora, a ja nie mogę dłużej się tobą zajmować.

Skrzywiła się, jakby ją uderzył. Bez słowa podała mu gruby wełniany płaszcz po ojcu. Włożył go, zapiął pod szyją i naciągnął kaptur, żeby ukryć twarz. Wyszli z mieszkania w ponurym nastroju, kierując się do Hôtel Dieu.

Tylko gwałtowny kaszel i mamrotanie matki przerywało ciężkie milczenie. Henri nie patrzył na nią. Przy hotelu, pod czujnym okiem tego samego stróża, ciasniej owinął jej ramiona szalem. Chciała go pocałować, ale odwrócił głowę. Wiedział, że jeśli teraz okaże miłość, utknie z matką w tym miejscu na zawsze.

– Wejdz do środka, tam jest cieplej – szepnął.

Przywarła do niego z zaskakującą siłą.

– Wybaczam ci, synu – powiedziała. – Mam nadzieję, że pewnego dnia ty mnie wybacysz.

Wyrwał się jej i pobiegł.

Przy zbiornikach wody Henri się dowiedział, że perukarz go szuka, aby się zemścić. Paryż stał się dla chłopca zakazanym miastem – miejscem kary i hańby.

Z bulwaru du Temple ruszył traktem wiodącym do dawnego domu w górach. Z zaskoczeniem stwierdził, że szlak jest węższy, niż pamiętał, i wyrosły przy nim nowe domy. Tak wiele się zmieniło, że nie był pewien, czy jest na właściwej drodze. Zastanawiał się, jak będzie wyglądać Plomb du Cantal. Ale wulkaniczna góra była po prostu górą. Ważne było to, że on u jej stóp będzie wiódł żalosną egzystencję węglarza. Perspektywa znoszenia trudów tylko po to, żeby skończyć jak ojciec, nie napawała optymizmem.

W połowie drogi Henri przysiadł pod bezlistnym kasztanowcem, gdzie tyle razy wcześniej zatrzymywała się jego rodzina. Wabił go nieznany szlak, który zawsze wydawał się nęcący. Nie miał nikogo, kto powiedziałby mu, co zrobić. Nagle zmienił zamiar.

Zamiast wracać w góry, pójdzie na południe do Marsylii. W jego głowie wciąż brzmiały fantastyczne opowieści nosiwodów. Wyobraził sobie bogate miasto, przygody i nadarzające się okazje. Poza tym Marsylia leżała daleko od Paryża, a on nie będzie się rzucać w oczy wśród innych nieznajomych. Na pewno znajdzie pracę w porcie. Był młody i niezależny. Z morzem wiązał swoje największe nadzieje.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Marsylia, 1773

Trzy miesiące później w połowie wiosny Henri dotarł do miejsca przeznaczenia. Było południe, Marsylię przysłaniała zasłona lekkiego deszczu. Bolały go nogi i doskwierał głód po długiej podróży, którą przetrwał dzięki jałmużnie wyżebranej w domach pobożnych ludzi i od czasu do czasu drobnym kradzieżom. Miasto wyglądało inaczej niż w jego barwnych fantazjach, okazało się wylęgarnią nędzy i zarazy, pełną takich jak on uciekinierów. Sylwetki żaglowców kołysały się na ciemnej wodzie. Port cuchnął, zanieczyszczony zwierzęcymi i ludzkimi odchodami. Szczury harcowały na nabrzeżu.

Głosy pasażerów łodzi w basenie portowym narastały do histerycznego wrzasku, zwierzęta muczały, czekały i rżały, a łańcuchy kotwiczne dudniły w kluzach niczym grzmot pioruna. Deszcz padał na błotnistą ziemię, a woda tworzyła zielone kałuże.

Marynarze ze wszystkich stron świata waleśali się po krętych ulicach, wypatrując dziwek. Zbójcy czyhali w zaułkach, szukając okazji do obrabowania podróżnych z ostatniego snu. Okoliczni wieśniacy gromadzili się na targu, żeby wymieniać mięso, mleko i jaja na ziarno i mąkę przywiezioną z Ameryki.

Zdumiony Henri wytrzeszczał oczy. Burczenie w brzuchu przypominało mu o głodzie. Na próżno przetrząsnął kieszenie.

Nie był pewien, co dalej. Musiał przecież istnieć jakiś sposób wymiany pracy na żywność i dach nad głową. Na drewnianym podwyższeniu niedaleko mola stał jakiś kupiec. Słomiany daszek osłaniał go przed mżawką. Chłopcu serce zabiło żywiej na widok ustawionych przed nim robotników. Podbiegł, żeby zająć miejsce w kolejce.

– Potrzebuję dwudziestu ludzi do rozładunku towaru – oznajmił kupiec. Krępy, wysoki ledwie na półtora metra, miał na sobie pięknie skrojone ubranie i trójgraniasty kapelusz. – „Potężna Zawierucha” przyплыła z Bostonu.

Wskazywał palcem na robotników i krzyczał, wyławiając twarze z tłumu:

– Ty! Ty! Ty!

Wybrani wychodzili z kolejki i szli na pirs, gdzie przy karawanie mułów czekali na kupca. W końcu łypnął na Henriego.

– Hej, chłopcze! Jesteś tu nowy?

– Tak, panie – odparł chłopiec, podniecony perspektywą zarobku.

– Od kiedy w Marsylii?

– Dopiero co przybyłem, panie.

Kupiec wzruszył ramionami i skierował palec na następnego robotnika. Przekrzykując hałas, Henri dał upust rozczarowaniu:

– Czemu mnie nie weźmiesz? Jestem silny. Umiem ciężko pracować.

Twarz kupca przemieniła się w obojętną maskę.

– Nie masz uprawnień – powiedział ktoś w pobliżu.

Wysoki, mniej więcej dwudziestopięcioletni mężczyzna miał ciemne oczy i włosy czarne jak smoła. Mógłby uchodzić za przystojnego, gdyby nie był taki wychudzony. Przygarbione ramiona, ciężkie powieki i zaciśnięte usta sprawiały niepokojąco złowrogię wrażenie. Z jego lewego ucha zwisał mosiężny kolczyk. Podchwytując zdumione spojrzenie Henriego, mężczyzna uklonił się głęboko, kładąc rękę na piersi.

- Jestem Jérôme Bianchi – oznajmił i parsknął śmieciem.
Nawet gdy się śmiał, sprawiał wrażenie pozbawionego skrpułów.
- Henri Monange.
Mężczyzna spoważniał.
- Jesteś niedoświadczony. Aby dostać robotę, trzeba być obywatelem Marsylii.
- Obywatelem? – zapytał Henri z niedowierzaniem. – Co trzeba zrobić, żeby dostać uprawnienia?
- Mieszkać tu przez dziesięć lat, posiadać nieruchomości albo poślubić miejscową dziewczynę. Jesteś za młody i zbyt zielony, żeby mieć jedną z tych rzeczy. Ale takie jest prawo.
- Jak w takim razie ktoś taki jak ja ma zarobić na życie? Muszę jeść.
- Możesz poprosić o pracę na jednym z tych wielkich statków, które pojeżdżą do kolonii. Zawsze szukają marynarzy. Miałem czternaście lat, gdy zacząłem terminować u kuka. Po odpowiednim szkoleniu można zostać żeglarzem. Statek, na którym jestem zamustrowany, wyjdzie w morze za miesiąc i dwa dni, jeśli wiatr będzie sprzyjał. Jak chcesz, mogę się wstawić za tobą u pierwszego oficera.
- Tak, proszę – odparł Henri bez wahania, ale jednym tchem zapytał ze strachem: – Czy to znaczy, że opuszczę Francję?
- Wysoki nieznajomy parsknął śmiechem.
- A co cię tu trzyma, bogactwo i zamek? A może się martwisz, że Ludwik XV za tobą zatęskni?
- Obaj się roześmieli. Potem ważna myśl wpadła Henriemu do głowy.
- Ale co będę robił, dopóki statek nie wypłynie?
- Mężczyzna omiół port pogardliwym spojrzeniem.
- Patrz na tych bogatych kupców – wycedził przez zęby, wskazując grupę dobrze ubranych ludzi. – Widzisz te fałdy tłuszczu? Chciałbym być komarem; piłbym ich krew bez obawy, że zostaną złapani. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Henri pokiwał głową, chociaż nie był pewien, co tamten miał na myśli.

– To dobrze – odparł jego kompan. – Idziemy. Wiem, gdzie możemy dostać coś do jedzenia. Powiedz mi, co cię sprowadza do Marsylii?

Henri siedział przy tylnych drzwiach tawerny w mrocznym, błotnistym zaułku, chroniąc się przed deszczem, i chleptał wołowym gulasz z drewnianej miski. Na ciemniejącym niebie rumieniła się ławica chmur, żurawinowa w blasku zachodzącego słońca. Gdy zgasły ostatnie promienie, w mieście zaczęły zapalać się światła. Migoczące węgle żarzyły się w oknach krytych strzechą ruder. Henri słyszał płynący zza ściany hataśliwy gwar, to klienci sprzecali się przy grze w kości.

W czasie czekania na strawę Henri opowiedział Jérôme'owi o paryskim życiu, o pracy woźnicy i śmierci ojca. Nie wspomniał o matce, Hôtel Dieu, madame Leyster i nieszczęsnym wypadku, przez który musiał opuścić miasto.

Gdy jadł kolację, sylwetka Jérôme'a majaczyła w wylocie zaułka, górując nad ciemnowłosą kobietą. Mężczyzna rozwiązał troczki portek i jego pośladki białły w mroku, gdy trącał biodrami biodra partnerki. To ona przyniosła im kolację. Stała oparta o ścianę, z obnażonymi piersiami. Jej karminowe usta wyglądały w ciemności jak ziejąca dziura. Jedną rękę oparła na ramieniu kochanka. Za każdym razem, gdy się w nią wbijał, syczała, jakby wyciskał jej powietrze z płuc. Henri słuchał jęków rozkoszy i miał wrażenie, że deszcz zaczyna cuchnąć.

Nie bacząc na spojrzenia przypadkowych przechodniów, spółkowali jak dzikie zwierzęta. Jérôme skończył z głośnym stęknieniem. Henri patrzył, jak wygina plecy, odrywa się od kobiety i podciąga spodnie. Ona pocałowała go w czoło i znikła w ciemnościach.

Marynarz ruszył w stronę Henriego, zawiązując troczki. Uśmiechnięty z zadowolenia, tryskał energią. Pogwizdując, człapał przez kałużę.

- To moja dziewczucha – oznajmił z dumą.
- Wydaje się bardzo miła.

Marynarz splunął.

– Wszystkie kobiety to dziwki. Ta jest prostytutką, ale ja zawsze dostaję za darmo. Wnosząc z tego, jak się na nią gapiłeś, wciąż jesteś prawiczkiem.

Henri spuścił wzrok.

Jérôme zerknął na niego spod ściągniętych brwi.

– Tak myślałem. Musimy ci znaleźć kogoś takiego jak ona... dobrodziejkę, która cię rozprawczy i zadba o wszystkie twoje potrzeby.

- Nie chcę, żeby utrzymywała mnie kobieta.
- W takim razie zdechniesz z głodu! Albo zaczniesz kraść, żeby utrzymać się przy życiu. Tu nie dostaniesz roboty. Ja jestem doświadczonym marynarzem, a i tak z trudem znajduję pracę. A gdy czekam, muszę jeść. Wszyscy ci grubi kupcy stają się coraz grubszy. Pewnego dnia nie będę musiał przekonywać takich kmiotków jak ty, żeby zobaczyli to, co ja widzę. Zostanę ważną osobą. Zobacysz! A ty podziękujesz przyjacielowi Jérôme'owi.
- Dla podkreślenia słów złapał chłopca za łokieć i poderwał go na nogi. – Przyłącz się do mnie. Potrzebuję pomocnika. Nauczę cię, jak przeżyć.

Henri wyrwał się marynarzowi.

Jérôme chrząknął i splunął, tym razem pod nogi chłopaka. Gdy przemówił, jego głos był pełen złości i pogardy.

– Masz skrupuły, bo moja dziewczyna napchała ci brzuch jeźdzeniem. Ale zaczekaj do jutra, kiedy znów zgłodniejesz. Myślisz, że kogoś obchodzi, co się dzieje z takimi szumowinami jak my?

Odwrócił się, chcąc odejść. Henri uświadomił sobie, że usłyszał słowa prawdy, i nagle poczuł się osamotniony. Na rue de Lappe miał przynajmniej matkę.

– Zaczekaj – zawołał. – Nie odchodź!

Wysoki mężczyzna przystanął. Stojąc plecami do chłopca, rzucił przez ramię:

– Czy to rozumiesz, czy nie, jestem twoim jedynym przyjacielem w tym mieście. Dałem ci jeść, bo myślałem, że się zaprzyjaźnimy. Jeśli teraz odejdziesz, niedługo staniesz się żarciem dla szczurów.

– Rozumiem – szepnął Henri.

Jérôme odwrócił się do niego.

– To już lepiej. Jak myślisz, dlaczego obaj trafiliśmy do zaułków Marsylii? Potrzebujemy się wzajemnie.

– C-co zrobimy? – wydukał chłopiec.

– Ha, mądre pytanie! Nauczę cię wszystkiego, co sam umiem. Najpierw musimy zastawić pułapkę.

– Na kogo?

Jérôme nie odpowiedział. Grzebał w stercie śmieci przy wejściu do tawerny. Drzwi były zamknięte, a księżyc wszedł w ostatnią kwadrę, więc w zaułku panował mrok. Henri nie widział, czego szuka jego towarzysz. Czuł się głupio i trochę się bał. Chciał uciec, ale zatrzymała go ciekawość. W ciemności marynarz wyglądał jak wielki pies wykopujący kość.

Gdy się wyprostował, w jego ręce wiło się coś długiego i czarnego. W mroku trudno było rozpoznać znaleźisko. Henri, przekonany, że to wąż, odskoczył ze strachu.

Marynarz zaśmiał się ochryple.

– Spokojnie, nie ugryzie. To tylko lina.

Świsnęła nią w powietrzu, strzepując najgorszy brud.

– Zamierzam złowić tłustego wieprza – wyjaśnił. – Pomozesz podciąć mu nogi i przewrócić go na ziemię?

– Liną?

– Tak. Mój plan jest prosty, ale się powiedzie, gdy będziesz postępować zgodnie ze wskazówkami. Już to robiłem. – Podał Henriemu koniec liny i wyjaśnił: – Idź na drugą stronę ulicy. Schowaj się w ciemności. Kiedy pociągnę sznur, trzymaj go jak najmocniej, żebyśmy mogli wyrwać ofiarę.

Henri pokiwał głową, gdyż zaczynał rozumieć.

– Znam tę zabawę. W podobny sposób chwytailiśmy z ojcem dzikie zwierzęta w lesie.

– Doskonale. Pamiętaj, dzisiejszej nocy zapolujemy na grubszą zwierzynę. Celuj w szyję, żeby przewrócić się na plecy. Nie atakuj jeźdźca ani powozu. Zasadzamy się na samotnego przechodnia. Nie chcemy bijatyki, chyba że nie będzie innego wyjścia.

Henri przeszedł na drugą stronę ulicy i kucnął pod ścianą. Lina zwisała mu z ręki. Prędzej czy później ktoś się zjawi w zaułku. Mógł tylko mieć nadzieję, że będzie to pijany kupiec, a nie włóczęga. W gęstym mroku niewiele było widać. Denerwował się, ręce mu drżały ze strachu.

Słyszał napływające z oddali strzępy rozmów, grzechotanie powozów, szczekanie psa. Jeśli plan nie wypali i zostaną schwytani, władze mogą się dowiedzieć o przestępstwie, jakie popełnił w Paryżu. Bał się, że trafi do więzienia najgorszego ze wszystkich, Chateau d'If. Matka się zapłacze, jeśli się dowie. Wrzący gniew, jaki w nim budziła, w końcu przygasł. Na myśl o jej samotności w Hôtel Dieu zalało go poczucie winy.

Jérôme szarpnął liną trzy razy na znak, że ktoś się zbliża. Henri przycisnął plecy do muru, wstrzymał oddech i słuchał. Kroki niosły się w nocy. Chciał rzucić sznur i uciec ile sił w nogach. Nim zdążył się ruszyć, ktoś pojawił się na zakręcie wąskiej uliczki i zbliżał się zwawym krokiem. Henri nie miał czasu do namysłu. Lina ożyła w jego ręce. Pociągnął mocno. Sznur uniósł się i ofiara ze stłumionym okrzykiem upadła na ziemię. Trójgraniasty kapeluszczyk wzleciał w powietrze i wylądował na kocich łbach.

Henri zobaczył w mroku twarz i gęste, ciemne włosy ścięte prosto nad brwiami. Oczy pod grzywką zdawały się białe z bólu. Zarys srebrnego krzyża na piersi odbijał nikłą poświatę księżycy. Nagle Henri zrozumiał: napadł na świętego człowieka – na księdza. Jérôme wyskoczył z kryjówki. Jak gdyby wiedziony szóstym zmysłem, bezbłędnie znalazł sakiewkę.

– Niech to lichy – warknął. – Pusta.

Rozgniewany, kopnął leżącą ofiarę. Henri zacisnął ręce na ramionach Jérôme'a i odciągnął go.

– Nie rób mu krzywdy – poprosił.

Marynarz splunął pogardliwie.

– Nie bój się. To tylko śmierdzący jezuita. – Pochylił się nad zakonnikiem i warknął: – Żaden sędzia by mnie nie powiesił, gdybym cię zabił.

Przestraszonemu chłopcu polecił:

– Zostaw go!

Henri ruszył za nim, ale przystanął, gdy usłyszał jęk duchownego. Cień jego towarzysza zniknął w ciemnym zaułku.

Henri wahał się, zły, że współczucie przeważa nad rozsądkiem. Słyszał pojękiwanie rannego. Nie mógł zostawić go bez opieki.

– Niech ktoś mi pomoże! – dobiegło go wołanie.

Henri wrócił na palcach, żeby lepiej się przyjrzeć ofierze napści. Zakonnik się poruszył. Konsternacja, zaskoczenie i wdzięczność odbiły się w jego oczach. Chłopiec już żałował, że zawrócił.

– Dzięki Bogu, że jeszcze tu jesteś – wyszeptał duchowny. Głos miał chrapliwy, zapewne z powodu uderzenia w szyję. Chwytał chłopca za rękę.

– Nie! – wrzasnął Henri, odskakując. – Puść mnie.

– Nie bój się – wychrypiął ksiądz, z wysiłkiem przetykając ślinę. – Nie potępiam cię za to, co zrobiłeś. Jeśli Bóg może ci wybaczyć, ja też mogę.

Słowa znajomo zadźwięczały w uszach Henriego. Matka też mu wybaczyła. Pomógł księdzu wstać i podał mu ramię. Ranny ledwo się trzymał na nogach.

– Dokąd mamy iść? – spytał Henri.

Gdy brnęli zaułkiem, ksiądz szepnął:

– Pomóż mi dojść do seminarium. Dziękuję, że do mnie wróciłeś. Jestem ojciec François Gervaise.

Chłopiec w odpowiedzi wymamrotał swoje nazwisko. Gdy wyszli z zaułka, światło z pobliskich domów oświetliło im drogę. Henri wyczuł, że ksiądz na niego patrzy.

– Dobry Boże, jesteś taki młody. Dlaczego to zrobisz? Dlaczego napadasz na ludzi? Gdzie twoja rodzina?

– Jestem sam. Dziś rano przybyłem do Marsylii. Szukałem pracy, ale nikt nie chciał mnie wynająć. – Współczujące spojrzenie ojca François zachęciło go do dalszych wynurzeń. – Zostawiłem matkę w Paryżu. Jérôme'a poznałem parę godzin temu.

– Człowieka, który zabrał sakiewkę? Postąpisz mądrze, jeśli więcej się z nim nie spotkasz.

Henri milczał, gdy kluczyli wąskimi uliczkami przy porcie. Z każdym krokiem księdzu wracały siły.

– Masz gdzie spać? – zapytał.

– Nie, panie.

– W klasztorze jest pokój, jeśli chcesz się zatrzymać.

Henri poruszył ustami, ale jego „tak, panie” było niesłyszalne.

Klasztor, w którym przebywał ojciec François, stał na wzgórzu przy porcie. Księżyc zaszedł. Światło gwiazd słabo oświetlało drogę, ale jakoś znaleźli ścieżkę prowadzącą do klasztoru. Drzwi nie były zamknięte.

Gdy przestąpili próg, przywitał ich ostry zapach, woń murszejących belek i oleju płonącego w lampach. Siedzący za drzwiami furtian pokiwał głową, zbudzony ich przybyciem. Przetarł twarz i zrobił czujną minę, która przemieniła się w zatroskaną, gdy zobaczył rannego księdza. Podniósł metalową latarnię, żeby im się przyjrzeć.

– Ojcze! – krzyknął. – Dlaczego się uparłeś, żeby wychodzić tak późno? Popatrz, co cię spotkało. – Chłopcu wyjaśnił: – Odkąd zostaliśmy zmuszeni do zamknięcia akademii, niewielu ludzi w mieście szanuje zakon jezuitów. Tylko w tym tygodniu doszło do czterech napaści na naszych kapłanów. Jesteśmy misjonarzami. Utrzymujemy to seminarium jedynie po to, żeby mieć gdzie czekać na statki.

Zgromadzili się zakonnicy zwabieni głosem furtiana. Buty stuknęły w korytarzach, cienie sunęły po ścianach.

– Dobry Boże! – zewsząd dobiegały szepty.

Zabrano François, żeby opatrzyć mu ranę. Nikt nie zwracał uwagi na Henriego, który stał skulony przy drzwiach. W powietrzu wisiał zapach deszczu, ale noc była ciepła. Po jakimś czasie, który zdawał się bardzo długi, chłopak wyszedł z klasztoru. Uznał, że ojciec François nie dotrzyma obietnicy.

Na zewnątrz panowała cisza. Henri był sam.

Po paru krokach ciche łkanie wyrwało mu się z gardła. Wspomniawszy izdebkę na rue de Lappe. To był jego ostatni dom. Tęsknił za ciepłem matki, za jej delikatnym oddechem, za spokojem i zadowoleniem z jej obecności. Jakie szanse miała w Hôtel Dieu wśród chorych, pozbawiona środków do życia? Gdyby tylko poświęcił jej trochę uwagi, dostrzegłby bezgraniczną miłość, jaką go darzyła. Ale był na nią zły za to, że zdradziła ojca – zbyt zły i samolubny, żeby cokolwiek zobaczyć, zbyt skory do odejścia. Gdyby wiedziała, że skrzywdził księdza, pękłoby jej serce.

Płakał cicho, przepełniony skrucą. Nagle czyjaś ręka spoczęła na jego ramieniu. Wytarł twarz połą koszuli, wydmuchał nos na ziemię i odwrócił się.

Furtian przeczesał palcami gęste białe włosy. Było jasne, że nie spodziewał się znaleźć chłopca w takim stanie.

– Chodź, dziecko. Ojciec François czeka – powiedział.

Poprowadził go ku otwartym drzwiom klasztoru.

Ojciec François leżał w kącie pokoju na drewnianym łóżku, przykryty kocem. Na szyi miał biały bandaż. Na stoliku przy łóżku obok miski ze szmatką i płonącej świecy stał prymitywnie wyrzeźbiony krucyfik.

– Usiądź – rzekł ojciec François, wskazując krzesło. – Chcę z tobą pomówić.

Henri usiadł. Odwrócił głowę z nadzieją, że ksiądz nie zobaczy śladów łez. Ojciec François wyciągnął rękę i startł lśniąca kroplę z policzka chłopca.

– Te łzy mówią, że masz dobre serce. Czy obiecasz, że będziesz kochał Boga i służył Mu, przestrzegając Jego przykazań?

– Ojczy, nie wiem, czy mogę.

Zdawało się, że ksiądz ocenia jego duszę.

– Przybyłem tutaj, aby wsiąść na statek. Potrzebuję kogoś, kto pomoże mi w misjonarskiej pracy na Dalekim Wschodzie, i oto ty się zjawiłeś. Możesz zostać moim pomocnikiem. Chcesz?

– To znaczy, że wypłyniemy w morze?

– Co najmniej na siedem miesięcy, może na rok.

Henri przycisnął ręce do kolan, żeby pohamować ich drzenie. Marzył o zamorskiej wyprawie. Poza tym matka będzie z niego dumna, gdy się dowie, że pomaga misjonarzowi.

– Kiedy wrócimy?

Ojciec François namyślał się przez chwilę.

– Nie wiem, kiedy ani czy w ogóle wrócę, ty jednak będziesz mógł wrócić w dowolnym czasie.

Henri chrząknął.

– Nie chcę być taki jak Jérôme, ale, ojczy, nie chcę cię okłamywać. Nie kocham Boga tak, jak powinienem.

Zamknął oczy, spodziewając się słów nagany. Ojciec François podniósł się na łokciu.

– Ja też coś ci wyznam. Nie sądzę, abym kochał Boga w taki sposób, w jaki powinienem. Pod wieloma względami jesteśmy podobni. Myślę, że możemy sobie pomóc.

Henri umył się i zjadł w towarzystwie księdza. Nie wyobrażał sobie, że udzielając pomocy ojcu François, zmieni swoje życie. Kilka tygodni później został nowicjuszem w Towarzystwie

Jezusowym Misji Zagranicznych, gałęzi zakonu badającej dalekie kraje.

Szybko podjął decyzję. W przeciwieństwie do większości dorastających chłopaków, którzy wierzyli, że będą żyć wiecznie, on był świadom, iż długość jego życia na ziemi jest wyznaczona przez dni, miesiące i lata. Wiedział, że czeka go nieuchronny koniec. Śmierć, rozumiana jako nieskończony brak światła, z powodu swojej nieuchronności, nieodwracalności i wieczności była dla niego jedynym pewnikiem i najwyższym Bogiem.

Spotkanie z ojcem François umożliwiło mu odkrycie nowego sposobu myślenia, zupełnie innego niż wszystko, czego się dotąd nauczył. Patrząc, jak duchowny codziennie czyta modlitwy, chciał być tak samo cierpliwy i spokojny. Zastanawiał się, skąd zakonnicy czerpią taką optymistyczną wiarę w boską istotę. Uznał, że gdy stanie się jednym z nich, nauczy się osiągać podobne zadowolenie i nie będzie musiał samotnie mierzyć się z niepewną przyszłością. Pod opieką ojca François był bezpieczny. Ksiądz podjął się roli jego żywiciela i nauczyciela.

Przygotowując się do podróży, Henri zabrał swoją jedyną cenną rzecz, wełniane zielone skarpety, które dostał od madame Leyster. Nosił je na szyi pod długą do kostek sutanną. Nie chciał ich używać ze strachu, że się przetrą. Poza tym w ten sposób miał pewność, że prezent spełni swój cel: będzie blisko jego serca.

Zwykle kandydat wstępujący do Towarzystwa Jezusowego musiał zdać kilka egzaminów co najmniej przed czterema doświadczonymi duchownymi. Ponieważ statek miał wyruszyć za miesiąc, a Henri nie miał żadnego wykształcenia, ojciec François wziął na siebie obowiązek nauczyciela. Szkolenie nowicjusza trwało co najmniej dwa lata. W tym czasie Henri miał się uczyć filozofii, teologii, matematyki i języków, a na zakończenie złożyć śluby posłuszeństwa i czystości.

Dwunastego maja roku 1773, miesiąc po spotkaniu, Henri wyruszył w podróż z młodym jezuitą. Francja nie oferowała mu niczego poza głodem i nędzą, Annam zaś jawił się jako fantastyczny świat, w którym czekały przygody.

Zafascynowany opowieściami księdza chłopiec wyobrażał sobie egzotyczny kraj. Marzył o miejscu pełnym olbrzymich drzew i kwiatów, gdzie słońce płonie tak jasno i tak blisko ziemi, że ludzie są ciemnobrązowi. Krajowców widział w postaci małych glinianych figurek, które poruszały się jak pionki na szachownicy. Te fantazje nasilały podniecenie, jakie czuł od pierwszego dnia, gdy dowiedział się o podróży.

Czekanie dobiegło końca. Wiał zachodni wiatr i wczesnym rankiem podróźni obładowani ciężkimi bagażami zaroili się w marsylskim porcie. Stojące nisko, przymglone słońce oświetlało falującą wodę. Trzy wielkie statki cumowały obok siebie z daleka od tych, które wchodziły do portu i wychodziły w morze.

Chłopiec pobiegł na skraj wybrzeża i zamoczył stopy w łamiących się falach. Rozkoszował się chłodem oceanu. Na ramieniu trzymał tobołek z ubraniami. Wiatr podrywał zielone skarpety, które miał na szyi.

– Patrz tam, Henri – powiedział ksiądz, wskazując nabrzeże. – Ten biały, najbliższy statek to nasz „Wędrowiec”. Obok cumuje „Święty Ignacy Loyola” i „Święty Rafael”. Ignacy to założyciel Towarzystwa Jezusowego, a Rafael jest patronem podróźnych i jednym z siedmiu archaniołów, którzy stoją przed tronem Pańskim. Imię Rafael oznacza „Bóg uzdrawia”. Dalej kotwiczony statek nieco większy i uzbrojony w armaty. To „Herkules”, okręt wojenny. Jego zadaniem będzie ochrona pozostałych trzech.

W oczach Henriego pojawił się lęk.

– Dlaczego potrzebujemy ochrony?

Nim François zdążył odpowiedzieć, głośny, przeciągły gwizd przeszył ciężkie powietrze. Żołnierze zaczęli wchodzić na pokład, większość na „Herkulesa”. Na rufach karawel pojawili się

kapitanowie, którzy zdejmowali kapelusze na powitanie pasażerów. Siedmiu mnichów i trzy zakonnice modlili się na nabrzeżu. Jak Henri i François mieli z sobą tylko skromne pakunki. Na płaszczach z czarnej zgrzebnej wełny nosili identyczne metalowe zapinki, ozdobione krzyżem. Ksiądz wyjaśnił, że są Portugalczykami z zakonu dominikanów.

Henri zwolnił kroku. Narastało w nim oczekiwanie, ale co chwila oglądał się na miasto, które wciąż spowijała mgła. Dźwięki i zapachy płynące z ulic przypominały mu Paryż. Myśl, że przez długi czas nie zobaczy Francji, napawała go strachem. Zawstydził się, gdy łyzy zakręciły mu się w oczach.

Henri i François stanęli za kilkoma kupcami, którzy kierowali ładunkiem towarów. Marynarze nosili na rufę statku wielkie worki z suszoną wołowiną, palisandrowymi krucyfikami i różańcami, oraz proch strzelniczy i muszkiety.

Wiatr śpiewał w olinowaniu żaglowca. Henri i François weszli po długim trapie na pokład przed portugalskimi mnichami i zakonnikami. Chłopiec odetchnął głęboko. Powitał go wstrętny zapach. Ciemna woda była gęsta od śniętych ryb i odpadków.

– Ale cuchnie! – powiedział Henri, trzymając się za nos. – Woda, wiatr, powietrze. Wszystko śmierdzi gnijącymi rybami.

Zbliżył się kapitan, krępy mężczyzna średniego wzrostu. Na jego spoconej, ogorzałej twarzy promieniał szeroki uśmiech. Ze spalonymi przez słońce włosami, rudawą brodą i muskularnym torsem wyglądał jak nordycki król. Z kącika jego ust zwisała cynowa fajka z trzciniowym cybuchem.

– Tak, ja też cuchnę – przyznał. – Ale to nie ma znaczenia, bo niebawem postawimy żagle. – Do księdza powiedział: – Ojciec François Gervaise, jak mniemam. Monsinior de Béhaine powiadomił mnie, że przyjdiesz. Opisał cię bardzo trafnie.

Ksiądz pokiwał głową, wyraźnie zadowolony.

- Jestem kapitan Petijeau. Witaj na pokładzie „Wędrowca”. Czy pobłogosławisz statek przed wyjściem z portu?
- Oczywiście – odparł François i zaintonował płynącą z głębi serca modlitwę.

Henri zaczął naukę kilka dni po opuszczeniu Marsylii. Młody i podatny na wpływy, pełen apetytu na wiedzę, szybko chłonił informacje, które padały z ust nauczyciela. Pamiętał większość tego, co usłyszał, i czasami zaskakiwał duchownego trudnymi pytaniami. Kiedy ocean był spokojny, niebo błękitne i statek płynął pod pełnymi żaglami, siadywali na pokładzie, badając granice wiedzy i wiary, aż męczyły się im umysły. Nigdy nie brakowało im tematu do rozmowy. Patrząc na piękno wschodu lub zachodu słońca, Henri nie posiadał się ze zdumienia na myśl o ignorancji, w której żył dotąd. Teraz mógł czytać ustępy Biblii, wprawnym uchem przysłuchiwać się żeglarskim pieśniom i podziwiać piękno obrazów nauczyciela.

Pewnego dnia, gdy siedzieli na pokładzie i przyglądali się płynącym po niebie puszystym obłokom, ksiądz opisał mu wspólnie obraz Leonarda da Vinci, przedstawiający kobietę o tajemniczym uśmiechu.

– To najwspanialsze dzieło, jakie człowiek stworzył na płótnie – rzekł François. Rozmarzonym głosem zaczął opisywać obraz.

Henri zamknął oczy, próbując wyobrazić sobie kolory i pościągnięcia pędzla. Zobaczył tylko twarz madame Leyster, ale i tak był zadowolony.

– Czy znasz różnicę pomiędzy człowiekiem a Bogiem? – spytał ksiądz.

Henri pokręcił głową, nie wiedząc, co powiedzieć. Istniało nieskończenie wiele odpowiedzi na takie pytanie. François się uśmiechnął.

– Malarz bierze pędzel i zanurza go w farbach o różnych

kolorach. W każde pociągnięcie wkłada swój talent, żeby stworzyć wizerunek życia i sprawić, aby widzowie widzieli to co on. Wizerunek jednak jest martwy, a artysta nie może zrobić nic więcej. Bóg, gdy się uśmiecha, tchnie życie w obraz.

Analogia była doskonała, a jednak Henri czuł pewien niedosyt. Choć bardzo się starał, nie podzielał wiary księdza. François głęboko wierzył, że Bóg stworzył świat i rządzi życiem ludzi. Czy świat mógłby być taki wspaniały, dowodził, gdyby nie ręce mistrzowskiego Stwórcy?

Im dłużej Henri zastanawiał się nad tą kwestią, tym bardziej umacniały się jego fatalistyczne przekonania. Nie potrafił sobie wyobrazić istoty, która z przestworzy rządzi całym życiem. W głębi duszy uważał, że on sam pojawił się na tym świecie za sprawą czystego przypadku.

Po czterech i pół miesiącach podróży Henri był na dobrej drodze, żeby zostać wykształconym człowiekiem. Opanował sztukę czytania i pisania, poznał podstawy łaciny i umiał rozwiązywać proste zadania matematyczne. „Wędrowiec” i pozostałe statki żeglowały na północny wschód ku tajemniczym Indiom, żeby w Pondicherry wysadzić pasażerów i zabrać nowych. Odpoczywali w tym mieście przez tydzień, uzupełniając zapasy przed dalszą drogą do Kochinchiny. Wśród przybyłych był słynny monsinior de Béhaine – człowiek, którego przykład zachęcił wielu francuskich duchownych, łącznie z François, do podróży na Daleki Wschód. Henri znał już monsiniora ze słyszenia, bo nauczyciel wiele mu opowiadał o jego niezachwianej wierze i oddaniu pracy misjonarskiej. Ze słów François wynikało, że uzdrowicielska moc monsiniora wyrwała go ze szponów cholery. Takie i inne opowieści o cudach pomogły wynieść tego człowieka nad innych duchownych.

Pewnego wieczoru przed kolacją w kambuzie de Béhaine okazał chęć pobłogosławienia nowicjusza. Aby zasłużyć na tę

łaskę, Henri musiał wyrecytować po łacinie pięć pierwszych wersów Biblii. Chłopiec już wiedział, że nikt nie kwestionuje poleceń i życzeń monsiniora ani nie sprzeciwia się jego woli.

Stali twarzą w twarz. Po kilku zdaniach starszy kapłan położył rękę na jego głowie. Nowicjusz drgnął, zaskoczony tym niespodziewanym gestem, i umilkł. Po chwili podniósł głowę, czując, jak palce przegarniają jego włosy. Wbił oczy w poszarpaną bliznę na szyi monsiniora.

Dłoń nacisnęła, jakby był psem, którego pan uczy siadać. Henri padł na kolana.

Ręka de Béhaine'a przesunęła się na kołnierz i chwyciła zielone skarpety. Szarpnęła. Henri spostrzegł, że traci cenny dar. Krzyknął i wyciągnął ręce. Jego niedowierzanie zmieszało się z paniką na myśl, że może utracić bezcenną własność. Monsinior odrzucił jego rękę.

– Żadnemu kapłanowi nie wolno mieć takich kolorowych rzeczy, a co dopiero nosić je niczym prosty marynarz – powiedział, patrząc surowo na nowicjusza.

Henri chciał się poderwać, odebrać mu skarpety. Zamiast tego otworzył drżące ręce. Ze wstydem i strachem poprosił:

– Czy mógłbyś mi je oddać, panie? Obiecuję, więcej ich nie zobaczysz.

– Nie, nie oddam – odparł monsinior. Machnął ręką, wyrzucając skarpety za burtę. – Jesteś nowicjuszem. Najpierw musisz poznać lekcję ubóstwa. Kapłan nie powinien cenić rzeczy materialnych ani przykładać do nich wagi.

Chłopiec patrzył, jak niknie ostatnia nić łącząca go z przeszłością. Jego zdaniem monsinior zachował się jak zwyczajny człowiek, a nie święty.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Morze Południowochińskie, 1773–1774

Morze ma wiele głosów. Leżąc na koi, Pierre słyszał je wszystkie. W przeciwieństwie do innych pasażerów nie przyzwyczyił się do szumu wiatru i fal.

Zасыpanie w takich warunkach było trudne. Minęły dwa tygodnie, odkąd wsiadł na pokład „Wędrowca”. Wiele mil dzieliło go od brzegu. Przez całą noc fale biły o burtę. Czasami były to wielkie góry wody uderzające z hukiem, kiedy indziej zaś słyszał pluskanie, szemranie i pomruki, które brzmiały niemal jak ludzka mowa. Nauczył się czekać na ciszę, która co jakiś czas zapadała po uderzeniu fali. Dla niego rytm nigdy nie był monotony.

Na grodzi przed kabiną paliła się lampa olejna. Drzwi były otwarte i światło przesuwalo się z jednej brudnej ściany na drugą. W kabinie panowały wilgoć i chłód. Dreszcze wstrząsały wychudzonym ciałem Pierre'a, jego myśli błędziły. Uporczywa bezsenność więziła go w przeszłości.

Panie, wysłuchaj naszych modlitw i zmiłuj się nad swoją córką Matyldą, którą do siebie wezwalesz. Przyjmij ją do grona świętych w królestwie światła i pokoju.

Miał dziesięć lat, stał przy łóżku matki. Biały szal zakrywał jej oczy. Popielata skóra zwiotczała, rysy zastygły w upiornym uśmiechu. Ojciec, w czerwonych spodniach i koszuli koloru

błota, pochylił się i obejrzał kikut – odjęto jej prawą nogę. Ranę okrywał zwilżony zwierzęcy pęcherz, powstrzymujący krwawienie.

Ojciec Jean-Paul, modląc się głośno, wyrysował na czole zmarłej czerwony krzyż w kształcie greckiej litery tau na znak, że padła ofiarą ognia świętego Antoniego. W powietrzu unosił się zapach rdzy. Pierre trzymał w ramionach dwuletnią siostrzyczkę, Mercedes. Dziewczynka zaczęła sapać, jakby się dusiła. Popatrzył na nią i rozluźnił uścisk. Nie odwracając się, ojciec krzyknął:

Mademoiselle Tournelle, gdzie jesteś? Pomóż mi przy dzieciach. Zabierz je stąd!

Guwernantka pchnęła Pierre'a w stronę drzwi. Chłopiec ostatni raz spojrzął na matkę. Spoczywała nieruchomo, tylko jej cień drżał w świetle latarni.

Wraz z siedmioma braćmi i dwiema siostrami Pierre wziął udział w pogrzebie. Wszyscy byli ubrani na czarno. Kobiety skrywały twarze pod długimi ciemnymi woalami. Rankiem w Origny panował chłód. Szary deszcz lał się z nieba na cmentarz. Ojciec Jean-Paul odprawił liturgię. Pierre balansował na krawędzi grobu, widząc swoje odbicie w śliskim czarnym wieku trumny. Matka wydawała się taka daleka. Nie mógł znieść myśli, że przez całą wieczność będzie leżała w szczerym polu, jej okrągła twarz się rozłoży, a ciało przemieni w kałużę.

Głosy szeptały. Słyszał wśród nich zawołanie mademoiselle Tournelle: *Co się stanie z dziećmi bez matki? Najstarsze ma ledwie dziesięć lat.*

Ojciec poklepał go po głowie wielką ręką. *Pierre pomoże mi przy pracy w szpitalu, prawda, chłopcze?*

Mamusiu, błagam, nie zostawiaj nas – szepnęła jedna z dziewczynek, Theresa, czepiając się poły ojcowskiego płaszcza.

Statek pochylił się i zanurzył w rozkołysanym morzu. Maszty jęczały w wyjąłym wietrze. Pierre usiadł, patrząc za drzwiami.

Jego płucom brakowało powietrza, gorzka sól zbierała się w gardle. Czuł się jak w pułapce. Ściany wokół niego przemieniły się w drewnianą trumnę, a strach przed pogrzebaniem żywcem wciągał go w przeszłość. Pobiegnął ku drzwiom.

Na głównym pokładzie panował spokój. Wbrew temu, co Pierre czuł, gdy leżał na koi, nie zanosilo się na sztorm. Rozkołysane morze połyskiwało jak olej skalny. Niebo było pochmurne, wąski sierp księżycy pogłębiał bezkresne ciemności. Dwoch wachtowych krążyło na dziobie i rufie. Za nimi wznosił się ciemny pas nadburcia z metalowym relingiem. Łopot żagli świadczył, że wiatr przybiera na sile. Czyste powietrze uspokoiło Pierre'a, ale nieustanne pojękiwanie masztów działało mu na nerwy.

Drgnął, przestraszony, gdy z mroku wyłonił się marynarz. Tors miał nagi pomimo chłodu. Dużą głowę okręcił złożoną bawełnianą chustką, której rozek zwisał nad okiem. Ukłonił się lekko, gdy Pierre spojrzał mu w twarz.

– Nikomu spoza załogi nie wolno w nocy przebywać na pokładzie – powiedział. – Wróć do kajuty, panie.

– Daj mi spokój – burknął Pierre, zirytowany, że ktoś mu przeszkadza.

– Ale, panie... tu może być niebezpiecznie.

– Wracaj na posterunek. Nawet twój kapitan nie śmiałby mówić do mnie takim tonem.

Wyniosłość spełniła swoje zadanie. Pierre widział, jak marynarz pręży mięśnie i błyska zębami w ciemności. Dobrze! Wściekaj się, pomyślał i poczuł, że jego własna złość mija. Odszedł, wygładzając szatę. Pokład był mokry i śliski pod bosymi stopami.

– Potępiam cię, Petijean, za niesubordynację twoich ludzi – mruknął, a szcęk takielunku zagłuszył jego głos. Bardziej

zgrzytliwym tonem dodał: – Tego marynarza należałoby wychłostać.

Na niebie nie było widać ani chmur, ani gwiazd, ale ocean migotał. Pierre spojrział za reling i pomyślał, że widzi swój cień. Nagle uderzył silny wiatr, grożąc rzuceniem księdza w wodną otchłań. Pierre zacisnął ręce na relingu, ze strachu zakręciło mu się w głowie, ale nie stracił równowagi. Wypadnięcie za burtę na oczach marynarza, który przed chwilą go obraził, byłoby niewyobrażalną ironią losu. W jednej chwili straciłby nie tylko życie, ale diabli by wzięli cały dorobek i ambitne plany. Drżący śmiech wyrwał się z jego gardła.

Z najwyższą ostrożnością, przytrzymując się takielunku, wrócił na środek pokładu. Wachtowy przeszedł na drugą stronę statku, w gęstym mroku stał się niewidoczny. Wiatr znowu zawył. Tym razem Pierre usłyszał ludzki głos. Rozpoznał pochlipywanie i błagalne słowa.

Wyteżył słuch. Zacisnął rękę na krzyżu wiszącym na szyi. Krzyk zdawał się płynąć z żagli nad jego głową. Spojrział w górę i zobaczył ciemną postać przycupniętą wśród rei, bomów i lin grotmasztu.

Podniósł rękę do ust. Nic bardziej nie mogłoby go zaskoczyć. Był to Henri, nowicjusz zwerbowany przez François Gervaise'a w Marsylii. Jak i kiedy wspiął się trzy metry nad pokład, przez nikogo nieprzyłapany? Pograżony w rozpacz chłopiec nie zauważył, że jego kryjówka została odkryta. Szlochał żałośnie. Mamo... mamoo... Pierre rozumiał tylko to słowo.

Monsinior oparł się o maszt. Gdy się poznali, nowicjusz nie zrobił na nim korzystnego wrażenia, głównie z powodu wieku. Pamiętał, że był zły na François, który postanowił zabrać młodego chłopca do miejsca tak niebezpiecznego jak Annam. Słabość i brak doświadczenia mogły stanowić wielkie zagrożenie dla misji. Nocne odkrycie potwierdziło jego obawy. A jednak na myśl, że Henri cierpi, a François śpi, nieświadom niedoli nowicjusza, Pierre zawrzał z gniewu. Jakże nieodpowiedzialny jest ten kapłan!

Postanowił się nie wtrącać. Pierwsza zasada badacza obcych krajów mówiła, że w razie napotkania nieporozumień pomiędzy krajowcami najlepiej jest zostawić sprawy w rękach Boga. Chłopiec był pod opieką François, wobec tego niech on się nim zajmuje.

Pierre odwrócił się i zszedł do kabiny.

Po siedmiu miesiącach żeglugi François zauważył, że pasażerowie i marynarze robią się coraz bardziej nerwowi. W tropikach nawet w styczniu panował nieznośny upał. Słońce codziennie paliło pokład, odzierając drewno z ciemnego wykończenia. Morze migotało; wszystko wokół wydawało się niebieskie albo pomarańczowe, jaskrawe jak słońce. Fale biły niezmordowanie, zalewając pokład „Wędrowca” bryzgami słonej wody i zniechęcając do spacerów. Z każdą przebytą milą bladły wspomnienia Francji i wszystkich wiążących się z nią znajomych rzeczy.

Statki kołysały się na wysokich falach, zdane na łaskę wiatru i prądów oceanicznych. Większość misjonarzy cierpiała na chorobę morską, a wśród nich François. Kwas z żołądka podchodził mu do gardła, psuł smak każdego kęsa, który próbował przełknąć. Nawet zapach morza, który kiedyś wydawał się orzeźwiający, teraz przyprawiał go o mdłości. Codziennie miał mokre ubranie, przesiąknięte potem i wodą morską. Każdej nocy pocił się w wilgotnej kajucie, którą dzielił z nowicjuszem i trzema portugalskimi zakonnikami.

Zdawało się, że monsinior nie ma kłopotów z przystosowaniem się do uciążliwych warunków. W czasie wcześniejszych wypraw do Annamu zaznajomił się z medycyną ludową i teraz wykorzystywał nabytą wiedzę do zwalczania takich przypadłości jak bóle głowy, rozstrój żołądka, niewydolność nerek. Widząc, że François i inni chorują, podał im przepis na wzmocnienie trzewi.

– Kuracja jest prosta – wyjaśnił pewnego ranka po katechezie. – Trzeba rozciąć brzuch dużej ryby i znaleźć w nim mniejsze, które ryba zjadła, ale których jeszcze nie strawiła. Wyjmijcie jedną rybkę, oczyśćcie ją, ugotujcie w sosie rybnym z pieprzem i zjedzcie z ryżem na kolację. To poprawi kondycję żołądka i mdłości przestaną wam dokuczać.

Skinął głową François. Henri, obejmujący kolumnę masztu dwadzieścia kroków dalej, przyglądał mu się spod ściągniętych brwi.

Niebywałe, lekarstwo zadziało. Po pierwszym posiłku przyrządzonym z „ryby z ryby” François przestał chorować. W ciągu dnia spacerował po pokładzie z nowicjuszem. Omiatał wzrokiem horyzont, wypatrując lądu, ale widział tylko szafirowe morze, puste i bezkresne.

„Święty Rafael” i „Święty Ignacy Loyola” płynęły za ich statkiem dwie mile jeden od drugiego, na tyle blisko, że François widział ludzi na pokładach, ale zbyt daleko, żeby słyszeć ich rozmowy. Przed nimi żeglował „Herkules”, torując drogę.

W nocy powietrze się ochładzało. Henri rzucał się i pociągał nosem, śpiąc na hamaku rozwieszonym wśród zwojów lin. Czasami François widział łzy na jego gładkich policzkach i delikatnie ocierał je kciukiem. Stwierdził, że troszczy się o chłopca dokładnie tak, jak o swoje pędzle.

Wzorem portugalskich dominikanów zapuścił brodę. Faliste brązowe włosy spadały mu do ramion. Dwie młodsze zakonnice, siostra Natalia i siostra Lucía, zdjęły czarne barbety i habity. Nosiły krótkie suknie bez rękawów, uszyte z beli materiału, który monsior de Béhaine kupił na targu w Pondicherry. Z resztek wycięły trójkątne chustki i okręciły nimi ogolone głowy dla ochrony przed palącym słońcem. Najstarsza mniszka, siostra Regina, pomimo skwaru nie chciała zrezygnować z ciężkich fałdów przepisowego stroju zakonnego.

Słone powietrze, gorąco, ciasnota i wilgoć wysysały siły z pasażerów. Najstarszy mnich, brat Jorge, toczył przegraną walkę ze szkorbutem i wyczerpaniem. Przez kilka ostatnich godzin życia

kulił się w kącie pokładu, jakby chciał się wcisnąć w szczelinę w nadburciu. François patrzył, jak zęby wypadają mu z czarnych niczym pijawki dziąseł. Monsinior de Béhaine próbował ulżyć konającemu komunią i ludowymi lekami. W końcu odmówił modlitwę, gdy kapitan i dwóch marynarzy wyrzucało za burtę okręcone płótnem sztywne ciało. Inni stali obok ze spuszczoneymi głowami.

Nazajutrz rano kapitan oznajmił, że podróż niedługo się skończy. Świat zasnuwała mleczna, lecz niezbyt gęsta mgła. François już nie mógł dłużej znieść kołysania, gdy z hamaka wyrwał go radosny krzyk marynarza: „Ziemia! Ziemia!”. Mrużąc oczy w blasku, dostrzegł w dali ciąg szarych garbów.

Kapitan odetchnął z ulgą. Zużył resztki pakuł i smoły do uszczelniania kadłuba. Białe żagle były obszarpane, wiele razy naszywano na nie wielkie odbarwione łaty. Morska woda zmyła nazwy statków i zostały tylko zarysy liter. Gdy podpłynęli bliżej, ujrzeli bambusy, zielone ryżowiska, ludzi i ciemne sylwetki bawołów żujących trawę. Wszyscy pasażerowie chłonili ten widok, bo wiedzieli, że z tą ziemią związany jest ich los.

Nowy świat czekał. François pożerał wzrokiem nieznanne krajobrazy. Dostrzegł podskakującą w wodzie twardą skorupę orzecha kokosowego, otoczoną przez wielki gnijący liść.

Usłyszał, jak kapitan Petijeau rozkazuje sternikowi rzucić kotwicę.

– Po wszystkim! – zawołał kapitan radośnie. – Koniec podróży.

François wyjął krucyfiks i ścisnął go w dłoni. Dla niego podróż w zasadzie dopiero się zaczynała. Ten dzień miał oznaczać początek – początek nowego życia jako sługi bożego wśród pogan.

Zapieczętowana księga Indochin miała się przed nim otworzyć.

CZEŚĆ DRUGA

Misja

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Około południa François stał na pokładzie oparty o reling, gdy nagle usłyszał rytmiczny plusk wiosła. Wokół rozbrzmiał śpiew, dziwnie i niepokojąco modulowany, akcentowany hukami bębnowym. To Annamici wypłynęli łodziami na spotkanie statków.

Ocean zrobił się szkarłatny. François się odwrócił. Kapitan i jego ludzie szczyrzyli zęby w uśmiechu. Małe czerwone pochodnie wirowały nad wodą, gdy ciemnoskóre postacie chwyciły liny zwisające z nadburcia „Wędrowca” i wspinały się na pokład. Krajowcy trzymali pochodnie w lśniących, poczernionych zębach, płomienie odbijały się w ich hebanowych oczach. Siostra Lucía jęknęła ze strachu i schowała się za plecami mężczyzny, przywierając do boku starszej zakonnicy, siostry Reginy.

– Co oni robią? – zapytał François de Béhaine'a. Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do kapitana Petijeana: – Gdzie my jesteśmy?

Pierwszy tubylec stanął na pokładzie. Skóra o barwie miedzi lśniła od potu. Kawałek bawełnianego materiału przeciągnięty pomiędzy nogami i wokół talii był jego jedynym odzieniem. Na głowie miał stożkowaty słomiany kapelusz, który przywodził na myśl strzechę. François pomyślał, że zaraz trafi do niewoli. Zastanawiał się, czy ci poganie są ludożercami.

– Jesteśmy u brzegów Quinionu – odparł kapitan.

– Bez gwałtownych ruchów! – dodał monsinior. – Ci ludzie zwykle są niegroźni, ale nigdy nie wiadomo, co może ich skłonić do użycia przemocy. To inna kultura.

– A dlaczego noszą pochodnie za dnia? – zapytał brat João, przystojny zakonnik kilka lat starszy od François. Kosmyk ciemnych włosów spadł mu na oko, lecz brat João był zbyt podekscytowany, żeby na to zważać.

– Natychmiast zdejmijcie buty! – polecił monsinior.

François zauważył, że marynarze już zżuli obuwie. Bez pytania rozwiązał sznurowadła. Kapitan wcześniej powiadomił go o tutejszym zwyczaju. Monsinior wyjaśniał:

– Annamici wierzą w wielu bogów. Jeśli nie będą mogli zobaczyć waszych stóp, uznają, że jesteście białymi demonami, które przypląnęły z morza. W ich kulturze demony i duchy to zjawy unoszące się w powietrzu.

Jeden z Annamitów wystąpił przed innych. Monsinior de Béhaine podniósł dłoń na powitanie i powiedział do przestraszonych duchownych:

– Używają ognia do odpędzenia złych znaków, które przybywają z morza. Pozwólcie im odprawić rytuały i oddychajcie dymem z sandałowego drewna, które palą jako kadzidło. To odświeżające.

Ogień płonący przed François rozsiewał zapach szaławii i korzenia imbiru. W jego blasku po raz pierwszy zobaczył twarz krajowca. W wielkim zdumieniu patrzył na wystające kości policzkowe, płaski rozszerzony nos i usta pełne lśniących czarnych zębów. Mężczyzna wyglądał bardzo dziwnie, ale twarz miał szczerą i przyjazną. François głęboko wciągnął powietrze.

Z pomocą krajowców misjonarze kolejno dostali się na brzeg. François, dziwnie niepewny na suchym lądzie, szedł tuż za

kapitanem Petijeane i monsinierem. Henri okazywał duże zainteresowanie dzikusami i ich łodziami. Rozśmieszył wszystkich, gdy wiosłował oburącz, starając się doprowadzić łódkę do brzegu.

François szedł żwawo na piętach, bo piasek parzył go w bosa stopy. Pokruszone muszle i szorstkie okruchy granitu połyskiwały w słońcu. Tu i ówdzie rozpoznawał tęcze błyski macicy perłowej, kawałki czerwonego koralu, przezroczysty kwarc, ciemnoniebieskie muszle omułek i fioletowawy porfir, mokre od wody morskiej. Na plaży leżały orzechy kokosowe, a za białym pasem piasku zaczynała się gęsta dżungla. Łaski! Łaski! – krzyczały podeszwy stóp.

François wokół widział niskie, ciemne postacie w łachmanach. Wszyscy patrzyli na niego. Nagie uda i plecy krajowców pokrywały niebieskie tatuaże o tajemniczych kształtach. Kobiety nosiły czarne albo brązowe spódnice zakrywające kolana. Piersi przystaniały trójkątnymi kawałkami materiału. Ich czarne jak smoła włosy były gładkie, lśniące i przyлизane. Na szyjach i ramionach miały ozdobne obręcze z miedzi albo srebra. Mężczyźni i dzieci chodzili prawie nazy. Nikt nie nosił butów. Ich stopy, płaskie i szerokie, miały barwę terakoty.

Niektórzy krajowcy chowali się w cieniu drzew. Na ich twarzach strach mieszał się z ciekawością. Gdy monsinior rozłożył ramiona obwieszane sznurami kolorowych szklanych koralików, zaczęli skrzeczeć jeden do drugiego jak sroki. Kilkoro dzieci wyrwało się z objęć matek.

– Spójrzcie na nasze stopy – krzyknął de Béhaine najpierw po łacinie, potem po annamsku. Podniósł rąbek szaty, pokazując prawą nogę. – Nie jesteśmy białymi diabłami z morza.

Krajowcy sapnęli ze zdumienia, słysząc ojczystą mowę z ust cudzoziemca. Wybuchli śmiechem.

– Przyjmijcie koraliki na znak mojej przyjaźni.

Monsinior rzucił garść naszyjników w powietrze. Dzieci podbiegły, żeby łapać błyskotki. Dwaj chłopcy pobili się o jeden sznur paciorków, przepychali się, okładali pięściami i warczeli.

Wieśniacy podchodzili z ciekawością i tłum rósł. François widział przed sobą morze gęstych, czarnych czupryn. Annamici najpierw skubali jego sutannę, a potem, ośmieleni, pociągali go za włosy i gładzili po policzkach.

– Mam cenną perłę – obwieścił monsinior.

Krajowcy westchnęli z zachwytu.

– Perła ta jest cenniejsza od wszystkich szklanych paciorków, które wam dałem. Jest cenniejsza od klejnotów w koronie królewskiej. I jest taka tania, że nawet najuboższy z was może ją zdobyć. Kto gotów jest przyjąć taki dar?

Ręce uniosły się w górę, machając do de Béhaine'a.

– *Tháy, Tháy!* – wołali. François wiedział, że to słowo oznacza „nauczyciel”. Odetchnął z ulgą. Miał pewność co do jednej rzeczy: był tu mile widziany.

– Dobrze, moje dzieci – mówił monsinior. – Powiem wam więcej o tej cennej perle. Ludzkie oczy jej nie zobaczą, ale duch ją poczuje. Jasna i czysta, została stworzona ręką Boga. Kiedy znalazła się w waszym ciele, zepsuł ją i zbrukał grzech pierworodny. Perłą tą jest dusza. Tylko ja mogę was nauczyć, jak na powrót uczynić ją lśniąca i czystą przez świętą wodę chrztu. Ten dar zapewni wam wieczne bezpieczeństwo...

Urwał. Przez gromadę wieśniaków przepychało się ośmiu uzbrojonych w miecze żołnierzy odzianych w mundury z niebieskiego jedwabiu. Krajowcy się rozproszyli. Jedna z kobiet krzyknęła. Na plaży zapadła cisza. Duchowni zamarli. Zakonnice odmawiały modlitwę.

Dowódca straży podszedł do de Béhaine'a. Końcem miecza przekrzywił słomiany kapelusz.

– Czy chcesz naszyjniki? – zapytał monsinior.

Wyciągnął rękę. Paciorki zadzwoniły cicho.

François wstrzymał oddech.

– Pójdziecie ze mną – powiedział strażnik, opuszczając miecz. Ostry ton sprawiał, że trudno go było zrozumieć.

François odgadywał, o co mu chodzi, z gestów i mimiki.

Znaczenie niektórych słów przenikało do jego świadomości. – Żaden przybysz... nie wejdzie... do Quinionu... najpierw... spotkanie... z mandarynem Chi Tuyênem.

Monsinior poprawił szatę.

– Mandaryn chce nas widzieć? W takim razie prowadź.

Tuzin łodzi zabrał podróżnych w górę brązowej, leniwej rzeki, nad którą leżało miasto Quinion. François przez długi czas nie widział swojego nowicjusza. Zdawało się, że gdzie jest de Béhaine, tam nie będzie Henriego. Chłopiec unikał monsiniora, odkąd ten skonfiskował mu zielone skarpety. Zamiast z nauczycielem wolał płynąć z Portugalczykami.

Posuwali się powoli. W każdej łodzi siedziało od czterech do sześciu krajowców. Do rzeki wpadały spływające z gór potoki. Leśny gąszcz ustępował polom ryżowym i małym wioskom, a potem znów zaczynały się lasy. François już nie czuł palącego słońca. Zielony baldachim liści przysłaniał niebo, chłodząc i nawilżając powietrze.

Łodzie zbliżyły się do ujścia potoku, który z rykiem spadał ze skalnych stopni do rzeki. François chwycił drewnianą poprzeczkę, która oddzielała go od pasażera siedzącego z przodu. Łodzie kołysały się, kilka pierwszych zderzyło się ze sobą. Zewsząd podniosły się krzyki. Ale niebezpieczeństwo szybko minęło i rzeka znów spokojnie meandrowała.

Las stał się gęstszy i ciemniejszy, bujną ścianę zieleni ożywiały jaskrawe kwiaty. Monsinior de Béhaine przyglądał się górcom przez mosiężną lunetę. François miał wrażenie, że nie są sami. Czuł się mały, pozbawiony znaczenia, a jednak rzucający się w oczy. Wiedział, że gdzieś wśród wielkich drzew na brzegach rzeki są istoty, które ich obserwują. Szelest liści, skrzek wiewiórek pomykających wśród gałęzi, ćwierkanie, popiskiwanie ptaków i mały i trąbienie słońca tworzyło symfonię napawającą podróżników strachem.

François siedział sztywny jakby kij połknął. Nie wiedział, z jakiej odległości płyną dźwięki, ale często miał wrażenie, że zwierzęta są tuż za nim, że dyszą mu w kark. Poczuł, że z tyłu obserwują go lśniące, złote oczy drapieznika z dżungli. Obejrzał się i zobaczył, że monsinior patrzy na niego przez lunetę.

Monsinior wskazał sznur łodzi za nimi, ciągnący się jak okiem sięgnąć. Każda łódź – a była ich ponad setka – wiozła dwunastu żołnierzy, którzy zeszli ze statków. Za łodziami ciągnięto pięć armat na bambusowych tratwach.

– Pamiętaj, ojczyźnie – powiedział monsinior. – Masz za sobą potęgę Francji.

Wreszcie rzeczna karawana dotarła do zbiorowiska krytych strzechą chat usadowionych na skraju lasu. François z zaskoczeniem zobaczył, że większa część nawadnianych równin wokół wioski nie jest uprawiana. Niebo nad brązową ziemią wydawało się szare. Słońce zachodziło, różowa tarcza wisiała nisko nad spustoszoną okolicą. Czarne bawoły ze wzdętymi brzuchami, które wisiały nisko nad wilgotną ziemią, ze stoickim spokojem przeżuwały trawę. Dzieci jadące na ich grzbietach wygrywały słodkie melodie na bambusowych fletach. Jakiś chłopiec pomachał księdzu.

François już nie czuł się dziwnie w tropikalnej scenerii. Wystarczył przyjazny uśmiech dziecka, żeby strach pierzchnął.

Usłyszał głos annamskiego dowódcy:

– Słońce ciemne. Będziemy spać tutaj. Jutro pójdziemy zobaczyć pana.

Za chwilę François miał wysiąść z łodzi i stanąć na tej dzikiej ziemi, żeby rozpocząć nowe życie i chwycić nowe okazje. Już nigdy nie będzie myślał o przeszłości. W istocie kierowała nim wola boża.

– Monsinior, byłeś w Quinionie? – zapytał szeptem de Béhaine'a. – Dotąd widzieliśmy trzciniowe chaty, rzekę i drzewa. Gdzie rezyduje gubernator prowincji?

Monsinior skinął na dowódcę straży i zadał mu pytanie. Odwrócił się do François niemal z wesołą miną.

– Miasto leży co najmniej pięćdziesiąt kilometrów stąd, pół dnia drogi. Ruszmy o wschodzie słońca.

François usłyszał śmiech nowicjusza. Henri już biegał po ryżowisku, jakby się tutaj urodził. Każde nowe odkrycie poszerzało jego uśmiech, jaśniejący w zapadającym zmierzchu. Annamskie dzieci, z brązową skórą i okrągłymi brzuchami, uganiały się za nim. Wyglądało na to, że nie boją się obcych. Dwóch malców trzymało nowicjusza za długie nogi. Grupa wieśniaczek otoczyła siostrę Natalię i siostrę Reginę. Były zdumione wzrostem zakonnic i z nieskrywaną ciekawością dotykały ich jasnej skóry.

François słuchał głosów rozbrzmiewających wokół, wysokich i donośnych, niosących się daleko w parnym powietrzu, i próbował rozpoznawać słowa. Przez osiem miesięcy spędzonych na pokładzie „Wędrowca” uczył się języka annamskiego od kapitana Petijeana i poznawał tutejszą kulturę. Choć w czasie nowicjatu bez trudu opanował łącinę, zrozumienie tych brązowych ludzi było niemożliwe. Uznał, że potrzebuje więcej praktyki, więcej czasu. Musiał nauczyć się cnoty cierpliwości.

Dwudziestokilkuletnia kobieta pociągnęła go za rękaw. W milczeniu podała mu kokos ze ściętym czubkiem. Przycisnęła orzech do jego ust, pokazując, że powinien wypić mętną zawartość. Sok był kwaśny i letni. François się skrzywił, a kobieta pisnęła z radości. On też się zaśmiał, zadarł głowę, wypił płyn i oddał jej pustą skorupę. Córeczka kobiety chwyciła go za palce. Pochylił się i wziął ją na rękę. Oparła głowę na jego ramieniu, bawiąc się krucyfiksem, który miał na szyi.

Na polanie na skraju wioski rozpalono wielkie ognisko. Aby zapewnić posiłek podróżnym, monsinior de Béhaine kupił bawołu i dwie świnię od naczelnika wioski, płacąc srebrem. François patrzył, jak właściciel i dwóch młodzieńców prowadzą zwierzęta na plac przy ogniu. W ziemię wbito wielki pał, naostrzono noże. Pojawiły się drewniane kadzie z winem ryżowym.

– Witajcie w Kim Lai – powiedział naczelnik, kłaniając się z powagą.

Dokoła przestraszonych zwierząt utworzył się krąg widzów, głównie dzieci. Nad ciemnymi głowami mieszkańców François widział bawołu przywiązanego sznurem do pala. Zanim zdążył się przygotować na to, co miało nastąpić, jeden z młodzieńców podniósł wielki drewniany młot i dał znać innym, żeby się odsunęli. Wycelował w czoło zwierzęcia. Rozległo się głośnie łupnięcie. Siostra Lucía krzyknęła chrapliwie, kryjąc twarz na ramieniu brata Joào. Siostra Regina nerwowo drapała paznokciami jej plecy; drżały jej ręce. François zobaczył, że Henri stoi wśród krajowców, z fascynacją przyglądając się widowisku.

Zapadła noc. Obozowali na skraju ryżowiska. Roje moskitów dręczyły nieproszonych gości. Ukłucia owadów były ogromnie irytujące, ale ich brzęczenie ginęło w cykaniu świerszczy i rechocie żab. Nikt nie mógł spać.

Ogień trzaskał, iskry płynęły w gwiazdziste niebo. Smukły sierp księżycy przypominał zgubioną srebrną rzęsę. François leżał na boku, owinięty w sutannę. Naprzeciw niego spoczywał Henri, głęboko pogrążony w myślach.

Zerwał się wiatr pełen złowieszczych odgłosów. Świat wydawał się wrogi. François bardziej niż kiedykolwiek tęsknił za światłem dnia.

Czyjaś ręka dotknęła jego ramienia, a z nią napłynęła woń stęchlizny, przywodząc mu na myśl dzieciństwo: zapach starej Biblii, którą ojciec Dominik często nosił w sakwie pod habitem. François zastanowił się, czy nie drzemał i nie śnił o Villaume. Przetarł oczy i zobaczył ponurą minę Henriego. Zrozumiał, że dotknął go monsior de Béhaine. Usiadł i odwrócił się w stronę starszego kapłana.

- Ojciec François, nie zakłócam ci odpoczynku?
- Nie, panie. W przeciwieństwie do moskitów.

Monsinior parsknął śmiechem.

– A ty, panie, możesz spać? – zapytał François.

– Ja nie sypiam. Wybieram się na krótką przechadzkę. Pójdiesz ze mną? Spacer pomoże ci wypocząć. – De Béhaine wyciągnął rękę, żeby pomóc mu wstać.

François zawahał się.

– Chodź, ojczy – zachęcał go monsinior. – Wiesz, że zawsze będę cię chronić. Czas podjąć naukę. Muszę ci powiedzieć, jak należy prowadzić działalność misyjną. Zdobywałem doświadczenie przez wiele ciężkich lat. Pokój spływa na cierpliwych i tych, którzy chcą się uczyć.

Podszedł do ogniska i wyciągnął płonąca gałąź, która miała służyć za pochodnię. Czerwony blask rozjaśniał ciemności w promieniu kilku kroków. François wstał i ruszył za monsiniosem. Ziemia zrobiła się błotnista, gdy oddalili się od obozu i pozostałych podróżników.

Szli w milczeniu przez jakiś czas. Monsinior wysoko trzymał głowę, nie okazując zmęczenia. Zawsze sprawiał wrażenie odpornego, panującego nad sobą i wydarzeniami. To było niepokojące. Od ziemi biło ciepło, natomiast od niego płynął chłód, który niczym nieprzenikniona tarcza oddzielał monsiniora od innych.

François przerwał milczenie.

– Byłem zachwycony, gdy zobaczyłem, jak dziś rano na plaży odnosiłeś się do krajołców. Nie tylko mówisz ich językiem, ale znasz ich naturę. Widzę, że muszę się wiele nauczyć.

Monsinior przystanął.

– Możesz uważać ich za dzikusów, gdy jesteś w ojczystej Francji, ale tutaj obnoszenie się z takimi poglądami jest niebezpieczne. Myśląc w ten sposób, nigdy nie zrozumiesz ich natury. Aby dotrzeć do wieśniaków, trzeba poznać ich zwyczaje i pogańskie wierzenia, które istnieją od tysięcy lat. Nasza praca będzie polegała na wyeliminowaniu tych bredni i nawróceniu tych ludzi na prawdziwą wiarę.

François westchnął cicho.

- Czujesz, że zadanie cię przerasta? – zapytał monsinior.
- Uświadomiłem sobie, jak mało wiem o tym kraju.

De Béhaine chwycił go za ramię i odwrócił, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Powiem ci kilka prostych prawd. Gdy je zrozumiesz, znajdziesz drogę do zwycięstwa. Annamici, jak Chińczycy, hołdują trzem rodzajom przesądów. Pierwszym jest buddyzm, wiara króla i rodziny królewskiej, kult materii nieba i gwiazd. Drugi to wiara w bożków, czyniąca bogami dawnych królów. Jednym z ich fałszywych bogów jest Konfucjusz, twórca zasad prawa i pisma. Trzecim zabobonem jest taoizm, zainicjowany przez człowieka, który nazywał się Lao-Cy. Ten kult przynosi największe szkody, bo jest szeroko rozpowszechniony wśród czarowników i wiedźm, którzy służą diabłu. Dopiero gdy poznasz tutejsze systemy wiary, możesz podjąć wyzwanie i zaatakować je u korzeni.

Podniósł palec. François spojrział i sapnął ze zdumienia. Na palcu monsiniora zobaczył duży stary pierścień. Migotanie kamieni odzwierciedlało srebrny blask w oczach de Béhaine'a. François wiedział, co oznacza pierścień. Ukłonił się i przyłożył usta do gładkiej powierzchni.

– Dlaczego nie powiedziałeś nam, że zostałeś biskupem? – zapytał. – Spędziliśmy razem tyle miesięcy, a ty nie zdradziłeś się ani słowem.

– Postanowiłem podróżować z tobą jako ksiądz, nie biskup – odparł de Béhaine. – Ale teraz, gdy dotarliśmy do miejsca przeznaczenia, muszę wykorzystać swoją władzę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nazajutrz rano procesja misjonarzy prowadzona przez kapitana Petijeana i jego żołnierzy zbliżyła się do wschodniej bramy Quinionu. Musieli uzyskać zgodę gubernatora na pobyt na jego terytorium. Pierre zdjął czarny strój i włożył brązową annamską szatę, którą kupił od starszego wioski Kim Lai. Nowe ubranie było tradycyjne, z szerokimi rękawami i sztywnym kołnierzem, zapinane na rząd guzików po prawej stronie piersi. Trójgraniasty kapelusz zamienił na prostszy, pleciony ze słomy.

François Gervaise i nowicjusz wzięli z niego przykład, przebierając się w miejscowe stroje. Dominikanie uznali, że muszą uszanować postanowienia soboru trydenckiego, dlatego zostali w brązowych habitach z pelerynami z brązowego jedwabiu. Wzorem krajowców François splótł włosy w warkocze, które spadały mu na ramiona. Zakonnice nałożyły proste czarne suknie. Ich ogolone głowy wydawały się bardzo blade i delikatne. Szły blisko siebie, z różańcami w rękach. Siostra Lucía obgryzała paznokcie. Budziła litość, gdyż była chuda, a na jej drobnej twarzy malowały się oszołomienie i strach. Patrząc na nią, Pierre myślał o swoim dzieciństwie. Wyobrażał sobie, z jakim bólem zakonnica mierzy się ze światem rozciągającym się za murami klasztoru, i modlił się, żeby przywykła do nowego życia. Obie jej

towarzyski, siostra Regina i siostra Natalia, wyglądały na bardziej pewne siebie. Teraz on był za nie odpowiedzialny.

Pierre znał brzydki nawyk Lucii, a także wiedział o tajemniczej wysypce na plecach Reginy i o przymusie, który kazał Natalii strzelać kostkami palców. Poznał trzy misjonarki na tyle, że trudno mu było podjąć decyzję dotyczącą ich przyszłości. Zastanawiał się, czy Bóg byłby bardziej litościwy, gdyby wiedział mniej o rodzaju ludzkim.

Przed nimi leżał Quinion, warownia otoczona wysokim murem. Powstałe na planie koła starożytne miasto z niezliczonymi krętymi ulicami i pastelowymi budynkami drzemało w gorącym słońcu. W centrum stał pałac mandaryna, serce metropolii. Strażnik, który eskortował Pierre'a i innych cudzoziemców, nazywał siedzibę Diên Mã Nào, czyli „Bursztynowy Dwór”, ponieważ została zbudowana z żółtego marmuru.

Ze względów bezpieczeństwa do miasta wpuszczono tylko misjonarzy i kapitana. Inni cudzoziemcy musieli zostać za murami. Kapłani szli otoczeni przez annamskich żołnierzy, którzy dźwigali skrzynie z darami i ciągnęli pięć armat na kołach. Z daleka dobiegał płacz dziecka. Na ulicach tłoczyli się obszarpani mieszkańcy Quinionu, głównie kobiety i dzieci. Zdawało się, że poza żołnierzami w mieście nie ma mężczyzn.

Szli krętą drogą, aż znaleźli się przed siedzibą mandaryna. Wzniesiona na szczycie wzgórza, oddalona od innych zabudowań, jaśniała złoto-pomarańczowym blaskiem w promieniach słońca. Latarnie zwisały z zadartych narożników dachów krytych czerwoną dachówką. Przy głównym wejściu stał wielki kocioł z polerowanej miedzi, służący do spalania kadzidła. Płynący z niego balsamiczny dym sprawiał, że w pałacu panowała atmosfera buddyjskiej świątyni. Pierre zakrył nos rękawem.

Nie czekali długo na posłuchanie. Wieści musiały ich wyprzedzić, bo usłyszeli szuranie stóp za grubą drewnianą bramą. Gdy mężczyzna w podeszłym wieku rozchylił skrzydła, ujrzeni

wielki dziedziniec pełen czerwonych i pomarańczowych orchidei. Słudzy i służące w niebieskich strojach zatrzymywali się, żeby popatrzeć na cudzoziemców, i szybko ustawiali się w szpaler wzdłuż ścieżki. Światło odbijało się od marmurowych ścian, a lśniące kwiaty wydawały się przezroczyste. Wszystko było jasne i niezwykle. Brat João odruchowo nakreślił znak krzyża.

Annamski strażnik wysunął się na czoło. Pierre zajął miejsce za nim. Nie chciał oznajmiać swojego przybycia, czekał więc cierpliwie, patrząc na strażnika.

– Biali ludzie zza morza proszą o audiencję u mandaryna Tuyêna, gubernatora miasta Quinion – odezwał się strażnik.

Starzec powtórzył jego słowa słudze, który przekazał je następnemu, stojącemu dalej. W ten sposób wiadomość dotarła do wnętrza dworu.

Szkarłatne słońce prześwitywało przez korony drzew mango. Czekali w milczeniu.

Twarz Petijeana lśniła od potu. Kapitan zrobił dwa kroki i zawrócił. Czochrał ręką grzywę białych włosów i szarpnęła kołnierz, jakby walczył z niewidzialnym wrogiem, który go dusił.

Nadeszła odpowiedź z okazałego domu, przekazywali ją kolejni służący, aż dotarła do misjonarzy.

Starzec powiedział do Pierre'a:

– Pan zgodził się udzielić wam audiencji. Możecie wejść.

Mandaryn Tuyên, gubernator prowincji Quinion, siedział na krześle w głębi głównej sali. Otaczało go dwudziestu strażników uzbrojonych we włócznie i szable. Przed mandarynem stało zasnutę dymem kadzidła wielkie biurko, wykonane z jednego kłosa twardego, żyłkowanego drewna.

Stary sługa zdjął buty, usiadł na podłodze i uklonił się swojemu panu. Pierre wszedł do sali. Siedzący za biurkiem

mężczyzna z czarnymi wąsami i żółtą cerą wyglądał znajomo. Chorobliwie żółta twarz i leniwe ruchy przypominały mu kogoś, kogo znał przed laty, lecz na próżno biskup przeszukiwał pamięć. Gubernator chrząknął, zamrugał i z błyskiem rozpoznania w oczach zerwał się z krzesła.

– Cha Cà! – zawołał.

Pierre poczuł kwaśny smak w ustach. Tak brzmiało annamskie imię nadane mu przed laty i używane głównie przez jego zwolenników. Znaczyło „Pierwszy Ojciec”. W wyobraźni zobaczył scenę z przeszłości – płonące seminarium w mieście Hatien w roku 1769. Po tej katastrofie musiał uciekać do Pondicherry. Głos mandaryna obudził wspomnienia. Monsinior zadrżał, przypominając sobie, kim jest ten człowiek. Był urzędnikiem rządowym, którego nawrócił na chrześcijaństwo. Przeniknęła go fala ciepła.

– Pamiętasz mnie, Pierwszy Ojczy? – zapytał gubernator po annamsku. – To ja uwolniłem cię z więzienia.

– Tak, nigdy tego nie zapomnę – odparł Pierre, kiwając głową. – Ty i kapitan uratowaliście mi życie. Pamiętam również, że ochrzciłem was obu. – Podniósł głowę, zadowolony, że wciąż płynnie mówi w tym języku. Jego oczy błędziły po wielkiej sali. – Nie przypuszczałem, że porzucisz naszego Boga, aby wrócić do fałszywych wierzeń i bożków.

Tuyèn wybuchnął śmiechem.

– Już nie wierzę w religię białego człowieka. Wróciłem do buddyjskich korzeni. Nie sądziłem, że żyjesz i znów głosisz ewangelię. Kiedy król Kochinchiny udzielił ci zezwolenia?

Pierre przytoczył annamskie przysłowie:

– „Rozkazy króla są mniej ważne od praw wioski”. Przybyłem prosić gubernatora Quinionu o pozwolenie na szerzenie Słowa Bożego wśród tutejszego ludu. Jeśli chcesz, możesz uważać to za propozycję handlową. Dam ci broń palną Zachodu i wszystko, czego sobie zażyczysz.

Odsunął się na bok, żeby pokazać gubernatorowi pięć armat i skrzynie z darami.

– To tylko próbki tego, co kapitan Petijeau może przywieźć

dla twojego wojska. Musisz chronić swoje miasto oraz niezliczne kobiety i dzieci, które widziałem na ulicach.

Słyszał szepty strażników – pomruki podziwu i niedowierzania. Ponad nimi zabrzmiał łamiący się głos nowicjusza.

– Nie nadążam za ich rozmową. Mój annamski nie przydaje się na wiele. Czy ty coś rozumiesz, ojczcie François?

Pierre spiorunował go wzrokiem.

– Milcz! – syknął.

Gubernator Tuyèn musnął palcami haftowaną szatę.

– Niepotrzebne mi twoje szklane paciorki.

Pierre nabrał pewności siebie.

– Oczywiście, że nie – powiedział. – Człowiek twojej pozycji zasługuje na znacznie więcej. Te skrzynie zawierają proch armatni, zegary i rzadkie księgi.

Słowa te chyba zadowoliły gubernatora, ale małe ciemne oczy Annamity zasnuwał cień niezdecydowania. Pierre czekał, wstrzymując oddech.

– Jeśli zgodzę się przyjąć twoich kapłanów, kiedy przybędzie następny statek? – zapytał gubernator.

Pierre dyskretnie skinął głową na Petijeana, który wystąpił do przodu. Krople potu lśniły na jego czole.

– Co najmniej za rok, panie. – Kapitan starannie dobierał słowa. – Pod warunkiem że sztormy nie opóźnią podróży.

Tuyèn się uśmiechnął.

– Dobrze. Spodziewam się, że za rok dostanę to, co mi się należy. – Patrząc na siostrę Lucię, dodał: – Mam nadzieję, dla dobra waszych kapłanów, że sztormy nie opóźnią podróży. Do misjonarzy powiedział: – Witajcie w Quinionie. Niech ta ziemia stanie się waszym domem.

Odprawił ich ruchem ręki.

– Twój nowicjusz jest niedyscyplinowany – powiedział Pierre do François, gdy wrócili do wioski Kim Lai.

Dwaj mężczyźni szli przez puste pole. Ziemia, spękana w wysokiej temperaturze, wyglądała jak łuskowata skóra krokodyla. W dali Pierre widział wysoki bambusowy płot, a za nim wioskę, w której się rozlokowali. Został w tyle, żeby na osobności porozmawiać z ojcem François.

Ksiądz zrobił zmieszaną minę, co tym bardziej go zirytowało.

– Powinien być mądrzejszy i nie odzywać się, gdy negocjuję nasze życie – warknął.

– Wasza Ekscelencjo, jest młody. Jeszcze się nauczy.

Pierre zobaczył, że sto kroków dalej Henri siedzi na gałęzi i czeka na nich. Wiedział, że nowicjusz go unika, a zarazem nie chce oddalać się od swojego nauczyciela.

– Spójrz na niego – powiedział. – W tej chwili na pewno źle mi życzy.

– Wyrzuciłeś jedyną rzecz, jaką miał, biskupie de Béhaine. Czuję się zraniony i zapewne ogarnia go wściekłość za każdym razem, gdy cię widzi. Ale zapewniam cię, panie, że mój uczeń nie życzy ci źle. Jeśli trzeba, poręcę za niego przed Bogiem. Ma czyste, szczere serce.

– Jak możesz ręczyć za myśli innego człowieka? – zapytał Pierre z sarkazmem. – Poza tym wyjaśniłem mu, że osoba duchowna nie powinna zbyt się przywiązywać do rzeczy materialnych. Kto jak kto, ale ty powinienesz to rozumieć. Henri potrzebuje dyscypliny.

Ksiądz spojrzał na niego.

– Zarzucasz mi zły wybór nowicjusza?

– Szczerze mówiąc, tak. Znam cię, ojczu, lepiej, niż ci się wydaje. Jesteś młody i niedoświadczony, a we własnych oczach nieugięty. Kwestionując moje zdanie, podważasz autorytet zwierzchnika. Czasami się zastanawiam, czy nie sądzisz, że wiesz więcej ode mnie o pracy misjonarza.

Biskup wrócił myślami do ognia, który strawił jego misję w Hatien. Był wówczas zbyt pewny siebie. W konsekwencji cała praca poszła na marne, a jego skazano na śmierć. Uczniowie i

katecheci, młodzi ludzie, których wyszkolił, zostali wychłostani, a następnie ogolono im głowy i obcięto po jednym palcu. Czy można było uniknąć tego cierpienia? Tak, gdyby tylko bardziej się przyłożył, żeby zrozumieć sposób myślenia pogan.

François odwrócił wzrok.

– Nie śmiałybym tak myśleć, panie. Pragnę po prostu rozpocząć pracę w wiosce po twoim wyjeździe.

Pierre zamasyścił rozłożył ręce.

– Ojcie, myślę, że snuleś plany na temat swojej roli w tej misji. Nie potępiam cię za wysokie mniemanie o swojej sile i zdolnościach. Przecież sprowadziła cię tutaj ambicja, prawda? Nie jestem jednak pewien, czy ci pozwolić na stworzenie własnej misji, czy nie lepiej byłoby zatrzymać cię pod nadzorem. Chyba nie jesteś gotów do samodzielnej pracy.

– Nie możesz cofnąć słowa! – zawołał François. – W Awinionie obiecałeś, że będę mógł wykonywać boską pracę w sposób, jaki uznam za stosowny. – Odetchnął głęboko i spytał: – Dlaczego nie pozwolił mi dowieść, co potrafię?

– Ach, pycha! Znam ją dobrze. – Lekki uśmiech przemknął przez twarz Pierre'a. Młody ksiądz zareagował dokładnie tak, jak się spodziewał. – Jesteś pewny, że nie będziesz żałował tej decyzji?

– Tego nie mogę powiedzieć, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby nie sprawić ci zawodu. Modlę się, żebyś pewnego dnia mógł być ze mnie dumny.

– Dobrze. Wioska Kim Lai jest twoja. Odejdę z żołnierzami jutro wczesnym rankiem. Odprowadzimy dominikanów do innej wspólnoty. Będą pracować około dwudziestu kilometrów stąd, w głębi lasu. Zostawię ci dziesięciu ludzi do ochrony. I życzę sobie, abyś poza młodym Henrim czuwał również nad trzema zakonnikami.

– Nie chcę ochrony – odparł François, starając się ukryć triumf. – Bóg będzie moim zbawcą i obrońcą, to jedyna armia, jakiej potrzebuję. W oczach misjonarza żołnierskie muszkiety są

szpetne, zastraszające i bezużyteczne. Proszę, zabierz wszystkich swoich ludzi, biskupie. Zakonnice mogą zostać, byle szanowały moją zwierzchność.

Pierre pokiwał głową.

– Pamiętaj, ostrzegałem cię przed niebezpieczeństwami i trudami życia w tym kraju. Wielu francuskich misjonarzy poniosło straszną śmierć z rąk wieśniaków, których nawrócili. Zmarli samotnie i w poczuciu niemocy, ponieważ nie skończyli swej pracy. Musisz zrozumieć krajowców i ich kulturę, bo tylko to pozwoli ci przeżyć. Przepis na sukces ciągle się zmienia, ale nadrzędny cel pozostaje ten sam. Zawsze bądź czujny!

To było wszystko, co mógł powiedzieć. François też musiał uczyć się na błędach, jak on. Pierre przełknął ślinę i nie dodał nic więcej.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wioska Kim Lai, 1774–1775

François zbudował swój pierwszy kościół z łodyg bambusa, gałęzi palm, liści trzciny cukrowej i desek z drzewa noni. Kościół stanął na krańcu wioski nad rzeką Bach'Lu'on, z trzech stron otoczony przez pola ryżowe. Najpierw wraz z Henrim ścięli drzewa, oheblowali je i połączyli belki lianami. Zaciekawieni wieśniacy przyglądali się ich wysiłkom. François trzymał plany w sekrecie i tylko uśmiechem odpowiadał na pytania. Jego powściągliwość podsyciała zainteresowanie, na co właśnie liczył, i z dnia na dzień przybywało gapiów.

Pewnego poranka podszedł do nich najmłodszy syn naczelnika, dźwigając wielki kosz ze zwierzęcymi odchodami. Nazywał się Lõc i był poganiaczem bawołów. Gestykulując żywo, pokazał, jak należy moczyć belki w łajnie, żeby zachować teksturę drewna i ochronić je przed termitami. Wkrótce do pracy dołączyli inni wieśniacy, pokrywali ściany budowli mieszaniną błota i krowiego nawozu. François i Henri porozumiewali się z nimi głównie na migi, robiąc odpowiednie miny.

Naczelnik wioski, pan Súr, pomógł zrobić dach wedle tradycyjnego wzorca, zachowującego równowagę pomiędzy funkcjonalnością a estetyką. Najpierw zbudowali piec do wypalania czarnych terakotowych dachówek. Dachówki zostały ułożone zgodnie ze starożytną zasadą jin i jang – wypukła nakładana na

wklęsłą. Staruszek nie bez trudu wyjaśnił księdzu, że taki projekt zapewnia szczęście, dostatek i długowieczność. Ze wszystkich dotychczasowych rozmów ta przebiegała najwolniej i była najtrudniejsza, ale w końcu doszli do porozumienia i roześmiali się serdecznie.

Następnie zbudowali okap z zadartymi narożnikami. Annami-ci wierzyli, że jeśli diabeł wskoczy na dach, to się poślizgnie, spadnie i nadzieje na narożnik. François z radością usłyszał, że prymitywni wieśniacy również boją się piekła. Ta wiara miała mu pomóc w przedstawieniu koncepcji Boga i chrześcijańskiego nieba.

Mając ograniczony zasób słów, François potrzebował innych środków, żeby uczyć przesłania wiary, dlatego uciekł się do artystycznych umiejętności. Jako że mieszkał w położonej w środku lasu wiosce, nie miał dostępu do zachodnich materiałów malarских. Gdy zużył te przywiezione z Francji, musiał wynajdywać nowe. Metodą prób i błędów uczył się używać chińskiego tuszu, otrzymywać pigmenty z oczyszczonych, zmielonych skał, ziemi, wełny, drewna i kości zwierzęcych, a także robić pędzle ze świńskiej szczeciny. Pewnego pięknego popołudnia pokrył płótno mąką ryżową, uzyskując coś w rodzaju papieru, który świetnie nadawał się do malowania. Jak chemik eksperymentował z każdą dostępną substancją, żeby osiągnąć cel.

Po wielu próbach odkrył sposób na powielanie obrazów. Najpierw rzeźbił religijne postacie na drewnianych klockach: ukrzyżowany Chrystus z głową zwieszoną na nagiej piersi, z krwią spływającą z ran, rajski ogród z Adamem i Ewą, Noe na arce, aniołowie stojący u wrót niebieskich.

Na odprawienie pierwszej mszy w kościele wybrał Niedzielę Palmową, cztery miesiące po przybyciu do Kim Lai. Powód był prosty. Niedziela Palmowa przypadała niedługo po dniu, w którym krajowcy oddawali cześć zmarłym, wieszając gałęzie palmowe na drzwiach chat. Zieleń odgrywała rolę klucza, który pozwalał duchom przodków ponownie wejść do domu.

Wczesnym rankiem François ubrał się w jedwabną ceremonialną szatę, którą pożyczył od pana Súr. Włożył nawet nową parę chodaków, które stuknęły wesoło na ceglanej ścieżce przed kościołem. Henri i zakonnice nzebierali liści palmowych, a ludzie gromadzili się w przekonaniu, że wydarzy się coś nowego.

– Tak jak wasi zmarli przodkowie, wszyscy ci, którzy otrzymają te liście palmowe, mogą wejść do mojej świątyni – powiedział François, i Henri zaczął rozdawać liście.

Ceremonialnie otworzył wyplecione z trzciny drzwi kościoła i przestąpił próg, zapraszając wszystkich zamaszystym ruchem ręki. Dzieci weszły pierwsze, za nimi pan Súr z rodziną. Henri podał rękę starszej wioski i wprowadził ją do świątyni. Wkrótce większość wieśniaków ośmieliła się wejść do kościoła.

Wnętrze cechowała niemal klasztorna prostota. Drewniany stół okryty szkarłatnym materiałem służył za ołtarz. Ponad nim wisiał gobelin wyobrażający ukrzyżowanie Chrystusa. W czasie mszy François używał kielicha przywiezionego z Francji, ale hostie były zrobione z ryżu. Zamiast w ławkach, ludzie siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na polepie.

Dom kultu był prymitywny i cuchnął, lecz właśnie dzięki temu nie napawał lękiem i sprawiał, że mieszkańcy Kim Lai czuli się swobodnie. W oczach François piękno kaplicy przerastało najśmielsze wyobrażenia.

Rozpoczął obrzęd od rozdania kartek, na których odbił z klocków sceny religijne. Cofnął się bez słowa i patrzył, jak zebranych ogarnia wielkie przerażenie. Wszyscy rozpoznali piekło. Wciąż milcząc, rozdał nowe odbitki, tym razem ukazujące męczeństwo Chrystusa.

– To Jezus Chrystus, Syn Boży, który zmarł za wasze grzechy – powiedział wyraźnie.

Nim wieśniacy otrząsnęli się z szoku, położył ręce na czołach kilku z nich. Dotknięci głośno wciągali powietrze.

W ciągu następnych tygodni François widywał znajome twarze wśród Annamitów, którzy przychodzili go słuchać i patrzeć,

jak przedstawia Biblię w pomysłowych szkicach. Spośród tych najbardziej zainteresowanych wybrał pięciu uczniów, bo uznał, że powinien zwerbować i wyszkolić tubylczych kapłanów do pomocy w codziennej pracy. Pierwszym akolitą był młody poga- niacz bawołów, Lôc. Szczupły młodzieniec, patrzący na świat zdziwionymi oczyma, nauczył się śpiewać Ave Maria i Paterno- ster z dużą wprawą, choć słów nie rozumiał. W jego wykonaniu prosta melodia wyrażała szczerze uczucia i poruszała serca słu- chaczy.

Misja rozrosła się w ciągu roku. Składała się teraz z chaty François i Henriego, chaty zakonnic oraz kuchni z piecem pod gołym niebem, stołem i krzesłami. François siadywał w długie wieczory i szkicował, czując się jak u siebie w domu. Co waż- niejsze, upajał się przekonaniem, że Bóg sprowadził go do tego dziwnego miejsca, aby mógł wypełnić boski plan. Już nie tęsknił za Francją.

Wokół siebie widział zielone pola i chaty kryte strzechą, a w wyobraźni szeregi pól i chat ciągnące się ku rozmigotanemu horyzontowi. Pod każdym dachem mieszkały nieoświecone du- sze, których jeszcze nie przebudziła potęga modlitwy. Czekwały na ocalenie, a on był wysłannikiem Boga. Głosił Jego słowo z coraz większym przekonaniem i świadomością, że pewnego dnia biskup de Béhaine wróci, żeby skontrolować misję. Miał nadzie- ję, że gdy to się stanie, będzie mógł pokazać mentorowi nie wła- sny talent czy dokonania, lecz cuda, jakie Bóg sprawił poprzez niego w swej nieskończonej mądrości.

Portugalskie zakonnice przywykły do nieprzyjaznego klimatu, dziwnej kultury i dzikiej przyrody. Atakowały je choroby, osła- biał skwar, ale nie traciły wiary. Modlitwy dawały im siłę, choć czasami François odkrywał, że dokuczają im samotność. Siostra Lucía, najmłodsza, zapuściła włosy. Codziennie przed świtem siadywała na grobli, patrząc na zalane wodą pola. Wschodzące słońce tańczyło na jej jasnych lokach i nadawało im bogatszy złoty odcień. Smutek wyzierał z jej oczu i wybuchała płaczem,

gdy ktoś wspomniał o bracie João albo bracie Tiago. Misjonarze nie dali do tej pory znaku życia.

W przeciwieństwie do smutnej siostry Lucíi starsza o kilka lat siostra Natalia była pogodna, choć cicha. Nie wyróżniała się ani urodą, ani charakterem. Praca na świeżym powietrzu przyrumieniła jej pospolitą twarz. Dwie młode zakonnice razem odmawiały modlitwy, często szeptem. Były łagodne jak gołębnice i skryte.

Najstarsza, siostra Regina, wstawiała z hamaka z pianiem pierwszych kogutów i szła na pola w słomkowym kapeluszu uplecionym z pomocą wieśniaczek. Jej pociągła, koścista twarz była blada jak ryżowe placki, które zabierała na śniadanie i obiad. Długie godziny spędzone na powietrzu nie przyciemniły jej cery. Najostrzejsze słońce w południe przydało jej tylko piegów i zmarszczek. Dzieci poskładały kilka francuskich słów, których nauczyły się od Henriego, i przezywały ją Ma Sœur Pâle – „Moja Błada Mniszka”. Ignorowała je tak samo jak polecenia François, ścisła tylko w rękę prosty krzyżyk z wiśniowego drewna i mamrotała pod nosem.

Ma Sœur Pâle zajmowała się uprawą ryżu na polu, które naczelnik wioski przeznaczył dla *cha sú*, jak miejscowi zwali misjonarzy. Siostra Lucía i siostra Natalia większą część dnia spędzały na uczeniu kobiet i dzieci podstaw francuskiego, historii i higieny, a także opiekowały się chorymi. Kiedy robiły pranie na brzegu rzeki, często towarzyszyły im roześmiane kobiety i dzieci zagadujące je po annamsku i śpiewające piosenki, które brzmiały jak tony rozstrojonych skrzypiec.

François jako artysta nie miał najlepszego zdania o tubylczej muzyce i kulturze. Ich obrazy ograniczały się do prymitywnych, powtarzających się, niewyszukanych tematów, takich jak ptaki, drzewa i kwiaty. Nie znali rzeźby ani trójwymiarowych dzieł sztuki, z wyjątkiem paru podstawowych form garnków i misek. Literatura w większości zapożyczona była od Chińczyków.

Niekiedy, gdy kołysał się w szorstkim hamaku, trapiła go

pustka w sercu, bo wiedział, że jezuicki misjonarz powinien współczuć swojej trzódce. Doszedł do wniosku, że uczuciowa solidarność przyjdzie z czasem.

Znowu zaczęła się pora monsunowa, trwająca od maja do października. Chmury zasnuły słońce i na ziemię lały się potoki deszczu. Trawa na polach wyrosła tak wysoko, że mogły się w niej ukryć słonie i nosorożce. Gdy deszcze monsunowe osłabły i wieśniacy zaczęli żniwa, François uświadomił sobie, że minęły ponad dwa lata, odkąd opuścił Francję. Wspomnienia życia w Villaume zacierały się jak dawny sen. Miał wrażenie, że od urodzenia mieszka w tym egzotycznym kraju.

Schudł, miał zapadnięte policzki. Jadał głównie ryż i warzywa, a gdy trafiało się mięso, to albo zupełnie chude, albo z niewielką ilością tłuszczu, lecz nigdy się nie skarżył. Miał inne zmartwienia. Pewnego ranka siostra Lucía z odrazą odkryła, że w jego włosach i brodzie załęgły się maleńkie czarne owady. Musiała ogolić mu głowę. Ubrany w brązowy wieśniaczy przyodziewek, ciemnooki, z łysą i lśniącą czaszką mógł w oczach nieznających go ludzi uchodzić za buddyjskiego mnicha.

Po okolicznych wioskach rozeszła się wieść, że w Kim Lai wysoki cudzoziemiec o okrągłych oczach odprawia dziwne obrzędy, i wieśniacy przychodzili do niego z czystej ciekawości. Niektórzy uważali go za świętego; inni twierdzili, że jest białym mędrcom przysłanym przez boga z Zachodu. Im więcej ludzi widziało księdza i piękno jego sztuki, tym szersze kręgi zataczały opowieści. Dla nich był człowiekiem pełnym tajemnic, przewyższającym innych cudzoziemców.

François modlił się z wieśniakami pod gołym niebem, codziennie odprawiał mszę i chrzczył nawróconych. Jego wiara i oddanie kościołowi, podsycone powodzeniem, szybowały niczym latawiec. Ale w przeciwieństwie do innych misjonarzy,

którzy chętnie wtapiali się w nowe otoczenie i traktowali parafian jak nowych przyjaciół, on większość prywatnego czasu spędzał samotnie.

W samotności kołysał się na plecionym hamaku, patrząc na świat przez prostokątne okno. Dodawał nowe słowa do słownika francusko-annamskiego albo uzupełniał dziennik szkicami.

Był przekonany, że zaprowadzenie chrześcijaństwa wśród tych zbłąkanych dusz będzie pracą całego życia. Choć czynił niewielkie postępy, wierzył, że cel jest osiągalny.

W październiku, pewnego szarego, wietrznego dnia, jego dokonania i nadzieje legły w gruzach.

Ogiery, które galopowały przez bambusowe żywopłoty, były ręce, okrutne i wściekłe. François stał po kolana w rzece, udzielając chrztu, gdy zobaczył ze dwa tuziny jeźdźców – brodatych mężczyzn w jedwabnych nakryciach głowy i pięknie haftowanych strojach. Byli uzbrojeni w miecze, bułaty i lance – typową broń Wschodu. Zbliżywszy się do rzeki, zwolnili. Wieśniacy zbili się jak stado bydła, popędzani chrapliwymi krzykami przyszłobyszów.

François był zdezorientowany, wystraszony wyciem, przerażliwymi krzykami kobiet i dzieci, rykiem rogów. W tłumie wiernych, którzy zgromadzili się na brzegu rzeki, wybuchła panika. Walcząc z pragnieniem ucieczki, François wyszedł z wody i poszukał wzrokiem Henriego.

Z ulgą zobaczył, że nowicjusz, pięciu annamskich uczniów i zakonnice stoją przed misją. Wszyscy wyglądali na wstrząśniętych. Ludzie z Zachodu żywili przekonanie, że Annamici są spokojną rasą, zdolną tylko do śpiewania piosenek miłosnych, płodzenia dzieci, łowienia ryb w rzece i sadzenia ryżu na polach. Widok zbrojnych jeźdźców galopujących na rumakach bojowych za przerażonym tłumem był trudny do pojęcia.

Chwyciwszy się za ręce, zakonnice pobiegły za wielką wierzbę

i patrzyły, jak żołnierze zatrzymują się trzydzieści metrów od misji. Wieśniacy padli przed nimi na błotnistą ziemię. Sztandary na wysokich bambusowych drzewcach strzelały na wietrze, a z mosiężnych rogów płynęły przerażające dźwięki.

Za nimi nadjechał zaprzężony w konia wóz ze spiętrzoną wysoko trzcina cukrową, pędami bambusa, suszonymi liśćmi tytoniu i dwoma wielkimi glinianymi dzbanami. Zza wozu na ognistym siwym ogierze wyjechał mandaryn Chi Tuyèn. Zakończony frędzlem sznur wił się wokół jego smukłej talii jak srebrny pyton. Gdy patrzył na wieśniaków, jego ludzie ustawili się w półkieszyzyc, odcinając im na lądzie drogę ucieczki. Tylko rzeka zasnuta złocistą mgiełką oferowała bezpieczeństwo.

Kilku wieśniaków skoczyło do wody i odpłynęło. Inni odwrócili się i podwinęli rękawy, gotowi do walki. Groźni jeźdźcy szybko ostudzili ich zapał i odwagę. Słońce wyjrzało zza ponurych chmur i przez chwilę François widział tylko oślepiające błyski na broni żołnierzy. Powietrze przesycił zapach sosu rybnego i świeżego błota – charakterystyczna woń wieśniaków. Henri wyciągnął ręce i objął delikatne białe ramiona siostry Lucii. Ona przyciągnęła do siebie pozostałe zakonnice.

Dochodziło południe. François przepchnął się przez gromadę wieśniaków i misjonarze stanęli razem.

– Wiecie, kim jestem! – krzyknął mandaryn. – Dlaczego próbujecie się ukrywać? Przez dwa lata wasza wioska nie płaciła podatku od gruntu i nie składała królowi należnej daniny. Dziś musicie uregulować te długi, w przeciwnym wypadku spotka was straszna kara. Gdzie jest wasz starszy? Gdzie jest ten Súr? Przyprowadzić go!

Koń zarżał jakby dla podkreślenia słów mandaryna. Nikt nie śmiał się odezwać. Nagie dzieci chowały się za podniszczonymi spódnicami matek.

François patrzył na żółtą twarz mandaryna, mokrą od potu, wykrzywioną ze zmęczenia i nienawiści. Minął rok, odkąd go widział. Czas nie obszedł się z nim łaskawie. François miał wrażenie, że gubernator jest niezdrow. Zastanawiał się, czy

przemówić w obronie wieśniaków, ale uznał, że nie powinien się wtrącać.

– Gdzie jest wasz starszy? – krzyknął gubernator, piorunując wieśniaków wzrokiem. – Kto spośród was wskaże mi chatę, w której skrywa się ten szczur? Prędko, mówcie! Nie lubię, gdy każą mi czekać.

Skuleni wieśniacy zamruczeli niespokojnie. Gubernator skrył pod wąsem uśmiech zadowolenia. Nim ktoś zdążył się odezwać, naczelnik Súr' wyszedł przed pierwszy szereg, wspierając się na czarnej lasce. Powłóczył nogą. Ubrał się w uroczystą brązową szatę, tę samą, którą François regularnie pożyczał do odprawiania mszy. Rozcięty dół szaty był wystrzępiony i oblepiony błotem. Gubernator zaśmiał się piskliwie.

– Panie Tuyèn – przemówił Súr' – nie ma potrzeby nakładać ceny na moją głowę. Jestem bezwartościowy. Czy musiałeś przybyć osobiście z silną gwardią? Wystraszyłeś kobiety i dzieci.

– Przybyłem po królewskie podatki – warknął gubernator.

– Jesteśmy biednymi wieśniakami, mandarynie Tuyèn – odparł Súr, wskazując niewielkie ryżowiska. – Jak sam widzisz, niewielu młodych mężczyzn zostało do orania ziemi. Większość uciekła w góry. Bez dużych zbiorów nie możemy zapłacić daniny. Ledwo dla nas wystarcza żywności.

Gniew błysnął w oczach gubernatora. Ścisnął wodze w rękach i szarpnął. Ogier zarżał i stanął dęba. Młóćące powietrze kopyto wytrąciło laskę z ręki Súr. Mężczyzna stracił równowagę i upadł.

– Co zatem robisz przez cały dzień, starcze?

Naczelnik wioski otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale mandaryn Tuyèn nie dał mu dojść do słowa.

– Trzeba czegoś więcej niż kilku spłachetków ziemi leżącej odłogiem, żeby mnie przekonać, iż życie w nędzy. Każdy pies, krowa czy inne stworzenie, które żyje w tym kraju, musi płacić podatki królowi, i mieszkańcy Kim Lai nie stanowią wyjątku. Jak możesz być taki niełojalny? Nie dość, że przestałeś płacić publiczne należności i zachęcasz ludzi do ucieczek, to jeszcze

przygarnąłeś te białe demony, które głoszą słowa cudzoziemskiego boga. Jeśli ich bóg jest taki potężny, dlaczego nie obdarzył cię złotem, srebrem i wieloma zdrowymi synami? Súr macał błotnistą ziemię w poszukiwaniu laski. François nie mógł patrzeć na to beczynnienie. Podszedł, podniósł kij i podał naczelnikowi. Starzec wsparł się na jego ramieniu. Bojowy rumak dyszał ponad nimi, zdenerwowany i niecierpliwy. Pomimo strachu ksiądz zachował spokój. Miał w sobie siłę Boga. Jego uczniowie patrzyli. Cofnął się w tłum z szacunku do pana Súr. To była sprawa świecaka. Starzec musiał pokierować nią po swojemu.

– Ludzie nie mają czego ci dać – powiedział Súr' do mandaryna Tuyèna. – To ty zmuszasz ich do ucieczki, panie. Sama twoja obecność sprawia, że wszyscy chcą uciec.

– Nie schlebiaj mi, starcze. Twoi ludzie mają jedną rzecz, która może mi się przydać: dzieci.

Naczelnik wioski krzyknął z niedowierzaniem. Poły jego szaty łopotwały na wietrze. Tłum zadrżał. Ludzie mandaryna Tuyèna podjechali bliżej. Żołnierze podawali jeden drugiemu ratanowe liny z hakami, gotując się do ataku. Kobiety usiadły na ziemi, tuląc dzieci do piersi. Otoczyli je mężowie i ojcowie.

– Nie możesz być taki okrutny, panie – wychrypiał starszy. – Strzeż się zemsty, bo patrzy na ciebie oko nieba. Dzieci są wszystkim, co nam zostało w tej wiosce. Zabierz bydło i woły. Sami będziemy ciągnąć pługi. Albo weź nas. Ale błagam, oszczędź nasze dzieci.

Tuyèn nawet nie drgnął. François wydawało się, że mandaryn zmarszczył czoło. Modlił się, żeby dostrzec współczucie na jego twarzy. Przecież skoro powierzył swój los Bogu, Bóg nagrodzi go cudem. Musi!

Mandaryn pozostał nieugięty. François usłyszał hałas za plecami. Odwrócił się i zobaczył, że kilku strażników spięło wierzchołce i przypuściło szarżę na tłum. Niektórzy wieśniacy rzucili się do walki z gołymi rękami. Wycie przepięnione bólem rozdarło powietrze. Rozległ się krzyk Lucíí.

Żołnierz wpadł galopem w grupę zakonnicy, krzykiem przepłazując wszystkich innych z drogi. Jednego z uczniów zdzielił pięścią. Lõc, syn pana Sù, pierwszy nawrócony, upadł na ziemię z twarzą zalaną krwią. Jeździec pochylił się, chwycił w talii jasnowłosą zakonnice i przerzucił przez siodło. Jej wrzask poniósł się echem po pustych polach. Białe nogi trzepotały jak skrzydła uwięzionej ćmy. Inni strażnicy krzyknęli z uznaniem. Włosy i broda jeźdźca powiewały, gdy zataczał krąg wokół grupy jeńców.

– Stać, głupcy! – krzyknął mandaryn przeraźliwie wysokim głosem.

Gwardziści natychmiast wrócili na stanowiska, czekając na następną komendę swego pana. François czuł, że otrzymał odpowiedź na swoje modlitwy – mandaryn okazał współczucie. Bez namysłu podbiegł do żołnierza, który trzymał siostrę Lucię. Mężczyzna naciskał jej kark krzepką dłońią, nie pozwalając, by uniosła przerażoną, zaczerwienioną twarz. Miękkie loki długich jasnych włosów zwisały poniżej końskiego brzucha.

– Puść ją! – Młodemu księdzu drżał głos, słaby jak u dziecka.

Spoczęły na nim oczy mandaryna. François modlił się do Boga, aby stanął po jego stronie. Cokolwiek teraz się zdarzy, on nie będzie miał na to żadnego wpływu. Nagle zdał sobie sprawę z ciszy, jaka zapadła.

– Człowieku ze złej ziemi Zachodu – powiedział mandaryn – ostrzegłem twoich towarzyszy, żeby nie składali mi obietnic bez pokrycia. Było to ponad rok temu. Gdzie moja danina? Gdzie armaty, proch i wszystko inne, co mi obiecano? Jak śmiesz szerczyć swoją wiarę i budować domy w mojej prowincji, nie płacąc podatku? Zwracasz chłopów przeciwko mnie swoimi kłamstwami. Nikt już nie chce pracować. Przyniosłeś same nieszczęścia na moją ziemię, nic więcej. W porównaniu z górskimi buntownikami ty jesteś bardziej niebezpieczny.

François zebrał się na odwagę.

– Musisz mieć cierpliwość, panie. Kapitan Petijean jest

człowiekiem honoru. Jeśli obiecał, że przywiezie te rzeczy, to je dostaniesz, gdy tylko przyłyną okręty.

Tuyèn zamachnęła się pejczem. Zapiekło, gdy rzemień ciął twarz François. Gubernator nie mógł pohamować wściekłości:

– Biały diable, czekałem dość długo. Winię ciebie i twoją fałszywą wiarę za wszystkie nieszczęścia. Dzisiaj dam ci nauczkę za brak poszanowania dla naszej kultury, naszych praw i naszych starożytnych bogów. – Strażnikom rozkazał: – Aresztować wszystkich cudzoziemców i ich zwolenników.

Tłum cofnął się, gdy żołnierze spięli konie. Henri i dwie zakonnice stali na brzegu rzeki, jakby sparaliżowała ich jadowita nienawiść mandaryna. W pobliżu Lôc podniósł się z ziemi. Krew spływała z rozciętej zapiaszczonej górnej wargi. Wypluł ząb na ziemię, odwrócił się w stronę mandaryna i zaklął. Tumult zagłuszył jego głos.

Jeździec, który trzymał siostrę Lucię, zapytał ze śmiechem:

– Panie, czy nagrodzisz nas tą diabolicą?

Mandaryn Tuyèn zaśmiał się, słysząc prośbę.

– Puść mnie! – wrzasnęła siostra Lucia.

Jej akcent wzbudził salwę śmiechu.

Ma Sœur Pâle przebiegła obok François. Chwyciła za nogę jasnowłosą zakonnice, chcąc ściągnąć ją z siodła, ale zabrakło jej siły. W gniewie uderzyła pięściami w nogę żołnierza. Mężczyzna przestał się śmiać. Nie spodziewał się takiej reakcji. Ściągnął wodze, gdy koń się obrócił. François pomyślał, że zakonnica zginie pod kopytami wierzchowca. Utrzymała się na nogach, wbijając zęby i paznokcie w ciało żołnierza. Jeździec ryknął z bólu.

Inny pośpieszył mu na ratunek, uderzając widłami w jej plecy. Cios był tak silny, że zęby wideł przeszły kobietę na wylot. Ma Sœur Pâle upadła. Długie, kościste kończyny wystające spod ubłoconej czarnej szaty zdrząły konwulsyjnie. Strażnik podniósł ją, a gdy się wyprężyła, z powrotem rzucił w błoto. Konała przez długą, straszną chwilę.

Siostra Regina znieruchomiła na ziemi.

Jeździec zatoczył krąg ze swoim jasnowłosym jeńcem i François zobaczył twarz siostry Lucii. Jej krzyki ucichły, gdy ujrzała zwłoki starszej zakonnicy.

Popatrzyła na księdza oczami rozszerzonymi grozą, a potem ogarnął ją dziwny spokój.

– Jeśli przeżyjesz i zobaczysz brata João, powiedz mu, że zawsze go kochałam – poprosiła.

Jeden z żołnierzy podjechał do François od tyłu i uderzył go pałką w bok głowy. Ból był do wytrzymania, ale dzwonienie w uchu ogłuszające. Ksiądz upadł na twarz. Po chwili podniósł głowę i rozejrzał się, szukając siostry Lucii. Żołnierze ją zabrali. Zobaczył cienkie smużki dymu wznoszące się z dachu misji. Wewnątrz czerwone języki ognia pięły się po ścianach, pochłaniając cały rok jego pracy.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Quinion, 1775

Mandaryn Tuyèn, gubernator prowincji Quinion, był wściekły, gdy trzy dni później dotarł w okolice domu. Siedząc na siwym ogierze, ze ściągniętymi brwiami spoglądał ze szczytu niewielkiego wzgórza na swoje włości, na leżące ugiorem ryżowiska i spalone rżysko na polach kukurydzy. Wyludnione, walące się chaty wieśniaków wyglądały równie przygnębiająco jak wówczas, gdy wyruszał w drogę. Niemożność ściągnięcia podatków od rolników powiększała poczucie bezsilności. Za tymi zniszczeniami stali zbuntowani chłopci, którzy nazwali się zachodnimi góralami. Tuyèn sam musiał rozwiązać swój problem.

Zamożne miasto Quinion leżało około trzystu kilometrów na południe od miasta Hue, stolicy Królestwa Południowego. Pokonanie tej wielkiej odległości wymagało kilku dni podróży, a uzyskanie zbrojnej pomocy od króla Due Tonga zabrałoby co najmniej pół roku. Jego Wysokość miał tylko dziewiętnaście lat i rzeczywiste rządy w kraju sprawował jego naczelny doradca, wicekról Truong Loan. Mandaryn Tuyèn wiedział, że wicekról nie udzieli mu wsparcia wojskowego, jeśli nie dostanie pokażnej łapówki. Buntownicy wiedzieli, że pozycja gubernatora jest słaba i korzystali z tego stanu rzeczy. Rabowali jego spichlerze, palili plony, kradli bydło. Nawet gdyby opanowali samą warownię,

minęłyby tygodnie, zanim młody król dowiedziałby się o zdarzeniu i przedsięwziął jakieś kroki. A w tym czasie miasto Hue znalazłoby się w niebezpieczeństwie.

Góralom przewodzili trzej bracia: Nhac, Thom i Lu. Tuyèn ich znał, bo najstarszy Nhac służył u niego jako poborca podatkowy. Dwa lata wcześniej, po zebraniu wielkiej sumy pieniędzy, Nhac uległ pokusie hazardu i w ciągu jednego lekkomyślnego wieczoru stracił całą fortunę, grając z chińskimi przedsiębiorcami z Wuchow.

Karą przewidzianą za to przestępstwo była śmierć trzech pokoleń: Nhaca i jego braci, a także ojca i dzieci. Nie mając innego wyboru, rodzina uciekła głęboko w góry. Nhac wiódł z braćmi żywot wyjętych spod prawa, okradając zamożnych właścicieli ziemskich. We trójkę zaczęli werbować chłopów, drwali i leśnych ludzi. Wkrótce stali na czele armii nędzarzy rozwścieczonych korupcją i bogactwem arystokracji.

Gdy szeregi buntowników urosły, mandaryna Tuyèna codziennie rano budziły wieści o ich dokonaniach. Pod osłoną nocy bandyci przenikali do miasta i rabowali bogate domy niczym szczury, które przegryzają worek z ryżem. Rozdawali łupy biedocie, więc ta strategia zwiększała ich popularność, siłę oraz liczebność. Niedługo później drogi do innych miast zostały zablokowane i w prowincji zapanował chaos. Ludzie zamożni przenieśli się do cytadeli w Quinionie, pod ochronę garnizonu.

Przez dwa lata słabych żniw Tuyèn patrzył na marniejące włości i żył w ciągłym strachu. Jego gniew, nie znajdując ujścia, objawiał się w chorobach. Mandaryn często zapadał na zdrowiu, kwas palił go w gardle, żołądek wydymał się i napinał z bólu. Pewnego ranka po przebudzeniu znalazł kosmyki włosów na poduszce. Najlepsze zioła i igły lecznicze nie uśmierzały bólu. Ku wielkiemu rozczarowaniu stracił zainteresowanie konkubiniami. Nawet jądra tygrysa – najsilniejszy ze wszystkich medykamentów – nie mogły rozpalić w nim namiętności.

Co gorsza, miał na utrzymaniu drogiego i wymagającego gościa. Wicekról Truong Loan zwyczajowo wysyłał członków swojej rodziny na długie wizyty do siedzib gubernatorów. Ta przebiegła strategia spełniała dwa cele: pozwalała umieszczać szpiegów u lokalnych władców i przerzucać na ich barki koszty utrzymania. Księżę Hoàng, dwudziestosiedmioletni kuzyn króla Due Tonga, już od ośmiu lat żył na koszt Quinionu, a końca wizyty nie było widać.

Mandaryn Tuyèn niecierpliwie machnął ręką na swoją świętę i zwrócił konia w kierunku Quinionu. W wieku czterdziestu paru lat był znużonym, schorowanym, drażliwym człowiekiem. Szarfa ścisnęła mu brzuch, utrudniając jazdę wierzchem. Dwudziestu kilku strażników przybocznych ruszyło za nim, wlokąc klatki z jeńcami z wioski Kim Lai. Żołnierze jechali w milczeniu, bo widzieli, że pan jest w ponurym nastroju.

Tuyèn rozmyślał o złotej przeszłości, kiedy ziemia rodziła obfite plony, a wyprawy po podatki, takie jak ta, sprawiały mu czystą satysfakcję. Obecnie jego życie stało się pasmem rozczarowań. Choć w tym sezonie żniwa były udane, większość chłopów odmawiała uiszczania podatków. Już nie mógł ich zmuszać do sprzedaży bydła i narzędzi, żeby mieli z czego zapłacić za dzierżawę, bo wiedział, że po prostu porzucą domy i uciekną do lasu. Wrzał z gniewu, ale nie miał innego wyboru – musiał traktować ich przyzwoicie.

W czasie tej podróży do wioski Kim Lai zajechał na samym końcu. Napotkał ten sam problem co w innych miejscach. Był przekonany, że traci władzę nad chłopami. Odchodził od zmysłów, bo nie mógł narzucić swej woli wieśniakom, a jednocześnie zdawał sobie sprawę, że musi dać komuś nauczkę, by podbudować własny autorytet. Spotkanie z misjonarzami z Zachodu dało mu okazję. Aby ocalić siebie, swoją rodzinę i majątek, wyładował gniew na cudzoziemcach. Byli niepotrzebni i mieli posłużyć za przykład dla innych.

Proces nie był konieczny, żeby skazać misjonarzy. Wszystkich czekała śmierć, dwóch Francuzów i pięciu annamskich

uczniów. Zakonnice oddał w nagrodę żołnierzom. Nie miał wyrzutów sumienia z powodu tych decyzji. Przeciwnie, odrodzone poczucie własnej wartości przywróciło mu spokój ducha.

Po niedługim czasie wraz z żołnierzami zbliżył się do wschodniej bramy Quinionu. Z zaskoczeniem zobaczył, że czekają na niego dwaj nieznanymi, najwyraźniej ojciec i syn, bo byli do siebie podobni. Obaj mieli szeroko rozstawione brązowe oczy i silne szczęki. Byli ubrani w stroje z pięknego czarnego jedwabiu. Warkocze spadające na plecy świadczyły, że są Chińczykami.

Gdy Tuyèn podjechał bliżej, starszy z uprzejmym wyrazem twarzy chwycił wierzchowca za uzdę. Młodszy stał pod kamiennym murem, oburącz trzymając słomiany kapelusz i kłaniając się mandarynowi. Gubernator przyjrzał im się uważnie i nie dostrzegł śladu brudu pod długimi paznokciami. Z rękawa starszego wystawał zwój. Obaj mężczyźni z ciekawością spoglądali na jeńców.

– Ty jesteś mandaryn Tuyèn? – zapytał Chińczyk.

Mandaryn spojrział w wąską twarz i ściągnął wodze, wyrywając je z dłoni mężczyzny.

– Tak.

– Przybyłem, aby cię ostrzec, że nadciąga twój wróg.

Dopiero po chwili mandaryn zrozumiał, o co chodzi nieznanemu.

– Zachodni górale – wychrypiał.

– W istocie. Ich przywódca, młody Nhac, zmierza w tę stronę.

Tuyèna załatała fala zaskoczenia, niedowierzania, a potem paniki. Parsknął śmiechem, żeby ukryć strach.

– Kim jesteś? I dlaczego przychodzisz do mnie z tą informacją?

– Nazywam się Wang Zicheng, a to mój syn Qui, pochodziemy z Wuchow. Jesteśmy twoimi sąsiadami. Od pięciu lat prowadzimy dom gry w Song Cau.

– Słyszałem już twoje nazwisko – powiedział wstrząśnięty mandaryn. – Krąży plotka, że ten pies Nhac właśnie u ciebie przegrał zebrany podatek. Czy wiesz, że zatrzymanie rządowych pieniędzy jest przestępstwem, choć wygrasz je od hazardzisty?

Wang wyjął list z rękawa i podał go Tuyènowi.

– To pismo otrzymałem od niego. Prosi o noc gry w moim klubie. Wiem, że planuje mnie okraść przed atakiem na Quinion. Panie, obaj zdajemy sobie sprawę, że brak ci wojska, aby go zatrzymać. Mam propozycję. Pochwyć buntownika i przekażę ci go za umiarkowany okup. Jego głowa dla ciebie i młodego króla jest znacznie cenniejsza niż dla mnie.

Mandaryn rozwinął zwój i przeczytał. Lewą ręką owinął na palcu długi wąż i pociągnął w górę. Kącik jego ust wykrzywił się w parodii uśmiechu. Patrząc na Chińczyka, powiedział:

– Wangu Zicheng z Wuchow, podaj swoją cenę, choć wątpię, czy zdołasz pojmać tego chytrego lisa.

Mężczyzna chrząknął.

– Nie znasz przebiegłości właściciela domu gry. Żyję z hazardu, ale sam nigdy nie grywam. Mogę dostarczyć towar w zamian za dwieście srebrnych monet i dwa najlepsze ogiery z twojej stajni.

Tuyèn otworzył usta. Nim zdołał wyrzec słowo, Wang podniósł palec.

– Mandarynie, nie masz sztonów z kości słoniowej, żeby się ze mną targować. To moja ostateczna propozycja. Kiedy znów się spotkamy, miej odliczone pieniądze, bo ja i mój syn przyniesiemy ci lisa w klatce.

Mandaryn Tuyèn rozkazał żołnierzom zabrać więźniów do miasta Hue, stolicy Kochinchiny. Na mocy cesarskiego prawa tam miała się odbyć egzekucja; wicekról Loan życzył sobie, by karę śmierci wymierzano na jego terytorium. Wysyłając misjonarzy do wicekróla, Tuyèn chciał pokazać, że dobrze wypełnia

obowiązki gubernatora pomimo trudności powodowanych przez niepokoje chłopskie. Dawało mu to również okazję do przedstawienia swojej sprawy. Z jeńcami wysłał najbardziej zaufanego pomocnika, najstarszego syna. Emisariusz miał błagać króla o wsparcie, choć mandaryn wiedział, że pomoc ze stolicy najpewniej przybędzie zbyt późno i w niewystarczającej sile.

Zrezygnowany, spędził kilka dni na przygotowaniach do wojny. Jego konkubiny zniknęły w swoich pokojach, gdzie pakowały cenny dobytek i szykowały się do ucieczki. Mandaryn nie miał czasu ani środków, żeby drobiazgowo zaplanować kontratak na buntowników. W rzeczywistości był przerażony prawdopodobną porażką. Co się stanie z jego pięknym Quinionem, jeśli Wang Zicheng ma rację i dojdzie do napaści? Co się stanie z nim i jego rodziną? Nie miał dokąd uciec.

Nie przyszło mu na myśl, żeby wypytać właściciela domu gry o stan liczebny i uzbrojenie wroga ani z której strony buntownicy podejną do Quinionu. Wieści przestraszyły go tak bardzo, że zanim zdążył zebrać myśli, dwaj nieznajomi odeszli. Teraz mógł tylko czekać.

Tuyèn rozkazał ludziom ustawić drabiny wzdłuż murów, żeby ułatwić dostęp do blanki fortecy. Żołnierze i mieszkańcy miasta pracowali razem, przenosząc na mury kamienie, które będą następnie zrzucone na napastników. W cieniu banianów kobiety w trzy- i czteroosobowych grupach strugały strzały z pędów bambusa. Niektóre grotki zostały owinięte szmatami i namoczone w oleju, inne pokryte sproszkowanym realgarem i jadem kobry.

Mandaryn chodził po wielkim murze, wypatrując wroga. Za każdym razem, gdy w dali dostrzegał tuman kurzu, przerażenie ścisnęło mu serce, ale okazywało się, że to tylko karawana kupców. Ilekroć zaskrzeczała czarna wrona albo pająk spadł z gałęzi, mandaryn widział znaki zapowiadające klęskę, a wówczas znajomy, gorzki smak żółci podchodził mu do gardła.

Arogancja Chińczyka sprawiła, że Tuyèn czuł, iż właściciel domu gry nie cofnie danego słowa. Z pewnością Wang Zicheng

i jego syn uknuli plan pojmania przywódcy bandytów. Podejrzał, że Chińczycy liczą na to, że dzięki wydaniu zbuntowanego Nhàca rząd stanie się ich dłużnikiem i tym samym nie będzie żądać zwrotu pieniędzy z podatku. Poza tym Wang i jego rodzina odniosą inną korzyść z udzielenia pomocy: taki akt lojalności będzie gwarancją długotrwałego istnienia domu gry.

Tuyèn rozpaczliwie chciał wierzyć w taki scenariusz, ponieważ to by oznaczało, że nie dojdzie do wojny. Z drugiej strony historia uczyła, że w grze wojennej Chińczykom nie wolno ufać. Nikt nie mógł ich przechytrzyć. Tak czy inaczej mandaryn sposobił się do bitwy.

Wracając do pałacu, po raz kolejny przebiegł w myślach wszystkie aspekty przygotowań. Na dziedzińcu zapalił trociczki, spalił papierowe pieniądze w ofierze dla zmarłych, a także złożył bogom ofiary z ryżu i soli, błagając suwerennych panów ziemskiego świata, żeby pobłogosławili jego ziemię.

Gdy trwał pogrążony w modlitwie, przestraszyło go szczekanie psa. Piętnastoletni chłopak biegł boso po ulicy, machając rękami i trzymając coś, co wyglądało jak kawałek futra.

– Panie, panie, Chińczycy tu są! – krzyknął.

Mieszkańcy miasta, konkubiny i służby zbiegali się ze wszystkich stron. Mandaryn Tuyèn podniósł się, upuszczając kadzidło na ziemię. Chwytał chłopca za kark.

– O czym ty mówisz? Kto nadchodzi?

– Chińczycy – powtórzył chłopak. – Czekają za północną bramą. Proszą o pozwolenie na wejście do miasta. Kazali ci to dać. – Podniósł rękę i mandaryn zobaczył, że młody posłaniec trzyma unurzaną w krwi lisią kitę.

Było południe. Słońce wpadało przez boczne okna na wybiealoną drewnianą podłogę. W czasie każdego zgromadzenia, jakie odbywało się w tej wielkiej sali z wysokim stropem, Tuyèn czuł

się niezwykle ważny. Jego ludzie stali w pobliżu z bronią w rękach. Mieszkańcy miasta zajęli miejsca na balkonach z rzeźbionymi balustradami i patrzyli na rozgrywające się w dole widowisko jak na operę. Gawędzili, i głosy wraz z płaczem dzieci niesły się po ogromnym wnętrzu.

Mandaryn przeciągnął palcem pod kołnierzem, daremnie próbując wpuścić nieco zimniejszego powietrza pod szatę – zdobioną haftem długą tunikę z niebieskiego jedwabiu. Chłodził się delikatnym wachlarzem z drewna sandałowego, ale pilnował, żeby nie zasłaniać feniksa na piersi. Patrząc na wroga zamkniętego w bambusowej klatce, która stała dwadzieścia kroków od jego butów z zadartymi noskami, po raz pierwszy od wielu lat czuł się zdrowy. Klatki strzegł Wang Zicheng z dziesięcioma ludźmi. Ich broń została przy bramie.

Po pierwszej serii bicia w bębny zapadła cisza, zamilkły nawet małe dzieci. Tuyèn wyciągnął wachlarz w stronę klatki. Więzień miał pochyloną głowę, a szyję unieruchomioną w drewnianym, podobnym do drabiny jarzmie. Klatka była taka mała, że musiał klęczeć oparty na rękach, wskutek czego przypominał dzikiego psa gotowego do ataku. Ciężki łańcuch okręcony wokół jego kostki łączył się z wielką metalową kulą.

– Podnieś mu głowę – polecił mandaryn Wangowi. – Chcę zobaczyć twarz mojego wroga.

Więzień spojrzał w górę i widzowie na balkonach jęknęli niepokojnie niczym chór śpiewaków. Długie, czarne, faliste włosy przysłaniały zakrwawioną twarz buntownika. W jego oczach płonęło wyzwanie. Pełne usta, spękane z pragnienia i od słońca, rozchyliły się w złośliwym uśmiechu.

Wang przerwał chwilę napięcia.

– Poznajesz tego człowieka, Wasza Wysokość?

Tuyèn podniósł się z rzeźbionego krzesła, okrążył biurko i stanął o krok od klatki. Wsuwając wachlarz pomiędzy bambusowe pręty, spokojnie odparł z lekkim rozbawieniem:

– Minęły dwa lata, ale niewiele się zmienił. Nigdy nie zapomnę bezczelnej gęby tego łajdaka.

Na galerii rozległ się śmiech, odbijający się echem od drewnianych kolumn. Tuyèn z satysfakcją pokiwał głową: tutaj, w tym pięknym mieście, bogaci obywatele stali po jego stronie. Ale zanim zdążył odetchnąć, upojony zwycięstwem, na balkonach umilkł radosny śmiech.

Skazaniec chwycił poziome pręty nad głową. Z chrapliwym krzykiem poderwał się z kucek i z głośnym trzaskiem rozbijał klatkę. Mandaryn sapnął, zamrugał z zaskoczenia. Jego wróg rzucił pokrywą klatki w stronę Wanga. Właściciel domu gry podskoczył, szeroko rozsuwając nogi. Chwycił pokrywą w jedną rękę i rozerwał ją drugą. W pustych bambusowych prętach ukryte były długie, cienkie ostrza. Wang rzucał broń swoim wojownikom, podczas gdy więzień rozdzierał jarzmo.

Późniejsze wydarzenia rozegrały się tak szybko i z taką precyzją, że musiały zostać zaplanowane szczegółowo przez wielkiego mistrza kung-fu. Mandaryn Tuyèn słyszał dokoła szcęk mieczy, gdy jego straż walczyła z intruzami, i wycie widzów na balkonie. W trakcie desperackiej ucieczki po wąskich schodach ludzie tak się przepychali, że pękła część balustrady. Ciała wraz z kawałkami drewna spadły z wysoka na podłogę. Kilka osób zawisło na szczątkach poręczy, a gdy osłabły im ręce, runęły w ślad za pierwszymi ofiarami.

Były więzień sięgnął do gardła Tuyèna, ale mandaryn cofnął się o parę kroków. Buntownik chwycił go za przód tuniki, zdzierając feniksa, symbol urzędu. Tuyèn ze skowytym upadł na ziemię.

Jeden ze strażników cisnął włócznią w kierunku uwolnionego więźnia. Nhac zrobił unik i jednocześnie chwycił łańcuch na kostce. Skoczył, wymachując kulą nad głową, i uderzył w podobne do tronu krzesło. Mebel rozpadł się na kawałki, a ciężka kula zrobiła wgłębienie w drewnianej podłodze.

Metalowe oszczepy migotały w powietrzu, gdy mandaryn na czworakach uciekał z sali. Zobaczył, że bandyta unosi kulę, tym

razem mierząc w strażnika z włócznią. Rozległ się głuchy trzask i żołnierz runął niczym ścięte drzewo. Krew ze strzaskanej czaszki zbryzgała mandaryna. Zbyt przerażony, żeby się ruszyć, Tuyèn skulił się na podłodze w pozycji embrionalnej. Poruszał ustami, ale nie słyszał własnego głosu.

Walka trwała, dopóki strażnicy miasta Quinionu nie zostali jeden po drugim pokonani. Szkarłatne bryzgi szpeciły pastelowe ściany sali, krew ściekała powoli w gorącym słońcu. Na podłodze ranni leżeli wśród odrąbanych kończyn. Zapach krwi przyciągał muchy i brzęczenie zastąpiło wrzaski walczących ludzi.

Więzień stanął nad skulonym mandarynem, kołysząc kulą przed jego przerażoną twarzą. Tuyèn odwrócił wzrok, gdy zobaczył strzępy ciała przyklejone do straszliwej broni. Bandyta chwycił go za kołnierz i poderwał na nogi.

– Zgodnie z umową przyszedłem po okup – powiedział.

Okazałe drzwi sali otworzyły się gwałtownie. Za progiem stali gwardziści mandaryna, błyskając bronią. Nhac ruszył w ich stronę, wlokąc jeńca za kołnierz.

– Schowajcie miecze – rozkazał. Jego głos dudnił niczym gong. – Natychmiast, inaczej go zabiję.

Podniósł metalową kulę. Mandaryn Tuyèn zamknął oczy, gdy usłyszał szczęk broni rzuconej na kamienie. Bitwa była skończona.

Czerwony sztandar buntowników, zatknięty na wysokim murze obronnym, wydymał się na wietrze. Pod nim tłumy biegały we wszystkich kierunkach. Ludzie popychali się i przewracali, nikt nie miał pojęcia, co zrobić ani dokąd uciec, ale główna ludzka fala parła ku bramom miasta.

Mandaryn Tuyèn z głową uwięzioną pod krzepkim ramieniem bandyty dreptał w stronę północnej bramy. Żołnierze stali bezradnie po obu stronach drogi, z pustymi rękami, bezbronni. Na

ziemi leżały kawałki mosiężnych naramienników i napierśników. Tuyèn potknął się o żelazny grot włóczni i ostrze boleśnie ukuło go w stopę.

Ciepła krew sączyła się z buta na bruk. Mandaryn z zaskoczeniem stwierdził, że zachował jasność myśli pomimo bólu promieniującego z rany. Nie próbował się wyrwać z silnego jak imadło uchwytu, bo wiedział, że równie dobrze mógłby próbować rozbić skałę jajkiem. Czuł zapach potu, gdy muskularne ramię ścisnęło mu szyję. Bojąc się żelaznej kuli, powstrzymywał odruch drapania i gryzienia.

Zatrzymali się trzydzieści metrów przed starożytną bramą miasta. Wyrzeźbione w drewnie wizerunki tajemniczych zwierząt, niegdyś takie majestatyczne, zatarły się z biegiem czasu. Nawet w jasnym słońcu mandaryn nie mógł odróżnić jednej figury od drugiej. Wspomniął czasy, kiedy chciał przywrócić im dawne piękno. Teraz nie będzie już miał okazji.

Na dany znak ludzie podnieśli mocną belkę, która ryglowała bramę. Dziki łoskot brązowych bębnow, przeraźliwy wrzask mosiężnych rogów i rytmiczny tętent kopyt przybierały na sile, gdy ciężkie skrzydła rozchyłały się ze skrzypieniem. To, co czekało za wielkim murem, przekraczało najbliższe wyobrażenia.

Mandaryn ujrzał tysiące żołnierzy wieśniaków uzbrojonych w prymitywną broń. Pośrodku tłumu, górując nad wszystkimi, siedział na słońiu mężczyzna. Wiatr rozwiewał jego włosy. Szerokie brwi unosiły się ku skroniom niczym dwa ciemne ostrza. Jechał na grzbiecie zwierzęcia, kierując nim tylko głosem. Na ziemi jego zwolennicy krzyczeli:

– Król Nhac, król Nhac, król Nhac...

Wang i jego ludzie padli na kolana na widok swojego przywódcy. Oszołomiony mandaryn nie rozumiał, kogo ma przed oczami. Był przekonany, że to Nhac siedział w klatce. Mrugając, przeniósł spojrzenie z byłego więźnia na człowieka na słońiu.

Jakby czytając w jego myślach, stojący przy nim buntownik wybuchnął śmiechem.

– Czegoś się spodziewał, Tuyèn? Chyba nie sądziłeś, że król nędzarzy zaryzykuje życie i da się zamknąć w klatce? Nazywam się Thom. Jestem jego młodszym bratem. – Potrząsnął pięścią w powietrzu i krzyknął do żołnierzy: – Quinion należy do nas. Następna będzie cytadela Hue!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Miasto Hue, grudzień 1775

W dzień egzekucji François zbudził się wcześniej.

Siedział oparty o ścianę w mrocznej więziennej celi znajdującej się za kwaterami żołnierzy w pałacu króla Due Tonga. Światło wsuwało się jak macki mgły przez prostokątne okienko pod sufitem. Wczesne słońce malowało na różowo metalowe pręty i drut kolczasty.

Podróż z Kim Lai do Quinionu, a stamtąd do miasta Hue trwała ponad tydzień. François wraz z Henrim i pięcioma annamskimi uczniami jechał w drewnianej klatce na ciągniętym przez konia wozie. Był posiniaczony, podrapany i pokryty pęcherzami, bo podróż po wyboistych drogach była bardzo trudna. Jedzenie dostawali rzadko, a żołnierze nie wypuszczali ich z klatki nawet za potrzebą. Księdzu kręciło się w głowie, smród własnego ciała budził w nim obrzydzenie, wywołując wspomnienia Villeneuve i ataku cholery. Ale tym razem bardziej martwił się o swoich towarzyszy.

Podniósł się na spotkanie słońca. Jego stopy tkwiły w okrągłych otworach wyciętych w dwóch związanych deskach. Za każdym razem, gdy próbował się ruszyć, ostre krawędzie drewna wbijały się w ciało. François zgrzytał zębami z bólu. W ten ostatni ranek na ziemi tęsknił za ciepłym dotykiem słońca na twarzy. W milczeniu recytował znane modlitwy, krzepiąc się

myślą, że nie jest sam. Zniszczenie misji w Kim Lai, śmierć siostry Reginy, niepewny los siostry Natalii i Lucii, jego bliski koniec – wszystkie te przerażające zdarzenia musiały być częścią nieznanego boskiego planu.

Wokół niego leżało jedenastu więźniów, przytulonych, nieruchomych, głównie mężczyzn, ale tu i ówdzie krągła pierś kobieca wznosiła się pod luźnym przyodziewkiem. Kobiety też miały dyby i kajdany. W coraz silniejszym świetle François widział rany i siniaki na kończynach więźniów; niektóre rany zaczynały się jątrzyć. Czuł mrowienie na twarzy, słońce przygrzewało skórę jak żar pochodni. Obok niego, zakuty w te same dyby, leżał szesnastoletni nowicjusz. Chłopiec spał. Z jego otwartych ust dobywał się świst, który brzmiał jak gwizdanie imbryka.

Związanymi rękami François podrapał się po ogolonej głowie, czując ukłucie zazdrości. Henri ani razu nie okazał strachu, nawet gdy usłyszał wyrok śmierci. Ksiądz uznał, że nowicjusz jest za młody, żeby w pełni pojąć grozę tego, co ich czeka. A może po prostu pogodził się z losem? François zamknął oczy i podjął modlitwy.

Bezskutecznie próbował wyobrazić sobie własną śmierć. Widział siebie, jak maluje w katedrze najwspanialsze dzieło, widział, jak się starzeje. Wierzył, że w ostatniej godzinie zostanie uratowany z rąk kata. Dzięki temu przecuciu, wzmocnionemu niezachwianą wiarą, jeszcze nie odczuwał strachu.

Niebo zawsze kojarzyło mu się z błogą muzyką graną na harfach przez aniołów, których widział na obrazach i słyszał w snach. Raj pojmował jako wyzwolenie ducha i wieczne życie bez cierpień, ale dopiero po wypełnieniu misji na ziemi. Żałował jednego: nigdy nie odwiedził Stolicy Apostolskiej, żeby prosić papieża Klemensa XIV o błogosławieństwo. Ten fakt powinien oznaczać kolejną szansę. Jego życie nie mogło zakończyć się w ten sposób.

Usłyszał swoje imię i ciepło słońca znikło z powiek. Otworzył oczy. Henri machał przed jego twarzą. Na zewnątrz zarżał koń.

François popatrzył na nowicjusza i zmusił się do uśmiechu. Mocno zbudowany, wysoki młodzieniec w porównaniu z innymi był olbrzymem. Twarz miał zarumienioną od chłodu. Ksiądz widział jasny meszek na jego policzku, odbijający światło jak cienka warstwa złotego pyłu.

Nowicjusz skutymi rękami poprawił złachmanione ubranie. Annamscy więźniowie także się budzili. Pięciu zostało aresztowanych razem z misjonarzami. Reszta trafiła do więzienia za inne przestępstwa. Spośród swoich uczniów François najbardziej martwił się o najmłodszego, Lôca. Chłopak był krzepki jak byk, ale byk bez rogów, bo wciąż rósł. Stracił dwa przednie zęby. Rany w dziąsłach uległy zakażeniu, a spuchnięta górna warga powiększyła się dwukrotnie. Łamiącym się młodzieńczym głosem kłął strażników i tłukł pięściami w skalną ścianę, aż pył sypał się z sufitu. Kropelki śliny tryskały mu z ust, gdy niewyraźnie mamrotał.

Pozostali więźniowie podnosili się, pojękując i przecierając oczy. Fala napięcia przebiegła przez loch, gdy zagrzemiał gong, a potem zagrzechotały bębny. Ostre dźwięki narastały, aż zatrzęsły się mury więzienia i zadygotała podłoga. Zbliżał się moment egzekucji.

François podniósł się z pomocą nowicjusza. Zakuci we wspólne dyby, mieli ograniczoną swobodę ruchów. Nadszedł czas na spotkanie z przeznaczeniem. Na tę myśl księdzu ugięły się kolana. Przygryzł dolną wargę i odetchnął głęboko. Poczuł, jak Henri chwytą go za rękę.

– Módl się do Boga, synu – szepnął.

Zaskrzypiały zawiasy żelaznych drzwi celi. Kobieta w kącie krzyknęła z przerażenia. Kroki strażnika głośno zadudniły. François słyszał kłapanie sandałów na kamiennej podłodze, nie odwrócił jednak głowy, nie chciał, żeby jego uczniowie, zwłaszcza Henri, zobaczyli, że się boi. On, wyświęcony kapłan, musiał dawać przykład. Poza tym wciąż miał nadzieję, że Bóg się nad nimi ulituje.

Poranne słońce wlało się do celi, gdy drzwi się otworzyły. François spojrział w wejście, skupiając wzrok na ludziach, którzy na niego patrzyli. W większości byli młodzi i szczupli, ubrani w czerwone mundury wojsk cesarskich i stożkowe kapelusze. W rękach trzymali lśniące metalowe miecze.

– Wstawać! – ryknęli, choć więźniowie już stali.

Za plecami żołnierzy dwóch służących pchało wóz, wzbijając chmurę pyłu z drogi. Na wozie stały dwie beczki wyciosane z pnia dębu. Kiedy zdjęto ciężkie pokrywy, François poczuł zapach solonych ryb i ślina napłynęła mu do ust. Pierwotna potrzeba przeważyła nad grozą śmierci. Może pragnienie zaspokojenia głodu w ostatnich godzinach życia było niemądre, ale był przecież człowiekiem i nie jadł od wielu dni.

Jeden z pomocników kuchennych, chudy mężczyzna o skórze ciemnej jak sadza, oznajmił:

– Ostatni posiłek skazańców. Chodźcie po swoje porcje!

Uśmiechnął się do cudzoziemców, kiwając na nich drewnianą chochłą. Drugi pomocnik porachował więźniów przez obłoki pary, która wznosiła się z beczek. Kadzie zawierały jeszcze bulgoczącą zupę, mętny wywar, w którym podskakiwały rybnie łby.

François popatrzył na wóz, na strażników, a potem na służących. Nie zobaczył talerzy ani łyżek. Nikt nie przyniósł naczyń dla więźniów, ale tylko dla niego miało to znaczenie. Skuci więźniowie podchodzili parami. Lôc oparł się o wóz, zadarł koszulę i wdychał aromatyczne powietrze. Kościsty sługa rzucił czubatą chochłą ryżu w połę jego koszuli, nadział na ostre końce pałeczek kawałek solonej ryby, położył ją na ryżu i polał gęstą zupą. Niedługo później François stanął przez beczką. Patrzył, jak mężczyzna chichocze, rozdziawiając usta z poczernionymi zębami.

Ksiądz poczerwieniał. To okrucieństwo nie było potrzebne. Odwrócił się i spojrział na Lôca. Chłopiec pochyłał głowę nad trzymaną oburącz koszulą i zanurzał w ryżu poranione usta, jedząc jak zwierzę. Zupa przeciekała przez materiał i kapiała na

chude piersi głodnego młodzieńca. François poczuł bolesny skurcz w żołądku.

– Prędko, cudzoziemcze – ponaglił sługa, pstrykając w niego paroma ziarnkami ryżu. Pokazał w uśmiechu poczernione zęby. – Chcesz jeść czy nie?

– Nie mogę – odparł François, patrząc na swoją brudną koszulę.

– Nie masz gdzie trzymać ryżu? Nadstaw ręce.

Posłuchał, składając dłonie w miseczkę. Jak Bóg mógł mu to zrobić? Nawet Jezus zjadł ostatnią wieczerzę w refektarzu, siedząc z uczniami przy stole. Ten krzyż stawał się zbyt ciężki do udźwignięcia. François po raz pierwszy poczuł złość na Boga.

Chudy kucharz był nieustępliwy. Szybkim ruchem sypnął chochlę gorącego ryżu w nadstawione dłonie. François niemal krzyknął, czując żar, ale nie poddał się bólowi. Ramiona mu opadły, krew odpłynęła z twarzy. Na chwilę zamknął oczy i podszedł do następnego kotła. Tu dostał gęstą, kleistą zupę. Cierpienie przekroczyło próg bólu i François wszedł w nowy stan graniczny z błogością. Otworzył oczy i popatrzył na innych. Lôt wciąż jadł ryż z poły koszuli, nie zwracając na nikogo uwagi. Henri patrzył na to wszystko z przerażeniem w oczach.

– Wszystko w porządku – wymamrotał François, głównie do siebie. Silny ból zdawał się potwierdzać to, co było nieuchronne. – Niedługo ręce nie będą mi potrzebne.

Pochylił głowę i zaczął jeść swoją ostatnią wieczerzę.

Droga z więzienia na miejsce straceń wiodła obok pałacu Due Tonga, potem siedziby wicekróla Truong Loana i ciągnęła się jeszcze blisko półtora kilometra. Na skrzyżowaniu przed królewską fortecą podróżny mógł skrócić na wschód, żeby opuścić miasto od strony Rzeki Perfumowej, albo na zachód,

żeby dotrzeć na rynek, do dzielnicy mandarynów i zamku wicekróla. Eskortowani przez straż królewską więźniowie skręcili na zachód. Słyszeli od żołnierzy, że czeka ich śmierć w cieniu murów pałacu wicekróla Loana.

Niebo lśniło świeżym błękitem, tak ogromne, że w porównaniu z nim wszystko na ziemi wydawało się małe. Nie było ani jednej chmury i słońce wisiało wysoko – okrutna pomarańczowa plama na tle spokojnego oceanu błękitu.

Droga była wąska i żołnierze maszerowali w szeregach, ustawieni według rangi. Pochód otwierało dwóch heroldów z lejkwatymi rogami bawołu. Gdy dęli, z instrumentów płynęły niskie, przeciągłe dźwięki, nieco przypominające trąbienie słoni. Parę kroków za nimi szło dwóch mężczyzn, którzy nieśli na ramionach brązowy gong zawieszony na bambusowej tyczce. Od czasu do czasu, jakby odmierzając czas, uderzali w gong drewnianą pałką. Mieszkańcy Hue przyglądali się poważnej procesji, obrzucając więźniów obelgami.

Żołnierze wyższej rangi jechali konno, otaczając syna mandaryna Tuyèna, który przybył z więźniami z Kim Lai. Syn mandaryna prowadził François i innych skazańców, którym zdjęto dyby, na sznurze przytroczonym do siodła. Ksiądz szedł ze związanymi rękami. Za każdym razem, gdy zwalniał kroku, sznur boleśnie wrzynał mu się w szyję.

Około południa dotarli nad strumień, już z daleka usłyszeli szmer wartko płynącej wody. Błotnista, śliska ziemia na brzegu utrudniała księdzu dotrzymanie kroku dumnie stąpającym wierzchowcom.

Grupa wieśniaków siedziała na brązowej trawie. Posilali się, pijąc wodę ze strugi. Zapach duszonego sumy i cebuli unosił się w parnym powietrzu. Gdy więźniowie przechodzili, wieśniaczki spuściły głowy nad porcjami jedzenia. Jeden z mężczyzn wstał i gapił się na procesję, ziarnka ryżu zaplątały się w jego koziej bródce.

Nad gałęziami baniana krążyło stado wron, czarne sylwetki

cięły lazurowe niebo niczym grotę strzał. Lina wbijała się w szyję François, ciągnąc go coraz dalej.

Za strumieniem dołączył do nich tłum zmierzający w tym samym kierunku, na plac targowy. Strażnicy uderzali w metalowy gong i dęli w bawole rogi, żeby ludzie nie zbliżali się do więźniów. Bojowe dźwięki odstraszały ciekawskich.

François kroczył w grupie zdesperowanych skazańców, potrącany i popychany w panującym zamęciu. Złapał Henriego za kaftan, żeby mogli trzymać się razem. W żarze lejącym się z nieba wszedł chwiejnym krokiem na plac, przy którym stały domy mandarynów trzeciej i czwartej rangi. Wokół niego rozbrzmiały wrzaskliwe głosy, a ponad nimi huczał dzwon. Patrząc pod nogi, François widział swój drżący cień.

Plac straceń, leżący za siedzibami mandarynów, był zatłoczony przez mieszkańców miasta. Nad ich głowami górował pałac wicekróla Loana, wzniesiony na sześciometrowym fundamencie.

François spojrział w stronę gmachu, zaintrygowany licznymi wieżami i dachami podobnymi do tych w pagodach. Wzdłuż dwóch ciągów schodów, przedzielonych kolistym tarasem, stały smoki wyrzeźbione z granitowych bloków. Z daszków nad bocznymi oknami pałacu zwisały białe trójkątne proporce o czarnych brzegach, oznajmiające nadciągającą śmierć więźniów. Wiatr dmuchał ze wschodu, toteż proporce falowały jak woda.

François został pchnięty na środek placu, a tam otoczyli go szydzący gapie. Wszyscy przyszli zobaczyć, jak umieram, pomyślał i poczuł się głęboko upokorzony. Nie mając gdzie się ukryć, wsunął palce pod sznur mocno zaciśnięty na szyi, żeby choć trochę ulżyć niedoli. Wciąż bolały go poparzone ręce, ale tym już się nie przejmował. Zobaczył rząd prawie metrowych słupów, wbitych w ziemię jeden obok drugiego. Tłum rósł. Dziko

wykrzywione twarze świadczyły, że gapie są podnieceni widowiskiem, którego on miał być głównym bohaterem.

Gwar setek głosów nagle przycichł. Lōc przesunął się i schował za plecami księdza. François się rozglądał, nie zwracając na niego uwagi. W ciszy morze ciał rozstępowało się, robiąc przejście od skraju placu.

Ukazała się droga obsadzona bambusami, które tworzyły baldachim żywej zieleni. W dali sunęła konstrukcja przypominająca namiot rozbity na platformie. Z drewnianego dachu zwisały przejrzyste płachty białego jedwabiu. Widzowie padli na kolana, łokciami wspierając się o ziemię.

François zobaczył dwa szeregi tragarzy ciągnących miniaturowy pałac na drewnianych kołach. Kolumny podtrzymujące dach, pomalowane na biały i złoty kolor, lśniły w słońcu. Srebrne dzwonki zwisające z okapu pobrzękiwały cicho w rytm kołysania się konstrukcji. François miał wyostrzone zmysły i w jego oczach pojazd zdawał się migotać jak miraż.

Usłyszał szept:

– Królowa, królowa.

W palankinie siedziała trzydziestokilkuletnia kobieta w królewskim stroju. Była to żona króla Due Tonga. Tkwiała jak porcelanowa figura szachowa pod dachem w kształcie spodka, a wokół niej przejrzyste tkaniny wydymały się na wietrze. Skórę kobiety pokrywała gruba warstwa białego pudru, czoło zdobił duży srebrny diadem, przysłaniający włosy. Sznury pereł spływające z korony sprawiały, że twarz wydawała się mała i płaska.

W białej twarzy ciemne oczy lśniły jak gagaty. Pionowa kreska pomiędzy brwiami podkreślała niezadowoloną minę królowej. Nawet gdy władczyni zamykała oczy, zmarszczka nie znikawała, była wyraźna jak głęboka blizna. François patrzył na szeroki nos kobiety i wywinięte wargi, czerwone od ciąglego żucia liści betelu i orzechów areki. Rysy jej twarzy daleko odbiegały od europejskiego ideału piękna, ale robiły wrażenie.

Po lewej stronie tronu François zobaczył około dwunastoletniego chłopca, ubranego w złoto, barwę azjatyckiej rodziny królewskiej. Twarz miał surową i wyglądał nad wiek poważnie. Wsparty plecami o jedwabne poduszki, siedział ze skrzyżowanymi nogami, wspierając dłonie na kolanach. François wiedział, że chłopiec jest za mały, aby być obecnym królem. Wnosząc ze stroju i rysów, był spokrewniony z królową, a władczość jego gestów wskazywała, że musi być ważnym członkiem rodziny królewskiej, może kuzynem króla albo młodszym bratem. Za palankinem szedł rząd mandarynów z małżonkami.

Ruchomy pałac zatrzymał się na placu. Kulisi rozeszli się w dwie strony, żeby królowa i chłopiec mieli dobry widok na miejsce straceń. Jakiś mężczyzna wysunął się z szeregu mandarynów i podszedł do królowej. Miał annamską szatę, ale oczy w porównaniu z innymi jaśniejsze. François ze zdumieniem rozpoznał twarz biskupa de Béhaine'a, ledwo widoczną pod oficjalnym nakryciem głowy.

Brzęczały dzwonki, gdy jezuita mówił coś do królowej. Tchnienie wiatru znad rzeki odrzuciło zasłony i biskup popatrzył prosto na młodego księdza.

Jestem bezpieczny, pomyślał François z radością. Był to cud, o jaki prosił Boga, i biskup okazał się Jego posłańcem. Bóg go nie opuścił. Zostanie ocalony. Henri obok niego zaszlochał głośno. Nowicjusz również rozpoznał surową postać stojącą obok królowej.

Górując nad Annamitami, de Béhaine patrzył na skazanego kapłana. François promieniał, niezdolny powstrzymać potoku łez radości. Ale biskup spoglądał tak, jakby go nie zauważał. W jasnym słońcu jego zapadnięte oczy wydawały się szare niczym kość. Potem de Béhaine odwrócił się z powrotem w stronę królowej.

François najpierw poczuł się odrażony, następnie spróbował obiektywnie ocenić zachowanie biskupa. Przyznając się do znajomości ze skazańcami, de Béhaine mógł narazić się na niebezpieczeństwo. Ale co tutaj robił, wśród władców społeczeństwa,

które potępiało chrześcijaństwo? Czy przyszedł tutaj, bo miał jakiś tajemny plan, aby go ocalić, czy po prostu chciał być świadkiem egzekucji? François nigdy w życiu nie był bardziej skonsternowany.

Potem spostrzegł, że Henri leży na ziemi. Jeden ze strażników trzymał stopę na głowie chłopca, wciskając jego twarz w pył.

– Co się stało? – zapytał, gdy żołnierz się odwrócił.

Nowicjusz wypluł ziemię z ust i wymamrotał:

– Chciałem zawołać, żeby przyciągnąć uwagę monsiniora, ale ten człowiek mnie uderzył.

– Cierpliwości, mój synu – szepnął François. – Bóg ma plan. – A potem mruknął do siebie: – Na pewno. Nie mogę umrzeć w ten sposób.

De Béhaine cofnął się i zniknął z pola widzenia. Królowa szepnęła księciu coś do ucha i podniosła palec. Tłum ryknął w odpowiedzi. Poruszenie rozprzestrzeniało się po placu jak tusz wlany do wody. François zobaczył, że inni więźniowie trzęsą się z przerażenia. Miał wrażenie, że wszyscy wiedzą coś, czego on nie jest świadom.

– Przygotować egzekucję – krzyknął urzędnik, który ich eskortował.

François z trudem trzymał się na nogach, zaciskając ręce na sznurze. Zdawało się, że tego dnia biskup de Béhaine nie odmieni jego przeznaczenia.

Bicie w bębny płynęło ku niebu, ptaki z wrzaskiem uciekały z bambusowych zarośli. Szkarłatnie upierzone, pomykały nad głowami jak kulki płomienia.

Trzech mężczyzn w czerni odsunęło się od palankinu królowej i pomaszerowało w stronę więźniów. Nastroszone brody i wąsy skrywały ich usta. Każdy niósł na ramieniu długi miecz. Owinięte w czarny materiał głowy wyglądały jak element ich strojów. François nie miał wątpliwości, że ci ludzie są katami.

Zaniknął oczy. Ktoś chwycił za sznur opasujący jego szyję, poderwał go w górę, a potem szarpnął do przodu. François stracił równowagę i upadł.

Wokół niego wrzeszczeli pomocnicy katów. Wlekli go po ziemi, aż uderzył głową w drewniany słup. Gdy poczuł zapach starej krwi, otworzył oczy. Na słupach widniały ciemne plamy i niemal słyszał krzyki więźniów, którzy kiedyś zostali tu straceni.

– Proszę, Ojcze nasz, któryś jest w niebie – krzyknął mimo woli po francusku. – Uchron tych ludzi przed złem. Ocal mą duszę, bo moje życie teraz i na wieki będzie w Twoich rękach.

Ktoś chwycił go za kołnierz, podniósł na kolana i przyciągnął do słupa, zmuszając do przysiadu na piętach. Jego plecy wygięły się w łuk, gdy odchyłona do tyłu głowa spoczęła na słupie. Kawalek dalej Henri, blady jak płótno, szamotał się, daremnie próbując uwolnić.

Odwrócił się w stronę François i powiedział cicho:

– Ojcze, jesteś dobrym nauczycielem i doskonałym przyjacielem. Czy pamiętasz, jak się poznaliśmy na ciemnej ulicy, miesiąc przed wspólnym opuszczeniem Marsylii?

François nie odpowiedział. Modlił się głośniej i wpatrywał w niebo. Twarz miał mokrą od łez.

– Dobry Boże, jak długo każesz cierpieć swoim dzieciom? Weź moją duszę i oczyść ją swą wieczną miłością. Pomóż mi znieść ból, który mnie czeka. Nie zostawiaj mnie, bo się lękam.

Henri znów się odezwał:

– Nigdy nie żałowałem, że przybyłem do tego kraju. Nigdy, ojcze. Za każdym razem, gdy myślę o tamtym dniu, jestem szczęśliwy. Dziękuję, że mnie ocaliłeś.

François zdał sobie sprawę, że słyszy jedynie własny łamiący się głos i szept Henriego. Na placu panowała cisza, tylko liście szeleściły na wietrze. Młody książę podniósł się z poduszek i ruszył w stronę więźniów. Jego długa złota tunika wykończona haftem i jedwabnymi frędzlami wlokła się po błocie. Trzej kaci uklękli i pochylili głowy. Ludzie wstrzymali oddech w narastającym napięciu – nigdy nie widzieli z tak bliska członka rodziny królewskiej. Książę podszedł prosto do François.

Kłęcząc, ksiądz patrzył mu prosto w twarz. Choć skóra

chłopca była gładka, a rysy dziecięce, starożytny duch wyzierał z jego okrągłych ptasich oczu. Książę lekko podniósł podbródek, żeby móc spojrzeć na niego z góry.

– Do kogo się modlisz, cudzoziemski mnichu?

– Do mojego Boga, Pana naszego Jezusa Chrystusa, Wasza Wysokość.

– Jeśli Jezus jest bogiem, czy może ocalić cię przed śmiercią?

François oblizał usta.

– Pogodziłem się z losem. Taka jest wola Boga.

– Czy wyrzekniesz się swojego boga w zamian za życie? – zapytał pogański książę.

François z trudem przełknął ślinę, by stłumić głośnie, dźwięczne „tak” cisnące się na usta. Zawstydziła go ta zaskakująca, nieproszona myśl.

– Boże, dopomóż – jęknął.

– Słucham – nacisnął mały książę. – Jak brzmi twoja odpowiedź?

– Nie – szepnął.

– Nie wyrzekniesz się swojego boga w zamian za życie swoje i towarzyszących ci misjonarzy?

François popatrzył na Henriego i uczniów. Na ich twarzach widział tylko strach. Błagali go w milczeniu. Zamknął oczy i pokiwał głową na znak zgody.

Książę zwrócił się do mandaryna kierującego egzekucją.

– Zwolnić tego człowieka i jego uczniów. Pozostałych zabić – rozkazał. Do François powiedział: – Zapamiętaj ten dzień, kapłanie. Nie ocalił cię twój Bóg, Pan Jezus. Ja, książę Ánh, oszczędziłem twoje życie. Nigdy więcej nie głoś fałszywej wiary w moim kraju. Jeśli spotkamy się kiedyś w podobnych okolicznościach, nie będę taki miłosierny.

Odwrócił się szybko i odszedł.

François opadł na słupek, pokonany. Został wyrwany ze szponów śmierci, ale miał zdruzgotaną duszę. Już nie czuł obecności Boga ani, co gorsza, w Niego nie wierzył.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Henri nie mógł zrozumieć, że został uwolniony przez chłopca, który miał nie więcej niż dwanaście lat. Przez rok pobytu w Annamie wiódł szczęśliwe życie. W przeciwieństwie do starszych misjonarzy nie miał kłopotów z dostosowaniem się do nowej kultury. Czuł się tak, jakby urodził się w tym kraju. Ale w więzieniu dobre samopoczucie zniknęło. Przygotował się na śmierć. Teraz dostał drugą szansę i chciał po prostu żyć – było to jego najgorętsze pragnienie.

Wiedział, że w każdej chwili królowa Kochinchiny może jednym ruchem ręki przekreślić rozkaz księcia. Serce mu podchodziło do gardła. Widział zniecierpliwienie na twarzach katów i dziesiątków strażników królowej. Metaliczne lśnienie ich mieczy było niczym blask słońca. Wszyscy łaknęli widoku krwi.

W chwili gdy zdjęto sznury, Henri odsunął się od słupa. Więźniowie, którzy nie zostali ułaskawieni, klęczeli. Nikt się nie odzywał, ale ciszę wypełniało oczekiwanie.

Henri rozumiał, że musi odejść, zanim tłum zażąda większego widowiska. Nie chciał być świadkiem egzekucji innych. Podbiegł do François, który leżał skulony na ziemi, rękami trzymając się za głowę.

– Na kolana – krzyknął strażnik.

Henri nie zwrócił na niego uwagi.

– Chodź! Pomóż ojcu François! – wrzasnął do Lôca.

Na środku placu kaci zbliżali się do więźniów. Rytmiczny huk bębnow, który zdawał się płynąć z serca tłumu, zagłuszył jego słowa. Lôc odszedł, jakby go nie słyszał.

Henri musiał razem z ojcem François wydostać się z miasta.

– Uklęknij – powtórzył strażnik, stając za nim. Obwisłe czarne wąsy krzywiły się na jego twarzy jak karykaturalnie przesadny grymas.

Chłopak nie zdążył wykonać rozkazu. Poczul ból z tyłu głowy. Kątem oka zobaczył, jak Lôc odpiesa gromadę strażników. Niebo jakby pojaśniało i słońce zawisło nad nim, groźne niczym kula ognia. Niedługo później spadło i ziemia stanęła w ogniu.

Henri z rozpostartymi ramionami upadł obok François.

Otrzeźwił go zapach krwi. Słyszał brzęczenie gżów. Leżał na plecach, patrząc w niebo. Zbliżał się wieczór. W miękkim, czerwonym zmierzchu sklepienie niebieskie wisiało nisko jak wieko trumny.

Henri podniósł się, łapczywie chwytając powietrze. Poczul żelazną obrozę na szyi. Prymitywna obręcz utrudniała mu oddychanie. Musieli go zakuć, gdy zemdlął po ciosie strażnika.

Wciąż był na placu, ale tłumy znikły wraz z pagoda na kołach, strażą, katami i rodziną królewską. Przed nim kucało sześć ciał, pozbawionych głów i przywiązanych do słupów. Muchy uctowały na przeciętych szyjach, w których skrzepta krew. Widok w połączeniu ze smrodem był tak makabryczny, że Henri się zastanawiał, czy nie trafił do piekła. Ból głowy przypominał mu, że wciąż jest na ziemi.

Jego żołądek skurczył się pod wpływem woni śmierci. Kaszłąc, Henri chwiejnym krokiem ruszył przez plac.

Światło dnia gaśło z każdym podmuchem wiatru. Usłyszał jęk i głos wykrzykujący jego imię. Ciemna postać kulila się pod murem. Był to jego nauczyciel.

François wypętl z kryjówki. Wyglądał jak ledwo żywy, ale Henri odetchnął z ulgą na jego widok. On też miał żelazną obrozę na szyi. Na metalu widniały wypisane czerwoną farbą litery, których nie umiał przeczytać. Objął nauczyciela. Ksiądz z trudem trzymał się na nogach.

– Gdzie Lôc i inni? – zapytał Henri.

Gdy nie doczekał się odpowiedzi, złapał nauczyciela za głowę i obejrzał ją, szukając ran. Nie znalazł żadnych.

– Odeszli – szepnął François.

– Nie żyją?

François pokręcił głową. Miał spojrzenie pozbawione wyrazu.

– Chwała Bogu, żyją – powiedział Henri. – Chodź ze mną. Robi się ciemno. Musimy opuścić miasto, zanim zamkną bramę.

Ku jego zaskoczeniu ksiądz nie ruszył się z miejsca. Henri chwycił go za ramię i poprowadził.

Szli główną drogą, kierując się na wschód. Henri pomyślał, że jeśli się pośpieszą, za niespełna dwie godziny dotrą do Rzeki Perfumowej. Zależało mu na opuszczeniu cytadeli. Znalezienie schronienia wśród wieśniaków było ich jedyną nadzieją. W jakiejś dalekiej wiosce, gdzie będą bezpieczni, ksiądz zdecyduje, co dalej.

Kiedy dotarli do wschodniego wyjścia z fortecy, brama już była zamknięta. Kilkunastu królewskich strażników zatrzymało ich. François schował się za plecami chłopca. Strażnicy pogadali między sobą, wskazując żelazne obroże, i wybuchli śmiechem. Ksiądz zakrył uszy rękami.

– Możemy przejść? – zapytał Henri.

Jeden z wartowników odparł:

– Przestępcom nie wolno chodzić tą samą drogą, z której korzystają poddani króla. Jeśli chcecie opuścić cytadelę, pełzajcie jak zwierzęta.

Wskazał mieczem niewielki otwór pod murem, najpewniej wykopany przez psa. Żółty księżyc oświetlał obniżenie prowadzące do dziury.

Henri przełknął ślinę, przypominając sobie, że musi zachować zimną krew. Jeśli chciał opuścić to miasto żywy, nie miał innego wyboru, jak robić to, co im każą.

– Ojcie, musimy być posłuszni – powiedział do François. – Idź pierwszy, proszę.

Ksiądz posłuchał, wbijając wzrok w ciemny otwór. Krzepki strażnik kopnął go i popchnął. François z krzykiem upadł na ziemię. Henri zatrząsał się z gniewu, ale milczał.

– Przestańcie ich dręczyć! – rozległ się gromki okrzyk.

Odwrócili się i w blasku olejnej latarni Henri zobaczył wysokie czoło de Béhaine'a. Towarzyszyła mu grupa żołnierzy w czerwonych mundurach. Żołnierze i strażnicy mierzyli się wzrokiem.

– Monsinior! – zawołał poruszony nowicjusz.

Strażnik, który wcześniej kopnął księdza, powtórzył jak papuga:

– Monsinior!

De Béhaine zatrzymał się. Gdy zdejmował czarną rękawiczkę, zyskując na czasie, na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Popatrzył na strażnika.

– Ty! Podejdź tutaj.

Przestraszony mężczyzna zbliżył się do niego.

– Jak przed chwilą mnie nazwałeś? – zapytał de Béhaine, nie zwracając uwagi na Henriego i jego nauczyciela.

Strażnik, wyczuwając wrogość, przeniósł spojrzenie na Henriego, jak gdyby szukał podpowiedzi. Kiedy jej nie otrzymał, szepnął:

– Nazwałem cię monsiniorem, panie.

Oczy księdza błysnęły z oburzenia. Rękawiczka świsnęła w ciemności, gdy spoliczkował mężczyznę.

– Nie jestem monsiniorem – rzekł cichym, konwersacyjnym tonem. – Od dwóch lat jestem biskupem Madrasu. Od jak dawna jestem prywatnym guwernerem Jego Wysokości? Niczego się nie dowiedziałeś, głupcze? Masz zwracać się do mnie Wasza Eminencjo. Nie zapomnij tego tytułu. Nigdy!

Spiorunował wzrokiem Henriego. Chłopiec skulił ramiona, zastanawiając się, czy powinien wiedzieć o jego awansie. De Béhaine odwrócił się w stronę straży.

– Na co czekacie? – warknął. – Precz z moich oczu.

Annamscy wartownicy rozplynęli się w ciemności. Ludzie biskupa również się wycofali, zabierając z sobą latarnię.

Mrok spowił twarz de Béhaine'a. Aby ukryć zdenerwowanie, Henri podszedł do nauczyciela i pomógł mu wstać. Ksiądz drżał, stojąc niepewnie na nogach. Biskup przyglądał się im obu.

– Co się stało ojcu François? – zapytał.

Jakbyś nie wiedział, nadęty biskupie, pomyślał Henri. Zduślił pogardę i odparł:

– Myślę, że ratunek w ostatniej chwili przed straceniem pomieszał mu w głowie. – Spojrzał z wściekłością na de Béhaine'a i dodał: – Wasza Eminencjo.

Biskup podszedł bliżej. Głębokie zmarszczki przecinały jego czoło.

– Wierzysz, że to, co spotkało ciebie i ojca François, wynika z mojej winy – powiedział. – Sądźysz, że powinienem wstać się u królowej, żeby ocalić wam życie. Dlaczego myślisz, że nie próbowałem?

Rozzłościło go pełne przygany spojrzenie chłopaka.

– Jak śmiesz? – ryknął. – Nowicjusz oskarża mnie o swoje nieszczęście? Wciąż masz między zębami ryż, który dostałeś na ostatni posiłek. Jak myślisz, kto ci to załatwił? – Kropelki śliny tryskały z jego ust. – Co wiesz o woli bożej albo o polityce i dyplomacji pomiędzy narodami? Czy uważasz, że moja misja w tym kraju polega tylko na ratowaniu misjonarzy, którzy zawiedli? A może sądźysz, że wasze życie warte jest więcej niż

znaczenie wiary, którą sumiennie tu krzewiłem przez wszystkie te lata?

Henri zbladł. Jego złość przemieniła się w strach.

W głosie biskupa zabrzmiał smutek.

– A może uważasz, że jestem bezduszny i tak tchórzliwy, że strach przed śmiercią przeważał nad pragnieniem pośpieszenia wam z pomocą?

Henri tak właśnie myślał. Wiedział, że musi powstrzymać potok słów biskupa, aby zyskać czas do namysłu.

– Skąd się tu wziąłeś? – zapytał. – W czasie ostatniego spotkania powiedziałaś nam, że wrócisz z kapitanem Petijeaneem za rok, z zapasami.

Biskup rozpiął sztywny kołnierz i pogładził się po szyi. Błada księżycowa poświata omywała jego surowe oblicze, gdy mówił z zamkniętymi oczami:

– Dzisiejszego popołudnia mogliście spotkać się ze śmiercią, ja zaś żyję z nią na co dzień. W tym kraju życie jest tanie. Przybyłem na Daleki Wschód dziesięć lat temu, gdy miałem ledwie dwadzieścia cztery lata. Jak was, prześladował mnie pech. Byłem więziony, poddawany torturom, bliski śmierci. Nigdy jednak nie pogodziłem się z porażką. Przysiągłem wierność Bogu. Do największej próby mojej wiary doszło pięć lat temu, gdy gubernator prowincji Hatien rozkazał swoim ludziom spalić misję. Moje całe dotychczasowe życie, ciężka praca i trudy poszły na marne. Tubylczy uczniowie, których zwerbowałem, zginęli albo wyparli się wiary. Sam jeden przeżyłem tę katastrofę. Musiałem uciec z Annamu i szukać schronienia w Indiach, gdzie zostałem konsekrowany na biskupa Madrasu. Moje serce i dusza wciąż należą do Kochinchiny. Jestem obecnie prywatnym gubernierem rodziny królewskiej w pałacu Hue. Nie głoszę im chrześcijaństwa. Dzielę się z nimi wiedzą o świecie Zachodu. Gdy oni dowiadują się więcej o mnie, ja dowiaduję się więcej o nich. Książe Ánh jest jednym z moich uczniów. Znaście go, dziś po południu ocalił wam życie.

Otworzył oczy i popatrzył na François, który odpowiedział pozbawionym wyrazu spojrzeniem. Biskup zbliżył się do niego i szepnął mu do ucha:

– Ojcze, wiem, kim byłeś przed przybyciem do Awinionu. Wiem więcej o twojej przeszłości, niż myślisz. Te sprawy są teraz nieważne. W Kim Lai uprzedzałem, że napotkasz trudności, od zniszczenia misji po wystawienie wiary na próbę. Nie chciałeś słuchać. Wiedz, że ani Bóg cię nie porzucił, ani ja. To ty porzuciłeś Boga. Byłem tam, gdy wyrzekłeś się naszego Pana, żeby ocalić życie. Wielu moich misjonarzy, zmuszonych do wyboru pomiędzy życiem a wiarą, wybrało śmierć męczeńską. Ty postanowiłeś ratować skórę, nie duszę. Nie nadajesz się na misjonarza.

Odwrócił się w stronę Henriego i opuścił rękę, żeby pokazać szyję. Blizna jaśniała w księżycowej poświacie.

– Widzisz, nowicjuszu, też poznałem poniżenie i strach. Wiem, co to znaczy nosić obrożę potępienia.

Henri dotknął żelaznej obroży.

– Tak, ten żelazny pierścień będzie mówił Annamitom, że jesteś religijnym wyrzutkiem – ciągnął biskup. – Napis głosi, że nie szanujesz ich tradycji i wartości ani nie wierzysz w ich bogów, dlatego za karę zostałeś zmuszony do wyrzeczenia się własnego Boga. Nie próbuj zdejmować obroży, bo spotka cię śmierć. Żelazo będzie cię dławić i ocierać szyję, dopóki go nie zdejmą. Będzie przypominać tobie i innym, że twoja wiara nie była taka silna jak pragnienie życia. Ja wiedziałem, że muszę nosić obrożę, aby kontynuować dzieło boże. Ale spójrz na swojego nauczyciela – jest półprzymny, niezdolny wyrzec słowa. Ciężka próba złamała jego ducha i on nosi żelazny kołnierz z innego powodu niż ja. Dlatego zabierz go do Quinionu i znajdź kapitana Petijana. On zawiezie was obu do Francji. Zwalniam was z przysięgi.

François chrapliwie wciągnął powietrze. Henri poczerwieniał.

– Ale...

De Béhaine nie pozwolił mu dojść do słowa.

– Jestem biskupem Madrasu. Ten tytuł został mi nadany przez Jego Świątobliwość papieża Klemensa XIV. Musicie być mi posłuszni.

– Czy zostaną odpuszczone nam grzechy? – zapytał Henri, który teraz myślał głównie o swoim nauczycielu.

Spokój biskupa był gorszy od gniewu, jakim wcześniej pałał.

– Jest tylko jedna odpowiedź na takie pytanie – powiedział.
– Zapytaj Boga.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Henri i François szli godzinami przez pola rozciągające się za cytadelą. Ścieżka zaprowadziła ich na szczyt skalistego wzniesienia. Tam przysiedli na parę minut i popatrzyli na otoczone murami miasto, w którym o włos uniknęli śmierci. W trakcie dalszej wędrówki na wschód napotykali coraz mniej świadectw ludzkiej obecności. Powietrze było ciężkie od wilgoci.

Późnym wieczorem usłyszeli szum Rzeki Perfumowej. Henri był zbyt zmęczony, żeby iść dalej. Nie widział nigdzie wioski ani chaty, ale czuł niesiony wiatrem nikły zapach gotujących się korzeni. Miał w pasie kilka srebrnych monet, które dostał od biskupa. Może będą mogli coś za nie kupić.

Ciemne chmury przysłoniły srebrny księżyc. Na głowy wędrowców spadły duże, okrągłe krople deszczu, lśniące niczym rtęć. Przemoczyły im ubrania i przykleiły je do skóry.

Byli sami w nieprzeniknionych ciemnościach. François mamrotał coś bez ładu i składu, jego twarz przypominała maskę. Kręcił się bezcelowo po drodze. Henri miał nadzieję, że ten stan wewnętrzny zamętu jest przejściowy.

– Ojciec François, proszę – zawołał za nim – musimy się schować przed deszczem. Musisz nabrać sił.

François jakby go nie słyszał. Zaciśnął pięści i wsunął je pod

pachy. Stał pośrodku drogi, odwrócony plecami do Henriego. Ciężkie od deszczu ubranie oblepiło mu ciało. Z tyłu, ze sterczącymi łopatkami, wyglądał jak nietoperz gotów do lotu w ciemną noc.

Gorzki zapach mokrej ziemi nasilił się, gdy wiatr zmienił kierunek. Henri wytarł wodę z oczu. Myśl o zostawieniu nauczyciela przemknęła mu przez głowę. Ale ziemia przed nimi była ciemna i bezludna. W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek potrzebował towarzystwa.

Trzasnął piorun i w świetle błyskawicy nowicjusz zobaczył zbiorowisko chat na palach. Martwe drzewa drapały niebo gałęziami podobnymi do szponów. W dali za rzędem skał połyskiwała Rzeka Perfumowa. Deszcz bił w falującą wodę, przemieniając powierzchnię w gadzie łuski. Potem znów zrobiło się ciemno.

Szli błotnistą ścieżką w kierunku wioski. Usłyszeli bębnienie kropeł deszczu o strzechy, gdy przed sobą ujrzeli trzęsawisko. Oślizłe błoto sięgało do kostek. Henri pobrnął wzdłuż rzędu martwych drzew do najbliższej chaty. Z błota poruszanego przez stopy płynął ohydny smród zgnilizny.

Wspiął się po drewnianej drabinie, zostawiając za sobą błotnisty szlak. Chciał zapukać, ale zamiast w drzwi jego ręka trafiła w zasłonkę. Wąski pasek światła prześwitywał pod wiszącą w wejściu płachtą. Wewnątrz zabrzmiały ostrożne kroki i ciche głosy niemal zagłuszone przez deszcz. Poskrzypywanie starych szczebli musiało zbudzić domowników.

– Kto tam? – krzyknął ktoś w chałupie.

– Dwaj podróżni potrzebujący schronienia – odparł Henri. Natychmiast zrozumiał swój błąd. Obcy akcent zdradził o wiele więcej, niżby sobie nowicjusz życzył. Głosy za wojłokową płachtą uciły. Henri pochylił się w stronę wejścia i czekał, drżąc z zimna.

– Pomóżcie nam – poprosił. – Jesteśmy przemoczeni i zmarznięci.

Odpowiedział mu tylko szum deszczu.

– Mamy pieniądze.

Struzka blasku u jego stóp przemieniła się w powódź światła. Zasłona się odchyliła. Wejście tarasował trzydziestokilkuletni mężczyzna ubrany tylko w przepaskę biodrową. Trzymał latarnię. Blask oświetlał jego brązową twarz i zapalał miedziane błyski w brodzie. Gdy zobaczył żelazną obrozę na szyi nowicjusza, cofnął się o krok.

– Nie mogę cię wpuścić.

Henri odwrócił się i poszukał wzrokiem François. Ksiądz stał na ziemi przy drabinie. Jego twarz ginęła w cieniu. Za nim połykiwało bagno.

Henri nie miał siły szukać innego schronienia. Izba za plecami Annamity była ciepła, a zapach suszonych ryb i gotowanych warzyw sprawił, że ślina napłynęła mu do ust.

Chrząknął.

– Jeśli odejdziemy, mój nauczyciel umrze z zimna i wyczerpania. Jest z nim źle. Proszę, wpuść nas. Odejdziemy rankiem, gdy tylko przestanie padać. – Wyczuwając, że mężczyzna się waha, dodał: – Zapłacę ci, panie.

– Wiem, kim jesteście – odparł wieśniak. – Cudzoziemcy nauczający zakazanej religii. Jesteście przestępcami. Nie mogę was przygarnąć, nawet za opłatą. Mam rodzinę.

Przesunął się i Henri zobaczył bliźniaczki chowające się za jego plecami, owinięte w matę plecioną z sitowia. Miały nie więcej niż dwanaście lat. Popatrzyły na niego spokojnie, gdy ojciec je przytulił. Światło latarni spływało na ich głowy. Dziewczynki wydawały się delikatne, ale miały różowe policzki i długie czarne włosy, które lśniły w bursztynowym świetle.

Henriego urzekło ich piękno. Wyglądały jak sarenki w lesie. Gdy zrozumiał, jakie szczęście gości pod tym dachem, ból ścisnął jego serce. Nie mając nic więcej do powiedzenia, uklonił się i życzył im dobrej nocy.

– Jacy z nas będą buddyści, jeśli zamkniemy drzwi przed cierpiącymi, mężu? – zapytał ktoś z kąta izby. – Jak nauczymy nasze dzieci życzliwości, kiedy będą widziały tylko obojętność i lęk?

Mężczyzna się odwrócił. Latarnia zakreśliła łuk i światło padło na drobną postać. Kobieta leżała na bambusowym łóżku, patrząc na nich. Usta miała spękane. Długie, gęste włosy – bliźniaczki je odziedziczyły – spływały po poduszce aż do podłogi i tylko one wydawały się zdrowe. Powitała Henriego skinieniem głowy.

– A-ale... – zająknął się jej mąż.

– Pragną gościny tylko na jedną noc. Ze wszystkich chat w wiosce wybrali naszą. To przeznaczenie. – Kobieta miała duże, rozgorączkowane oczy, wyrażające więcej myśli niż słowa.

Annamita westchnął pokonany.

– Przyrowadź swojego towarzysza – powiedział. – Moja żona i ja oraz nasze dzieci witamy was w naszym skromnym domu.

Przy piecu z terakoty, w którym trzaskało płonące drewno, dostali po misce ryżu ze smażonym okoniem. Ryby, będące podstawą pożywienia w tym regionie, nie stanowiły niespodzianki, ale tłuszcz wieprzowy z licznymi przyprawami był rozkosznym smakołykiem. Henri jadł szybko, trzymając rybę w palcach, miażdżąc chrupiącą skórkę, obgryzając grzebieniasty szkielet do czysta.

François kucnął w pobliżu, pochylony w stronę pieca. Posiłak się powoli. Henri nie miał pojęcia, o czym myśli jego nauczyciel. Wydawał się nieobecny, roztargniony, zagubiony. Bliźniaczki skuliły się pod kocem przy matce i patrzyły na niego. Wszyscy byli ciekawi jego stanu ducha, ale Henri wiedział, że Annamici nie mają w zwyczaju zadawać wielu pytań.

Gdy skończyli jeść i ich ubrania schły w ciepłe, gospodarz podał czarną herbatę. Nowicjuszowi zdrętwiał język od cierpkiego smaku i krople potu wystąpiły na czoło. Rozkoszował się ciepłem napoju, czując, jak mięśnie rozluźniają się po raz pierwszy od wielu dni. Za oknem głos ptaka przebił się przez szum deszczu.

– Y Lan i Xuan – powiedział ojciec – przyglądanie się gościom jest niegrzeczne. Słysząc kukułki. To oznacza, że zbliża się świt. Połóżcie się spać razem z mamą.

Dziewczynki ze śmiechem przytuliły się do matki. Annamita zwrócił się do gości:

– Wybaczcie im, nigdy wcześniej nie widziały człowieka z Zachodu. Nie rozumieją, dlaczego nie macie czarnych włosów i skośnych oczu.

– Wystarczy – powiedziała kobieta. – Nie przysparzaj naszym gościom większych przykrości niż te, których już doświadczyli.

Mąż umilkł. Henri postanowił zmienić temat.

– Co się stało z drzewami? Tak wiele obumarło.

– Utonęły – odparła kobieta.

Henri popatrzył na mężczyznę, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

– Za dużo wody, o wiele za dużo. – Gospodarz wstał, szeroko rozłożył ręce i wyjaśnił: – Rzeka wezbrała i powódź trwała przez wiele dni. Niektóre drzewa zostały wyrwane z korzeniami i odpłynęły z prądem. Inne zgniły. Mamy szczęście, że nasz dom jeszcze stoi. Zbudowaliśmy go z ojcem, gdy byłem w twoim wieku. Bez niego nic byśmy nie mieli. Jeśli woda się podniesie, stracimy wszystko.

– Mężu, usiądź, proszę. Nie wolno przemawiać z rozłożonymi rękoma. W tej przepasce i świetle wyglądasz jak człowiek Jezus.

Zmrużyła oczy i mrugnęła do męża, który stłumił pełen zakłopotania śmiech. Henri ukrył uśmiech za kubkiem herbaty.

Nawet François, choć początkowo osłupiał, zdawał się rozba-
wiony niespodziewanym poczuciem humoru gospodyni. Ale
śmiech szybko ucichł. Dziewczynki pisnęły pod kocem, wysko-
czyły z łóżka. Matka próbowała je uspokoić, ale nagle ona też
krzyknęła z przerażenia. Mąż podbiegł do niej.

Henri był zaskoczony – nie spodziewał się niebezpieczeństwa
w chacie. Poszedł za mężczyzną i zdążył zobaczyć węża, zanim
gad zniknął w małej szczelinie w łóżku i wtopił się w ciemność.
Nowicjusz nie miał czasu mu się przyjrzeć. Przez straszną chwilę
wyobrażał sobie, jak śliskie ciało wsuwa się pod jego kaftan.
Zagryzł usta, żeby powstrzymać przekleństwo.

Gdy wąż zniknął z pola widzenia, Annamita zajął się żoną,
która usiadła na skraju łóżka. Pomógł jej wstać. Z trudem chwy-
tała powietrze, idąc obok niego. Gąszcz lśniących włosów okry-
wał oboje niczym jedwabny całun. Mężczyzna oparł ją o ścianę i
delikatnie podniósł włosy, owinał je wokół dłoni i skręcił w
wielki kok z tyłu głowy. Henri zwrócił uwagę na brzuch, który
pęczniał pod bluzką wychudzonej kobiety. Była co najmniej w
szóstym miesiącu ciąży.

– Bardzo źle – mruknął mężczyzna.

– Co się dzieje? – zapytał Henri, zastanawiając się, czy uwa-
żają węża za zły znak.

– Przytrzymaj ją, proszę.

Kobieta wsparła się na ramieniu nowicjusza. François siedział
przed piecem jak wcześniej, ale teraz obejmował milczące bliź-
niaczki. Ich ojciec pośpieszył do wyjścia, oburącz chwycił zasło-
nę i zerwał ją z ramy.

Henri z początku nie rozumiał, czego gospodarz szuka. Wi-
dział tylko gałęzie martwego drzewa na tle ciemnego nieba. Na-
gle z dachu spadła kaskada żywych, wijących się lian. Kilka
zsunęło się na podłogę.

Dzieci znów zaczęły krzyczeć. Henri poczuł chłód, gdy jego
oczy w końcu rozpoznały znajome kształty węży – zdawało się,
że całe setki spadają z nieba wraz z deszczem. Sunęły po Podłó-
dze z niewiarygodną prędkością, unikając ludzi.

– C-co się dzieje? – zapytał drżącym głosem.
– Rzeka przybiera – odparł mężczyzna. – Węże uciekają do
wyżej położonych miejsc. Musimy opuścić dom.

Zimna wilgoć liznęła podeszwy stóp Henriego. Chata zadrżała gwałtownie, z dołu dobiegło bulgotanie. Woda przesączała się pomiędzy deskami podłogi, szybko się podnosząc.

Henri stał jak sparaliżowany, z niedowierzaniem patrząc, jak jego stopy nikną w przybierającej wodzie. W powietrzu rozchodził się ciężki, przenikliwy zapach jakby przeoranego błota, zmieszany z wonią nieokreślonych kwiatów. Ostry cios zapiekł go w policzek.

– Słuchasz mnie, cudzoziemcze? – zapytał gospodarz. – Czy może mam przyłożyć ci po raz drugi?

Henri cofnął się i mężczyzna uderzył go znowu.

– Powiedz mi, co zamierzasz zrobić – odezwał się cicho Henri.

– Pomóż mojej żonie i córkom. Musimy dostać się na dach.

François stanął na parapecie i podsadził jedną dziewczynkę na dach chaty. Jej siostra czekała przy nim, trzymając go za koszulę. Węże pełzały wszędzie, owijały się wokół rąk i nóg. Dziewczynka krzyczała, gdy na nią spadały, ale pomimo strachu chwyciła gady za ogon i wyrzucała do wody.

– Nie bój się, kochanie – powiedział ojciec. – To zaskrońce, nie są jadowite.

Henri wziął kobietę na ręce i zaniósł do okna. Niebo szarzało, rozjaśniane pierwszymi promieniami słońca. Woda się podnosiła.

Henri jako ostatni wspiął się na dach. Nie widać było końca ich niedoli. Gdy się kulili, woda wzbierała, nadciągając w białych, spienionych falach jak grzywy tysięcy rączych koni, rżących dziko na wietrze. Błyskawica rozcięła niebo, skacząc z jednej chmury na drugą w czerwonych i błękitnych jęzorach. Gdy woda podniosła się jeszcze wyżej, Annamita przeciął liany łączące dach ze ścianami chaty. Dach popłynął, obracany przez

prąd. Ulewa rozplotła kok kobiety i włosy spłynęły jej na plecy. Chciała je zebrać i skrócić, ale była zbyt słaba.

– O nie! – krzyknęła jedna z bliźniaczek. – Dom odpływa.

Mężczyzna przytulił dzieci.

– Nie bójcie się – powiedział, przekrzykując ryk wody. – Połóżcie się na brzuchach i mocno chwycicie liście palmowe, żeby wiatr was nie strącił.

– Uspokójcie się – dodała matka. – *Má* jest tutaj. Niedługo będzie po wszystkim. Będziemy bezpieczni.

Rodzice spojrzeli na siebie i w blasku błyskawicy Henri zobaczył rozpacz w ich oczach. Leżał na dachu, gdy powódź niosła ich przez labirynt lagun i kanałów. Przed nimi miasto Hue powoli znikało, gdy żywioł zmieniał granice wody i ziemi.

Zdawało się, że nic nie oparło się gniewowi powodzi. Jak okiem sięgnąć, z ludzkich siedzib zostało tylko kilka dachów, które przemieniły się w pływające wyspy z ludźmi rojącymi się jak kolonie mrówek. Ponad falami kołysały się korony palm i dębów, cedzące przepływającą przez nie wodę.

Tratwa zatrzęsała się gwałtownie wskutek zderzenia z drzewem. Okręciła się, jak gdyby porwał ją wir, podczas gdy nurt ciągnął ją w dół rzeki. Kobieta krzyknęła. Wyciągnęła ręce do męża, ale pochwyciła tylko powietrze. Przez jedną przerażającą chwilę machała rękami, potem włosy, które zaplątały się w gałęzie, ściągnęły ją do wody. Krzyk ucichł, gdy pochłonęły ją fale.

– *Má!* – wrzasnęły jednocześnie bliźniaczki.

Ojciec bez wahania skoczył do mętnej wody. Henri patrzył w miejsce, gdzie przed chwilą siedzieli. Ich nagłe zniknięcie było bardziej przerażające niż czekanie na katów, bo wtedy nie musiał podejmować decyzji. Wiedział, że musi coś zrobić, żeby dach nie odpłynął, pozostawiając tych dwoje na pewną śmierć.

Na osłep wepchnął ręce w gałęzie drzewa. Wyślizgiwały się, ale w końcu zdołał chwycić konar. Zaparł się stopami o deski dachu, lecz żywioł był nieugięty, woda silniejsza od niego.

– Pomóż! – wrzasnął do François.

Ksiądz objął go za nogi i wypatrywał Annamitów. Rzeka pod nimi wzbierała.

Henri zgrzytał zębami. Siły go opuszczały, już nie mógł utrzymać gałęzi, która zanurzała się w wodzie. Jakaś niepomowana siła zasysała ją w dół. Z gwałtownym szarpnięciem wyrwała się z jego palców i drzewo znikło w głębinie. Kobieta zanurzyła się razem z mężem jak ryba pochwycona w macki morskiego potwora. W rękach Henriego została garść liści. Tra-twa odpłynęła.

Woda się zakotłowała. Silny prąd wyrzucił drzewo na kilka metrów w górę, z jeńcami zaplątanymi w gałęzie. Kobieta popatrzyła na Henriego, ze smutkiem akceptując los męczennicy. Bliźniaczki krzyczały, wyciągając ręce do matki. François je przytrzymał. Rozległ się trzask, małżonkowie znikli na zawsze.

Henri padł na plecy wyczerpany. Rzeka szalała, a deszcz okładał go zimnymi jak lód kroplami, dopóki w końcu niebo się nie osuszyło.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Rzeka przybierała przez cały ranek, zmywając na swej drodze wszystko, co żyło. Tylko dzięki nieustającym wysiłkom Henri i jego towarzysze trzymali się na miotanym przez fale dachu. Czasami leżeli na brzuchach, niekiedy kucali, wciskając poobcierane, zakrwawione palce rąk i nóg pomiędzy szorstkie deski, podczas gdy woda biła w spód tratwy tysiącami gniewnych pięści.

Henri wyłowił odłamaną gałąź i używał jej jak prymitywnego wiosła, starając się sterować tratwą. Przed południem, gdy zbliżyli się do wyżej leżących terenów, nurt osłabł. Wiatr podarł chmury na kłębki niegroźnej bawełny. Ludzie leżeli na dachu, ogrzewani skąpymi promieniami słońca.

Gdy sunęli wśród gęstych trzciny i wysokiej trawy, Henri w końcu mógł złapać oddech. Trzymając palce w wodzie, rozglądał się po otoczeniu. Tratwę otaczało pływające cmentarzysko szczątków, złożone z mebli, mat, ubrań, szmat okręconych na deskach. Jego ręka musnęła coś gładkiego pod powierzchnią wody. Parę centymetrów dalej unosiła się zastygła w grymasie twarz niemowlęcia. Śledził dziecko wzrokiem, aż znikło wśród ciemnych dębowych kłód, które podskakiwały na wodzie.

Coś mu mówiło, że powinien czuć odrazę po dotknięciu trupa, ale był zbyt odrętwiały. Mgliście zdawał sobie sprawę

z żalem, że kucającym parę kroków dalej bliźniaczkom musi się wydawać nieczuły. Nawet ich cierpienie już go nie poruszało.

Wiatr i prąd pchały tratwę coraz dalej. Napotkali więcej zwłok, niektórych z unoszącymi się na wodzie długimi mackami włosów. Jedna z sióstr wychylała się nad skrajem dachu, żeby obracać zwłoki, szukała rodziców. Jej koszula miała kolor błotnistej wody. Wielkie łaty na ramionach i łokciach świadczyły o staraniach, z jakimi matka naprawiała podarte płótno. Słońce zaglądało w oczy dziewczynki, obnażając jej smutek.

Jej siostra kołysała się w rytm fal w ramionach François. Ubrana w opiętą na piersiach różową bluzkę wyglądała dojrzałej. W oczach Henriego jasny strój dziewczynki podkreślał tragiczną sytuację, w jakiej się znaleźli. Ale pomógł mu rozróżnić bliźniaczki – ta w szarej sukni zajmowała się ponurym zadaniem, podczas gdy ubrana na różowo siostra tylko się przyglądała.

Dotarli na zalaną równinę otoczoną przez góry. Rzeka płynęła pomiędzy stromymi brzegami, rozdzielając się na mniejsze strumienie. Po prawej stronie widzieli dachy i fortyfikacje miasta Hue. Wysokie mury fortecy spełniały funkcję zapory, chroniąc miasto przed zalaniem. Nawet z daleka Henri widział bijące w nie fale i zastanawiał się, jak długo wytrzymają narastający napór powodzi. Zmrużył oczy i dostrzegł na murach wartowników uzbrojonych w łuki i miecze, jakby gotowych do walki z żywiołem. Ich głosy niosły się nad wodą, gdy wykrzykiwali rozkazy.

Henri wypatrywał miejsca odpowiedniego do zacumowania tratwy. Po ośmiu godzinach spędzonych na wodzie wrócili do miejsca, w którym odpoczywał z nauczycielem zeszłej nocy. Powódź zatarła w ich wspomnieniach całą podróż, niczym zły sen. Teraz wszyscy byli słabi z głodu, pragnienia i zmęczenia.

Henri chwycił wiosło i resztką sił wyprowadził tratwę z głównego nurtu. Po czterdziestu mocnych uderzeniach paliły go

płuca. Brzeg okazał się zbyt stromy, żeby do niego dobić. Tratwa posuwała się wzdłuż niegościnnego brzegu w ślad za samotnym wróblem. Ciemne skrzydła trzepotały na tle nieba jak zagubiony znak interpunkcyjny, roztapiając się w mgiełce popołudnia.

Niedługo później otoczyły ich góry, a gęsta mgła zasnuła zatoczki pomiędzy wierzchołkami. Gdy okrążyli skalisty pagórek, dziewczynka w szarej sukni przysunęła się do Henriego. Podniosła głowę i patrzyła na ciemną sylwetkę przybliżającej się góry.

- Jak się nazywasz? – zapytał.
- Xuan – mruknęła. – Moja siostra to Y Lan.
- Wiesz, gdzie jesteśmy?
- Mój ojciec nazywał tę górę Ngúr Binh. Często przychodziliśmy tu zbierać grzyby.

Zaszlochała na wzmiankę o szczęśliwszych dniach i zakryła twarz rękawami. Płacz sprawił, że znów stała się małą dziewczynką, którą poznał ubiegłej nocy.

Henri odwrócił się, nie wiedząc, co zrobić. W jego pamięci odżyło wspomnienie matki i łzy zakręciły mu się w oczach. Czekał na przeminięcie tej chwili żalu z tą samą determinacją, z którą przetrwał burzę. Choć współczuł dziewczynce, czuł niechęć na myśl o niesieniu pociechy. Bliźniaczki straciły rodziców, ale w przeciwieństwie do niego miały siebie.

Wychylił się, chwycił najbliższą skałę i przyciągnął tratwę do brzegu. Nazwa Ngúr Binh, jak rozumiał, oznaczała „parawany króla”. W tej chwili miała ironiczny wydźwięk, gdyż najwyraźniej nadano ją w przekonaniu, że góra osłoni cytadelę przed katastrofami. Góra obojętnie wysuwała pochyłą pierś, nieświadoma ludzkich cierpień. Henri pomógł pozostałym wysiąść z chybłowej tratwy, ruszył po zboczach i obejrzał się, żeby sprawdzić, czy za nim idą.

Zbudowaną z granitu i łupku górę pokrywała cienka warstwa gleby, zdolna wyżywić tylko kilka rachitycznych sosen i rzadkie zarośla. Za szeregiem nagich skał Henri znalazł wąską ścieżkę.

Słońce schowało się za granią. Wróble wróciły i krążyły po niebie w poszukiwaniu gniazd. Znowu zapanował spokój i ziemia zdawała się pogrążyć w odrętwieniu, gdy światło dnia gasło nad skalnymi ścianami.

Henri obejrzał się na swoich towarzyszy. Parę kroków za nim Xuan stała na skraju stromego urwiska, oparta o wielki głaz. Jej cień leżał bez ruchu na ziemi.

– Słyszę konie – szepnęła.

Henri nadstawił ucha. Z początku żaden nowy dźwięk do niego nie dotarł, potem jakby szum ciężkiej ulewy poniósł się nad szczytami. W wyobraźni ujrzał strażę z murów cytadeli.

Spojrzał przed siebie, ale zobaczył tylko rozrzucone skały i rzadką trawę. Ścieżka ostro skręcała w prawo, niknąc mu z oczu. Ukląkł i wyciągnął rękę do Xuan. Dziewczynka przytuliła się do niego. Podniósł ją, a kiedy zobaczył strach w jej oczach, poczuł się tak, jakby patrzył na własne odbicie w lustrze.

– Szybko, ojcie François.

Y Lan i François zrównali się z nimi. Ksiądz trzymał za rękę młodą towarzyszkę, oboje mieli ten sam nieprzytomny wyraz twarzy. Ich spokój rozwścieczył Henriego.

– Ojcie François, czyżbyś złożył śluby milczenia? A może zupełnie straciłeś rozum? Odpowiedz mi, jeśli słyszysz, co mówię. Mam tego dość. Muszę sam wszystkim się zajmować, bo ty postanowiłeś zrzec się odpowiedzialności. Pytam cię, panie, gdzie twoja odwaga? Gdzie twoja wiara?

Ksiądz spuścił oczy. Zadrżał, ale nie odpowiedział. Dziewczynka w różowej koszuli pociągnęła go za rękę, dopominając się o uwagę. Odwrócił się w jej stronę.

– Znam twoje lęki – mówił Henri. – Tak, Bóg cię porzucił i teraz podajesz w wątpliwość swoją wiarę. Rozejrzyj się, spójrz tylko na to spustoszenie! A jednak życie nie szeszło i my wciąż

żyjemy. To wszystko stało się, bo tak miało być, nie widzę innej przyczyny...

Nie dokończył zdania. Wybuch wstrząsnął ziemią, niskie dudnienie przewaliło się po niebie, zapach prochu rozszedł się w powietrzu. Góra jęknęła, tysiące głazów i kamieni potoczyły się ku wodzie. Henri i jego towarzysze z przerażeniem ujrzeli schodzącą na nich lawinę.

Dzieci wrzasnęły. Ściana ziemi i kamieni przewróciła Henrie-
go na ziemię. Spowiła go ciemność, wyciskając mu dech z piersi.

Po ustaniu bombardowania stwierdził, że leży płasko na plecach na wąskiej ścieżce, z ręką przyciśniętą przez wielki kamień. Drętwa sięgała od czubków palców po łokieć. Głaz, który uratował go przed strąceniem do rzeki, miażdżył mu dłoń.

Xuan i François leżeli obok niego na zimnej, mokrej ziemi wśród skał, które spadły z góry. Y Lan, bliźniaczki w różowej koszuli, nigdzie nie było widać.

Henri naparł ramieniem na kamień, który przyciskał rękę. W końcu zdołał ją uwolnić i zobaczył, że jest zalana krwią. Dwa palce były wykręcone pod nienaturalnym kątem. Ostry ból przeszył mu ramię. Z trudem podniósł się i zdał sobie sprawę, że ręka odmawia mu posłuszeństwa. Był słaby, przemarznięty, nie mógł opanować drżenia.

– Y Lan, gdzie jesteś? – krzyknął, szukając w mroku kolorowego ubrania.

Jęk dobiegł z dołu. Henri spojrzał nad krawędzią, ale nic nie zobaczył. Jęk się powtórzył, ledwo słyszalny przez szum fal. Niedaleko skraju wody dostrzegł chudą, gołą rękę wystającą z rozpadliny. Różowy rękaw był niewidoczny. Palce poruszyły się, jakby go przywołując.

– Y Lan! Y Lan!

Zsunął się po skalistym zboczu, podtrzymując poranioną rękę. Szmer kroków za plecami dodał mu otuchy, gdyż świadczył o obecności jego nauczyciela. Słyszał stłumione krzyki dziewczynki.

Rozległy się kolejne wybuchy. Smugi pomarańczowego światła załamywały ziemię i wodę, jakby uderzył piorun. Henri spojrzął nad majaczącymi w mroku grzbietami wzgórz i opadł go strach, gdy zrozumiał, co widzi. Z mgły po drugiej stronie cytadeli wyłaniały się okręty wojenne. Naliczył ich ponad piętnaście, sunących po wodzie jak smoki, z ostrymi dziobami rozcinającymi powietrze. Wschodzący księżyc podświetlał je snopami srebrzystego blasku.

Ludzie na wysokich murach fortecy Hue krzyknęli z przerażenia na ten niewiarygodny widok. Henri zrozumiał, że jest świadkiem ataku na stolicę Kocinchiny. Ale kim byli napastnicy?

Pierwsza łódź zbliżała się do północno-wschodniej bramy cytadeli. Z otworów w drewnianych nadburciach wystawały lufy ciężkich armat, obsługiwanych przez żołnierzy w bambusowych zbrojach. Z tych ciemnych głębokich paszcz wylatywały kule, które spadały na fortyfikacje miasta.

Wybuchły pożary, popioły wirowały w powietrzu. Czarne słupy dymu zakłócały harmonię murów fortecy. Niektóre pociski przelatywały nad celem i spadały do rzeki. Inne docierały jeszcze dalej, wstrząsając górą, na której stali. Wcześniejszy pocisk musiał wywołać lawinę, która zbiła ich z nóg, a w każdej chwili mógł spaść następny.

Henri pobiegł w stronę Y Lan, stąpając ostrożnie po wilgotnej ziemi. Głowa dziewczynki uwięzła pod kamieniem. Pierś podnosiła się ciężko, zbryzgana ciemną krwią. Henri zaniknął oczy i zdrową ręką odtoczył kamień. Z gardła rannej dobyło się bulgotanie.

W rozmigotanym mroku rozpadliny Henri zobaczył dziurę, która powstała w miejscu nosa i ust dziewczynki. Z rany starczały ostre krawędzie kości. Y Lan zamknęła oczy. Mięśnie jej policzków poruszyły się lekko, jakby próbowały naprawić szkody.

Księżyc wspiął się wyżej na czyste niebo, rozpraszając ciemności. Henri wyraźniej zobaczył zmasakrowaną twarz i wezbrała

w nim nowa fala bólu. Dolna warga Y Lan się poruszyła. Z krwawej rany popłynął żaloszny, rwący się jęk. Henri usłyszał płacz François.

– Pomóż mi, ojczel! – zawołał.

Zagłuszyl go jednak huk następnego wystrzału. Góra zadrżała i sypnął się na nich grad kamieni. Henri oparł się ramieniem o ścianę rozpadliny i pochylił nad Y Lan, żeby ją osłonić.

François z zaskakującą energią wsunął się pod niego i wziął ranną dziewczynkę na ręce. Wybuch światła załśnił na jego ogolonej głowie i błysnął niesamowicie na metalowej obroży. Henri odwrócił się i na powierzchni wody zobaczył odbicie płonącej cytadeli. Część muru runęła i przez wyłom wdzierwała się powódź. Fala porwała gromadę ludzi, miotając nimi we wszystkie strony. Po ciemnym niebie szybowały płonące strzały, mknąc jak spadające gwiazdy ku statkom. Jedna trafiła w żagiel i okręt stanął w ogniu.

François pobiegł z krzykiem. Dziewczynka spoczywała w jego ramionach bezwładnie, z głową odchyłoną do tyłu, a kaskada jej włosów ociekała krwią. Xuan czekała na szlaku. Wrzasnęła przeraźliwie, gdy zobaczyła okaleczoną twarz siostry. Jej krzyk utonął w dudnieniu ciężkich kroków i śpiewie, który zdawał się płynąć z wnętrza góry. Ziemia drżała, wstrząsana echemi chrapliwego śmiechu.

Henri podniósł głowę. W blasku płonącej cytadeli zobaczył mrowie ciemnych sylwetek, które spływały ze zbocza niczym termity wypłoszone z gniazda. Niskie, niezrozumiałe głosy niosły się w nocy, tworząc tło dla brzęku stali.

Z bliska zobaczył, że ci ludzie nie noszą bambusowych zbroi, tylko złaclmanione ubrania. A jednak emanowała z nich groźba, gdy śpieszyli tłumnie z bronią wzniesioną nad głowy.

Henri złapał ojca François za ramię i pociągnął wzdłuż brzegu rzeki. Ludzie zbliżali się z każdą sekundą. Prowadziły ich słonie, dziesięć czy piętnaście ogromnych zwierząt stąpających w idealnej formacji grotu strzały. Nad ich głowami powiewał czterometrowy sztandar, czerwony w blasku ognia jak krew.

Na północnym wschodzie okręty wojenne podchodziły do wyrw w murach cytadeli. Śpiew za plecami Henriego przybierał na sile, gdy cienie z pochodniami podciągały coraz bliżej. Parę minut później ludzkie morze pochłonęło czworo uciekinierów.

– Król Nhac! Król Nhac! Król Nhac!

Fale głosów płynęły w noc wraz z dzikim dudnieniem bębnow i trąbieniem rogów. Kakofonia nie ucichła nawet wtedy, gdy żołnierze dotarli na skraj wody.

Henri poczuł na twarzy gorące światło i zobaczył płomienie zlizujące ciemność. Spośród otaczających ich nieznajomych twarzy jedna z uśmiechem wysunęła się do przodu. Natychmiast rozpoznał opuchniętą górną wargę i szczerbate usta młodego konwertyty z Kim Lai, Lõca.

– Nauczycielu Henri, ojciec François! – zawołał chłopak. – Znowu się spotykamy.

Henri ukląkł na ziemi i zapłakał – sam nie wiedział, czy z ulgi, czy z rozpacz. Wokół niego wieśniacy skandowali:

– Król Nhac! Król Nhac! Król Nhac!

Ale nowicjusz już ich nie słyszał. Zanim spowiła go ciemność, zdążył zobaczyć Xuan, która śpieszyła do ojca François i okaleczonej bliźniaczki.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Minęła północ. Chłopska armia na stromym zboczu układała się do snu. Grupy mężczyzn skupiły się wokół ognisk płonących na wilgotnej, nierównej ziemi. Pięciu żołnierzy stanęło na straży przy François i Henrim, którym związano ręce. Sznur okręcony wokół pnia migdałowca krępował im nogi w kostkach. Dwaj wieśniacy ułożyli osierocone bliźniaczki w sznurowym hamaku i wynieśli je poza krąg światła.

Wśród straży był posiniaczony poganiacz bawołów.

– Śmiało, nauczycielu Henri – powiedział. Podniósł miecz w stronę cytadeli i oblizał spuchnięte usta. – Dołącz do naszej armii. Zabierz swojego Boga, żeby pomógł nam zmiażdżyć tych, którzy wyrządzili krzywdę tobie i twojej religii.

Grupa chłopów skulonych w pobliżu zamruczała i pokiwała głowami. Henri zadrżał. Księżyc żeglował ku zachodowi, zalewając blaskiem spustoszoną ziemię. Fale powodzi biły o skały kilka kroków poniżej obozu, mgła wisiała nad powierzchnią wody.

W dali odgłosy bitwy przycichały, pożary w fortecy gasły, czarne kolumny dymu pięły się w niebo i mieszały z chmurami. Choc w pobliżu płonęło ognisko, Henri nie mógł pohamować drżenia. Miał gorączkę, był osłabiony. Śmierć rodziców dziewczynek przywołała wspomnienia i wciąż miał przed oczami

twarz swojej matki. Nie chciała zniknąć, nawet gdy Lôt mówił do niego wysokim, podekscytowanym głosem. Widział na niej głębokie zmarszczki cierpienia. Wspominał zapach jej nieupranych ubrań, podobny do woni rozkładających się liści po deszczu. I oczy, z których wзираła udręka, gdy spoglądał w nie po raz ostatni. Chciałby wejść do izby na rue de Lappe i zobaczyć matkę siedzącą przy oknie, otuloną w gruby płaszcz. Gałąź trzasnęła w płonącym przed nim ogniu.

Kropelki wilgoci spadły mu na policzki, ale były za zimne na ły. Henri podniósł ręce i poczuł rosę na skórze. Obejrzał dwa złamane, nienaturalnie wygięte palce. Zabrakło mu odwagi, żeby nastawić kości. Krew z rany skrzepła, ciało spuchło. Stracił czucie w palcach. Ta drętwa nim wstrząsnęła; wolałby odczuwać ból.

Mgła wokół niego zgęstniała i poganiacz bawołów zniknął z pola widzenia. Henri położył się i próbował zasnąć. Sznury krępował mu ruchy, a gdy leżał na wznak, obręcz na szyi utrudniała oddychanie. Ojciec François spał niespokojnie, ciche pochrapywanie płynęło w noc.

Henri patrzył w niebo. Jego myśli, przepełnione poczuciem utraty, dryfowały nad poturbowanym ciałem. Niebo ponad obozowiskiem było murem czarnej obojętności, a księżyc – ścięta głowa – pływał w kałuży własnej krwi. Myśli zaczęły się rwać i plątać.

Zasnął z otwartymi ustami, jakby gotów do krzyku.

Ranek wstał w eksplozji światła słonecznego. Jasność przeniknęła przez powieki i Henri aż zamrugał. Myśli napływały echem, powoli i z daleka, jak gdyby ze studni. Chciał z powrotem zasnąć, ale odgłos zbliżających się kroków przyspieszył bicie jego serca.

Na zboczach góry wieśniacy w cztero- i pięcioosobowych grupach doskonalili bojowe umiejętności. Nogi mieli ubłocone;

słońce przeglądało się w podzwaniających mieczach i bułatach. Za nimi ciemne sylwetki drzew i krzewów pięły się ku błękitnemu niebu.

Henri przeciągnął się, ostonił oczy przed blaskiem i nagle zrozumiał, że już nie jest przywiązany do drzewa. Poziom wody zmniejszył się w ciągu nocy. Niewielkie łąty odsłoniętej ziemi tworzyły przerywany szlak biegnący do cytadeli Hue, ale prąd pomiędzy nimi był jeszcze zbyt silny, żeby armia buntowników mogła się przeprawić. W czarnej mgłę widać było rozbite mury. Tu i ówdzie na moczarach leżały wywrócone kadłuby sampanów, które zostały zniszczone w nocy w trakcie próby ucieczki z miasta. Wyglądało na to, że flota napastników zdobyła cytadelę. W powietrzu wisiał gryzący zapach prochu i siarki, aż łyzy napływały do oczu. Henri pomyślał, że słyszy krzyki dobiegające zza murów fortecy.

Ręka zacisnęła się na jego ramieniu, zbyt twarda, żeby mogła należeć do François. Odwrócił się i zobaczył poganiacza bawołów. W świetle dnia chłopak wydawał się wychudzony i niewyrośnięty. Bezkształtny czarny strój okrywał go po kolana. Zmrużył oczy w uśmiechu.

– Polują na króla Due Tonga – wyjaśnił, wskazując cytadelę.
– Szpieg doniósł, że widziano, jak w nocy ucieka z niedobitkami armii. Mam nadzieję, że dopadnę żołnierza, który mnie uderzył. Kiedy tak się stanie... – potrząsnął pięścią w powietrzu – wybije mu wszystkie zęby. Do końca życia będzie siedział w chlewie i chleptał zupę z koryta.

Henri patrzył na niego ze zdziwieniem. Widział wielką bitwę, ale niewiele rozumiał. Nie wiedział, kto walczył ani kto wygrał. Złość Lõca niepokoiła go, choć raczej nie stanowiła niespodzianki. Zastanowił się, czy przemówiłaby do tego chłopaka filozofia nadstawiania drugiego policzka. Ale on, Henri, już nie był misjonarzem. Żelazna obręcz na szyi przypominała, że powinien zachować milczenie. Zdrową dłońią potarł ramię Lõca.

– Zapomniałem, jaki jesteś silny – rzekł z lekkim uśmiechem. – Jeśli ten biedny strażnik wpadnie w twoje ręce, to będzie najbardziej pechowa chwila w jego życiu.

Lộc parsknął, przyjmując komplement. Henri spostrzegł, że nauczyciel zniknął.

– Wiesz, gdzie jest ojciec François?

– Uwolniłem go wczesnym rankiem, gdy spałeś. Poszedł odwiedzić ranną dziewczynkę i jej siostrę.

– Co to znaczy, że go uwolniłeś? Już nie jesteśmy więźnia-
mi?

– Obraziłbym waszego Boga, gdybym zatrzymał jego świętych ludzi – odparł Lộc. – Poręczyłem za waszą niewinność i opowiedziałem zwierzchnikom, przez co razem przeszliśmy. Zgodzili się was uwolnić. Możesz iść, dokąd zechcesz, nauczycielu Henri. Ale jeśli odejdziesz w góry Ngür Binh, już nie będziesz pod naszą ochroną. Radzę, żebyś do nas dołączył.

– Nie mogę, ojciec François też nie. Musimy ruszyć w dalszą drogę. Mój nauczyciel jest niezdrów. Powinien wrócić do Francji. Odejdziemy razem. Jak wiesz, jestem jego jedynym towarzyszem.

Widząc rozczarowaną minę Lùca, dodał:

– Proszę, zaprowadź mnie do ojca François. Poza tym byłbym niegrzeczny, gdybym zostawił biedne sieroty bez słowa pożegnania.

Henri poszedł za Lùcem wydeptaną ścieżką. Po drodze minęli ponad trzydzieści prymitywnych obozowisk. Główny trzon chłopskiej armii obozował na brzegu rzeki, podczas gdy przywódcy ulokowali się dwieście metrów wyżej, skąd widzieli cały region Hue jak na mapie.

Szlak wijący się po urwiskach i dnach stromych wąwozów w końcu doprowadził ich do jaskini. Na polance przed wejściem, pomiędzy pniami dwóch banianów, wisiał pusty hamak. Henri

zajrzał do pieczary. Wewnątrz czaiła się obca, wilgotna ciemność. Lột wszedł, Henri za nim, chowając głowę w ramiona, żeby nie uderzyć w niski strop.

Wewnątrz spowił go chłód. W głębi jaskini mrugała dymiąca pochodnia. W powietrzu unosił się zapach dzikich ziół i ryżowego alkoholu.

Y Lan, ranna dziewczynka, leżała na boku, z kolanami podciągniętymi do piersi. Twarz miała owiniętą szmatką zamoczoną w jakimś soku roślinnym. W pobliżu na kamieniu siedziała jej siostra, wspierając podbródek na kolanie. Był tam jeszcze ktoś, kobieta, której profil ginął w ciemności. Głowę miała okręconą szalikiem. U jej stóp stał kamienny moździerz z gęstą czerwona-wą ciecżą. Kobieta umoczyła w miksturze okrągły liść baniana i podała go Xuan. Dziewczynka delikatnie przyłożyła liść do obandażowanej twarzy siostry.

– *Bờ Y Lan, ba bờn chín vía, Y Lan, về đây* – wyrecytowała śpiewnie. Magiczne zaklęcie błagało ducha rannej bliźniaczki, wzywając go do powrotu.

Krąg czerwonego światła oświetlił wyczerpaną, przerażoną twarz Xuan. Księdza François nie było w jaskini.

Xuan przerwała rytuał, żeby spojrzeć na przybyłych. Z radośnym okrzykiem przeskoczyła nad siostrą i rzuciła się Henriemu na szyję. Chłopiec był zaskoczony najpierw jej reakcją, potem własną. Fala ciepła zalała mu serce i przytulił dziewczynkę, spoglądając przez kosmyki jej włosów.

Kobieta podniosła się, odwróciła i zdjęła szal. Płomienie pochodni zalśniły w jej złocistych włosach. Minęła Henriego, zmierzając do wyjścia z jaskini. Była to siostra Lucía. Nie okazała, że go poznaje.

Druga bliźniaczka patrzyła na nich z postanienia. Nim Henri zdążył zareagować na widok siostry Lucíi, zobaczył ból w oczach Y Lan. Wyrwał się z uścisku Xuan. Jej palce, wilgotne od lekarstwa, zostawiły purpurowe ślady na jego kaftanie.

– Znalazłeś nas – szepnęła Xuan. – Nie mogłyśmy znieść myśli, że jesteśmy tu same. Ale przyszedłeś.

Krzyk wyrwał się z gardła Y Lan. Próbowwała usiąść. Twarz jej poczerwieniała, opatrunek zacisnął się na policzkach. Xuan pośpieszyła z pomocą. Wzięła następny liść, żeby uśmierzyć ból. Zaczęła śpiewać monotonna:

– *Bờ Y Lan, ba bờn chín vía, Y Lan, vể dây.*

Henri podszedł bliżej. Zakłopotany, zastanawiał się, dokąd poszła siostra Lucia. Jego cień padł na bliźniaczki.

– Zdaje się, że chce coś powiedzieć. Co mamy zrobić, żeby ją zrozumieć?

– Wiem, co chce powiedzieć – odparła Xuan. Głos miała słaby i zmęczony. – Nie może znieść bólu.

Położyła liść na twarzy Y Lan. Podobny do maski bandaż nasiąknął jeszcze bardziej i odbijał blask ognia.

– Sza – mruknęła. – Nic nie mów, bo rana będzie mocnej krwawić.

Ranna dziewczynka opadła na postanie z liści. Jej szyja się naprężyła, słowa wyrwały się z gardła. Tym razem Henri zrozumiał udręczony krzyk.

– Chcę do *má!* – wołała. – Gdzie jest *má!*

Xuan przełknęła łzy. Lộc usiadł na ziemi przy Y Lan. Podniósł jej głowę i ułożył w zgięciu ręki. Ku zaskoczeniu Henriego, wziął liść z ręki Xuan i podjął dziwne praktyki, z czułością uspokajając dziewczynkę.

– *Bờ Y Lan, ba bờn chín vía, Y Lan, vể dây* – śpiewał. – Y Lan, zatrzymuję w ciele twoje trzy dusze i dziewięć duchów. Nie ważcie się odchodzić! Rozkazuję wam się uzdrowić.

– Dlaczego śpiewasz te zabobonne hymny? – zapytał Henri bez namysłu.

Lộc spojrział na niego.

– Już nie jestem twoim uczniem, nauczycielu Henri. Jeśli postanowisz zostać z nami, możesz nauczać o uzdrowicielskich mocach swojego Boga i wtedy będziemy słuchać.

Łagodnie światło w pieczarze ściemniało i wściekły głos zagrzmiął za plecami Henriego:

– Brednie!

Słowo odbiło się od ścian. Henri odwrócił się i zobaczył grupę wieśniaków. Niektórzy byli ubrani na czarno, inni mieli bambusowe zbroje.

Na czele buntowników stał młody, dwudziestokilkuletni mężczyzna, bez wątpienia najpotężniej zbudowany Annamita, jakiego Henri dotąd widział. Faliste, czarne jak smoła włosy spadały na jego szerokie ramiona. Tors miał nagi, muskularny, ukośnie przecięty cięciwą splecioną z końskiego włosia. Nad ramieniem widać było strzały w kołczanie i łuk wykładany kością słoniową. Jego jasnobrązowe, gładkie ciało górowało nad wszystkimi innymi. Przystojny i imponujący, przypominał Henriemu dąb.

Na prawo od niego stała kobieta z mieczem. Rękojeść, na wpeł ukryta w jej dłoni, była zdobiona klejnotami, które rozsiewały tęczowe błyski. W porównaniu z piękną bronią wojowniczką wydawała się pospolita i mało atrakcyjna. Twarz miała ogorzłą, tułów długi i płaski, usta wąskie, mocno zaciśnięte. Zbyt szeroko rozstawione oczy nie mogły uchodzić za ładne, ale spoglądały tak badawczo, że Henri spuścił wzrok.

Obok niej stał François, zamiast brudnych łachmanów miał czarny strój, jaki nosili chłopscy żołnierze. Henri spostrzegł, że jego nauczyciel już nie ma metalowej obroży.

– Księżę Thom! – zawołał Lột. Pochylił głowę.

Xuan padła na kolana.

Thom otworzył ramiona i uśmiechnął się, pokazując rząd równych, białych zębów.

– Nie należy nikogo zmuszać do przyłączenia się do zachodnich górali – powiedział do Lộtca. – Jesteśmy wojskiem ochotników i nasi wojownicy walczą o wolność. Jeśli cudzoziemski nauczyciel nie chce zostać z własnej woli, może odejść.

Henri popatrzył na księcia buntowników. Thom władał annamskim w czystej formie, jakiej on uczył się od ojca François na pokładzie statku. Rozumiał go znacznie lepiej niż innych wieśniaków. Miał tyle pytań, że nie wiedział, od czego zacząć.

– Kim są zachodni górale? – zapytał. – I dlaczego atakujecie cytadelę?

Thom wsparł stopę na kamieniu i przyjął swobodną pozę. Łagodnym tonem odparł:

– Cudzoziemcze, dobrze mówisz naszym językiem, ale widzę, że nie znasz się na naszej polityce. Przybliżę ci historię tego kraju. Król Due Tong został koronowany siedem lat temu jako zaledwie dwunastoletni chłopiec. Nie mógł samodzielnie rządzić królestwem, dlatego mianował wicekróla, Truong Loana. Loan okazał się diabłem. W krótkim czasie zgromadził dość siły i bogactw, żeby rządzić krajem.

Wicekról wciąż podnosił podatki, aż w końcu świadczenia stały się takie wysokie, że wieśniacy nie mogli im podołać. Ci, którzy nie płacili, musieli sprzedawać ziemię i bydło albo, co gorsza, oddawać dzieci w niewolę. Loan spłodził liczne potomstwo i umyślił sobie, że jego dzieci wraz z krewnymi króla będą wychowywać się w bogatych domach, które będą musiały zapewnić im utrzymanie na królewskim poziomie. Aby sprostać temu zadaniu, miejscowi władcy zaczęli okradać biedaków. W wojsku było podobnie. Każdy wojownik, który nie chciał iść na wojnę, mógł się wykupić kością słoniową, sztukami złota i srebra albo innymi skarbami. W kraju rozszalała się korupcja, głód i niesprawiedliwość.

Thom wciągnął głęboki oddech.

– Moi bracia i ja jesteśmy jedyną nadzieją wieśniaków. Walczymy o przeżycie, wolność i uczciwe rządy. Pytałeś, kim są zachodni górale. To my, wieśniacy Kochinchiny. Jeszcze nie zaatakowaliśmy cytadeli, bo nie jesteśmy dość silni. Północne królestwo Tonkinu próbuje zmiażdżyć Południe. To ich łodzie i armaty widziałeś zeszłej nocy. My czekamy na właściwy moment.

– Dlaczego przysłiście na miejsce bitwy, skoro nie zamierzacie walczyć? – zapytał Henri.

– Pod wieloma względami armia z północy jest znacznie lepiej przygotowana niż my. Jak południowy król wiedzą o nas

i uważają za buntowników. Przybyliśmy tutaj, aby pojmać członków rodziny królewskiej w trakcie ucieczki z cytadeli, a potem wydać ich Północy. W ten sposób zawrzemy przymierze z północnym królem, zapewniając sobie przetrwanie i bezpieczeństwo. Tonkińcy potrzebują naszej pomocy, ponieważ jesteśmy rolnikami. Jesteśmy ludźmi, którzy uprawiają ziemię. Bez nas ich bogactwo przypadnie.

– Ale ty, książę, jesteś wykształconym człowiekiem. Jak możesz być jednocześnie księciem i rolnikiem?

Thom zaśmiał się gromko.

– Książę biedaków jest wieśniakiem. Noszę ich stroje i dźwigam ich sztandar. Przez kilka lat pobierałem nauki, to wszystko. Możesz zwracać się do mnie po imieniu.

– Dlaczego mówisz mi to wszystko?

Śmiałość nowicjusza zirytowała wojowniczkę. Spojrzała na niego gniewnie.

– Jak przystało na świętego człowieka, ratowałeś nasze dzieci, choć sam byłeś w niebezpieczeństwie – odparł Thom. – Co roku coraz więcej białych duchów przybywa do naszego kraju. Nie mamy innego wyboru, jak uczyć się ich zwyczajów. W zamian za wolność, jaką zamierzam cię nagrodzić, masz im przedstawić naszą trudną sytuację, żeby mogli zrozumieć, kim jesteśmy i o co walczymy.

Popatrzył na kobietę.

– Pani Bui jest generałem, jednym z moich naczelnych dowódców. Zręcznie włada mieczem i potrafi w bitwie wyłuskać wrogowi oczy bez odbierania mu życia. Teraz zdejmie ci z szyi jarzmo potępienia.

Kobieta wystąpiła, podniosła błyszczący miecz i wsunęła ostrze w zamek spinający obrożę. Potem przekreśliła nadgarstek, pociągając Henriego do przodu. Ledwie parę centymetrów dzieliło szyję od stali. Po kilku takich pchnięciach zamek pękł na pół. Kiedy kobieta opuściła broń, obręcz z brzękiem spadła na kamienne podłoże jaskini. Henri poderwał ręce do szyi, spodziewając się potoku krwi, ale palce nie znalazły rany. Czuł tylko

łaskotanie świeżego powietrza na skórze. Wreszcie znów mógł swobodnie oddychać.

– Nauczycielu, jesteś wolnym człowiekiem – oznajmił Thom. – Teraz możesz odejść.

Na polanie przed jaskinią misjonarze schowali skromny dobytek w dwóch bambusowych koszach. Najcenniejszymi darami była żywność i ubrania od Thoma, księcia wieśniaków. Zapasy składały się ze świeżych owoców, gotowanego ryżu i kawałków suszonej na słońcu dziczyzny, owiniętych w liście bananowca. Poza czystymi ubraniami, które mieli na sobie, dostali dodatkowe, uszyte ze zgrzebnego płótna i ufarbowane w roślinnym soku na błotnisty, nieokreślony kolor.

Na rozkaz Thoma jeden z żołnierzy przyprowadził ośła do dźwigania darów. Henri przytroczył kosze po obu stronach siodła, równo rozkładając ciężar. Dzięki szamanowi, który nastawił złamane kości i założył łubki, znowu czuł palce. Tępy ból podnosił go na duchu i przekonywał, że wciąż są częścią jego ciała.

Księżę wieśniaków siedział na gałęzi baniana, patrząc na miasto w spokojnym skupieniu. Łuk i strzały zwisały z gałęzi w zasięgu jego ręki. Koncentrował uwagę na rzeczach, których niewyszkolone oczy Henriego nigdy by nie zobaczyły.

Przez ciemnozielony baldachim liści słońce rzucało żółte cętki na twardą ziemię, gałęzie drzew kołysały się na wietrze. Henri skończył juczyc ośła i popatrzył na François. Ksiądz z nieobecnym wyrazem twarzy wpatrywał się w ziemię.

– Jesteśmy gotowi do drogi, panie – powiedział nowicjusz do księcia Thoma. – Za twoim pozwoleniem.

Usłyszał za plecami pociągnięcie nosem. Odwrócił się i zobaczył w cieniu wejścia do jaskini Xuan, która obejmowała siostrę Lucię.

– Gdzie jest siostra Natalia? – zapytał zakonnice.

- Nie żyje.
- Jak zmarła?

Lucía potarła skronie rękami. Księżę Thom wyjaśnił:

– Uratowaliśmy twoją przyjaciółkę z domu Tuyèna, gdy zdobyliśmy Quinion. Tylko ona przeżyła. Jesteśmy wdzięczni, że pomaga nam przy chorych i rannych.

- Szaman uczy ją sztuki leczenia – dodała pani Bui.

Wieść o śmierci Natalii odebrała Henriemu mowę. Z drugiej strony dziwił go fakt, że Lucía uszła z życiem z rąk brutalnych żołnierzy.

– Dokąd pójdziecie? – zapytał księżę. Wskazując François, dodał: – Z nim jest niezbyt dobrze.

Henri z namysłem ściągnął brwi. Plamki słońca na ziemi zrobiły się okrągłejsze. Dochodziło południe. Niedługo będą na szlaku, oddalą się od miasta Hue i wszystkie te ponure wydarzenia ukryją się w najciemniejszych zakamarkach pamięci. Czuł, że pragnie już wyruszyć w drogę.

– Zabiorę mojego nauczyciela do Quinionu – odparł. – Tam znajdziemy statek, który zabierze nas do Francji. Skoro ojciec François nie może samodzielnie podejmować decyzji, powrót do domu będzie najlepszym rozwiązaniem. Na mnie w Paryżu czeka matka, więc udam się razem z nim. Minął szmat czasu, odkąd wyjechałem z kraju. – Westchnął cicho, nagle świadom wagi swoich słów. – Nie mogę zostać tu dłużej. Muszę wracać do domu.

Odwrócił się w stronę zakonnic.

- Siostró Lucío, wracaj razem z nami.

Pokręciła głową.

– Wolę zostać z buntownikami. Widzisz, już nie jestem zakonnicą, nie jesteś za mnie odpowiedzialny.

– Czy wszyscy rozumiecie, że możecie zostać? – zapytał Thom.

- Dziękuję, ale ja muszę odejść – odparł Henri.

Poczuł, że coś dotyka wnętrza jego dłoni. Drobną rączką zacisnęła się na jego palcu. Henri odwrócił się niechętnie. Obok niego stała Xuan. Łzy wyłobiły ścieżki w kurzu na jej policzkach.

– Nie mogę cię zabrać – powiedział. – Wśród tych ludzi jesteś bezpieczna. Siostra potrzebuje twojej pomocy, musisz się nią zaopiekować.

– Ale ja nie chcę zostać! – zawołała, chwytając go oburącz.
– Bezpieczniej czuję się z tobą.

– Nie! Nie mogę.

Odsunął się od niej. François niezdarnie odwiązywał ośła. Henri wyjął postronek z jego ręki. Z sercem pełnym poczucia winy poprowadził księdza krętą drogą, starając się nie oglądać na Xuan. Na zboczu nie mógł się powstrzymać i przyspieszył do biegu. François z trudem dotrzymywał mu kroku. Postronek zmusił zwierzę do galopu.

– Nie możemy zostać, nie możemy zostać! – krzyczał Henri niemal w transie. – Jutro będziemy gdzieś indziej.

Oczami wyobraźni widział wydęte na wietrze białe żagle „Wędrowca”.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Szli w blasku gorącego słońca. Henri nie był pewien, czy zmierzają we właściwym kierunku. Książe Thom powiedział, że port Quinion leży około trzystu kilometrów na południowy wschód od cytadeli Hue, ale powódź zniszczyła drogi. Wszelkie punkty orientacyjne sprzed paru tygodni przestały istnieć.

Henri rozglądał się, szukając znajomej formacji skał czy pagody, ale nic nie pobudzało jego pamięci. Widział tylko ruiny opuszczonych wiosek i trupy mieszkańców. Nawet powietrze zastygło, pozbawione życia – panowała cisza. Śmierć unosiła się nad wymarłą okolicą, budząc sępy, które dreptały po jałowej ziemi, rozdzierając zwłoki szponami i zakrzywionymi dziobami. Henri dotąd nie widział z bliska tych wielkich, przerażających ptaków i przyglądał się ze zgrozą, jak wypełniają swą odwieczną rolę. Po uczucie odlatywały, zostawiając na wysuszonym gruncie wilgotne szczątki, które szybko znikwały pod falami czerwonych mrówek.

Ziemia zdawała się topić w żarze słońca, gdy wędrowcy dotarli do kępy tamaryndowców otoczonych przez wysokie trzciny. Nowicjusz upadł w cieniu, podczas gdy nauczyciel stał bez ruchu, trzymając postronek osła. Zwierzę trącało pyskiem jego rękę, szukając poczęstunku.

Zmęczony i głodny, nie mając pojęcia, w którą zmierzać

stronę, Henri zdecydował, że mogą tutaj odpocząć i przenocować. Szare chmury zasnuły niebo i zimny wiatr dmuchnął ze wschodu, ale pod wieczór się rozpogodziło. Okrągły księżyc w białej aureoli oświetlał krajobraz. Wyły psy. Czarne ptaki drapieżne krążyły po niebie. Henri zaczął zbierać chrust na ognisko.

François przywiązał osła. Od czasu do czasu spoglądał w ciemność. Zdawało się, że w zrujnowanych osadach kryją się głębokie tajemnice i niebezpieczeństwa. Nawet przy ogniu wśród sitowia, wysokiej trawy i pędów bambusa mężczyźni czuli się bezbronni. Zdawało się, że wrogie oczy szpiegują ich z gęstych ciemności. Od czasu do czasu ksiądz zamierał z przekrzywioną głową, a wtedy Henri wstawał i wytężał wzrok, lecz niczego nie mógł zobaczyć.

Aby rozproszyć tę aurę niesamowitości, Henri otworzył bambusowy kosz i wyjął zawiniątko z jedzeniem. Osioł trącił go w łokieć, jakby dopominał się ziarna.

– Jedz trawę, przyjacielu – powiedział Henri, drapiąc go za uchem.

Zwierzę spuściło głowę do ziemi, jakby zrozumiało. Nowicjusz rozwinął liście bananowca i w powietrzu rozszedł się apetyczny korzenny aromat pieczonej dziczyzny. Ślina napłynęła mu do ust. Jego nauczyciel obliznął się i pochylił nad jedzeniem.

Trzciny zaszeleściły i rozległ się ostry syk.

Henri wyjął z ogniska płonąca gałąź i spojrzął w mrok, z którego dobiegł hałas. Usłyszał następne świszczące tchnienie i łoskot, gdy coś uderzyło o ziemię. Zwrócił pochodnię w kierunku intruza. François stanął przy nim z długim nożem, darem księcia Thoma. Osioł zastrzygł uszami.

– Kto tam jest? – krzyknął Henri.

Ziemia odpowiedziała westchnieniem. Potrząsnął płonąca gałęzią.

– Wiem, że tam jesteś. Pokaż się.

Drobna czarna postać wyskoczyła z ciemności i rzuciła się

na niego. Długa grzywa włosów powiewała na wietrze. Rozpoznawszy Xuan, Henri najpierw odetchnął z ulgą, a potem drgnął ze zdumienia. Wrzucił gałąź do ognia, wzbijając snop iskier. Dziewczynka przytuliła twarz do jego brzucha, szybko wyrzucając słowa:

– Nie odsyłaj mnie, proszę. Obiecują, nie będę ciężarem. Nie będę ci przeszkadzać.

Henri był zbyt zaskoczony, żeby odpowiedzieć. Nauczyciel pogładził dziecko po włosach. Nikły uśmiech rozjaśnił jego twarz. Xuan objęła ich obu.

– Nie mogłam tam zostać ani chwili dłużej – mówiła. – Chcę być z wami.

– A-ale t-twoja siostra... – wydukał Henri.

– Moja siostra umrze – wpadła mu w słowo. – Straciłam matkę i ojca. Proszę, nie każ mi oglądać śmierci Y Lan.

Żal ścisnął go za gardło, gdy przypomniał sobie własną ucieczkę od matki.

– Xuan, sama twoja obecność może jej pomóc – przekonywał słabo.

Upadła na kolana.

– Szaman mówi, że dziura w twarzy jest za duża, że pewnie nie da się zatrzymać ducha. Okładałam ranę liśćmi wąkroty i gałgankami, ale to niewiele pomogło. Trędowaci przyszli z lasu i zabrali Y Lan. Oznajmili, że teraz jest jedną z nich. Nic więcej nie mogłam zrobić.

Henri chciał się odezwać, ale François przycisnął palce do jego ust.

– Nakarm dziecko – polecił szeptem.

Dopiero po trzech dniach wędrówki dostrzegli przy drodze znaki życia. Szmaragdowa zieleń rozkwitała powoli na brązowej błotnistej glebie. Z dala od rozkładających się zwłok powietrze stało się świeższe. Słodki śpiew ptaków zastąpił wrzask sępów.

Zniszczenia spowodowane przez powódź zostały w tyle, ale pokłosie kataklizmu wciąż rzucało się w oczy. Henri widział, że głód zbiera żniwo wśród tych, którzy ocalili. Ich osioł był jedynym żywym zwierzęciem. Wszystkie inne zostały upolowane i zjedzone, nawet szczury nie uciekły przed głodnymi mieszkańcami prowincji.

Napotkani żebracy zachłannym wzrokiem patrzyli na osła. Może cudzoziemski wygląd misjonarzy, a może ich wysoki wzrost powstrzymywał biedaków od ataku i kradzieży zwierzęcia. Zamiast tego zbijali się w grupy i ciągnęli za małą karawaną jak zahipnotyzowani.

Henri nie przejmował się tym zgromadzeniem. Trapiły go inne kłopoty. Ciężka mu odpowiedzialność za ojca François, a nadto zdawał sobie sprawę, że gdy wrócą do Quinionu, Xuan stanie się brzemieniem. Nie zdołałby przemycić annamskiej dziewczynki na francuski statek ani nie chciałby tego robić. Nie mógł jednak jej porzucić. Wiedział, jaki ponury los spotka pozbawione ochrony dziecko. Gdy przechodzili przez głodujące osady, miał nadzieję, że jakaś rodzina przygarnie ją z litości. Ale na każdym kroku widział tylko trupy i głód na twarzach żywych.

Teren stał się pagórkowaty. Droga się zwężyła i biegła jak bruzda pomiędzy poszarpanymi skałami. Głazy i urwiska patrzyły na nich groźnie niczym kamienne smoki, które strzegą starożytnych świątyń. Przebyli kolejne półtora kilometra na południe. Xuan zaczęła się potykać i zwalniać. Chwyliła Henriego za poję koszuli i nie chciała puścić.

Zauważył, że jest bardzo blada i ma ciemne kręgi pod oczami. Nie miał czym jej nakarmić – wczoraj wieczorem zjedli resztki zapasów – i nie chciał zatrzymywać się na odpoczynek. Posadził dziewczynkę na grzbiecie osła. Szli ociężale, a procesja żebraków wlokła się za nimi jak długi cień.

Kręta ścieżka wyprowadziła ich na polanę, za którą zaczynał się gęsty las. Słońce już chyliło się ku zachodowi i kolor nieba

zmieniał się z jasnego błękitu na kanarkowo-żółty. Drogę cętkowały kępy trawy i dzikich kwiatów.

Naprzeciwko nich z lasu wyszła nieduża grupa ludzi ciągnących klatkę na wozie. Henri z początku pomyślał, że złapali niedźwiedzia, ale po chwili rozpoznał więzienie, w jakim sam cierpiał niewolę.

Klatka z pędów bambusa powiązanych ratanem miała około stu dwudziestu centymetrów wysokości. Ponad nią sterczała głowa więźnia. Ruchoma cela, choć prymitywna, dobrze spełniała swoją funkcję i ucieczka z niej nie była możliwa.

Ludzie zbliżali się powoli, z trudem ciągnąc wózek po nierównej drodze, pokonując po kilka kroków naraz. Henri zobaczył, że są to uzbrojeni wieśniacy, jak górale, a nie wyszkoleni żołnierze wojsk królewskich. Było ich czternastu. Wszyscy cierpieli głód.

Henri opuścił głowę, unikając ich spojrzeń, usiłując stać się niewidzialnym. Ponura wrogość chłopów przepłoszyła wszystkich innych z drogi. Jeszcze parę kroków, powtarzał sobie, a więcej się nie zobaczymy. Klatka mijała go tak blisko, że mógłby jej dotknąć. Kątem oka dostrzegł strój mandaryna. Nie mogąc się powstrzymać, podniósł głowę i ujrzał twarz de Béhaine'a. Biskup wbijał w niego oczy płonące z oczekiwania.

Siedział w klatce ze skrzyżowanymi nogami, jak buddyjski mnich w czasie medytacji. Drewniana pokrywa na wierzchu klatki więziła jego szyję. Ostre krawędzie desek zdarły skórę na karku i z ran spływała krew. Głowa kiwała się na boki, gdy wóz podskakiwał. Wyglądała jak odcięta od tułowia. Jedwabna haftowana szata biskupa, niegdyś taka piękna, była poszarpana i zakurzona. Na jego kolanach siedział książę Anh – dziecko, które ułaskawiło Henriego i François.

François jęknął. On też rozpoznał więźniów. Tak jak biskup, wyczekująco spojrzął na ucznia.

– Uratuj ich – powiedział.

W głowie Henriego zrodził się plan. Nie było czasu na rozważenie szczegółów. Musiał działać.

Dziesięć kroków od drogi zaczynało się skalne zbocze, które wiodło na płaski, szeroki wierzchołek. Henri zasadził Xuan z osła i podał ją księdzu. Chwycił postronek i zaczął wlec przestraszone zwierzę po skalistej ścieżce. Musiał ciągnąć z całej siły, żeby wprowadzić je na szczyt skały. Zasapany, spojrzął z góry na tłum. Wieśniacy przystanęli. Zaciekawiony przywódca zrobił parę kroków w jego stronę. Henri czekał, aż spoczną na nim oczy wszystkich zgromadzonych.

Wyciągnął ręce ku niebu.

– Annamici, słuchajcie! – krzyknął. – Nasz Pan Jezus Chrystus ofiarowuje wam dar pożywienia.

Sięgnął do kosza po nóż. Pewnie trzymając go w ręce, uderzył. Ostrze wbiło się po rękojeść u podstawy szyi.

Osiół ryknął z zaskoczenia i bólu, nogi się pod nim ugięły. Ostrze przecięło tętnicę i krew trysnęła na Henriego. Czuł jej smak, ciepły i słonawy. Groza ścisnęła jego serce; zatrząsł się, nie mogąc się opanować. Nigdy dotąd nie odebrał życia. Ale było za późno na odwrót. Wszyscy wieśniacy, żebracy i żołnierze zbliżali się do niego. Przywódca pierwszy wgramolił się wąskim przejściem na skałę.

Henri dźgnął zwierzę jeszcze kilka razy, aż przebiegły je przedśmiertne drgawki. Miał wrażenie, że osiół patrzy na niego z wyrzutem, brocząc krwią z pyska. W końcu zwierzę drgnęło po raz ostatni i iskra życia zgasła w jego ślepiach.

Henri cofnął się ze skrwawionym nożem w dłoni. Dzikie głosy krzyczały na dole: głodujący tłum wspinał się na ołtarz ofiarny. Wieśniacy przepychali się na coraz węższej ścieżce. Rozstąpili się, żeby zrobić miejsce schodzącemu Henriemu. Nie czekając na rozwój wypadków, chłopak popędził na dół.

Widok i zapach mięsa przemienił ludzi w dzikie zwierzęta. Jeden chwycił osła za zadnią nogę i próbował zwlec go ze szczytu. Inni mu przeszkodzili, ciągnąc za pozostałe kończyny. Osiół został rozdarty gołymi rękami.

Kiedy z rozerwanego brzucha wypłynęły trzewia, kolejni głodni ludzie mogli dołączyć do krwawej uczy. Jeden podniósł

kamień, uderzył drugiego w twarz i strącił go z urwiska, żeby zabrać jego łup. Inni spanikowali i rwali mięso zębami, wygryzając tyle, ile mogli przełknąć. Tumult wrzasków i przekleństw niósł się echem po wąwozach.

Henri podbiegł do porzuconej klatki, a François za nim, ciągnąc Xuan za rękę. Henri nożem rozdzielił deski. Księżę Ánh wyrwał się z ramion biskupa. Podarty królewski strój odsłaniał ciemną skórę ramienia.

– Pomóż mi wyjść – rozkazał, zwracając się do księdza.

Głos miał arogancki jak zawsze.

François ściągnął brwi i po raz pierwszy nieobecny wyraz zniknął z jego twarzy.

– Czy pamiętasz mnie, Wasza Wysokość? – zapytał głosem chrapliwym po okresie długiego milczenia. Musiał chrząknąć, żeby zapanować nad jego brzmieniem.

– Dobry Boże – jęknął biskup, biały ze strachu. – Nie ma czasu na wyrównywanie rachunków, ojczy François. Prędko, oswobodź nas, zanim wrócą buntownicy.

François uniósł brwi.

– Więc ty też pragniesz umknąć przed śmiercią? Cierpliwości, biskupie! Jeśli Bóg chce, abyś kontynuował Jego dzieło, bez wątplenia cię ocali. – Zwrócił się do chłopca: – Poznajesz mnie?

– Tak – odparł księżę szeptem.

François nakreślił ręką znak krzyża na jego czole.

– Uwolnił cię chrześcijański Bóg, nasz Pan Jezus Chrystus – oznajmił. – Niespełna tydzień temu to On uratował mi życie na placu straceń, żebym dziś mógł ocalić ciebie. Nie pojmowałem głębi Jego mądrości, dopóki nie ujrzałem ciebie. – Do biskupa powiedział: – Myliłeś się, Wasza Eminencjo, mam cel do spełnienia w tym kraju. Nigdy nie zapomnij tego cudu!

Wyciągnął ręce, żeby pomóc więźniom zejść z wózka. Razem pobiegli wąską, wyboistą drogą. Nikt na skale nie spostrzegł ich ucieczki, a gdyby nawet, nikogo by to nie zainteresowało.

Wszyscy skupili uwagę na uczcie. Henri wraz z towarzyszami biegł i nie zwolnił, dopóki głosy wieśniaków nie ucichły.

Wreszcie się zatrzymali, oślepieni przez zapadającą noc. Wycieńczeni, nie mogli już zrobić następnego kroku. Henri próbował złapać oddech, czując pulsujący ból w nogach. Nastąpił na tak wiele niewidocznych kamieni, że jego stopy spływały krwią. Zgromadził swoich towarzyszy, szeptem nawołując ich po imieniu i czekając na odpowiedź, aby mieć pewność, że nikogo nie brakuje. Byli wszyscy.

Niemal płacząc z radości nad uzdrowieniem księdza, zapytał:

– Dokąd teraz pójdziemy, nauczycielu?

– Nie wrócimy do Francji – odparł François, przejmując dowodzenie. – Ty dołączysz do biskupa. Ja pójdę tam, gdzie jestem najpotrzebniejszy.

Słowa te zabolowały Henriego.

– Przecież przybyłem tu z tobą...

– Jest wiele rzeczy, jakich jeszcze się nie nauczyłeś w czasie tej podróży. Twoje postrzeganie Boga jest bardzo ograniczone, podobnie jak moje. Czuję, że nie sprawdziłem się jako nauczyciel. Henri, masz wiele pytań, na które ja nie znam odpowiedzi. Wiem, że doświadczenie biskupa i jego znajomość spraw boskich będzie dla ciebie dobrodziejstwem, jeśli zechce przyjąć cię na nowicjusza.

Odwrócił się w stronę de Béhaine'a, który mu się przyglądał.

– Co się stało z twoją obrozą potępienia? – zapytał biskup.

Choć pytanie nie było skierowane do niego, Henri poczuł się zobowiązany do udzielenia odpowiedzi.

– Pani generał górali zdjęła ją mieczem.

Poczuł na ustach palce nauczyciela, nakazujące milczenie. Informacja rozświetliła biskupa. Parsknął.

– Czy nie wiesz, że ci buntownicy są wrogami króla Due Tonga?

François odparł:

– Wasza Eminencjo, niegdyś nauczyłeś mnie jezuickiego przykazania. „Wśród reformatorów bądź reformatorem”. Robię tylko to, co jest moim misjonarskim obowiązkiem.

Złość biskupa zgasła równie szybko, jak zapłonęła.

– Ojcie, Bóg postanowił przemówić przez ciebie. Twoja wola będzie Jego wolą. Co do chłopca, wezmę go pod opiekę na jakiś czas.

– Dziękuję, Wasza Eminencjo. Zostawiam go pod twoją opieką.

Henri sprzeciwił się gwałtownie:

– Ojcie François, ty jesteś moim nauczycielem. Jak możesz zostawiać mnie po tym, co wspólnie przeżyliśmy? – Głos mu się załamał. – Jesteś moją jedyną rodziną.

Ręka François lekko musnęła jego czoło. Henri czuł ciepło księdza, choć jego ciało kryło się w ciemności.

– Kiedy Bóg poddał mnie próbie, zawiodłem. Aby odpokutować, muszę pójść samotnie i zmierzyć się z kolejną próbą. Tym razem moja wiara się nie zachwieje. Ty też musisz znaleźć własną drogę.

– Nie zapominajcie o mnie, proszę – wtrąciła Xuan nerwowo. – Co się ze mną stanie?

– Potrzebuję sługi – odparł mały książę. – Ona pójdzie ze mną.

Biskup zaśmiał się, słysząc jego słowa.

– Co ty na to, ojcie François? Czy Xuan ma iść z nami? Nie doczekał się odpowiedzi. Henri słyszał tylko szept nocy.

– Ojcie! – zawołał. – Ojcie... ojcie... ojcie...

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

François słyszał, jak Henri go woła. Biegł na północ, zakrywając uszy. Zatrzymał się po przebyciu kilkudziesięciu metrów. Noc była gęsta od mgły. François już nie widział Henriego i jego towarzyszy. Bez nich ciemność stała się bezkresna. Miał wrażenie, że jest ostatnim żywym człowiekiem na ziemi.

Ratując księcia Ánha, uwolnił siebie. Nawet smutek rozstania z jedynym przyjacielem, Henrim, nie mógł przyćmić radości z odnalezienia siebie. Kiedy został zmuszony wyprzeć się Boga, jego duch umarł. Teraz znalazł siły do utwierdzenia się w wierze. Czuł się jak nowo narodzony.

Drzewa jęczały na nieustającym wietrze. Otoczył go rój światełek. Wszystkie żywe dusze rozproszone w dolinie spały, czekając na nowy dzień. Wiedział, że to on został wybrany do strzeżenia tej dziwnej trzódki, do uczenia pogan miłosierdzia bożego i poprowadzenia ich ku zbawieniu.

Uśmiechnął się. To był nowy początek. Wyraźnie widział następny cel: góry Parawany Króla. Książę Thom z zachodnich górali zaproponował mu miejsce w swojej armii. Jeśli ktoś może mu pomóc w nawracaniu wieśniaków na prawdziwą wiarę, to tylko Thom.

François dotarł na górę o świcie czwartego dnia wędrówki. Gdy poranna mgła się rozproszyła, zobaczył obozowiska zachodnich górali na brzegu rzeki. Szedł znajomą ścieżką, żeby znaleźć Thoma.

Po prawej stronie dwóch Annamitów krzyżowało broń w pozorowanej walce. Zdawało się, że go nie spostrzegli, gdy ich mijał. Tutaj, wśród biedoty, poszarpane odzienie zapewniało mu akceptację.

Wspiął się na wzgórze, posapując i nawołując Lôca. Jego akcent przyciągnął kilka podejrzliwych spojrzeń. Pomachał do ciekawskich, a oni wrócili do swoich zajęć. Szedł w stronę jaskini, spodziewając się, że zastanie tam Lôca albo siostrę Lucię, ponieważ w tym miejscu widział ich po raz ostatni.

Uwagę François przykuł krzyk płynący zza ogrodzenia, zagłuszony przez przeciągły zwierzęcy ryk. Zobaczył zbite stado słoni i koni. Wśród masywnych ciał wypatrzył twarz Lôca. Za chłopcem stała pani Bui, kobieta wojownik. Długie rękawy miała podwinięte powyżej łokci, ręce unurzane we krwi.

Lôc podskoczył, promienny uśmiech rozjaśnił jego wychudzoną twarz. Podnosząc rękę, świsnął łądygą trzciny cukrowej na powitanie księdza. Z okrzykiem przebiegł przez kamieniste pole i przeskoczył nad bambusowym ogrodzeniem. On także był zbryzgany gęstą czerwoną ciecżą.

– Ojcie François, wróciłeś.

– Tak, wróciłem – odparł ksiądz z równym entuzjazmem. Gdy chłopiec podbiegł bliżej, powiedział: – Cieszę się, że cię widzę i że wciąż obozujecie na górze. – Zatroskanie przyćmiło jego radość. – Ale co to jest? Czy to krew? Jesteś ranny?

Udręczone trąbienie słonia wstrząsnęło ziemią.

– Lôc, chodź tutaj! – krzyknęła pani Bui. – Potrzebuję twojej pomocy.

Chłopak popatrzył przepaszająco na księdza.

– Nic mi nie jest, ale muszę już iść. Słonica Mia się cieli.

Przeskoczył przez ogrodzenie i pobiegł do pani Bui.

François poszedł za nim. Zawisła nad nim szara głowa, duże ciemne oko łypnęło nieufnie. Skóra słonicy, napięta boleśnie na brzuchu, zwisała luźno na żebrach. Fala skurczów przebiegła przez brzuch zwierzęcia. François usłyszał zawodzenie i niespodziewanie zaczął masować szorstką skórę oblepioną błotem, próbując ulżyć cierpiącej słonicy.

– Obcym nie wolno wchodzić na tę ziemię – powiedziała panu Bui, nie patrząc na niego.

– Chcę pomóc – odparł.

Odwróciła się z podniesionymi rękami, przymrużając oczy. Wtedy zobaczył szkarłatną strugę ściekającą po zadnich nogach słonicy. Krótki ogon sterczał, uniesiony w powietrze.

Ksiądz stał jak sparalizowany.

Pani Bui powiedziała do niego:

– Widzisz tamten ceber? Napełnij go wodą, żebyś mógł umyć Mię i ochłodzić jej ciało. Za chatą jest strumień. Lộc, pokaż mu!

Chłopak poprowadził go przez pastwisko w stronę drzew. Jęki słonicy brzmiały coraz głośniej.

– Dlaczego armia się nie przeniosła? – zapytał François, gdy znaleźli się poza zasięgiem wzroku pani generał.

– Księżę Thom czeka na spotkanie z dowódcą armii Północy – odparł LỘC. – Jak dotąd nie mamy prawa wstępu do cytadeli. Wciąż szukamy króla Południa. Ojczy, wróciłeś...

Niezdarnie ścisnął jego ramię i odsunął się, zakłopotany.

– Gdzie jest nauczyciel Henri? – zapytał niespokojnie. – Czy widziałeś Xuan? Nigdzie nie mogłem jej znaleźć. Siostra Lucía powiedziała, że Xuan pobiegła za wami.

Dotarli do strumienia. Ksiądz położył rękę na ramieniu LỘCa.

– Nie martw się – powiedział. – Xuan jest bezpieczna. Henri się nią opiekuje.

– A kto opiekuje się Henrim?

– Bóg, drogie dziecko. Czas, żeby chłopiec znalazł własną misję. Jestem pewny, że zobaczymy ich pewnego dnia.

Lộc obejrzał się i powiedział:

– Martwię się o Mię. Mam nadzieję, że nie wykrwawi się na śmierć.

François pokiwiał głową. Kiedy wrócili, słońca stała nieruchomo oparta o drzewo, pojękując nisko. Urodziła w czasie ich nieobecności. Słoniątko leżało w kałuży utworzonej przez krew, łożysko i błony płodowe, wciąż połączone z matką pępowiną.

Pani Bui wzięła kubek z rąk François i polała wodą nową matkę. Zaszepotała do ucha słońcy, a ona w odpowiedzi potarła jej plecy trąbą. François zwrócił uwagę na nierówny skraj złamanego ciosu, oddalony o parę centymetrów od twarzy pani Bui.

– To chłopiec – powiadomiła go z dumą.

François zachichotał.

– Skoro chciałeś pomóc, kapłanie, możesz nadać mu imię – dodała pani Bui.

Jej ściągnięte wargi sugerowały uśmiech. Po raz pierwszy François przyjrzał się jej z bliska i zobaczył coś w rodzaju macierzyńskiej dumy w ciemnych oczach. Podrapał się po czole, z początku nie mogąc wymyślić imienia. Potem pewna myśl wpadła mu do głowy.

Oznajmił z przekonaniem:

– Tin. – To annamskie słowo oznaczało wiarę.

Zrozumienie odmalowało się na jej twarzy. Zamaszyście uderzyła ręką w kolano i uśmiechnęła się z aprobatą.

– Dobre imię. Od tej chwili malec nazywa się Tin.

Nazajutrz rano François poszedł do kępy wielkich banianów, żeby odszukać siostrę Lucię. Jaskinia była pusta. W powietrzu wisiał zapach zainfekowanej rany. Echa kroków odbite od skalnych ścian powiększały przygnębienie księdza.

W głębi jaskini zamigotało światło, przyzywając go. François zamrugnął, spojrzął jeszcze raz, ale nic nie zobaczył. Gdy jednak usiadł na głazie, światło znowu błysnęło za rzędami stalagmitów.

Gdy oczy przywykły do mroku, zobaczył w dalekim kącie grotu stos połamanych strzał, zniszczonych mieczy i zardzewiałych sprzętów. Dalej jaskinia ginęła w ciemności. Przyszło mu na myśl, że musi być tam przejście na drugą stronę góry. Ruszył, wycacując drogę rękami.

W kamiennych ścianach nie brakowało szczelin, ale żadna nie była dość duża, żeby zmieścić się w niej człowiek. Posuwał się coraz dalej, aż poczuł chłodny powiew na twarzy i wyciągnięta ręka trafiła w pustkę. Usłyszał cichy szmer płynącej wody. Wciągnął powietrze i zrobił krok przed siebie. Teraz w słabym świetle widział otoczenie.

Kilka zakrętów dalej tunel zrobił się węższy. W pewnym miejscu François musiał precyzyjnie się bokiem. Nadłuchiwał szmeru strumyka, mając nadzieję, że uszy zastąpią oczy. Wreszcie oślepiające światło spłynęło na niego z góry. François stanął u wylotu jaskini i przetarł oczy, oszołomiony pięknem roztaczającego się przed nim widoku.

Patrzył na krystalicznie czyste jezioro otoczone przez poszarpane urwiska. Natura wyrzeźbiła ściany tak stromo, że nikt nie mógłby ich pokonać. François czuł się tak, jakby stał w kraterze drzeźniącego wulkanu i patrzył z dołu na łąkę błękitnego nieba. Parę kroków dalej, blisko zielonego brzegu, na łukowatej ramie wisiał gong w kształcie dzwonu. Obok drewniane rusztowanie podtrzymywało kłodę gotową do uderzenia.

Snop światła wpadał do jeziora, lśniąc na białych piórach stada dławigadów. Na brzegu rosły kwiaty o tęczyowych barwach, a wśród nich fruwały motyle i kolibry. Po prawej stronie trzy żrebaki o lśniących grzywach leniwie skubały trawę. François widział w wodzie ich odbicia. Obecność zwierząt sugerowała, że do doliny musi być jakaś inna droga oprócz tej przez jaskinię.

Sycąc oczy pięknem scenerii, François zauważył białe drzwi prowadzące do skalnych siedzib. Każda grotka miała okno z okiennicami również pomalowanymi na białą. Parę postaci posuwało się powoli po ocienionych ścieżkach, ale nie widział ich wyraźnie. Nagle ktoś wyszedł z cienia i François rozpoznał siostrę Lucię. Skąpana w złotym blasku słońca wyglądała jak cudowne zjawisko.

Pchnęła kłodę, uderzając w gong. Dławigady wzbily się w powietrze, spłoszone donośnym dźwiękiem, który dudnił pomiędzy górskimi ścianami. Jakby w odpowiedzi na wezwanie, mieszkańcy wyszli zza białych drzwi. Twarze i różne części ciała mieli okryte białym płótnem. François zobaczył chudego jak kij starca bez ręki, młodszego mężczyznę ciągnącego beznogi tułów po ziemi. Z prawej strony pełzło coś, co wyglądało jak żywy trup kobiety. Dziecko wisiało w fałdach łachmanów, ssąc odbarwioną pierś. Wśród nieznanomych twarzy François zobaczył Y Lan. Udreka w jej oczach ustąpiła spokojnej rezygnacji.

Siostra Lucia odwróciła się, słysząc sapanie księdza.

– Och, ojcie, przyszedłeś, aby się do nas przyłączyć.

François cofnął się o kilka kroków.

– Kim są ci ludzie? – zapytał. – I dlaczego jesteś z nimi?

– Witaj w Jaskini Trędowatych. To niechciane dzieci Boga.

– A-ale oni roznoszą zarazę – powiedział drżącym głosem. – M-możesz zostać jedną z nich.

Na jej twarzy malował się niezmacony spokój.

– Jestem jedną z nich. Może nie mam wrzodów na ciele, ale moje wnętrze gnije.

Usłyszał beztróski młodzieńczy głos. Lôt nawoływał go z daleka:

– Ojcie, gdzie jesteś?

François chwycił rękę siostry Lucii i.

– Jesteś piękna. W oczach Boga i moich.

Lôt znów zawołał:

– Ojcie, księżę Thom czeka. Musisz przyjść natychmiast.

Lucía zabrała rękę.

– Musisz iść.

– Jeszcze się zobaczymy – wymruczał na pożegnanie.

Odwrócił się i pośpieszył przez jaskinię.

Siedziba rządu buntowników mieściła się wysoko na górze, skąd przywódcy widzieli całą armię. Aby się tam dostać, François i Lộc musieli pokonać krętą ścieżkę, która z każdym krokiem stawała się coraz węższa i trudniejsza. Po obu stronach rósł las pełen poskręcanych sędziwych drzew i głębokich jarów, skrywający tysiące niebezpieczeństw. Pod nimi gęste białe chmury zasnuwały ostre szczyty gór.

Szli ku słabemu, piskliwemu dźwiękowi fletu, niosącemu się po skalnych żlebach. François nie wspomniał Lộcowi o Jaskini Trędowatych, ale wciąż był poruszony tym, co tam zobaczył. Choć starał się zachować zimną krew, zdawał sobie sprawę, że sztywność ruchów musi zdradzać, iż jest czymś wstrząśnięty.

Przed nim na zielonej łące stał rząd bambusowych chat. W pobliżu strumień pienił się na skałach. Tutaj panował spokój, ale w dali wciąż tliły się zgliszcza w mieście Hue, przypominając o wojnie i spowodowanych zniszczeniach.

– Jak wiesz, ojciec – powiedział Lộc – ważne jest, aby rodzina królewska mieszkała ponad poddanyymi. W ten sposób król jest bliższy nieba niż ziemi. Nawet nasz chłopski król musi zajmować należne miejsce pod słońcem.

Dwóch żołnierzy zerwało się na nogi i włóczniami zagroziło wejście na polanę. Bambusowe płyty ich pancerzy zderzyły się i zagrzecotały jak drewniane dzwonki.

– To ojciec François, kapłan z Zachodu – oznajmił Lộc strażnikom o ponurych twarzach. – Książę Thom wyraził życzenie spotkania się z tym świętym człowiekiem, jeśli powróci na górę. Przywódcę go przed oblicze Jego Wysokości, jak obiecałem. Idźcie i zameldujcie o naszym przybyciu.

Jeden z wartowników skinął głową do towarzysza.

– Chłopiec mówi prawdę. Pamiętam, widziałem tego człowieka tydzień temu. Pan chciał, żeby został wśród nas razem z mniszką o białej skórze. – Do księdza powiedział: – Tylko ty możesz pójść ze mną. Jeśli masz broń, zostaw ją przy wejściu. Chłopiec przechowa ją do twojego powrotu.

– Nie mam broni – odparł François.

W porannym słońcu François spotkał się z księciem wieśniakiem. Obecni byli również jego bracia – Nhac, hazardzista, samozwańczy król i przywódca buntowników, oraz książę Lu – a także pani Bui i kilkunastu uzbrojonych wojowników. Bracia siedzieli na polanie jeden przy drugim. Wiklinowe krzesła, które mocowano na grzbietach słońi, służyły im za trony. Pani Bui stała parę kroków za księciem Thomem, ubrana w zbroję. Jej wargi muskały ustnik fletu. Oczy miała zamknięte. Słodka melodia nabierała kształtu jak smużki dymu, jak krople deszczu. Z początku płynęła niepewnie, potem brzmienie stało się pełniejsze, każdy ton miał własną barwę i tworzył własny nastrój. Zatracona w muzyce, pani Bui porzuciła pozę groźnego wojownika, przemieniając się w pełną gracji kobietę.

Książę skinął głową księdzu, ale podniósł palec, żeby się nie odzywał. Strażnik padł na kolana i uderzył czołem w ziemię. François stał, nie wiedząc, co zrobić.

Gdy ostatnie tony pieśni ścichły do szeptu, książę Thom przemówił głosem pełnym zdumienia:

– Wróciłeś, święty człowieku. Widzę, że czujesz się lepiej. Coś się w tobie zmieniło.

François nie wiedział, czy wolno mu mówić. Ukłonił się, mierzony badawczym wzrokiem przez annamskich buntowników. Czuł, że jedna para oczu patrzy na niego wyjątkowo ostro, z nieskrywaną wrogością. Nie śmiał podnieść głowy, żeby sprawdzić,

który to wojownik tak niechętnie na niego spogląda. Skierował uwagę na księcia Thoma.

– Nie lękaj się – powiedział Thom. – Traktuj nas tak samo, jak chciałbyś, żebyśmy traktowali ciebie. Na naszym dworze nie ma ceremonii. Jesteśmy tylko sługami naszego ludu.

Król parsknął rubasznym śmiechem i bez śladu życzliwości potrząsnął głową. Wskutek żucia orzechów arekowych z wapiennym proszkiem miał zarumienione policzki i usta pełne czerwonej śliny.

– Mój młodszy brat z natury jest prostym człowiekiem. Mówiłem mu, że na dworze króla musi panować porządek – tak ja uważam. Ale mamy różne zdanie na temat sprawowania władzy. Może zauważyłeś, że jako bracia wyglądamy podobnie, lecz nie zawsze podobnie myślimy.

François podniósł głowę. Wojownik, który wcześniej z nienawiścią pożerał go wzrokiem, szeptał teraz do ucha Thoma. François zaniepokoił się, bo było w nim coś znajomego. Szukał w pamięci zdarzenia, które wyjaśniałoby jego wrogość. Przypominał sobie z drżeniem. W tej chwili zrozumiał, że czeka go zguba.

Wojownik dowodził wieśniakami, którzy wieźli Pigneau de Béhaine'a i księcia Ánha, gdy Henri poświęcił ośła, żeby ich uratować. Dwie plamy oślej krwi na słomianym kapeluszu odświeżyły pamięć François. Z pewnością mężczyzna opowiadał księciu o krwawym podstępnie. Książdz westchnął i czekał na spotkanie z przeznaczeniem.

Thom wstał, poprawił złotą szatę. Był znacznie wyższy od swoich ludzi. W bogatym stroju wydawał się innym człowiekiem niż ten, którego dwa dni wcześniej François spotkał przed jaskinią.

– Powiedz nam, dlaczego wróciłeś – polecił Thom.

– Przyszedłem prosić o ochronę. Mój Bóg życzy sobie, że bym został w tym kraju jako misjonarz. Ale wypełnienie tego zadania nie będzie możliwe bez waszej pomocy.

– Czy twój Bóg może cię ochronić, kapłanie?

– Tak, skoro przywiódł mnie do was.

Nhac splunął czerwoną śliną pod nogi François.

– Próżne gadanie – powiedział. – Nie ma wątpliwości, że potrzebujesz naszej ochrony. Ale dlaczego mielibyśmy ci pomagać? Skąd mamy wiedzieć, że nie szpiegujesz dla południowego albo północnego króla?

– Jestem cudzoziemskim kapłanem, który został skazany przez rząd południowego króla – odparł François, starannie dobierając słowa. – Mało brakowało, a straciłbym życie. Zmuszono mnie do noszenia żelaznej obroży, żeby potępić mojego Boga. To poniżenie nie pozwoliłoby mi sprzymierzyć się z siłami południa. O Tonkińczykach i armii Północy usłyszałem kilka dni temu. Wasza Wysokość, jak widzisz, twoi wrogowie są moimi wrogami. Poza tym nie odpowiadam przed żadnym śmiertelnikiem. Moim panem jest Bóg w niebie. Jeśli ty ochronisz mnie, On będzie chronił ciebie.

Oczy króla w dalszym ciągu wyrażały powątpiewanie.

– Będziesz walczył z naszymi nieprzyjaciółmi, czy może twoja religia zakazuje ci zabijać?

François poczuł się osaczony, ale jednocześnie nabrał pewności siebie. Jeszcze nie skazali go za pomoc w ucieczce małego księcia. Jeszcze była nadzieja. Wspomnił jezuickie przykazanie: „Wśród reformatorów bądź reformatorem”.

– Jeśli tego właśnie trzeba, aby ustanowić Jego królestwo w tym kraju, pozwól mi być swoim żołnierzem. Będę walczyć z Bogiem u boku. Nie będę sam. Z Jego błogosławieństwem nigdy nie przegramy bitwy. Nasz Ojciec zawsze będzie nas chronić, czuwać nad nami i zaspokajać wszystkie nasze potrzeby. Nigdy nie będę kwestionował Jego planu ani Jego wiecznej mądrości.

– Postanowiłem ci zaufać – powiedział Thom, kładąc rękę na ramieniu księdza. – Chodź, od tej chwili jesteś jednym z nas.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Słońce kwitło jak czerwona dalia, płatki stały w ogniu.

Przez dwanaście godzin biskup szedł z trojgiem młodych podopiecznych na południe wzdłuż brzegu Morza Południowochińskiego. Osiemdziesiąt kilometrów dzieliło ich od Quinionu, ale musieli pokonać odległość ponad dziesięć razy większą, jeśli chcieli dotrzeć do Sajgonu. Tam rodzina królewska miała się spotkać po ucieczce z miasta Hue. Pierre zrzucił strój mandaryna i włożył chłopski przyodziewek. Dla siebie, Henriego i annamskich dzieci nabył szerokie kapelusze, chroniące przed palącym żarem i będące elementem przebrania.

Ubranie miał mokre od potu, sól gromadziła się w szorstkich włóknach. W przeciwieństwie do małego księcia, on, Henri i Xuan szli boso. Ich stopy, nieprzywykłe do tutejszych warunków, stały się szorstkie i płaskie, o szeroko rozstawionych palcach. Stwardniałe podeszwy ułatwiały chodzenie po gorącym piasku. Od czasu do czasu szli przez fale omywające plażę; woda masowała ich zmęczone mięśnie i sprawiała, że wędrówka stała się łatwiejsza.

Kopuła oślepiającej jasności nakrywała morze i łąd wokół nich. Jak okiem sięgnąć, nie widzieli żywego ducha. Być może wszyscy mieszkańcy zginęli albo uciekli przed niedawną wojną i powodzią. W białej pustce wędrowcy przypominali żółtą trawę, przywierającą do siebie na piaszczystej plaży.

Dzieci były wyczerpane. Żadne nigdy wcześniej nie przebyło takiej długiej drogi. Wciąż napotykali świadectwa wojny – czarny dym płonących lasów, szczątki łodzi i statków. Od czasu do czasu *i* oddali dobiegało rżenie konia. Szli coraz wolniej. Fale, spienione i dobroduszne, zacierają ślady ich przejšcia.

Henri przez długi czas niósł księcia na plecach. Chudy, bardzo wysoki szesnastolatek z długimi rękami i nogami pomykał brzegiem morza jak pająk. W końcu siły go opuściły; stanął na czubkach palców, hałaśliwie wciągnął powietrze, zakaszał i upadł. Wymizerowana twarz przemieniła się w ponurą karykaturę oblicza nowicjusza, którego Pierre znał kiedyś. Ale oczy wciąż miał zielone niczym ocean, a wyblakłe od słońca kędzierzawe włosy jaśniały jak kawałek płótna wszyty pod kapelusz. Annamski książę, na wpół śpiący, niechętnie ruszył na własnych nogach.

Przed nimi rosła kępa palm kokosowych, ich liście zwieszały się nad wodą. W pobliżu stała chata, wykoślawiona, bezkształtna. Drewniany szkielet jęczał z każdym podmuchem wiatru. Pierre postanowił wejść do środka i poszukać jedzenia. To było niebezpieczne – chata mogła się zawalić lub stanowić kryjówkę bandytów. Ale czy miał inny wybór? Książę – jego mały annamski skarb – musiał coś zjeść. Pierre miał wizję, że osadza to dziecko na tronie Annamu.

– Idź w cień i nzbieraj orzechów – polecił Henriemu. – Znajdź ostry kamień, żeby je rozłupać. Nie przychodź, dopóki cię nie zawołam. Gdyby coś mi się stało...

Umilkł, niezdolny dokończyć myśli. Nie mógłby powierzyć bezpieczeństwa księcia temu podrostkowi. Nie przychodził mu na myśl nikt znajomy, kto byłby zdolny podjąć misjonarskie dzieło, gdyby jego spotkało coś złego. Tylko dzięki nieczęstemu połączeniu zapału, determinacji i doświadczenia politycznego prawdziwa wiara mogła się zakorzenić w tym pogańskim kraju.

François Gervaise, choć ambitny i inteligentny, był tchórzem. Ignorancja i brak wiary, najwięksi wrogowie księdza, nieomal go zniszczyły. Czy wśród górali pozostanie wierny swojej misji?

Być może znów da się łatwo zastraszyć i straci to, co zyskał.

A Henri? Nowicjusz znalazł się w Annamie przez przypadek. Pierre nie dopatrzył się w nim odrobiny pobożności, która usprawiedliwiłaby dalsze kształcenie młodzieńca.

Podszedł do chaty. Przez dziurę służącą za okno zajrzał do środka. Nic się nie poruszyło. A jednak Pierre nie potrafił uwolnić się od uczucia, że narusza czyjeś prawo własności. Wrażenie potęgował smród i znajomy zapach gnijącego mięsa. Powódź była tutaj i zostawiła ślady swojej furii. Chata ledwo stała.

Pierre podniósł ręce i wgramolił się przez okno, powtarzając sobie, że jego obecność często powodowała cudowne zdarzenia. Nic w tej chatce nie może zrobić mu krzywdy, jest przecież sługą bożym!

Smród dławił go w gardle. Pomiędzy wywróconym łóżkiem a ścianą leżały rozkładające się zwłoki. Nagie ciało, srebrzystoszare, pokryte sinymi plamami, przypominało marmurowy posąg. Pierre odwrócił oczy i zobaczył leżący w sadzy gliniany dzbanek z drewnianą pokrywką.

Zakrył koszulą usta i nos. Kiedy otworzył dzban, wysypała się zawartość – ryż spęczniały wskutek długiego leżenia w wodzie morskiej. A jednak był jadalny.

Teraz musiał znaleźć garnek i parę patyków, żeby rozpalić ogień.

W cieniu palm kokosowych zjedli ugotowane na parze ryżowe kulki i wypili sok kokosowy, żeby splukać słony smak.

Nie starczyło jedzenia dla wszystkich, więc biskup oddał swoją porcję Ánhowi. Chłopiec przełknął skąpy posiłek bez przeżuwania, nawet nie czując smaku. Potem spojrzął na Xuan, spodziewając się, że ona też odda mu ryż. Była przerażona, ale nie przestała jeść. Ánh wrzasnął i tupnął nogą. Henri stanął pomiędzy nimi.

Biskup chwycił dziewczynkę za rękę.

– Daj mu połowę swojej porcji – polecił. Słowo „połowę” uwięzło mu w gardle.

Xuan spuściła głowę.

– Tylko połowę – nalegał Pierre. – Jesteś własnością księcia. Masz obowiązek mu służyć. – Policzki paliły go ze wstydu, ale musiał dbać o Ánha.

Henri zjadł trochę i resztę podsunął księciu.

– Masz! Weź. Nie jestem głodny.

Ánh wziął jedzenie z dłoni nowicjusza. Henri zlizął parę ziaren, które przykleiły się do skóry. Z wymuszonym uśmiechem popatrzył na Xuan.

Dziewczynka podzieliła jedzenie i dała mu połowę. Henri wziął ryż i oboje przełknęli jednocześnie.

Pierre odwrócił oczy.

Popołudniowa bryza znad morza ukołysała dzieci do snu. Przyptyw podchodził do palm. Pierre siedział pod drzewem plecami do oceanu. Chciał widzieć ląd ze wszystkich stron, na wypadek gdyby ich ścigano.

Kilka kolorowych ślimaków pełzło po piasku u jego stóp. Patrzył na grudki bezkształtnego ciała z wieżami muszli na grzbiecie. Zastanawiał się, jaka siła pcha te maleńkie stworzenia do walki o życie. Czy nawet w nich tkwi moc boska?

Zbyttno się bał, żeby dobrze odpocząć. Lękał się upadku w otchłań snu i utraty kontroli. Próbował drzemać z uszami wyczulonymi na dźwięki, ale to nie wystarczyło. Zbyt wiele trosk wiślało nad jego głową.

Księżę spał spokojnie na jego kolanie, oddychając przez usta. U jego pasa w jedwabnym woreczku pęczniał kanciasty przedmiot. Pierre zajrzał do środka i zobaczył ciężką bryłę nefrytu zwieńczoną rzeźbionym smokiem podtrzymującym ziemię. Chrząknął z zaskoczenia. Była to nefrytowa pieczęć – narodowy

skarby, symbol władzy króla, jedyna cenna rzecz niezaleziona przez górali. Sprytnie ze strony rodziny królewskiej, pomyslał. Powierzenie pieczęci najmłodszemu członkowi rodu zapewniało jej najlepszą ochronę. Pierre wygładził ubranie chłopca.

Książę Anh machnął chudą ręką, szukając zabawki. Pierre wsunął pieczęć w jego dłoń.

Przesiewając piasek przez palce, biskup zebrał kilka kamieni wybielonych przez morską wodę. Wrzucił je do pustego kokosa. Sokiem z korzeni kaktusa zakleił otwór, robiąc w ten sposób grzechotkę. Książę będzie mógł nią potrząsać, żeby przywołać Xuan i Henriego. Kiedy zapadnie noc, dźwięk pomoże innym go zlokalizować. Pierre musiał ocalić chłopca. Anh był młody, podatny na wpływy, łatwy do urobienia na władcę podległego jego woli, a poza tym miał rys bezwzględności, który Pierre uznał za obiecujący. To da mu siłę w walce z wrogami.

Prawda, w pałacu było co najmniej piętnastu książąt, każdy z prawem do tronu. Ale Pierre widział, że w czasie ataku Tonkińczyków kilku braci i bratanków króla Due Tonga zginęło wraz z rodzinami. Truong Loan, potężny wicekról, został ścięty na oczach tłumów, a jego majątek rozdzielono wśród tonkińskich dowódców. Pierre nie miał pojęcia, ilu innych zginęło po ucieczce z cytadeli Hue. Chcąc zdobyć niepodzielną władzę w królestwie, zachodni górale musieli wymordować cały ród Nguyen. Z tego, co widział, byli do tego zdolni.

A jeśli król Due Tong przeżył, Pierre był pewien, że zaskarbił sobie jego łaskę. Uratowanie ulubionego bratanka z pewnością pomoże stworzyć więź zaufania pomiędzy annamskim monarchą a jezuitami. Niezależnie od rozwoju wypadków on, biskup de Béhaine, będzie w korzystnej sytuacji.

Oczywiście jeśli Południe wygra wojnę.

Jak dotąd armia królewska okazała się bezsilna. Due Tong niedługo zrozumie, że bardzo potrzebuje pomocy Francji. Pierre jako biskup będzie idealnym mediatorem, by wyprosić francuską pomoc wojskową dla Annamu.

Jeśli uzyska wsparcie, będzie mógł przemienić to królestwo w katolicką francuską kolonię.

Wędrowali nocą, żeby uniknąć męczącego skwaru i żeby nikt ich nie zobaczył. Wieczorny chłód koił rany, ale ubrania nasiąkały wilgocią. Nieustanny szum łamiących się fal działał na nerwy. Daleko na niebie półksiężyc żeglował na mydlanych chmurach. Błada poświata przenikała gęstą ciemność, dziwne obrazy płasły po szklistym oceanie.

Pierre już kiedyś przebył tę drogę. Linia brzegowa miała doprowadzić ich z powrotem do prowincji Quinion, gdzie przed dalszą podróżą do Sajgonu znajdą schronienie w portugalskim klasztorze u brata João i brata Tiago.

Zdawało się, że księżyc mruży z energią. Dotarli do niewielkiej kapliczki na rozstajach, wskazującej, że w pobliżu jest wioska. Pierre zajrzał do mrocznego wnętrza widmowej budowli. Poczul zapach kadzidła.

Modlił się, żeby klasztor wciąż istniał. A jeśli zakonników już nie ma?

Zastanawiał się, czy starczy mu sił, żeby kontynuować podróż bez niczyjej pomocy, z dwojgiem dzieci i podrostkiem, któremu nie ufał.

Po raz pierwszy nie otrzymał żadnej wskazówki od Boga.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Marzec 1776

François kuczał na gałęzi baniana, trzymając oszczep. Broń była prymitywna, krótki żelazny pręt z ostrym grotem, ale dobrze leżała mu w rękę. Jego nagie ciało, przepasane tylko brązową szmatą, było umazane błotem. Ziemisty zapach maskował ludzką woń. Za przepaskę miał zatknięty sztylet.

Czekał bez ruchu, cichy i czujny, oparty plecami o pień drzewa, rozglądając się po otaczającej go zieleni. Jego oczy, w których mrgały złote cętki przesianego przez liście słońca, lustrowały las z cierpliwością lamparta. Tylko oddech i mruganie zdradzały, że żyje.

Na pobliskim drzewie poruszył się cień, zakłócając ciszę. Inny myśliwy zaczął się niecierpliwić. François czekał w napięciu. Myśliwy przestał się wiercić i dzungla z powrotem pograżyła się w pozornym odrętwieniu.

W ciągu trzech miesięcy od powrotu w góry Parawany Króla François stał się jednym z buntowników. Po raz pierwszy od chwili przybycia do Annamu czuł, że rozumie rolę misjonarza. Już nie szukał pomocy w Biblii ani w ekspresyjnych rysunkach ukrzyżowanego Chrystusa, żeby przyciągnąć uwagę wieśniaków. Zgłębiał ich sposób myślenia, wypytywał nie tylko o wierzenia, ale także o nadzieje, marzenia i lęki. Wiedział, że dopiero wtedy,

gdy zostanie w pełni zaakceptowany, będzie mógł pomyśleć o budowie nowego kościoła.

Książę Thom przydzielił go do złożonego z pięćdziesięciu ludzi oddziału, który zajmował się polowaniem i gromadzeniem żywności. Wysoki wzrost, siła i wytrzymałość od początku zapewniły mu przewagę nad większością Annamitów, a ponieważ był chętny do nauki, stale doskonalił swoje umiejętności. Dłonie mu stwardniały od wykonywania podstawowych codziennych obowiązków. Zapuścił włosy, jak większość mężczyzn, i jak oni codziennie golił zarost.

Poznanie annamskiej kultury stało się jego pasją. Umiał już rozpoznać pochodzenie danej osoby po dialekcie, jakim się posługiwała. Zасыpywał wszystkich pytaniami, chcąc jak najlepiej poznać historię tego rejonu Azji; konotował w pamięci strategię wojenne, podstępny i oszustwa monarchów minionych epok. Dociekania te pozwoliły mu poznać głębię lojalności Annamitów wobec równych sobie i swoich władców.

Jego ciężka praca została zauważona i awansowano go na dowódcę grupy myśliwych. W oczach wieśniaków już nie był cudzoziemcem – białym duchem – który wtargnął do ich kraju. Uznali go za swego, nawet jego imieniu nadali formę annamską. Teraz był znany jako ojciec Phan.

Ze swojego miejsca na gałęzi usłyszał brzęk czyneli naganiaczy. Zadrzał z oczekiwania. Tym oszczepem mógł zabić każde zwierzę, duże czy małe. Naprężył mięśnie, podnosząc i opuszczając drzewce, ofiara w każdej chwili mogła się pojawić.

Zanim cokolwiek zobaczył, poczuł grzmiące dudnienie. Stado dzikich bawołów pędziło w jego stronę, uciekając przed naganiaczami. François ujrzał setki czarnych, falujących gór mięśni. Zwierzęta parły w górę zbocza, tratując wszystko na swojej drodze. Czerwone ślepia gorzały niczym wrząca lava. Gdy rzeka bawołów przelewała się pod drzewem, zacisnęła palce na oszczepie. Instynkt myśliwski, wykształcony w Villaume i wyrobiony

w Kim Lai, kazał mu wypatrywać tego jednego zwierzęcia, które będzie idealnym celem.

Wypatrzył sztukę. Byk! Odbił od stada z pochyloną głową, dźgając długimi, widlastymi rogami niewidzialnego wroga. Samotnik! W okrągłych oczach, płonących pod kudłatą grzywą, François nie dostrzegł strachu, tylko wściekłość.

Czynele brzęczały coraz bliżej. Zamiast uciekać, byk zatrzymał się i zwrócił w stronę naganiaczy, opuszczając głowę i grzebiąc kopytem w ziemi. Masywny tułów zwierzęcia znajdował się niemal wprost pod nadrzewną kryjówką. François widział, jak mięśnie grają pod lśniąca skórą potężnego garbu.

Skoczył z gałęzi i wylądował na grzbiecie ofiary. Lewą ręką chwycił róg, a prawą wbił oszczep w grubą skórę pod prawym uchem. Zwierz skoczył, gdy krew trysnęła z rany. Prężył się, parskał i kołysał, próbując zrzucić przeciwnika.

François się trzymał. Miesiące spędzone wśród zachodnich górali wzmocniły jego siłę i przydały mu pewności siebie. Palce ześliznęły się z rogu, ale chwycił byczą grzywę i pozwolił, by zwierzę poniosło go pomiędzy drzewa. Las wokół niego był taki sam jak wcześniej, zielony i brązowy, cętkowany złotem, tylko teraz kolory zlewały się jak smuga na płótnie. Gdzie są jego towarzysze? Zgodnie z planem on miał wybrać zwierzę i zaatakować pierwszy, a inni mieli mu pomóc zakończyć zadanie. Ale przynajmniej w tej chwili był sam z ranną, rozwścieczoną bestią.

Kiedy byk zwolnił, François chwycił oszczep, szarpnął mocno. Wytężył siły i wyrwał grot, z głośnym trzaskiem rozdzierając ciało. Prawą rękę miał czerwoną i śliską. Przez chwilę widział ranę, potem szkarłatny strumień trysnął mu w twarz. Bawół wstrząsnął się potężnie, zarzucając łbem. François wyleciał w powietrze i wylądował na wilgotnej czarnej ziemi. Zwierzę zadygotało, parskając krwią, i pogalopowało w głąb lasu.

François usiadł, łapiąc oddech. Na polanie oprócz niego nie było nikogo. Słyszał głosy towarzyszy, pokrzykujących jeden

do drugiego, podążających krwawym szlakiem. Brzęk czyneli się zbliżał.

– Nie uciekniesz – powiedział głośno.

Wstał i podniósł oszczep. Ziemia wokół niego zasłana była pokruszonymi liśćmi i połamanymi gałązkami. Wciągnął powietrze nosem, wyczuwając zapach posoki. Był pewien, że zadał śmiertelną ranę. Byk nie ucieknie daleko, osłabnie z utraty krwi. François szedł przez las, wypatrując znaków desperackiej ucieczki bawołu.

W miarę zbliżania się do zdobyczy ścieżka była coraz bardziej czerwona. Znalazł zwierzę za pokrytym kwieciami krzakiem, drżące i przewracające oczami. Podeszedł i oburącz podniósł oszczep, gotów do zadania ciosu. Byk łypnął na niego wściekle, drąc kopytem ziemię.

Z rykiem przypuścił szarżę. Powietrze zadrżało. François stał spokojnie. Kiedy byk się zbliżył, wbił oszczep pod łopatkę, czując, jak grot z trzema zadziarami dosięga serca. Przednie nogi ugięły się pod ciężarem olbrzymiego cielska i nagle François znalazł się w powietrzu. Upadł na plecy. Zwierzę wydało ostami rozpaczliwy ryk, wargi mu zadrżały. Z klęczek przewróciło się na bok i spoczęło z łbem w kałuży własnej posoki.

François podeszedł ostrożnie, ale byk już osłabł i nie zdołał się ruszyć. Oszczep sterczał z czarnego karku. François stał nad bykiem i czekał, aż zwierzę zdechnie. Wreszcie brzuch dźwignął się po raz ostatni i bawół wyzionął ducha w chwili, gdy zjawił się Lộc z innymi myśliwymi.

– Ojczy Phan! – krzyknął Lộc. – Udało ci się! Jesteś królem polowania.

Buntownicy obozowali za murami miasta Hue, cierpliwie czekając na zaproszenie. Jak dotąd zdobywcy – północne wojska Tonkinu – trwali w milczeniu pod osłoną cytadeli. Zaatakowali

Południe, żeby zdobyć tamtejsze bogactwa, i ich wysiłki uwieńczone zostały sukcesem. Zmusiwszy południowego króla i jego rodzinę do ucieczki w kierunku Sajgonu, mieli na swojej faszce słynną stolicę Kochinchiny.

Mieszkańcy za murami cierpieli. Każdy dzień przynosił nowe meldunki o okrucieństwie najeźdźców. Tylko oni znali los południowego królestwa. Nikt nie wiedział, kto zostanie nowym władcą. Trzej bracia mieli nadzieję, że Tonkińczycy przybyli tylko splądrować cytadelę, a nie zdobywać nowe terytoria. Armia buntowników nie mogła prowadzić długotrwałej wojny.

Tylko za sprawą czystego przypadku – dzięki niedawnej powodzi – wojenne łodzie Tonkińczyków zdołały zająć miasto Hue bez walki. Wojska Północy i Południa stoczyły niewiele potyczek. Kampania polegała głównie na masakrowaniu niewinnych. Gdy górale czekali, śmierć zbierała coraz większe żniwo wśród ludności miasta.

Trzej bracia wieśniacy chcieli zawrzeć przymierze z najeźdźcami z Północy, żeby po ich odejściu objąć władzę. Jak dotąd wszystkie ich prośby o spotkanie z tonkińskimi urzędnikami spotkały się z odmową. Aroganccy przybysze chcieli w ten sposób upokorzyć zachodnich górali, ci jednak nie dali się zniechęcić i nie odeszli spod Hue. Chłopski upór trzymał ich jak kotwica i im dłużej czekali, tym bardziej krzepła ich wola. Obozowali w górach Parawany Króla i z dnia na dzień rośli w liczbę, gdy przyłączali się do nich wieśniacy z dolin, wzgórz i dżungli. Przez cały czas na drugim brzegu Rzeki Perfumowej wróg niczym sarańcza plądrował dostojną niegdyś stolicę.

Król Nhac, jak większość monarchów, nie pokazywał się publicznie. Mieszkał wysoko na wzgórzu, odizolowany od poddanych. Najmłodszy brat, książę Lu, został przy nim jako strażnik przyboczny. Żaden z nich nie cieszył się takim szacunkiem i sympatią wojowników jak książę Thom. François często widział, jak waleczny Annamita przechadzał się po obozowiskach w towarzystwie pani generała Bui i chińskiego właściciela domu hazardu, generała Wang Zichenga. Robili obchody, by pomagać

wieśniakom przy budowie prowizorycznych, krytych strzechą schronień z gałęzi bambusa albo szkolić ich w sztukach walki, zawsze przy tym emanowali pewnością siebie i autorytetem.

Czasami François widywał samego księcia, gdy ćwiczył kung-fu pod drzewem. Jego brązowe ciało, jakby wyrzeźbione z najczystszej gliny, odbijało palące promienie tropikalnego słońca. Góry piętrzyły się nad nim, gdy niespiesznie, skoncentrowany, wykonywał ćwiczenia. Księżę często witał go skinieniem, nigdy nie zatrzymując spojrzenia na tyle długo, by stworzyć między nimi jakąś więź. Zdawało się, że gdy odchodzi, zawsze zostawia część siebie: piżmowy zapach, odcisk stopy na piasku, smugę energii.

Trzydziestego pierwszego grudnia kalendarza księżycowego – w połowie marca kalendarza zachodniego – rozpoczęły się trzydniowe obchody annamskiego Nowego Roku. Tego dnia rano do zachodnich górali przybył wysłannik z cytadeli i przekazał trzem przywódcom oficjalny dokument zapieczętowany w bambusowej tubie. Wieści szybko rozeszły się po zboczu góry: Tonkińczycy byli gotowi przyjąć przedstawicieli buntowników.

Nazajutrz rano, gdy słońce weszło nad murami miasta, zaczęła się Nowy Rok. Burza huczących fajerwerków rozpętała się nad górą. Niebo pulsowało, ptaki z wrzaskiem wyskakiwały z gniazd. François poderwał się z hamaka. Przez chwilę myślał, że buntownicy są atakowani ze wszystkich stron naraz, ale ponad hałasem usłyszał śmiech.

W kłębach dymu tancerze kołysali się w rytm huku bębnów. Twarz Lõca, poganiacza bawołów, migiała w smoczej paszczy z papier *mâché*. Kolorowe, fantastyczne stworzenie falowało i wirowało, odstraszać wszelkie złe duchy. Pięciu tancerzy chowało się pod długim żółtym ogonem, ich stopy dudniły w hipnotyzującym huku bębnów.

– Ojcie Phan, dołącz do nas! – rozbrzmiał głos Thoma.

François odwrócił się zdezorientowany.

Na leśnej polanie pojawiło się pięciu jadących na oklep jeźdźców. Rozpoznał ich twarze widoczne nad pełnymi zbrojami. Braciom Thomowi i Lu, którzy przewodzili, towarzyszyli wojownicy: generał Wang Zicheng, pani Bui i jej mąż, generał Sam Le. Thom w jednej ręce trzymał ulubioną broń, drewniany łuk wyłożony kością słoniową, a w drugiej wodze. Obok niego kłusował ogier bez jeźdźca. Książę pochylił się nad jego grzbietem, wskazując François.

– Chodź, ojcie Phan – zawołał. – Czas na spotkanie z Tonkińczykami.

Książdz nie potrafił ukryć zaskoczenia.

– Ja? Chcesz, żebym wam towarzyszył?

Thom podał mu wodze. François nie ucieszył się na myśl o ponownej wizycie w cytadeli, ale posłusznie wsiadł na konia.

Thom sięgnął do sakiewki u pasa i wyjął rybkę wyrzeźbioną z nefrytu.

– To karp – powiedział cicho. – Nosilem go przy sobie przez osiemnaście długich lat. Kiedyś należał do mojej matki. Był talizmanem, którego używała do odpędzania zła. Dała mi go w ostatnich chwilach ziemskiego życia. Wierzę, że dopóki mam ten amulet, żadna kula ani strzała nie zrobi mi krzywdy. – Schował rybkę do jedwabnego woreczka. – Ty wiele razy wymknąłeś się śmierci. Dla mnie jesteś nefrytowym karpiem.

François uśmiechnął się z zadowolenia.

– Jesteś moim przyjacielem – mówił książę, gdy jechali jeden obok drugiego. – Chcę mieć cię przy sobie. Dopuszczę się jednak poważnego występu przeciwko nam.

Uśmiech zniknął z twarzy François. Książę jechał tak blisko, że trącał się kolanami. W głosie Thoma nie było miłosierdzia, gdy podjął:

– Pomogłeś w ucieczce ważnemu więźniowi. Za to moi bracia domagali się twojej śmierci. Ja cię obroniłem.

François spojrzął w ciemne, nieruchome oczy.

– Dlaczego?

– Ponieważ dzięki tobie gra stała się bardziej interesująca, choć trudniejsza. Gdybyś był moim wrogiem, również trzymałbym cię blisko siebie. Jedziemy!

Thom przyspieszył, kłusując ku otwartej równinie.

Gdy François wjechał do miasta Hue z pięcioma członkami rady, ręce lepiły mu się od potu. Zbyt zakłopotany, żeby myśleć jasno, skupił się na jeździe za wierzchowcem księcia Thoma.

Wojownicy przyprowadzili z sobą kilka wozów wyjątkowych darów gór – miodu, drewna sandałowego, pędów bambusa, złota i najlepszych liści betelu. W klatce na ostatnim wozie jechało dziesięć niewolnic i tajemniczy więzień z głową schowaną w worku z czerwonego jedwabiu.

Po krótkim przystanku przed południową bramą, gdzie buntownicy musieli zostawić broń wartownikom, karawana weszła do miasta. Tonkiński urzędnik z niewielkim oddziałem żołnierzy poprowadził ich w głąb fortecy, która kiedyś należała do króla Kochinchiny Due Tonga. Obecnie rezydował w niej generał Viet, jeden z ważnych dowódców służących północnemu wicekrólowi, Trinh Samowi.

François rozglądał się, wypatrując znajomych widoków. Widział tylko zniszczenia. Wody powodzi zmieniły ukształtowanie terenu, ale największych szkód nie spowodowała natura.

Jechali za żołnierzami długą, wąską drogą. Kilka razy musieli skręcać w boczne ulice, bo przejazd tarasowały powalone drzewa i domy. Nie było nawet echa; głucha cisza zalegała nad miastem. Popioły wirowały na wietrze i drapały François w gardle. Stery trupów rozkładały się w promieniach palącego słońca. Smród wisiał w powietrzu. Nikt nie grzebał zmarłych. Towarzyszyły im tylko wrony, uwijające się pracowicie wśród śmieci.

Żywi nie mieli odwagi pokazywać się na ulicach, chyba że należeli do sił tonkińskich. Przerażeni mieszkańcy miasta czaili się za osmalonymi ścianami ceglanych domów jak padlinożercy. Książd ledwo pamiętał, jakie ludne i bogate wydawało się miasto, gdy przyprawiono go tutaj na śmierć.

– Nie bój się – powiedział Thom.

Za późno. Już się bał.

Pani Bui i jej mąż szeptali między sobą. Za nimi jechał książę Lu z chińskim wojownikiem, Wang Zichengiem. Wszyscy obserwowali i nadśluchiwali.

Wjechali do wewnętrznej fortecy przez bramę zbudowaną z czterech filarów, które tworzyły wejście główne i dwa boczne. Tutaj powietrze było chłodniejsze, wolne od obrzydliwego smrodu. Zsiedli z koni i przebyli długi dziedziniec, prowadząc wozy. Wysokie stropy osłaniały ich przed słońcem. Przemierzali kolejne korytarze, galerie i bramy. François z ciekawością przyglądał się tajemniczym schodom i łukom, dziwnym przejściom i mrocznym tunelom. Minął wiele bram, zdumiony ogromem budowli.

Po przebyciu niezliczonych dziedzińców dotarli do centralnie położonej komnaty, silnie strzeżonej. Drzwi były uchylone. Z wnętrza płynęły głosy. Urzędnik, który ich przyprowadził, wszedł i oznajmił ich przybycie.

Zajęczały zawiasy i drzwi otworzyły się szerzej. Spowił ich obłok dymu z kadzidła. Z mgły wyjrzały dwie ni to męskie, ni to kobiece twarze, białawe, miękkie, bez zarostu. Dziwni osobnicy przemówili jednocześnie ostrym, przenikliwym głosem:

– Wejść! – Wyciągnęły długie, smukłe palce, wskazując wewnątrz sali.

– Eunuchowie wicekróla – szepnęła Thom.

– Co?

François dopiero po chwili zrozumiał znaczenie tych słów i wzdrygnął się, widząc wyraz oczu eunuchów. Byli w nieokreślonym wieku, nietknięci przez promienie słońca.

Górale weszli do sali. Na wyłożonej płytkami podłodze leżały rozrzucone rzeczy, które kiedyś należały do rodziny królewskiej: nefrytowe szkatułki, haftowane jedwabne stroje, połamane meble, strzaskane wazy. Niegdyś piękne ściafły zdobione listkami złota, malowane w spirale i obwieszane tekstami wykaligrafowanymi w starożytnym języku, teraz były pełne szczelin i dziur. Z niewidocznej fontanny płynął szmer łagodzący posępną atmosferę wnętrza.

Na końcu wielkiej sali na podium stał tron, wciąż imponujący, choć odarty z drogocennych kamieni i pereł. Grabieżcy wydłubali klejnoty, zostawiając pozłacany szkielet. Słońce wlewało się przez otwory w suficie, oświetlając siedzącego na tronie czterdziestokilkuletniego mężczyznę. Jego czoło przecinała czarna jedwabna opaska ze skrzącym się brylantem. Rzadka, prosta broda spływała mu na piersi. Podobnie jak górale, miał na sobie tradycyjną bambusową zbroję.

Za krzesłem, częściowo ukryta przez zwiewny parawan, stała kobieta w bieli. U stóp mężczyzny siedzieli wojownicy ze skrzyżowanymi rękami i nogami, wszyscy mieli ten sam złowróżbny wyraz twarzy.

Mężczyzna przemówił dudniącym głosem:

– Thom, Człowieku z Wieloma Strzałami, znów się spotykamy.

Księżę górali skinął głową.

– Po raz pierwszy poza polem bitwy, generale Viet – odparł ostrym głosem. – Przywieźliśmy ci wiele darów, aby u zarania Nowego Roku uświetnić twoje zwycięstwo nad cytadelą Hue.

Generał zaśmiał się.

– Miasto Hue padło pierwsze, a niedługo ten sam los spotka wiele innych. Zgodnie z planem wicekróla Sama naszym następnym celem będzie Sajgon. Jestem człowiekiem oszczędnym w słowach. Zostaliście zaproszeni na rozmowy o przyszłości waszego królestwa, Kochinchiny. Wasz posłaniec twierdził, że macie dla nas prezent cenniejszy od korzeni i niewolnic.

Thorn podszedł do tronu. Tonkińscy strażnicy poderwali się z podłogi, odgradzając go od generała. Thom przystanął. Jego brat i inni wojownicy zrobili ostrzegawczy krok do przodu.

– Zachować spokój – rozkazał generał Viet.

Thom uklonił się z szacunkiem.

– Pokaż nam, co przywozisz – zachęcił dowódca z Północy.

Ignorując polecenie, Thom powiedział:

– Chyba nie zamierzasz najechać Sajgonu z armią, jaką obecnie dysponujesz. Twoi żołnierze są wyczerpani i słabną z dnia na dzień. Klimat i warunki Południa różnią się znacznie od tych, do jakich przywykliście na Północy. Poza tym za północną granicą Chiny czyhają jak kobra, gotowa uderzyć na wasze królestwo w chwili, gdy wojsko zajmie się innymi sprawami. Mieszkańcy Kochinchiny nigdy nie uznają władzy tonkińskiego króla ani jakiegokolwiek cudzoziemca. Z tych powodów wojna będzie trwać długo po tym, jak nasze kości rozsypią się w proch.

– Wieść niesie, że ty i twoi bracia namaściliście się na władców – rzekł generał ze śmiechem. – Czy któryś z was zamierza wstąpić na tron jako nowy król Kochinchiny?

– Jesteś bardzo mądrym człowiekiem, dlatego musisz wiedzieć, że gdybyśmy nawet uważali się za królów, nie pochodzimy z królewskiego rodu. W oczach ludu jesteśmy tacy sami jak wieśniacy, którzy pracują na polu ryżowym. Królewska krew płynie w żyłach osoby, którą ci dziś przywozłem.

Odwrócił się, żeby dać znak pani Bui i jej mężowi, którzy pchnęli klatkę z tajemniczym jeńcem. Książę otworzył drzwiczki i wywłókł więźnia przed tron.

Stając przed generałem, oznajmił:

– Straciłeś wicekróla, Truong Luana. Due Tong uciekł. To będzie nowy król Południa.

Zdjął czerwony worek z głowy jeńca, odsłaniając twarz. Pod kosmykami czarnych włosów widać było niebieskawe znamię wielkości monety na lewym policzku. Mężczyzna zachwiał się

i zadrzał, nieświadom, co się dzieje. Zaskoczony z początku generał Viet zrobił radosną minę, kiedy go rozpoznał.

– Książę Hoàng! – szepnął. – Szukaliśmy go, żeby zastąpić Due Tonga. Powiedziano nam, że Hoàng nie żyje. Ale patrzcie na zamię...

Thom położył rękę na ramieniu jeńca, pomógł mu wstać.

– Odkryliśmy kryjówkę księcia po zdobyciu Quinionu. Jego kuzyn, król Due Tong, oddał go pod opiekę gubernatora Quinionu, mandaryna Tuyêna, którego straciliśmy. Jak widzisz, milczy. Nie obchodzi go polityka. Nawet nie wie, gdzie jest. Zależy mu jedynie na codziennej dawce opium. Będzie idealnym władcą.

Generał zadarł głowę i zaniósł się długim śmiechem. Jeniec otworzył przestraszone oczy.

– Jest jedna wada w twoim wielkim planie, wojowniku Thomie – zaznaczył generał. – Bez królewskiej pieczęci nie może zostać królem.

– Zobowiązałem się zapewnić bezpieczeństwo mojemu narodowi. Powiedz mi, kto ma pieczęć, a ja ją odzyskam.

– Przeszukaliśmy cały pałac. Tutaj jej nie ma. Jestem przekonany, że zabrał ją król Due Tong albo członek jego rodziny.

– Po ucieczce z Hue mogli się udać tylko na południe. Pozwoliłeś im się wymknąć. Nie jest tajemnicą, że obecnie rezydują w Sajgonie i będą odbudowywać armię, aby się zemścić.

– W takim razie musisz ruszyć za smokiem i odrąbać mu głowę. Zrób to, zanim zionie ogniem.

– To nasze królestwo i nasz problem – oświadczył Thom. – Pozwól nam skończyć to, czego ty nie zdołałeś zrobić. Ale to wymaga czasu. Sajgon leży daleko na południu. Zanim tam dotrzemy, musimy wzmocnić naszą armię i uzupełnić zapasy. Kochinchina ma nowego króla i potrzebuje pokoju, choćby krótkotrwałego. Nasi ludzie nie zniosą dalszych trudów. Nalegamy, żebyś zabrał swoich żołnierzy z cytadeli i wrócił do Tonkinu.

– Nie zapominaj o najważniejszym. Jaka będzie nagroda za wycofanie się z Kochinchiny?

W oczach Thoma błysnęło wyzwanie.

– Wy z Północy zawsze uważaliście nasze ziemie za biedniejsze przedłużenie własnego królestwa. Wierzycie, że w niebiańskim prawie zostało zapisane, iż wasz cesarz jest prawowitym władcą obu krajów, a nasz król jego sługą. Tysiąc lat temu Tonkin i Kochinchina zrodziły się jako jedno państwo. Od dawna jesteśmy podzieleni, ale wciąż mówimy tym samym językiem i mamy wspólną kulturę. Od setek lat prowadzimy wojny. Czas na pokój. Kiedy odbudujemy nasze miasta i wioski, będziemy mogli zapłacić wam trybut. Na razie waszą nagrodą będzie to, że zabijemy króla Due Tonga i jego rodzinę.

Chwycił jeńca za kołnierz.

– Na wszystko, co jest drogie nam, góralom, przysięgam, że ta marionetka zostanie nowym władcą Kochinchiny i będzie nosić królewską nefrytową pieczęć.

Generał Viet pokiwał głową.

– Niech tak będzie.

CZEŚĆ TRZECIA

Zabijanie smoków

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Sajgon, 1778

Henri śpieszył przez gęsty las, który tworzył południowo-zachodnią granicę cytadeli Sajgon. Zapach grzybów wznosił się z liści zaścielających ziemię. Sopranowy głos snuł się pomiędzy drzewami.

*Stoimy obojętnie z założonymi rękami w królestwie
chwały i sławy.*

*Ile razy uciekałam przed niespodziewanym
nieszczęściem?*

*W księżycowej poświacie lśni srebrny kwiat śliwy,
A na wietrze szeleszczą sylwetki bambusów.*

Było południe, środek lata. Światło przesiane przez liście spływało wokół niego jak delikatne złote wstążki.

*Nie przysmykam oczu na miłość ojczyzny i oddanie
księciu,*

*Ale w dzień uciekam przed wyborem, rozdarta pomiędzy
dobrem i złem.*

Przebyłam wiele gór i rzek:

W jakże wielu niebezpiecznych miejscach świata byłam!

Henri zadumał się nad tematem ludowej pieśni. W ilu niebezpiecznych miejscach świata byłem? Od dnia narodzin do postawienia stopy na tym brzegu jego życie było długą podróżą.

Wznosząca się nad drzewami wieża strażnicza królewskiej fortecy zdawała się go śledzić, gdy zbliżał się do wodospadu. Szum wody splatał się ze śpiewem. Henri wiedział, gdzie jest śpiewaczka, i cieszył się, że wyczuwa z daleka jej obecność.

Woda spadała po wysokich skalnych stopniach do małej sadzawki. Na brzegach rosły dzikie brzoskwinie okryte drobnymi różowymi kwiatkami. W gęstych liściach pomykały nektarniki, szukając ukrytego pokarmu. Na ziemi korzenie wiły się i skręcały, objęte jak kochankowie. Z każdym tchnieniem wiatru płatki spadały na wodę i przybierały ciemniejszy odcień różu.

Xuan stała po kolana w wodzie pod wodospadem, zwrócona twarzą w jego stronę. Jej ciało spowijała wodna mgiełka.

Henri mógłby dostrzec tutaj wiele wspaniałych widoków, lecz widział tylko ją. Była motylem na tle rozmigotanych kropelek – srebrnych i złotych, czarnych, białych, błękitnych i zielonych. Twarz miała jasnobrazową i śliczną. Trójkątna bluzka z krepdeszynu przywierała do jej piersi jak mokry papier ryżowy, skóra lśniła w słońcu.

Zalewała ją nie tylko woda. Wraz z rozpryskującym się strumieniem spadały na nią śliskie, czerwone karpie. Ryby płynęły od źródeł, żeby złożyć ikrę, i wodospad doprowadził je do tego rozlewiska. Słodki, ostry zapach wznosił się ze strumienia. Xuan wyciągała ręce, łapiąc ryby lecące w powietrzu. Każdą schwytaną sztukę wrzucała do bambusowego kosza, który pływał w pobliżu. Ręce miała różowe od płatków kwiatów brzoskwiń.

Henri wyszedł w snop światła. Mokry żwir chrzęścił pod jego stopami.

Twarz Xuan pojaśniała na jego widok. Ucichła smutna piosenka.

– Ông Tâi! – zawołała.

Znali się prawie od trzech lat, ale wciąż nazywała go tak, jak annamskie dzieci zwracały się do cudzoziemców, „Pan Francuz”. Jednakże jej intonacja nie wyrażała szacunku, jaki pierwotnie wiązał się z tytułem. W przeciwieństwie do innych Annamitów nigdy nie dawała Henriemu odczuć, że jest cudzoziemcem.

– Bałam się, że nie przyjdiesz – powiedziała. – Patrz, ile ryb złapałam. Pomóż mi je zanieść do domu.

Przesunęła w jego stronę wiklinowy kosz z podskakującymi rybami. Henri usilnie starał się na nią nie gapić. Wpatrywał się w bosc stopy pod zszarganymi nogawkami, dziwnie niezdarne i wielkie w porównaniu z jej kształtnymi nogami. Aby ukryć skrepowanie, pochylił się nad koszem i zanurzył ręce. Ryby były śliskie i chłodne.

– Czy ta piosenka, którą śpiewałaś, to poemat uczonego Khiêma?

Xuan podniosła ręce, żeby wycisnąć wodę z włosów.

– Nie wiem. Czy tego uczył cię Cha Cã?

Pierwszy Ojciec. Henri wspomniał klasę, w której siadywał wśród książąt. Był to wyjątkowy przywilej, z którego korzystał dzięki statusowi nowicjusza. Prowadzone przez biskupa lekcje dotyczyły historii Europy i Annamu, a także poetów, pisarzy i uczonych z obu kręgów kulturowych.

– Szpiegujesz – droczył się z nią. – Pewnie chowasz się pod oknem i słuchasz.

– Wcale nie. – Zmrużyła oczy. – Zabierzmy ryby do kuchni, żebym mogła przygotować kolację dla księcia.

Henri schylił się po kosz i w tej samej chwili poczuł lekkie szarpnięcie za pas spodni. Coś zimnego, mokrego i śliskiego wsunęło się do środka i wiło się jak szalone. Wrzasnął, podskoczył i zaczął potrząsać spodniami. Miał wrażenie, że minęły wieki, nim mały karp wyśliznął się przez nogawkę.

Xuan zasłoniła usta i parsknęła śmiechem. Patrzyła nad dłonią, a mina Henriego pobudzała ją do jeszcze głośniejszego śmiechu. Jego panika szybko przemieniła się w zakłopotanie,

a potem w chęć zemsty. Podniósł rybę, przeskoczył nad koszem i rzucił się w pościg za Xuan.

– Przestań! Przestań! – Biegła brzegiem rozlewiska, starając się mu uciec.

Zwolnił, ale tupał nogami, pozorując olbrzymi wysiłek. Xuan z radosnym okrzykiem pędziła w stronę cytadeli. Henri machał rybą jak mieczem.

– Zrobiłaś głupstwo, Xuan. Najpierw cię złapię, a potem ukarzę.

– Nie, nie, wybacz mi, Ông Tâ – odkrzyknęła ze śmiechem.

Dotarli do pomalowanego na kolory tęczy łuku bambusowego mostu, który łączył las z południowo-zachodnią częścią cytadeli. Przebiegli po malowanych deskach, Xuan ostro skręciła w prawo. Ogrodzenie z bambusów i bugenwilli zatarasowało jej drogę. Za ogrodzeniem dudnił głos biskupa.

– Czy teraz rozumiesz zasadę działania maszyny parowej?

Henri zastanowił się, czy to on ma odpowiedzieć na pytanie.

Po chwili zrozumiał, że podeszli zbyt blisko pałacu księcia Ânha, gdzie wstęp mieli tylko nieliczni.

– Słucham, Wasza Wysokość – przynaglił biskup.

– Nie rozumiem – odparł książę. – Powiedz mi raz jeszcze.

Henri zobaczył, że Xuan zbliża się do ogrodzenia. Zdumiała go jej śmiałość. Słyszał poszeptywanie żon księcia. Minęły prawie trzy lata, odkąd on i Xuan widzieli członków rodziny królewskiej w Quinionie, gdy razem uciekali przed armią tonkińską. Czas zmienił zasady. Obecnie poza mandarynami tylko eunuchowie i damy dworu mogli widywać rodzinę królewską w prywatnych kwaterach.

Henri usłyszał w myślach pełen nagany głos biskupa: Ilekroć najdzie cię ochota, żeby działać pod wpływem impulsu, na litość boską pamiętaj, że jesteś duchownym. Złapał Xuan za rękę i odciągnął ją od ogrodzenia.

– Nie – powiedział ostrzegawczo.

Wsunęła się w cień.

Henri rozejrzał się zaniepokojony. Głęboko zakorzeniona awersja do biskupa skłaniała go do ucieczki, ale okazja dzielenia niebezpiecznej chwili z Xuan wydawała się zbyt ekscytująca, żeby ją przepuścić. Poza tym ciekawiło go, co de Béhaine rozumie pod pojęciem maszyny parowej. Odpowiedź mógł za chwilę usłyszeć. To tylko lekcja, powtarzał sobie, choć instynkt podpowiadał mu co innego.

Henri objął ramiona Xuan i zerknął przez liście. Dziewczyna odsunęła się od niego. Po drugiej stronie ogrodzenia działa się coś niezwykłego. Biskup i jego uczeń stali na kamiennej werandzie, która biegła przez całą długość pałacu. Przed nimi znajdowało się dziwne urządzenie – szklany cylinder połączony z umieszczonym nad piecem kotłem. Mosiężny tłok w cylindrze był przymocowany do jednego ramienia czegoś w rodzaju huśtawki. Z drugiej strony stał powóz zaprzężony w dwa konie.

Słońce odbite w szkłe raziło oczy i Henri nie mógł zbyt długo przyglądać się maszynie. Spojrzał w bok. Pięćdziesiąt kroków dalej królowa Koshinchiny, którą widział na miejscu straceń w cytadeli Hue, spoczywała na kanapie pod parasolem ze złotymi frędzlami, chłodzona przez dworkę wachlarzem z pawich piór. Jej towarzyszki, trzy żony księcia Ánha, siedziały przy pobliskim stole w otoczeniu gromady służących. Już nie były przerażonymi uciekinierkami, jakie pamiętał. Królowa coś powiedziała i kobiety zachichotały wstydliwie. Xuan stała za daleko, żeby usłyszeć komentarz, a jednak zaśmiała się razem z nimi.

Henri spojrział na nią szybko i przycisnął palec do ust.

– Spójrz na sznury pereł na ich szyjach – szepnęła Xuan. – To dary od księcia Syjamu. Widziałeś kiedy coś równie pięknego?

Jedna z księżniczek podeszła do męża i biskupa. Jej spięte włosy, lśniące od oleju kokosowego, z każdym krokiem podskakiwały jak koguci ogon. Jeszcze nie straciła dziecięcych kształtów – miała zaledwie czternaście lat – ale jej brzuch już pęczniał;

była w ciąży. Henri domyślił się, że to pani Jade Bing, niesławna trzecia córka tonkińskiego króla. Od wielu miesięcy w całej cy-tadeli plotkowano, że Ânha wkrótce będzie miał pierwszego potomka.

Księżę uśmiechnął się do księżniczki. Położył ręce na jej brzuchu.

– Z czego się śmiejecie? – zapytał. – Czy uważacie, że je-
stem kiepskim uczniem?

Choć był wesoły, pytania przestraszyły młodą księżniczkę. Najstarsza żona, dwudziestoletnia, ubrana w jedwabną szatę ha-ftowaną w peonie, popatrzyła na nich z zatroskaniem. Jej młod-sza towarzyszka, trzecia żona, pokazała w uśmiechu rząd po-czernionych zębów.

Księżniczka Jade Bing skinęła głową w stronę królowej.

– Nie śmiałyśmy się z Waszej Wysokości. Jej Wysokość opowiedziała śmieszną historyjkę o eksperymencie pewnego Chińczyka z fajerwerkami.

Biskup, który czekał, aż księżę znów poświęci mu uwagę, uznał temat fajerwerków za interesujący. Oderwał oczy od nieba i skierował je na księżniczkę.

– Jaką historyjkę, pani?

– O lataniu.

– To znaczy? – Popatrzył na nią zachęcająco.

– Bogaty chiński mandaryn Van Tu marzył o lataniu – za-częła, szukając oznak aprobaty na twarzy królowej. – Z pomocą wielu sług przywiązał krzesło do wielkiego latawca. Do oparcia krzesła kazał przymocować pięćdziesiąt fajerwerków...

– Rakiet – poprawiła królowa, podnosząc do ust filiżankę herbaty.

Pani Jade Bing przeniosła spojrzenie na biskupa i powtórzyła:

– Rakiet. W dzień eksperymentu Van Tu usiadł na krześle i wydał rozkaz pięćdziesięciu sługom. Ci na dany znak zapalili lonty rakiet pochodniami.

Księżniczki i damy dworu zaśmiały się, znając już ciąg dal-szy.

– Opowiadaj, pani, proszę – przynaglił biskup.

– Płomienie strzeliły z ogłuszającym rykiem i pojawiły się kłęby gęstego dymu. Kiedy powietrze przejaśniało, okazało się, że Van Tu zniknął razem z krzesłem. Na ziemi została tylko czapka i złamany kawałek drewna. Słuch po Van Tu zaginał. Większość wieśniaków uznała, że potężna siła rakiet wyrzuciła go do mitycznej krainy. Ale... – Księżniczka złapała się za brzuch, żeby powstrzymać się od śmiechu.

De Béhaine westchnął, hamując zniecierpliwienie.

– Ale?

– Ale królowa myśli, że fajerwerki rozerwały go na kawałki, łącznie z krzesłem i latawcem.

Zapominając się, Xuan dołączyła do chóralnie śmiejących się kobiet. Henri zakrył jej usta, ale było za późno. Biskup odwrócił się w ich stronę i krzyknął:

– Kto tam jest? Gdzie są strażę?

Henri zobaczył, jak przez lukę w bambusach de Béhaine patrzy mu prosto w oczy. Odskoczył, przerażony.

– Szybko! Szybko! – pisnęła Xuan.

Szarpnęła go za koszulę. Razem pobiegli przez most w gęszcz lasu. Kobięce wrzaski zmąciły senną atmosferę pałacu. Na szczęście strażnicy nie ruszyli w pogoń.

Wrócili nad strumień, gdzie zostawili kosz z karpiami. Xuan obejmowała szczupłe ramiona i kuliła się, jakby zmarzła albo chciała zniknąć. Szła obok Henriego z oczami wbitymi w ziemię.

Aby ominąć most Tęczowy, wybrali znacznie dłuższą drogę przez las. Ryby w koszu na plecach Henriego ledwo się poruszały. Xuan szła z tyłu ciężkim krokiem. Związała włosy w węzeł i włożyła drugą bluzkę, zapinając ją od góry do dołu. Nie odzywali się do siebie.

Henri odwrócił się i zaczekał na nią. Przeszła na drugą stronę ścieżki. Przygryzała w zębach kosmyk włosów.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, drapiąc się po głowie.

Podniosła oczy nie wyżej niż nad jego kolana.

– Nie.

Musiał wyteńczyć słuch, żeby ją usłyszeć. Ruszyli dalej w promieniach słońca. Henri kątem oka widział, jak Xuan rękawem ociera pot z czoła.

– Nie przejmuj się tym, co się stało. Dzięki Bogu, że nas nie złapali.

– Nie denerwuję się – odparła. – Wstydzę się swojego zachowania. Taka ciekawość jest niestosowna. Chciałam tylko zobaczyć perłowe naszyjniki.

Henri obliznął usta i zaczął śpiewać, kołysząc biodrami i naśladując afektowany krok sopranistki. Jego głos, z początku ledwo słyszalny, po chwili zabrzmiał gromko, gdy fałszował:

*Nie chodzi o to, że się wzbraniam przed oślizłym
księżęcym dotykiem,
Ale pewnego dnia byłam rozdarta pomiędzy
namiętnością i złudzeniem.*

Rozmyślnie pozmieniane słowa piosenki wywołały śmiech, który pragnął usłyszeć. Xuan wymierzyła mu żartobliwego kuksańca.

– Przestań! Uszy bolą.

Henri wciąż fałszował, w marszu wymyślając słowa. Jego błazeństwa sprawiły, że Xuan chichotała przez całą drogę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Pierre pociągnął linę łączącą urządzenie z powozem, żeby sprawdzić, czy jest dobrze napięta. Gotował się ze złości. Minęło południe, a on wciąż nie mógł zademonstrować uczniowi zasady działania maszyny parowej Newcomena.

Księżę Anh nalegał, żeby lekcje odbywały się w obecności wszystkich jego żon, które nigdzie się nie ruszały bez świty sług, dam dworu i eunuchów. Ich paplanina rozpraszała księcia. Zamiast słuchać, stale spoglądał przez ramię, okazując uczucie księżniczkom i biorąc udział w ich głupich pogawędkach. Tego ranka królowa Thuy, pierwsza żona króla Due Tonga, również postanowiła wziąć udział w zajęciach, gdyż doszły ją słuchy, że będzie to pokaz magiczny. Obecność królowej zwiększała napięcie. Jej śmiech – sztuczny i protekcyjny, działał Pierre'owi na nerwy.

Martwił się, że może ją obrazić. Choć od wielu lat mieszkał przy rodzinie królewskiej i zajmował ważną pozycję na dworze, różnice kulturowe mogły doprowadzić do niebezpiecznych sytuacji. Język wciąż stanowił dla niego prawdziwe wyzwanie. Każde słowo było monosylabą o wielu znaczeniach, zależnych od szczęściu sposobów intonacji. Niewłaściwa modulacja mogła sprawić, że zostanie źle zrozumiany, i diametralnie zmienić nastrój słuchaczy.

Na dworze często bywał świadkiem gwałtownych reakcji królowej na najdrobniejszą pomyłkę czy użycie kolokwializmu. W porównaniu z wieśniakami władcy mieli bardzo skomplikowaną naturę, a dialekt dworski był znacznie trudniejszy niż język potoczny. Raz w czasie obchodów Nowego Roku solista śpiewał wraz z chórem arię o złodzieju noszącym imię Due. Po wysłuchaniu refrenu królowa rozkazała strażom pojmać całą trupę i wymierzyć wszystkim artystom po trzydzieści razy bambusowym kijem. Popelnili bluźnierstwo. Królową oburzył fakt, że imię Due Tonga zostało skojarzone z opryskiem. Od czasu tego zdarzenia Pierre z wyjątkową ostrożnością rozmawiał o formalnych sprawach.

Biskupowi ogromnie zależało na kształceniu Ánha, bo wiedział, że zdobyta wiedza w przyszłości pomoże księciu zostać wielkim przywódcą. Starannie opracował program nauczania obejmujący nauki przyrodnicze, matematykę, geografię, politykę i dzieje wojen, ale najważniejszy był czas.

Gdy król Due Tong przejął rządy w cytadeli Sajgon od poprzedniego władcy, swojego krewnego, rodzina królewska ponownie zaczęła wieść zbytkowne życie. Ale był to czas niepewności i oczekiwania. Atak Tonkińczyków i klęska rodziny królewskiej wywarły wpływ na życie wielkich i małych w całym Królestwie Południowym. Widmo zagrożenia ze strony trzech braci krążyło nad każdym domem, a ich imiona budziły strach w sercach mieszkańców. Buntownicy, z dnia na dzień coraz silniejsi, w każdej chwili mogli zaatakować Sajgon. Wojsko Due Tonga zostało zdziesiątkowane w Hue i teraz składało się głównie z oficerów wysokiej rangi. Pierre wiedział, że niedobitki nie mogą równać się z wrogiem, nawet po połączeniu z oddziałami już stacjonującymi w Sajgonie.

Eunuch, który przednią częścią tuniki przez cały ranek wachlował ogień w piecu, odskoczył z krzykiem podniecenia. Wreszcie strzeliły płomienie. W tej samej chwili coś zaszeleściło w bambusowych zaroślach kilka kroków dalej, ale uwagę Pierre'a odwrócił piskliwy kobiecy śmiech. Z głębokim westchnieniem

spojrzał w ogromne, nieruchome niebo. Księżę Anh znowu zerknął ukradkiem na żony i uśmiechnął się z zakłopotaniem. Sfrustrowany Pierre przypomniał sobie, w jakim celu tu przyszli. Ogień huczał, biskup mógł więc oczarować widownię magiczną sztuką.

Ku jego niezadowoleniu jedna z żon, księżniczka Jade Bing, podeszła bliżej. Była w siódmym miesiącu ciąży, podtrzymywała więc brzuch jedną ręką, a drugą trzymała się za plecy. Pierre wznosił oczy ku niebu. Jego główna porażka polegała na niemożności powstrzymania księcia od popełnienia jednego z najcięższych grzechów – wielożeństwa. Nie mógł jednak wyrazić swoich zastrzeżeń. Sprzeciw wobec tej praktyki był jednym z czynników, które doprowadziły do wypędzenia go z Kochinchiny w czasie poprzedniej ekspedycji.

Księżniczka stanęła obok męża, przyglądając się urzędzeniu. Ciśnienie pary w kotle wzrastało, pchając tłok w górę. Ramię połączone z tłokiem się uniosło, a przeciwny koniec opadł. Lina przypięta do końskich uprzęży zwiotczała. Trzeba było ją poprawić, żeby znów się napięła.

Pierre usłyszał, jak księżę pyta żony:

– Z czego się śmiejecie? Czy uważacie, że jestem kiepskim uczniem?

– Nie śmiałyśmy się z Waszej Wysokości. Jej Wysokość opowiedziała śmieszną historyjkę o eksperymencie pewnego Chińczyka z fajerwerkami.

Pierre z niechęcią skierował uwagę na ciężarną dziewczynę. Jego ciekawość rozbudziło słowo „fajerwerki”. Czy mógł w jakiś sposób wykorzystać tę paplaninę do lekcji o zastosowaniu prochu?

– Jaką historyjkę, pani?

– O lataniu.

Uszczęśliwiony uśmiech powiedział mu, że księżniczka jest zadowolona z jego zainteresowania.

– To znaczy?

Powtórzyła opowieść królowej. Wszyscy przysłuchiwali się

pilnie. Z polany za ogrodzeniem z bambusów i pnączy bugenwili znów dobiegł szelest. Słuchając księżniczki, która co chwila chichotała denerwująco, Pierre uzupełniał interesującą opowieść własnymi rozważaniami. Rozmyślał o Chińczyku, który próbował latać. Odwaga i aspiracje tego człowieka były dla niego przykładem tej ludzkiej pomysłowości, która tworzyła podstawy współczesnej nauki. Śmiech kobiet świadczył o ich obojętności na tragiczny koniec nieszczęśliwego naukowca.

Za ogrodzeniem znów coś się poruszyło, potem rozbrzmiały szepty i cichy śmiech. Ktoś ich obserwował. Pierre odwrócił się szybko w stronę zarośli i dostrzegł srebrne oko wśród zielonych liści.

– Kto tam jest? – zapytał surowym głosem. – Gdzie są strażę?

Krzaki się zatrzęśły, kobiety pisnęły ze strachu. Jego Wysokość podniósł rękę, żeby przywołać strażę. Gwardziści przybiegli z pałacu, zaniepokojeni i podekscytowani. Kilku otoczyło królową, która, zadyszana z trwogi, przyciskała rękę do piersi. Pierre ruszył w kierunku ogrodzenia. Zawrzał z gniewu na widok tego, co zobaczył.

Przez łąkę w kierunku mostu Tęczowego biegł jego trudny uczeń, trzymając za rękę służącą księcia. Ona wydawała się na wpół naga, on był bosy. Jakich innych grzechów mogli się dopuścić poza szpiegowaniem? Pierre popatrzył na księcia i dał znak ręką.

– Zatrzymać strażę!

– Co?

– Wasza Wysokość, zatrzymaj strażę! Widziałem dwoje dzieci. Już uciekły. Myślę, że wystarczająco najadły się strachu.

Księżę wzruszył ramionami. Krzyki kobiet ucichły, a słońce zmusiło je do powrotu pod parasole. Koń rżał, potrząsając głową. Pierre uspokajająco poklepał go po pysku i poprawił linę. Ciśnienie pary w kotle wciąż rosło, ale tłok już wyżej nie mógł się podnieść. Nadszedł czas na czary.

– Wasza Wysokość, naprawdę jest ci potrzebna ta służka?

- Która? – zapytał Ân.
 - Ta sierota. Niewolnica. – Poszukał w pamięci jej imienia.
- Xuan.

Księżę dotknął cylindra przez rękaw.

– Smakują mi jej potrawy. – Przekrzywił głowę. – Ale powiedz mi, biskupie de Béhaine, dlaczego rozmawiamy o mało znaczącej służącej?

Pierre ostatni raz szarpnął linę.

– Myślę, że nadszedł czas, aby swatka znalazła jej odpowiedniego męża, zanim wpadnie w kłopoty. Dziewczyna w jej wieku powinna być pod nadzorem.

Zostawił zaskoczonego ucznia, przekręcił zawór i wpuścił wodę do zbiornika, żeby przerwać proces parowania. Powoli, ale z wielką siłą tłok został zassany w dół, pociągając ramię. Po drugiej stronie ramienia konie na próżno walczyły z siłą, która je unosiła. W końcu zawisły, rżąc i bijąc kopytami. Widzowie wstrzymali oddech. Oszołomiony księżę Ân bez słowa popatrzył na Pierre'a.

Królowa podniosła się z kanapy, klasnęła w dłonie i krzyknęła z entuzjazmem, zapominając o dostojności.

- Co dobrego można z tym osiągnąć? – zapytał księżę.
- Wasza Wysokość – odparł Pierre z ukłonem – właśnie widziałeś prawdziwą potęgę!

Nad cytadelą zapadła noc. Monotonny śpiew buddyjskich mnichów zlewał się z ćwierkaniem świerszczy. Powietrze było gęste i parne. Świetliki wirowały wśród ciemnych konarów.

W południowej części kompleksu pałacowego księcia Ânha stał klasztor, w którym mieszkali zagraniczni goście i mnisi wszelkich religii. Przez stulecia, zanim przybył Pierre i pot, tugalscy misjonarze, była to buddyjska pagoda, stworzoną ludzkimi rękami góra piaskowca otoczona przez liczne mmejszą wieże. Od trzech lat świątynia służyła misjonarzom za dom.

Ku wielkiemu niezadowoleniu Pierre musiał mieszkać wśród orientalnych bałwanów, które panoszyły się w jego nowym schronieniu. Wysokie posągi medytującego Buddy wyglądały niegroźnie w kapryśnym świetle świec, ale ich rozmiar pomniejszał wszystko, co znajdowało się w zasięgu wzroku. Chronione przez dwór rzeźbione kamienne postacie podważały jego autorytet.

Pierre'owi nie było wolno oficjalnie głosić kazań członkom rodziny królewskiej, ale mógł odprawiać nabożeństwa dla portugalskich mnichów i krajowców, którzy nawrócili się w przeszłości. Do chrześcijan należały dwie małe komnatki po obu stronach wielkiej sali. W jednej odbywały się ceremonie chrztu konwertytów, a druga służyła do udzielania komunii i odprawiania pokuty. Pomimo rządowych wysiłków, które miały na celu wykorzenie chrześcijaństwa, nasienie nowej religii wciąż wzrastało. Pierre z wielką przyjemnością powitał tych, których chrzczył przed laty i którzy nie odstąpili od prawdziwej wiary.

Po deportacji misjonarzy w roku 1770 w Sajgonie powstała quasi-religijna wspólnota skupiająca uczniów Pierre'a, takich jak Ignatius Khahn, Patrick Châu i Vincent Hòp. Trzy przysięgi wiązały ich z Kościołem. Pierwsza zobowiązywała do życia w czystości i ożenku tylko za zgodą biskupa. Drugi ślub nakazywał dzielenie się dobytkiem. Poza tym musieli słuchać ślepo starszego, którego Pierre wyznaczył na czas swojej nieobecności.

Pierre podszedł do drzwi wielkiej sali i stanął w progu w szerokim rozkroku, z rękami założonymi za plecy. Jasna gwiazda płonęła na niebie. Daleko za atramentowym zarysem świątyń, po drugiej stronie pustego placu mieszkał książę z żonami. Pierre pomyślał o Henrim, krnąbrnym nowicjuszu, wyobrażając go sobie sam na sam z uwodzicielską służącą. Ich pożądanie zanieczyszczało noc jak odór piżma.

Tak czy inaczej nadszedł czas, żeby zająć się młodym człowiekiem, zanim wymknie mu się z rąk na zawsze.

W świetle ręcznej latarni przyjrzał się największemu posągowi i pochwycił swoje odbicie w lustrze Pa Kua, które pogański wyznawca zawiesił na szyi Buddy, aby odpędzało złe duchy. Spojrzał w swoje oczy, zmrużone pod krzaczastymi brwiami, i z niesmakiem skrzywił kącik ust. Zdjął kapelusz i rozluźnił kołnierz bluzy. Pod szyją widać było kępkę przyprószonych siwizną włosów.

W mrocznej kaplicy dwaj portugalscy mnisi, brat João i brat Tiago, siedzieli przy biurku pochyleni nad brewiarzem. Brat Tiago, wyprostowany, modlił się z żarliwością, która zwiększyła się z wiekiem. Młodszy zakonnik, brat João, garbił się, wodząc niebieskimi oczami po linijkach tekstu. Po drugiej stronie dziedzińca światło prześwitywało pomiędzy zielonymi listewkami zamkniętego okna pagody, w której mieszkała grupa buddyjskich mnichów. Ich monotonny śpiew powrócił. *Życie jest podróżą, śmierć powrotem.*

– Co mam zrobić, żeby uciszyć tych naiwnych głupców? – Pierre zwrócił się z rozdrażnieniem do kamiennych bożków. – Jeśli pochodzimy z nicości i powracamy do niej w chwili śmierci, jak w takim razie dusza może wędrować w czasie?

Nie po raz pierwszy okazywał pogardę dla buddyjskiej doktryny. Zastanawiał się, jak Azjaci, Chińczycy i Hindusi, mający przecież wysoko rozwiniętą kulturę i wielką wiedzę, mogą wyznawać tak bezsensowną religię. Milczące kamienie podsycaly jego frustrację. Kilka razy składał petycję, prosząc rodzinę królewską o usunięcie posągów. Za każdym razem królowa odmawiała, co powiększało jego niezadowolenie. Bożki, wciąż obecne w jego domu kultu, przypominały mu o niewielkim wpływie, jaki miał na księcia, i tym samym o jego porażce jako misjonarza.

Wskazał palcem kamienną rzeźbę.

– Pewnego dnia rozbiję was wszystkich i raz na zawsze wykorzenię tę fałszywą religię.

Śpiew ucichł, ale wkrótce rozbrzmiał z nową siłą, jakby rzucał wyzwanie jego autorytetowi. Pierre splunął, patrząc w okno

klasztoru. Latarnia zamrugwała i żółte światło omiotło jego twarz.

Zaczął padać deszcz, spływając z dachówek do bambusowej rynny, a stamtąd bambusową rurą do cysterny. Pierre wciąż słyszał buddyjskich mnichów, ale szum deszczu zacierał słowa.

– Gdzie jesteś, Henri? – krzyknął w ciemność.

Portugalscy mnisi podnieśli głowy znad modlitewników.

Deszcz moczył Pierre'owi twarz; krople były słone niemal jak morska woda. Duszne powietrze w Sajgonie przywiodło mu na myśl Marsylię. Obydwa miasta były otwarte dla handlu. Cudzoziemcy z wielu krajów przywozili do sajgońskiego portu różnorodne towary, próbowali zakładać własne przedsiębiorstwa. Król Due Tong, gdy przybył z ocalałymi członkami rodziny do cytadeli, przyniósł z sobą tylko królewską pieczęć, która pomogła mu zdobyć władzę nad ludem. Chcąc odzyskać utraconą fortunę i odbudować armię, przejął kontrolę nad handlem i wyniósł go do rangi sztuki.

Świątynia stała się schronieniem znamienitych zagranicznych gości. Należał do nich Petijean, kapitan „Wędrowca”. Jak innych kupców, przyciągnęły go bogactwa Sajgonu. Na wywóz czekała kość słoniowa, rogi nosorożców, cukier, cenne gatunki drewna, ryż i inne egzotyczne towary. W zamian kapitan miał dostarczyć do pałacu muszkiety, proch, żelazne pancerze i kule armatnie. Poza zaopatrywaniem armii Petijean zaproponował podzielenie się wiedzą o zachodnich strategiach i okazijną sprzedaż okrętu wojennego, który miałby powiększyć flotę Kochinchiny. Napływ marynarzy do Sajgonu powodował, że stawiano burdele, domy gry i tawerny.

Pierre nieczęsto wychodził poza cytadelę. W ciągu trzech lat życie w pałacu niewiele się zmieniło. Misjonarzom narzucił życie w religijnej surowości – modlitwy, kazania i udzielanie sakramentów. Od Petijeana otrzymywał cenne, ale skąpe informacje o zewnętrznym świecie. Rozwlekłe, niekiedy humorystyczne opowieści kapitana dotyczyły głównie jego własnych przygód.

Pierre usłyszał chłopotanie na błotnistej ścieżce. Spojrzał w ciemność i zobaczył nowicjusza idącego w deszczu. Złość, która wrzała w nim od rana, pchnęła go w stronę schodów. Nowicjusz krzyknął z zaskoczenia. Był przemoczony do suchej nitki.

– Gdzie byłeś? – zapytał biskup ostro.

Henri popatrzył na niego tak, jakby nie rozumiał.

– Co wstąpiło w ciebie i w tę służebną dziewczkę, że nas szpiegowaliście? – warknął Pierre. – Masz pojęcie, co by się stało, gdyby książę przyłapał cię na podglądaniu kobiet z rodziny królewskiej? W czasie wojny jest to akt zdrady. Wiesz, że udzielam księciu prywatnych lekcji. Czy to ci nic nie mówi?

Milczenie młodzieńca i jego zmieszana mina jeszcze bardziej rozwścieczyły biskupa.

– To oznacza, że masz trzymać się z daleka. Poruszane tematy objęte są tajemnicą.

– Przepraszam, Wasza Eminencjo – bąknął Henri, prostując ramiona. – Chciałem tylko zobaczyć, jak działa maszyna parowa. – Wszedł do wielkiej sali, otrząsając się z deszczu.

– Powinieneś spytać mnie o pozwolenie. Odkąd jesteśmy razem, tylko tracisz czas i przysparzasz kłopotów. Czego się nauczyłeś w trakcie prawie dwuletniej nauki u ojca François? Biorąc pod uwagę czas, jaki poświęcił ci Kościół, powinieneś być gotów do złożenia ślubów.

Cień przesunął się w ich stronę.

– Zdejmij ubranie i wytrzyj się – szepnął brat Tiago.

– Co rozumiesz przez złożenie ślubów, panie? – zapytał Henri, nie zwracając uwagi na portugalskiego zakonnika.

Pierre spojrzał na niego, mrużąc oczy.

– Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Nie jesteś taki głupi. Jak myślisz, w jakim celu cię kształcimy?

Henri przegarnął ręką mokre włosy.

– Chcesz, żebym został księdzem? Teraz? – wyszeptał przejęty.

Pierre chrząknął głośno.

– Będziesz kimś więcej niż księdzem. Zostałeś wyszkolony na żołnierza Boga, na misjonarza. Ponieważ jestem twoim zwierzchnikiem i razem przebywamy w Annamie, tutaj przyjmiesz święcenia. Dziś wieczorem przeprowadzimy próbę obrzędu, który odbędzie się w wigilię Wielkiego Piątku.

– W czasie ciemnej jutrznii? – zapytał Henri. – To już za miesiąc.

– Wyświęcenie jest ważnym wydarzeniem, które zostanie uświetnione przez uroczystości Wielkiego Tygodnia. Radzę ci, Henri, okazuj większą pokorę i skrucę, zwłaszcza na mszy świętej, w czasie której ślubujesz wierność Bogu i mnie.

Nowicjusz patrzył na niego bez słowa. Pachniał lekko kwiatami i rybami – zapach ten Pierre'owi kojarzył się z kobietą.

– Po święceniach zostaniesz księdzem z prawem do odprawiania eucharystii i odpuszczania grzechów w sakramencie pokuty.

Ku zaskoczeniu Pierre'a nowicjusz wypiął pierś i powiedział chłodno:

– Nie chcę być taki jak ty. Wykonywałem pracę misjonarską, nie będąc księdzem. Chcę pełnić obowiązki właśnie w taki sposób.

Pierre wbił w niego zdumione spojrzenie. Czy w jakiś sposób zasugerował temu młodzieńcowi, że będzie tolerował negocjacje?

– Skoro nie chcesz takiego życia, dlaczego tu przybyłeś?

Uderzył otwartą ręką w pierś Henriego, popychając go. Henri zatoczył się i przytrzymał kamiennej kolumny, żeby nie upaść. Ze złością uniósł pięści.

– Uderzysz mnie? – zapytał Pierre.

Henri nie odpowiedział. Pierre przysunął latarnię do jego twarzy i patrzył, jak chłopak mruży oczy.

– Jak śmiesz mieć takie myśli! – ryknął. – Ciemny głupcze! Skarzesz duszę na wieczne potępienie z powodu tej dzikuski.

Henri pokręcił głową i przełknął ślinę.

– Znam cię dobrze, biskupie. Chcesz, żeby wszyscy żyli w twoim żalonym świecie, w próżni pozbawionej szczęścia. Wszyscy muszą podzielać twoją samotność, bo jak nie, znajdziesz sposób, żeby się ich pozbyć. Rozdzieliłeś siostrę Lucię i brata João z powodu ich uczucia. Teraz próbujesz zrobić to samo ze mną i Xuan.

Krzyk wyrwał się z ust brata João. W blasku latarni ukazała się jego popielata twarz.

– Zapytaj go o prawdę, jeśli masz odwagę – rzekł Henri do João.

Dominikanin odwrócił się w stronę biskupa.

– Nie! – krzyknął Pierre ze złością. – Nikt nie będzie mnie osądzać. Mniszki i zakonnicy muszą żyć w czystości. Zrobiłem to dla dobra waszych dusz. – Do Henriego powiedział: – Wyjdź. Już nie jesteś mile widziany w Domu Bożym. Obyś na wieki smażył się w ogniu piekielnym.

Henri wahał się przez chwilę. Zanim wyszedł na deszcz, odwrócił się i spojrzął na biskupa. Głos miał spokojny.

– Możesz skazać mnie na potępienie, panie, ale ty już żyjesz we własnym piekle.

Wybiegł na schody. Pierre patrzył, jak nowicjusz ogląda się i patrzy na niego po raz ostatni. Nagle zapragnął zawołać go i mu wybaczyć, ale odpędził tę myśl, gdy tylko się zrodziła. Kurtyny deszczu zamknęły się za Henrim.

Pierre zdmuchnął płomień.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Henri szedł w nieznane.

W drzwiach pagody stał biskup, kruchy i drobny wśród posągów. Podniósł latarnię. Ich oczy się spotkały, gdy gasił płomień.

Henri nigdy nie przypuszczał, że zdobędzie się na odwagę, aby sprzeciwić się biskupowi. Teraz, gdy to zrobił, czuł się raczej wyzwolony niż przestraszony.

Popędził w noc, nie myśląc o tym, na co mogą trafić jego boscie stopy. Otaczały go nieprzeniknione ciemności. Nagle wysunęła się z nich ręka i chwyciła go za ramię. Z krzykiem zaskoczenia Henri rzucił się przed siebie.

- Sza – usłyszał uspokajający szept. – To ja, brat João.
 - Bracie João, co tutaj robisz?
 - Chcę zapytać o Lucję. Skąd o nas wiesz? Kiedy ją widziałeś? Pytała o mnie? Co się z nią dzieje? Gdzie jest?
 - Dlaczego się nią przejmujesz? – zapytał Henri z goryczą. – Nad wszystko inne miłujesz Chrystusa.
 - Powiedz mi, czy ma się dobrze. Po prostu muszę wiedzieć. Henri potrząsnął głową i odszedł.
 - Proszę! – zawołał za nim mnich. – Błagam.
- Odpowiedział mu, nie odwracając głowy:

– Ostatnim razem, gdy ją widziałem, mieszkała na górze Ngú Binh wśród buntowników, którzy ją uratowali.

– Bogu niech będą dzięki. Dziękuję ci za życzliwość. Jeśli przeprosisz Jego Eminencję, wybaczy ci i pozwoli wrócić na łono Kościoła.

Henri spojrział na niego.

– Nie przeproszę.

– Nie bądź niemądry. Czy bez jego protekcji moglibyśmy przeżyć w tym kraju? – Wyciągnął rękę. – Najlepiej, jak wrócisz razem ze mną. Co innego możesz zrobić? Dokąd pójdziesz?

Henri nie chciał ustąpić.

– Pomyślałeś o tym, jak zranisz ojca François, kiedy się dowie, że postanowiłeś wyrzec się powołania? – przekonywał zakonnik.

Wzmianka o nauczycielu zaboląla Henriego.

– Nie próbuj namawiać mnie do powrotu.

– Dlaczego?

– Bo jeśli to zrobię, okażę się taki jak ty.

Szloch wyrwał się z gardła brata João.

– Rozumiem – powiedział przygnębiony. – Idź! Odszukaj siebie. Muszę przyznać, że ci zazdroszczę. – Dotknął podbródka Henriego i zacytował świętego Augustyna: – „Kochaj i czyń, czego pragniesz”.

Około północy Henri wszedł na tereny pałacowe księcia Ánha. Akurat zmieniały się strażę. Sylwetki palm i wierzb płaczących rysowały się na tle czarnego nieba. Światło pochodni wartowników pogłębiało otaczające je ciemności. Henri był pewny, że nikt nie dostrzeże go w zaroślach. Pałac składał się z szeregu parterowych budynków połączonych malowanym złotem dachem. Na tarasie od frontu w czterech niebiesko-białych glinianych wazonach rosły rzadkie gatunki sosen.

Gałęzie były ułożone w nieznane mu ideogramy. Dwaj strażnicy krążyli przed sypialnią księcia.

Letni deszcz przeszywał noc niczym igły. Henri przeciął na skróty ogród orchidei, żeby dostać się do kwater dla kobiet na końcu kompleksu. Gdy szedł krętą ścieżką, ciężkie kwiaty uderzały go w twarz. Przedzierał się przez pnącza, rozdzierając je, aż ręce zrobiły mu się lepkie od soku.

Musiał znaleźć Xuan przed świtem. Za parę godzin wstanie słońce, a wraz z nim wszyscy w fortecy. W chwili gdy sprzeciwił się biskupowi, stracił prawo pobytu w tym miejscu.

Latarnia paliła się w jej pokoju. Xuan siedziała na ziemi plecami do okna. Henri podkraść się bliżej.

Jedną ręką dziewczyna wyciągnęła nefrytową szpilkę z koka. Włosy opadły na plecy. Zaczęła czesać długie, gęste czarne pasma. Henri zazdrościł grzebieniowi, wyobrażając sobie szylkretowe zęby w swoich palcach. Latarnia zamrugnęła, światło ożywiło rzekę włosów. Widział, jak Xuan wciera w nie olej kokosowy zmieszany z rozartymi kwiatami brzoskwini, żeby zachować ich bogaty połysk. Wiele razy delikatnie rozplątywał pasma splątane przez niesforny wiatr.

Ktoś poruszył się za moskitierą na łóżku. Henri zobaczył twarz starszej osoby. Zatrwożony uciekł w deszcz.

Spotkanie z Xuan musiało zaczekać do rana.

Henri zbudził się z niespokojnej drzemki pod kępą trzciny cukrowej. Miał gorączkę. Wiatr dmuchający w ogrodzie orchidei potęgował jego niepokój. Gdy niebo poszarzało, powietrze zrobiło się ciężkie od wilgoci, nadciągał deszcz. Henri wstał ze stosu liści, które służyły mu za posłanie. Wyglądał z kryjówki, czekając na Xuan. W końcu wyszła z sypialni. Bluzkę miała rozpiętą, ale koszulka w kolorze ciała skromnie przystaniała jej piersi. Z włosami upiętymi w schludny kok wydawała się jeszcze piękniejsza.

Nałożyła drewniaki i ruszyła do studni, przy której stał kosz z rybami. W drzwiach stanęła sędziwa matrona. To ona spała w jej łóżku. Kobieta pokuśtykała w stronę pałacu. Xuan wrzuciła do wiklinowego koszyka dwa karpie. Wiły się w jej rękach, odchylając skrzela. Potrawy na książęcy stół musiały być przyrządzane z żywych ryb. Danie ze śniętej ryby oznaczałoby brak szacunku, stanowiłoby przestępstwo.

W czasie podróży z księciem i Xuan Henri polubił jej kuchnię. Zawsze szykowała więcej jedzenia niż potrzeba, żeby trochę zostało dla niego. Potrawy były niewyszukane, w chłopskim stylu, ale przyrządzała je z wyobraźnią, nadając im doskonały smak. Henri zachwycił się jej pomysłowością.

Na dziedzińcu służące i eunuchowie rozeszli się do codziennych zajęć. Henri z ulgą zobaczył, że na werandzie już nie ma strażników. Podszedł do studni. Zajęta pracą Xuan nie zauważyła go.

Jedną ręką chwyciła karpia za skrzela i ułożyła na grzbiecie. Kciukiem i palcem wskazującym drugiej ręki przeciągnęła po grubym brzuchu. Strumienie czerwonawopomarańczowej ikry trysnęły do miski, przejrzyste i lśniące jak nasiona granatu.

Po zebraniu ikry oczyściła ryby z łuski i wypatroszyła, usuwając żyłę biegnącą wzdłuż kręgosłupa. Kiedy skończyła, karpie podrygiwały na kamieniach z otwartymi brzuchami i szklistymi oczyma. Jej ręce i nóż były czerwone od krwi.

Nafaszerowała ryby grzybami, kawałkami jaskółczego gniazda, świeżymi ziołami i przyprawami, a następnie owinęła w liście palmowe. Ułożyła karpie w dwóch glinianych naczyniach, jednego pod gruboziarnistą morską solą, drugiego w mieszaninie błota i miodu. Henri patrzył jak zaczarowany.

Z kuchni napłynął zapach płonącego drewna. Xuan podniosła głowę i zobaczyła obserwującego ją przybysza. Rybie łuski srebrzyły się na jej policzkach i czole, oczy miały kolor czarnej porzeczeki. Zaskoczona, cofnęła się w cień studni.

Uspokoila się, gdy go rozpoznała, ale zrobiła zmartwioną minę.

– Dobrze się czujesz, Ông Tây?

Henri kichnął.

Wytarła ręce o bluzkę.

– Jesteś chory – powiedziała z przekonaniem. – Chodź do kuchni, zaparzę ci herbatę z palczatki.

– Nie mogę, Xuan – wybuchnął. – Muszę opuścić cytadelę.

Podnosiła dwa gliniane garnki, gdy zrozumiała, co powiedział.

– Teraz? Na jak długo?

– Już tu nie wrócę.

Westchnęła.

– To przez biskupa – wyjaśnił szybko. – Chciał mnie zmusić do złożenia ślubów kapłańskich. Odmówiłem. Teraz muszę odejść.

– Ale dokąd? Tu jest twój dom. Nie może zmusić cię do odejścia, prawda?

Wyciągnął rękę, żeby pogładzić ją po policzku. Czuł miękką skórę pod czubkami palców. Niezdolny ukryć uczuć, odwrócił wzrok.

– Nie zostawiaj mnie! – zawołała. – Mam tylko ciebie.

– Chodź ze mną.

Odsunęła się i pokręciła głową. Henri zachwiał się, czując, jak krew odpływa mu z twarzy. Musiał przytrzymać się kamiennej cembrowiny, żeby nie stracić równowagi.

– Proszę, chodź ze mną. Razem znajdziemy schronienie w Sajgonie, wśród Francuzów i Chińczyków. Będę pracować w dokach i jestem pewien, że znajdę dla ciebie bezpieczne miejsce.

– Nie mogę.

– Nie możesz czy nie chcesz?

Xuan spojrzała w bok. Wydawało się, że zaraz się rozpłacze.

– Jesteś miły, Ông Tây, ale nie mogę! Tutaj jest moje miejsce. Poza tym zeszłej nocy książę przysłał swatkę do mojego łóżka. Jeśli nie doszuka się u mnie wady, którą uzna za niemiłą, zostanę jego konkubina.

Błyskawica rozdarła niebo, zahuczał grzmot.

– Nie wychodź za niego – krzyknął Henri w huku gromu. – Wiem, jaki on jest. W wieku szesnastu lat ma już trzy żony i siedem konkubin. Nigdy nie będziesz szczęśliwa.

Krople deszczu zabębniły o ziemię. Henri milczał i patrzył na drżącą Xuan. Włosy jej się rozplotły. Lśniące, ciężkie pasma spadły na ramiona, na plecy, spłynęły poniżej ud jak kaskada.

– Będę miała piękne stroje i służące, będę się cieszyć powszechnym poważaniem. – Pociągając nosem, zaśpiewała cicho: – Przebyłam wiele gór i rzek. W jakże wielu niebezpiecznych miejscach świata byłam! Wybacz mi, Panie Francuzie, ale nie chcę już więcej uciekać. Jeśli odejdę z tobą, ucieczka nigdy się nie zakończy.

W szarym świetle widział, że Xuan ma zaczerwienione oczy. Usta jej drżały, krople ściekały po twarzy.

– Staruszka niedługo wróci – powiedziała, zdobywając się na smutny uśmiech. – Wyświadczy mi ostatnią przysługę. Nie mów nic więcej.

Zamknął oczy i posłuchał.

– Żegnaj, Ông Tâý – szepnęła.

Kiedy spojrział, już jej nie było.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Kwietniowa pogoda w Sajgonie była zmienna. Choć z nieba lały się strugi deszczu, panował nieznośny upał.

Od dwóch tygodni Xuan nie zwracała uwagi na pogodę. Żyła w oczekiwaniu. Niebawem ona też zasiądzie w różanym ogrodzie, będzie sączyć zagraniczną białą herbatę ze złotej filiżanki i nosić perłowy naszyjnik. Swatka obiecywała, że uroda zapewni jej życie w luksusach.

Stara matrona nabiła jej głowę cudownymi historiami o dworskim życiu i plotkami o innych konkubinach. Xuan już się widziała w pięknych haftowanych strojach, we własnym pawilonie, obsługiwana przez niezliczone damy dworu i eunuchów. W zamian za te zbytki miała spełniać życzenia księcia.

– Co mam robić? – zapytała swatkę. Choć wyteźzała wyobraźnię, nie miała pojęcia, co pan i jego pani robią za czerwona zasłona małżeńskiego łóża. Zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby sprawić mu przyjemność. Przez dwa tygodnie tyle się nauczyła, a jednak rozumiała niewiele.

– Nigdy nie odmawiaj Jego Wysokości. Musisz oddać mu swoje ciało i duszę w chwili, gdy wejdiesz do jego łóżka. – Staruszka zachichotała, mrugając mętnymi oczami. Wiek sprawił, że przy uśmiechu opadały jej kąciki ust. – Pamiętaj, dziecko,

nigdy nie patrz prosto na księcia. Jedną rzeczą jest być zaufaną kucharką, a inną zasługiwać na jego miłość.

– Co będę robić za czerwona zasłona? Czy mam się nauczyć śpiewu albo tańca?

Kobieta znów się roześmiała.

– Moja wiedza jest kosztowna. Dla dziewczyny twojego stanu mam tylko jedną radę. Cierpliwości, dziecko! Jak ze wszystkim innym w życiu, musisz pozwolić, by natura była twoim przewodnikiem.

Umysł Xuan snuł fantazje o rzeczach, których pragnęło doświadczyć ciało. Codziennie trawiło ją straszne podniecenie. Co noc, bacznie obserwowana przez swatkę, bała się zasnąć ze strachu, że ujawni jakiś niemiły nawyk, którego sama nie była świadoma. Wciąż rozmyślała o księciu, Henrim, dawnej biedzie i czekającym ją bogactwie.

W kwaterach księcia Ánha w zachodnim skrzydle fortecy zaczęło się ściemniać. Wierzby płaczące rosnące nad fosą drżały na wietrze.

Trzymając w ramionach koszyk z jedzeniem, Xuan szła ścieżką. Skośne strugi deszczu kłuły ją w policzki. Nie próbowała wycierać twarzy. Najważniejsze było dostarczenie księciu kolacji na czas.

Przed komnatą Ánha stało dwóch wartowników. Znała ich, spotykała ich tutaj codziennie o tej samej porze, pilnowali wejścia. Zawsze zachowywali się tak oficjalnie, że nie miała śmiałości się do nich odezwać. Jeden brał od niej koszyk i przekazywał słudze, który próbował potraw przed podaniem na stół, chroniąc w ten sposób księcia przed otruciem. Podczas gdy Jego Wysokość jadł kolację, Xuan czekała za ciężkimi drzwiami.

Tego wieczoru coś się zmieniło. Nigdzie nie było sługi, który próbował jedzenia.

Strażnicy się uklonili.

– Możesz wejść, pani – powiedział jeden. – Jego Wysokość czeka.

Nogi się pod nią ugięły i strażnik podał jej ramię. Poprawiając bluzkę, pośpiesznie przestąpiła próg, żeby nie zdążył zmienić zdania.

Komnatę księcia Ânha oświetlały latarnie różnej wielkości i kształtów, wiele zwisało z rzeźbionych i malowanych potężnych belek stropowych. Deszcz bezustannie stukał w dachówki. Skroplona para połyskiwała na drewnianych kolumnach jak rybie łuski.

Za owalnym łukiem mieściła się sypialnia pachnąca od wonnych świec. Książę Ânھ spoczywał na czerwonej kołdrze na łożu z drewnianym baldachimem, z którego zwisały warstwy jedwabiu. Xuan nigdy nie przypuszczała, że znów go zobaczy, z bliska, sam na sam. Był wyższy, niż pamiętała; miał szerokie ramiona i bardziej kanciastą twarz.

Postawiła koszyk zjedzeniem na stole, zaczęła wyjmować talce. Światło latarni pełgało po sprzętach. Otaczały ją cenne i piękne przedmioty, zrobione ze złota, porcelany albo kości słoniowej. Czowała się tutaj nie na miejscu. Zobaczyła swoje odbicie w lustrze, zwielokrotnione przez światła i cienie, i rozczarowanie ścisnęło ją za gardło. Ubranie miała proste, włosy w nieładzie. Była bardzo blada, jakby deszcz zmył kolory z jej twarzy.

Ręce jej się trzęsły i rozlała trochę słodko-kwaśnej zupy z jaj przepiórczych na intarsjowany stół. Z przerażeniem patrzyła, jak krople ściekają na posadzkę z piaskowca.

– Czekam. Co robisz tak długo?

Podskoczyła, słysząc głos księcia. Stała, ściskając ratanowy kabłąk kosza, odwrócona plecami do niego. Łóżko zatrzeszczało. Patrząc w dół, zobaczyła jego stopę, gdy kroczył. Zaciśnął rękę na jej ramieniu, odwrócił ją. Stali teraz twarzą w twarz.

– Wyrosłaś na piękną dziewczynę – powiedział. To nie był komplement, tylko pełne zdumienia stwierdzenie. – Rozumiem, dlaczego biskup troszczy się o twoją przyszłość.

Nigdy nie patrz wprost na niego. Jak trudno było stać ze spuszczonej oczami! Skupiła wzrok na zwoju wiszącym na ścianie, potem na haftowanej szacie księcia, na grubej szyi, na błysku różowego języka, rozdętych nozdrzach. Niezdolna się oprzeć natrętnemu pragnieniu, podniosła głowę i ujrzała dwoje ciemnych oczu.

Książę zmarszczył czoło. Ścisnął jej podbródek, wykręcił głowę.

– Jeśli znów cię przyłapię na patrzeniu na mnie, będzie to ostatni widok w twoim życiu.

Choć jego głos był teraz głębszy, wciąż słyszała w nim ton rozdrażnienia, dobrze jej znany z czasów, gdy oboje byli dziećmi.

Zaciskał palce na jej szczęce, uniemożliwiając jej mówienie. Powoli rozluźnił rękę, ale Xuan nie śmiała się ruszyć. Zbyt przestraszona, żeby patrzeć na cokolwiek, zamknęła oczy. Pociągnął ją w stronę łóżka. Potknęła się o jakiś mebel. W tym nowym czarnym świetle rozróżniała tylko światło latarni, gęste i czerwone. Książę pchnął ją na czerwoną kołdrę. W tej samej chwili poczuła jego ręce w talii. Książę rozwiązał sznurek i ściągnął jej spodnie.

Xuan chciała wrzasnąć.

Jego ręka pieściła jej brzuch.

– Rozsuń nogi! – powiedział gdzieś nad jej twarzą. W jego oddechu czuła zapach tytoniu.

Wsunęły się w nią lepkie, szorstkie palce. Krzycząc bezgłośnie, Xuan zacisnęła ręce na kołdrze. Wołała w duchu matkę, a potem Henriego. Powietrze uciekło jej z płuc, gdy książę dźgał ją raz za razem. Coś mokrego ściekało na jej twarz, smród tytoniu przybierał na sile.

Książę upadł na nią z westchnieniem.

– Skończyłem – powiedział. W jego głosie już nie było złości. – Możesz otworzyć oczy.

Podniosła się, odgarniając włosy z twarzy.

Kamienna podłoga ziębiła ją w stopy, gdy włożyła spodnie i próbowała związać pęknięty sznurek, który je podtrzymywał.

Książę Anh leżał na plecach. Trzymał kawałek białego materiału, który pod nią podłożył. Widniała na nim krwawa smuga, świadectwo jej dziewictwa.

Xuan była zdumiona tym, co się stało. Tajemnicza kurtyna wreszcie się podniosła. W jej ciele kryło się miejsce rozkoszy, z którego książę mógł korzystać w dowolnej chwili. Jego silne ręce nie dały jej czasu na przygotowanie. Wiedziała tylko, że jest po wszystkim, gdy oślinił jej twarz w czasie szczytowania. Teraz nie miała już nic, co mógłby jej zabrać, i domyśliła się, że chce, aby odeszła.

Razem słuchali ulewy, a jednak byli sobie dalecy. On czuła wewnętrzną pustkę, on zadowolenie.

Widok własnego odbicia w lustrze spotęgował jej poniżenie. Zebrała tace i ułożyła w koszyku.

– Jestem głodny, ale jedzenie wystygło – powiedział książę rzeczowo. – Ile czasu ci zajmie przygotowanie następnego posiłku?

Podniosła kosz.

– Nie słyszysz? Mówię, że jestem głodny – powtórzył. Odechnęła głęboko i odwróciła się w jego stronę.

– Czy nadal mam dla ciebie gotować, panie?

– Dlaczego nie? – zapytał, nie próbując zakryć nagości. Spuściła wzrok na stół i pozbierała rozrzucone pałeczki.

W szczelinie pomiędzy skrzydłami drzwi widziała poruszające się cienie strażników. Zastanawiała się, czy oglądali jej upokorzenie.

Książę podszedł do niej. Poczuła jego rękę na włosach. Gorący oddech parzył jej kark. Chciała się odsunąć, ale zamknął ją w ramionach.

– Nadal będziesz dla mnie gotować – szepnął jej do ucha.

Palce błądziły po jej skórze, sięgając pod przepaskę na pierśiach. Jego głos stał się miękki i cichy.

– Wróg atakuje moje królestwo, moja rodzina przebywa na wychodźstwie. Masz obowiązek podzielać mój smutek. Kiedy odbijemy miasto Hue, twoja lojalność zostanie nagrodzona. A teraz przynieś kolację swojemu księciu.

Xuan opuściła sypialnię, wciąż czując zapach Ánha.

Dwaj strażnicy padli na kolana, gdy wyszła na dziedziniec. Bambusowe kapelusze zasłaniały ich twarze. Xuan przystanęła i pochyliła się, podtrzymując spodnie. Bardziej niż czegokolwiek pragnęła być sama.

Wartownik w płaszczu przeciwdeszczowym z palmowych liści zapytał:

– Dokąd idziesz, pani?

– Do kuchni – odparła i minęła go szybko.

– Zaczekaj, proszę! – zawołał. – Odprowadzę cię.

Zabrał parasol i przykazał drugiemu strażnikowi:

– Stój na warcie. Niebawem wrócę.

– Nie ma potrzeby mnie chronić – sprzeciwiła się Xuan. – Mogę iść sama.

– Nie, pani. To mój obowiązek. Od tej chwili ktoś zawsze musi ci towarzyszyć.

– Skąd te ceremonie? – zapytała, odsuwając się od niego. – Idę tylko do kuchni, jak zawsze. Wiele razy widziałeś, jak przychodzę i odchodzę. Daj mi spokój.

Zbiegła po szerokich stopniach. Deszcz bił ją w twarz i zimne krople odświeżyły przykre przeżycie, o którym próbowała zapomnieć. Zanim zdążyła zareagować, parasol osłonił ją przed deszczem. Strażnik szedł za nią w milczeniu.

– Lubisz być czyimś cieniem? – zapytała.

– Ja tylko wykonuję rozkazy księcia.

Odpowiedź przypomniała, że jej życie zmieniło się na zawsze. Xuan chciała zniknąć, usunąć całe zdarzenie z pamięci. Henri miał rację. Teraz mogła tylko żałować.

Po raz pierwszy na myśl o Panu Francuzie ogarnął ją smutek. Tęskniła za jego ciepłem i współczuciem. Gdyby mogła zobaczyć go raz jeszcze, powiedziała mu, jak bardzo żałuje swojego błędu.

Opuściła ręce i wbiła spojrzenie w mokrą ziemię.

Skęcili, idąc ścieżką. Płatki brzoskwini krążyły na wietrze u jej stóp. Ogród, zasnuty przez ciemność, szeptał sekrety. Xuan zatrzymała się, przycisnęła rękę do piersi. Instynktownie wyczuła czyjaś obecność.

Zrobiła jeszcze jeden krok i znów przystanęła, spoglądając w las. Strażnik obserwował ją, gdy wpatrywała się w noc. Ruszyła w stronę lasu, a potem odwróciła się i poszła do kuchni.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

– Mężczyzna i jego żona dzielą się kośćmi i ciałem.

Pierre, odwrócony plecami do ołtarza, szeroko rozłożył ręce i spojrzął na stojącą przed nim rzeszę ludzi. Tego wieczoru, ubrany w czarne szaty liturgiczne, odprawiał nabożeństwo na zakończenie Wielkiego Piątku. Dobrze było znów głosić kazanie przed licznym zgromadzeniem. Długie lata czekał na tę okazję i w końcu książę Ánh wyraził zgodę. Brat João uderzył w gong. Pierre wiedział, że cytując annamskie przysłowie, przyciągnie uwagę słuchaczy.

Szerokie cienie kamiennych filarów przyciemniały wielką salę. Po tygodniach nieustannego deszczu księżyc w pełni zawładnął niebem. Poświata gęsta jak mleko wlewała się przez okna świątyni. Wszystkie posągi Buddy przybrane były lawendą i widok ten radował oczy Pierre'a. Przynajmniej dziś nie musiał oglądać twarzy fałszywych bogów. Poza naturalnym blaskiem księżycy ołtarz oświetlony był tylko przez brązowy kandelabr z piętnastoma świecami. Ponad nim wisił krucyfiks okryty fioletowym jedwabiem.

Tłum, dwakroć liczniejszy, niż Pierre się spodziewał, tworzyły trzy główne grupy. Pośrodku stali annamscy konwertyci, którzy z powodu nieznamości łaciny odmawiali modlitwy w ojczystym języku. Resztę świątyni i dwa przyległe

pomieszczenia zapełniali liczniejsi od nich poganie, których przyciągnęła ciekawość i nadzieja na rozrywkę. Na zewnątrz dzieci czepiały się krat w oknach, pragnąc zobaczyć widowisko. Na lewo od Pierre'a stały w trzech rzędach krzesła zajęte przez kilku mandarynów i członków rodziny królewskiej. Biskup zobaczył swojego ucznia, księcia Ánha, siedzącego dumnie wśród żon i konkubin. Miejsce u jego boku zajmowała najnowsza konkubina, Xuan, odziana w czarny jedwab.

Pierre był zakłopotany obecnością dziewczyny. Sugerował wprawdzie, żeby wydać ją za mąż, ale dlaczego księżę uznał, że sam powinien się z nią ożenić? Ánh znał jego poglądy na temat wielożeństwa i teraz brukał mszę swoją obecnością.

– Mężczyzna i jego żona tworzą jedno ciało – powiedział, podnosząc głos. – Nawet nasz Pan, Jezus Chrystus, Syn Boży, prawdziwy Bóg i niewinny człowiek, nauczał tego swymi świętymi ustami.

Księżę splótł ręce na piersi. Pierre się zawahał. Czuł, że Ánh coraz bardziej pochmurnieje. Czy powinien zmienić temat kazania? Był przecież księdzem. Przez długi czas ustępował, żeby uzyskać królewskie poparcie. Nadszedł czas stanąć w obronie wiary, nawet gdyby miało to rozgniewać Ánha.

Powiódł wzrokiem po zatłoczonej sali, zbierając się na odwagę. Patrzyły na niego ochocze, niewinne twarze.

– Na samym początku Bóg dał Adamowi tylko jedną kobietę, Ewę, i Adam żył z nią do śmierci przez dziewięćset trzydzieści lat. Ten sam Bóg patrzył, jak krzyżujemy Jego jedyne Syna. Ale Syn Boży zmartwychwstał po trzech dniach. Kto sprawił ten cud? Bóg, który jest miłosierny i wszystko wybacza.

Wasze przysłówie zawiera mądrość Chrystusa. Wasze prawo potwierdziło, że wzajemne oddanie męża i żony jest święte. Dopóki jedno z nich żyje, drugie nie powinno dobrać sobie innego towarzysza. Boskie prawo zakazuje wielożeństwa i rozwodu. Chrystus zginął za nasze grzechy, dlatego powinniśmy żyć zgodnie z Jego naukami.

Po kazaniu konwertycy odmówili Ojcie Nasz, siedem razy Zdrowaś Mario i raz Chwała Ojcu. Książę, czerwony z oburzenia, siedział jak na szpilkach.

Nadszedł czas na teatralną liturgię, którą Pierre starannie przećwiczył z portugalskimi mnichami.

– W swej ostatniej chwili Pan Jezus wykrzyknął: „Ojcie, w Twoje ręce powierzam ducha mego” – wydeklował. – Po tych słowach skłonił głowę i wyzionął ducha. Ziemia się zatrzęsła.

Konwertycy zaczęli tupać nogami. Na piaskowcu ułożono drewnianą podłogę dla wzmocnienia dźwięku. Dudnienie poniosło się w starej świątyni, wprawiając świece w drzenie.

– Zahuczał grzmot i błyskawice rozświetliły ciemności.

Tupali jeszcze głośniej i klaskali, brat João uderzał w gong, a Tiago bił w bęben. Wkrótce cały tłum wszczął tumult. Pierre uśmiechnął się z zadowolenia. Udało mu się stworzyć atmosferę annamskiego teatru operowego z dialogiem pomiędzy nim a zebranymi. Ścisnął Biblię tak mocno, że zabolowały go palce. Zamknął oczy, rozkoszując się powodzeniem swojej strategii.

Ciężkie drzwi stanęły otworem. Wszystkie głowy odwróciły się w kierunku wejścia. Pierre wyrwał się z transu.

Wysoki człowiek wszedł chwiejnym krokiem do świątyni, dźwigając na ramieniu wielki drewniany krzyż. Dzieci wrzasnęły. Starsza kobieta otworzyła bezzębne usta i zapłakała. Dwaj mężczyźni w przednich rzędach padli na kolana i bili się w pierś.

– To boski posłaniec – zawołał ktoś przeciągle.

Szepty i krzyki zagłuszyły prośby Pierre'a o ciszę.

Biskup osłupiał. Ten niezwyklej incydent nie był częścią zaplanowanego rytuału. Choć nie widział twarzy przybysza, wiedział, kim on jest. Jasne włosy, długie, patykowate kończyny mogły należeć tylko do dawnego nowicjusza, Henriego. Co on zamierza? Minął miesiąc, odkąd wybiegł ze świątyni. W sercu Pierre'a wezbrały fale zdumienia, złości, irytacji. Ukrył zniecierpliwienie.

Henri szedł, krzyż zgrzytał o podłogę. Wszyscy milczeli. Tłum się rozstępował, tworząc przejście. Henri potknął się i upadł pod ciężarem belek. Ubranie miał złachmanione i zakrwawione. Zarost jeszcze bardziej upodabniał go do męczennika.

– Ojcze, wybac mi, bo zgrzeszyłem – powiedział.

Przebył chwiejnie jeszcze kilka kroków i upadł drugi raz.

Brat João upuścił pałkę. Xuan westchnęła, błada z rozpacz.

– Czujesz mój ból? Błagam o wybaczenie.

Głos mu się załamał, budząc większe współczucie patrzących. Wielu chciało mu pomóc, ale wstał o własnych siłach. Upadł znowu przy samym ołtarzu. Pierre cofnął się przed nim. Widzowie zaczęli tupać. Henri podniósł twarz mokrą od łez.

– Proszę... – szepnął.

Biskup otworzył ramiona.

– Wybaczam ci – powiedział, kreśląc znak krzyża – w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen. – Do zgromadzonych zawołał: – Zmyłem grzechy tego człowieka. Kto dołączy do niego w świetle Chrystusa?

Podniosły się ręce. Kilka osób ustawiło się za plecami Henriego. Xuan wstała z krzesła.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał książę.

– Chcę zostać chrześcijanką, Wasza Wysokość – odparła z drżeniem, zarażona podnieceniem panującym w sali.

– Nie bądź niemądra. Nie zrobisz tego.

Xuan zwróciła się do biskupa:

– Ochrcij mnie, Cha Cã.

– Chodź, dziecko – powiedział Pierre. – Obiecuj Panu naszemu, Jezusowi Chrystusowi, że w niedzielę Wielkanocną zostaniesz chrześcijanką.

Książę mocno złapał ją za ramię. Pierre się uklonił.

– Wasza Wysokość, w Domu Bożym wszyscy są równi i mają prawo do sakramentu chrztu. Z całym należnym szacunkiem,

boże cuda nie są ci obce. Mój Pan ocalił ci życie i uchronił przed krzywdą w drodze do tego miasta. On poprzez moje modlitwy będzie cię chronił przez przyszłe lata. Proszę, nie przeszkadzaj duszy w poszukiwaniu zbawienia.

Xuan wyrwała się z rąk księcia. Anh strzepnął niewidzialny pyłek z kaftana i wyszedł, a za nim jego trzy żony i reszta świty.

Po zgaszeniu świec, gdy odeszli nawet najbardziej gorliwi konwertyci, księża zamknęli drzwi. Do świątyni powróciła ponura atmosfera osamotnienia. Nikły blask jednej latarni nie mógł rozproszyć mroku wielkiej sali.

Henri siedział na podłodze pod ścianą. Brat Tiago opatrywał mu rany. Rozmawiali szeptem.

Pierre przemierzał salę gniewnymi krokami. Targające nim emocje nie pozwalały mu jasno myśleć. Z jednej strony mógł uznać zdarzenie za szczęśliwe. Za jego namową wielu Annamitów zgodziło się nawrócić na wiarę chrześcijańską. Ale ten huncwot! Jak śmiał wykorzystać Drogę Krzyżową do zakłócenia homilii? Nikt nie miał prawa ingerować w przebieg obrzędu bez pozwolenia biskupa. Pierre nienawidził niespodzianek. Tak, przyjęcie Henriego z powrotem na łono Kościoła zostało wymuszone. Przy tubylcach nie miał innego wyboru.

– Wasza Eminencjo – zaczął Henri, odsuwając od twarzy rękę brata Tiago – kiedy powiedziałeś, że mi wybaczasz, czy słowa płynęły z serca?

– Sza, nic nie mów – poradził stary mnich.

– Powiedziałem to, nieprawdaż? – mruknął Pierre szorstko.

Brat Tiago skomentował z radosnym uniesieniem:

– To znak, Wasza Eminencjo. On jest synem marnotrawnym.

Pierre zarumienił się ze wstydu. Dobrze, przyjmie Henriego z otwartymi ramionami i nawet będzie się radować z odzyskania

zbłąkanego nowicjusza. Ale w żadnym wypadku nie uwierzy w jego szczerość. Obdarzony buntowniczą naturą młodzieniec był nieprzewidywalny.

Brat João, który dotąd stał blisko zamkniętych drzwi, podszedł do Henriego.

– Ostatnim razem, kiedy cię widziałem, byłeś nieugięty w postanowieniu odejścia od Kościoła. Dlaczego wróciłeś? Co zaszło w ciągu tego miesiąca, gdy nikt cię nie widział?

Henri milczał.

– To jasne, dlaczego wrócił – warknął Pierre.

Henri spojrzał na niego.

Biskup kontynuował podniesionym głosem:

– Głupotą było myśleć, że tubylcza dziewczyna wyrzeknie się dziedzictwa dla ciebie, cudzoziemca. Co zrobiłeś, gdy złamała ci serce? Mogłeś opuścić to królestwo, wrócić do Francji albo zostać marynarzem i więcej się tu nie pokazywać. Ale nie, ty postanowiłeś się zemścić. Chcesz zostać księdzem, lecz pragnienie to służy tylko ukaraniu siebie i sprawieniu bólu dziewczynie. Będziecie żyć tuż obok siebie i razem cierpieć niedolę, bo ona jest własnością księcia. Nie pozwolę ci wstąpić do stanu kapłańskiego z tak niskich pobudek.

Henri zerwał się z podłogi. Zacisnął pięści, przyskoczył do biskupa.

– Nie chcę jej skrzywdzić. Chcę tylko nad nią czuwać.

Pierre wzruszył ramionami.

– To nie ma nic wspólnego ze służeniem Bogu. Rad jestem, że postanowiłeś wrócić na łono Kościoła, ale robisz to z niewłaściwego powodu. – Wskazał drzwi. – Nie jest za późno, możesz wyjść. Masz przed sobą całe życie. Obiecuję ci, znowu pokochasz. Za rok pewnie nie będziesz pamiętać tej dziewczyny. Ale jeśli źle cię oceniam, jeśli postanowiłeś zostać, bo takie jest twoje prawdziwe powołanie, musisz wyrzec się szatana i wszystkich jego dzieł. Kapłan jest sługą wiary, a najwyższą formą służby jest poświęcenie. Nie okazałeś poświęcenia. Być może nie zostaniesz księdzem, mogę jednak przyjąć cię na nowicjusza. Wtedy

będziesz musiał poddać się woli Boga i uznać zwierzchność biskupią. Decyduj. Henri bez namysłu upadł na kolana i złożył ręce.

– Księżę biskupie, pomóż mi znaleźć siłę, aby ci służyć.

Brat Tiago odetchnął z ulgą.

Pierre leżał, spoglądając w noc za oknem celi. Wędrująca po łóżku smuga srebrnego blasku mówiła, że jest po północy. Jak zwykle jego umysł nie chciał odpocząć. Nagle usłyszał plaskanie błota i chrapliwe głosy niesione przez nocny wiatr. Ktoś wykrzyknął jego imię. Strażnik coś wymamrotał. Zdawało mu się, że rozmawia sześciu czy siedmiu ludzi, ale słowa były niezrozumiałe.

Wstał z łóżka. Dźwięk płynął zza głównego wejścia. Sprawa musiała być ważna, gdyż zwykle o tej porze goście nie niepokoili klasztoru. Pośpieszył do drzwi. Henri i portugalscy zakonnicy wyszli ze swoich cel. Pierre wypiął pierś i zdusił pragnienie sięgnięcia do klamki.

– Kto tam? – zapytał, nadając głosowi niskie, rozkazujące brzmienie.

– To ja – usłyszał pełen złości głos księcia. Anh załomotał w drewno. – Otwieraj!

Biskup otworzył drzwi. Księżę minął go, wnosząc z sobą zapach płonących pochodni. Ochładzało się. Pierre zadrzał. Przed świątynią czekał palankin otoczony przez sześciu gwardzistów.

Biskup zatrzasnął drzwi i złożył ukłon.

– Wasza Wysokość, co cię trapi?

– Ty i twoja okropna wiara jesteście źródłem moich wszystkich kłopotów! – krzyknął księżę. – Nie powinienem wydawać ci zezwolenia na głoszenie kazania. Jak mogłem być taki głupi? Błagałeś mnie przez lata i w końcu się zgodziłem. Miałeś uczyć mnie o cywilizacji Zachodu, a nie pleść bzdury mojemu ludowi.

– Wybacz mi, Wasza Wysokość. Gdybyś po mnie posłał, przybyłbym do ciebie. Niezależnie, o co chodzi...

– Byłem zbyt wściekły, żeby czekać – przerwał mu książę. – Poza tym nie życzę sobie, żebyś się kręcił wśród moich konkubin. Już dość problemów sprawiłeś w moim domu.

Pierre chrząknął.

– Jesteś zły z powodu decyzji pani Xuan, która postanowiła zostać chrześcijanką?

Książę się przygarbił. Wściekłość na jego twarzy ustąpiła grymasowi frustracji.

– Odmówiła wejścia do mojej sypialni, ponieważ potępiłeś wielożeństwo. Twierdzi, że jeśli nie posłucha twojego prawa, zostanie strącona do świata podziemi.

Pierre odwrócił się, żeby skryć uśmiech w ciemności. Bystra dziewczyna. Pomysłowa. Nadał głosowi współczujące brzmienie.

– Ona nie jest warta twojego gniewu, Wasza Wysokość. Pamiętaj, masz inne.

To nie uśmierzyło złości Ánha.

– Jest moją własnością! Nie ma prawa mi odmawiać. Cha Cã, gdybyś szanował moją władzę, nie postawiłbyś mnie w takiej nieprzyjemnej sytuacji. Bez wahania skazałbym na śmierć każdą kobietę, która by mnie odtrąciła. W tym wypadku nie chcę obrażać twojego Boga. Jesteś mądry, powiedz mi, co mam zrobić.

Pierre popatrzył na Henriego, który stał bez ruchu pomiędzy dwoma zakonnikami.

– Pozwól jej odejść – poradził.

Ánh nie krył zaskoczenia. Wyraźnie nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

Biskup był nieugięty.

– Nie! – rzekł książę ostro.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Tego dnia brat João miał przyrzadzić kolację. Biskup od rana był nieobecny; wezwał go król Due Tong. Henri wybrał się na targ po pędy bambusa i grzyby. Idąc pokrytymi pyłem drogami, widział kawalerię, piechotę i tabory. Do cytadeli dotarły wieści o zbliżających się buntownikach. Miasto przygotowywało się do wojny.

Duży plac targowy na peryferiach fortecy był prawie pusty, zostały tylko porzucone wózki i kosze. Kilku handlarzy wyprzedawało ostatnie świnie i kurczaki.

Minęły cztery tygodnie od powrotu Henriego do chrześcijańskiej świątyni.

Jego cierpienie zyskało głębszą treść. Czuł się samotny wśród misjonarzy, których główne zajęcie polegało na uspokajaniu rozhisteryzowanych mieszkańców Sajgonu. Zakonnicy pogodzili się z losem i to zapewniało im spokój, którego brakowało jemu. Czy z powodu młodego wieku, czy wskutek niemożności wyrzeczenia się miłości rozdzieliła ich przepaść, skazując go na jeszcze większą izolację.

Tylko wspomnienie Xuan trzymało go przy zdrowych zmysłach. Ona była sznurem, który wiązał go z życiem. Wspólnie przebyte trudy nauczyły ich polegać na sobie. Tylko jej pragnął.

Nic nie mogło ukoić bólu odtrącenia. Od czasu do czasu

widował ją z daleka, lecz to tylko pogłębiało ból. Choć nigdy nie był religijny, miał nadzieję na znalezienie pociechy w Kościele i jego obrzędach. Ale czy było to możliwe, skoro wciąż widział jej twarz, słyszał jej głos i śmiech?

Drzwi do niej są zamknięte, powtarzał sobie, a księżę Ánh ma klucz.

Spacerował w gorącym słońcu, szukając produktów, o które prosił brat João. Dwie małe dziewczynki obejmowały się w drzwiach glinianej chałupy. Ich długie czarne włosy powiewały na wietrze. Henri zastanawiał się, co będzie z Xuan, jeśli wróg przypuści szturm. Czy księżę zdołają ochronić? Przecież tyle osób na niego liczyło?

Jak gdyby w odpowiedzi na jego myśli ogłuszający huk armat rozdarł powietrze.

Ziemia się zatrzęsła, gongi zaczęły bić na trwogę. Ludzie wyskakiwali z domów na ulice, krzyczeli i biegali we wszystkie strony, zadając jeden drugiemu gorączkowe pytania. Nikt nie miał pojęcia, co się dzieje. Po drugiej stronie drogi dwie dziewczynki schowały się za drzwiami. Dach chaty płonął.

Henri chciał jak najszybciej dotrzeć do mieszkania Xuan, ale najpierw musiał uratować dzieci.

Pobiegł do chaty i otworzył drzwi, lecz nie zobaczył dziewczynek. Rudera zawałiła się po chwili. Wokół niego syczały płonące strzały.

W jego stronę runęła fala mężczyzn, kobiet i dzieci. Ich oczy mówiły o widzianych okropnościach.

Henri walczył z prądem uciekinierów. Ludzkie ręce i gałęzie drzew smagały go po twarzy, ale nie zwracał na nie uwagi. Nad głowami tłumu widział fortecę spowitą całunem dymu. Pałace otaczała fosa, którą zasilaty strumienie z jeziora Thien Thu.

Poszukał wzrokiem zachodniego skrzydła, gdzie mieszkała Xuan. Pałac księcia Ánh już nie istniał, przynajmniej nie w takiej formie, jaką pamiętał.

W zasnutej dymem fosie zobaczył odbicie szalejących płomieni. Część okazałej sali już się zapadła, z wnętrza buchały

kłęby czarnego dymu. Henri dotarł do pasa ziemi nad wodą i patrzył ze zdumieniem na widok po drugiej stronie. Kilka pawilonów wschodniego skrzydła pałacu króla Due Tonga stało w ogniu, łącznie z salą tronową.

W fortecy dudniły bębny i dźwięczały wielkie brązowe gongi. Cesarscy żołnierze formowali szeregi w wypielęgowanym ogrodzie, chroniąc się za ruinami przed ostrzałem armatnim. Nad każdym oddziałem uzbrojonym w miecze, włócznie i łuki powiewały sztandary. Zza fortecy wypadła jazda, kierując się ku drewnianym mostom zwodzonym.

– Dobry Boże! – zawołał Henri z niedowierzaniem.

Kobiet nigdzie nie było widać.

Wpadł na niego mężczyzna, który przeskoczył nad kamiennym blokiem. Strój mandaryna miał w strzępach, oczy rozbiegane ze strachu; opaska zsunęła mu się z czoła na szyję.

– Zostaw mnie – wybełkotał, padając na kolana.

Chwyając go za bluzę, Henri krzyknął:

– Co się dzieje?

Mandaryn szarpał się, lecz brakło mu siły do walki. Znaczą część głowy miał odartą ze skóry, czaszka lśniła od krwi. Luźna skóra wisiała nad lewym uchem jak zmierzwiona treska.

– Ważne wieści! – wymamrotał. – Marionetkowy król Kochinchiny uciekł z niewoli u zachodnich górali i znalazł tu schronienie.

– O czym ty mówisz? Król Due Tong już tu jest.

– Nie, tępy cudzoziemcze, nie mówię o prawdziwym królu – odparł mandaryn z irytacją. – Mówię o księciu Hoàngu, marionetkowym królu obwołanym przez naszego wroga. Jesteśmy otoczeni. Przez niego zabiją nas wszystkich.

Wyrwał się i uciekł.

Henri zastanawiał się szybko. Jest tylko jedna droga ucieczki, rzeką. Musi znaleźć Xuan.

Wąskie snopy światła zalewały miasto, gdy tego dnia o świcie Pierre otrzymał wezwanie od króla Due Tonga. Ze zdziwieniem zobaczył, że jego palankin dołączył do wielu innych, należących do dworzan i członków rodziny Nguyen. Wszyscy zmierzali do wejścia we wschodnim skrzydle pałacu. Sala tronowa była jedyną budowlą w obrębie Zakazanego Miasta, do której mieli wstęp mandaryni trzech pierwszych stopni. Resztę miasta tworzyły niedostępne pawilony króla i jego najbliższej rodziny. Pierre domyślał się, że skoro Due Tong zwołał niespodziewane zgromadzenie, to musiało wydarzyć się coś ważnego.

Palankin biskupa, dźwigany na ramionach przez czterech gwardzistów, unosił się w morzu czarnych żelaznych kolczug i muszkietów. Pierre nie mógłby zliczyć żołnierzy, ale musiały ich być tysiące. Pomimo zamieszania stali w szeregach na baczność. Ich szerokie, płaskie twarze lśniły w blasku trzaskających pochodni.

Ruszamy na wojnę, pomyślał Pierre. Minęły prawie trzy lata od zbombardowania miasta Hue. Armia cesarska została odbudowana; żołnierze zostali wyszkoleni i uzbrojeni w sprowadzoną z zagranicy broń. Ale czy byli gotowi?

Palankin podskoczył, gdy tragarze się zatrzymali. Pierre odsunął zasłonkę, przyjrzał się szeregom żołnierzy i wysiadł. Ignorując wyciągniętą rękę oficera, pomaszerował do wielkiej sali i zajął miejsce w tłumie. Książę Ánh i jego bracia siedzieli w pobliżu wuja, króla Due Tonga.

Król, choć miał zaledwie dwadzieścia parę lat, już siwił i wyglądał mizernie. Siedział na wysadzonym klejnotami tronie z wyciągniętymi nogami, jedna mu drżała w kolanie.

Królowa Kochinchiny, częściowo ukryta za tronem, szeptała mężowi do ucha, a on słuchał pilnie.

Pomimo bliskich związków z rodziną królewską biskup nie pochwalał króla Due Tonga. W roku 1765 wicekról Truong Loan dokonał zamachu stanu, obalił króla The Tonga, ojca Ánh, przejął kontrolę nad rządem i osadził na tronie dwunastoletniego

Due Tonga. Ojciec i matka Ánha zostali uwięzieni i zamordowani. Dzięki tej strategii Loan zyskał władzę nad ludem i królem, odsuwając w cień Ánha i jego siedmiu braci.

Pierre'a dręczyła myśl, że jego podopieczny w podstępny sposób został pozbawiony tronu. Wybrał Ánha w nadziei, że pod jego kierunkiem młodzieniec stanie się łącznikiem pomiędzy Francją i Annamem. Uważał księcia za prawowitego władcę. Jak mistrz szachista rozważał różne możliwości wykorzystania chaosu, który spowodowali buntownicy.

Ánh stracił cierpliwość. Wstał i krzyknął:

– Wasza Wysokość, nie potrzebujemy dalszej debaty. Musimy natychmiast zaatakować górali, zmieść ich z powierzchni ziemi. Pozwól mi spotkać się z nimi w bitwie, twarzą w twarz. Wszystko albo nic.

Pierre zwrócił uwagę na zaniepokojone miny zgromadzonych. Siedmiu braci księcia stało w grupie na podwyższeniu. Wszyscy mieli długie nogi, chude szyje i brązową skórę. Lata ciągłej ucieczki złamały ich ducha, przemieniły w potulne stado. Co się stanie z dynastią Nguyen za parę lat? Z całego rodu tylko jego uczniowi nie brakowało odwagi. Niestety, księżę Ánh jeszcze nie miał doświadczenia, żeby poprowadzić armię.

Pierre wyszedł z cienia, ciągnąc po podłodze rąbek czarnej szaty.

Zanim król zdążył odpowiedzieć, oznajmił:

– Nie możemy ruszyć na wojnę przeciwko chłopom, Wasza Wysokość. Mamy za mało żołnierzy nawet do obrony miasta. Radzę rozważyć ucieczkę.

Sfrustrowany Ánh kopnął krzesło.

– Biskupie, nie masz prawa wypowiadać tu swojego zdania – odparł Ánh. – To sprawa Kochinchiny i powinna zostać rozstrzygnięta przez nasz lud. – Powiódł wzrokiem po twarzach arystokratów i mandarynów, szukając aprobaty.

– Czy to nieodwołalna decyzja Waszej Wysokości? – zapytał Pierre, patrząc spokojnie na podopiecznego.

– Bez wątpienia – burknął Ánh i odwrócił wzrok.

Biskup zbliżył się do tronu.

– Muszę usłyszeć z ust króla, że Kochinchina nie potrzebuje pomocy chrześcijańskich kapłanów i europejskiej armii.

– Milcz! – krzyknął król Due Tong.

Podniósł się z pomocą żony. Jak osoba w podeszłym wieku, garbił się i przytrzymał tronu, żeby nie stracić równowagi.

– Proszę o zachowanie spokoju – powiedział król. – Nastają ciężkie czasy. Życzę sobie, żeby w ich obliczu wszyscy się zjednoczyli, a nie kłócili. – Dał znak żołnierzowi, który strzegł drzwi pod schodami. – Wprowadzić gościa honorowego.

Za drzwiami mieścił się duży gabinet przysłonięty parawanem. Ktoś z niego wyszedł. Był wychudzony, obszerna niebieska bluza wisała na nim jak na kiju. Choć sala była słabo oświetlona, przyciskał ręce do czoła, jakby raził go blask. Miał ciemne kręgi pod oczami. Okrągłe znamię odznaczało się na jego lewym policzku. Zgromadzeni arystokraci krzyknęli cicho, rozpoznawszy przybysza.

– A teraz – powiedział król – przedstawiam wam mojego kuzyna, księcia Hoànga, którego buntownicy okrzyknęli królem Kochinchiny. Trzy lata spędził uwięziony w wieży Łaski na peryferiach cytadeli Hue. Nigdy nie przestał myśleć o swoim ludzie i wyrwał się ze szponów wroga, aby do nas dołączyć.

Księżę Hoàng z trudnością wspiął się na podium. Król chwycił go za rękę, służąc pomocą.

– Niebezpieczni buntownicy... – wymamrotał gość – widziałem ich, widziałem wyszkoloną armię rozlaną na wielu wzgórzach. Ścigają mnie...

Niezdolny mówić dalej, wytarł oczy rękawem. Król, roniąc łzy, zaniknął go w uścisku.

– Strach i rozczulanie się nad sobą nie rozwiążą naszej trudnej sytuacji. Działajmy, zanim będzie za późno! – Ánh tupnął nogą.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Płacz króla był zaraźliwy. Wielu mandarynów i urzędników dworskich współczująco pociągało nosem. W końcu Due Tong opanował się na tyle, żeby przemówić. Głos miał ochryply z emocji.

– Przez zbyt wiele lat odgrywałem rolę przywódcy. W czasie panowania nie osiągnąłem niczego, co uszczęśliwiłoby mój lud. Straciłem większość ziem przodków. Cierpieliśmy wskutek powodzi, głodu, zarazy i wojny. Wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie.

Zdawało się, że gorzkie słowa go uspokajają. Patrząc w oczy szlachetnie urodzonych, mówił:

– Nie ponoszę winy. Nigdy nic, pragnąłem tronu, nie zostałem przygotowany do pełnienia obowiązków władcy. Złe uczynki wicekróla Truong Loana pogrzyżyły kraj w mroku i to z jego powodu wybuchła rebelia. Po upadku cytadeli Hue Loan został aresztowany i zamordowany przez Tonkińczyków, ale jego śmierć nie wystarczyła, żeby przywrócić spokój i harmonię. Nasze miasta wciąż cierpią głód i niedostatek.

Z wyjątkiem was, tutaj obecnych, nie mam sprzymierzeńców. Nie mam planów, które zagwarantowałyby poprawę przyszłości. I przede wszystkim brak mi umiejętności kierowania rządem. Musimy błagać niebo o wybaczenie. Jestem przekonany, że bogowie znów okażą przychyłność rodowi Nguyen, ale musimy obiecać, iż przywrócimy tron prawowitemu władcy. Dlatego was wezwałem.

Pomruki zdumienia i zaprzeczenia przetoczyły się nad tłumem.

– Ale kto jest prawowitym następcą tronu? – zawołał Pierre. Jego głos zaginął wśród innych, zadających to samo pytanie.

– On! – Due Tong chwycił rękę księcia Hoànga i uniósł ją wysoko. Chude ramię wisiało jak martwa kobra.

Stłumiony okrzyk wzbił się nad głowami. Król mówił:

– Dla nas i ludu Sajgonu Hoàng jest księciem. Dla buntowników z gór i dla reszty królestwa jest królem. Od właścicieli ziemskich po chłopów naród uznaje jego pochodzenie i pozycję. Już podbił serca poddanych. Potrzebny mu tylko tron. Gdybym miał nefrytową pieczęć, dałbym mu ją. Ponieważ zaginęła, musi wystarczyć nasza aprobata.

Pierre i Ánh wymienili spojrzenia.

Księżę Hoàng jęknął głośno. Ku powszechnemu przerażeniu przewrócił oczami i zemdłał. Pierre zaniemówił. Czyżby następcą tronu był uzależniony od opium? A może osłabł po latach uwięzienia i wyczerpującej ucieczce? Tak czy inaczej biskup nie mógł stłumić gorzkiego parsknięcia. Szyderczy śmiech zapoczątkował żywiołową reakcję. Zaczęły się głośne rozmowy, podniosły się głosy, ktoś wyrzaskiwał przekleństwa. Na królewskim dworze nigdy nie widziano takiego zamętu.

– Wychodzę – powiedział Pierre do Ánh. – Przebywanie tu nie jest bezpieczne. Jeśli wiesz, co dla ciebie najlepsze, pójdziesz ze mną. Natychmiast!

Księżę spojrział na niego nieufnie.

– Znowu miałbym uciekać? Nie! Widziałem siły buntowników. Są niezorganizowani i kiepsko wyposażeni. My mamy tysiące wyćwiczonych żołnierzy, dobrze uzbrojonych i gotowych oddać życie za królestwo. Ja jestem ich księciem. Jak mogę odejść?

Pierre wskazał salę zamasztył gestem.

– Rozejrzyj się. Twój król jest mięczakiem, a jego następcą inwalidą. Wszyscy twoi bracia są tchórzami. Twoi ludzie nie są przygotowani. Wasza Wysokość, potrzebujesz czegoś więcej niż armii, żeby stoczyć tę bitwę. Potrzebujesz cudu. Potrzebujesz mnie.

– Jesteś głupcem, skoro myślisz, że cię potrzebuję! – krzyknął Ánh z pogardą. – Przestałem cię potrzebować wiele lat temu.

Wybuch w pobliżu wejścia zatrzęsł salą. Mandaryni runęli na ziemię, czepiając się jeden drugiego wśród chmury pyłu i dymu. Belki stropu zatrzęszczały i spadło kilka dachówek, odsłaniając niebo. Zadźwięczały gongi, zadudniły ciężkie żołnierskie sandały i do komnaty wpadł pluton żołnierzy.

Pierre niewiele widział w kłębach dymu. Gryzący zapach prochu ożywił wspomnienia z wcześniejszych potyczek. Biskup złapał księcia za rękę i pociągnął za sobą.

Zaczęła się bitwa o Sajgon.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Z najwyższego piętra pagody w pałacu królewskim Pierre obserwował rozgrywające się w dole widowisko. Nad wielkimi salami Pałacu Wschodniego, nad strzaskanymi murami sali tronowej widział dwa strzeliste filary – główną bramę cytadeli. Kolumny wyrzeźbione z piaskowca przypominały poskręcane pnie dębów złączonych koronami. Wisiały na nich otwarte ciężkie wrota z szarego granitu.

Król Due Tong w złotej zbroi jechał na słońiu, wyprowadzając za bramę trzy tysiące konnicy. W ręce trzymał płonąca pochodnię. Ryk, który dobył się z tysięcy gardeł, nieomal zagłuszył huk bębnow.

Za cytadelą leżały wzgórza z tarasami ryżowisk, na których piętrzyły się wielkie stogi. Wybuchające pociski otwierały nad polami parasole ognia, a huk konkurował z dudniącym śpiewem żołnierzy.

Pierre patrzył przez mosiężną lunetę na oddziały wroga. Towarzyszył mu Anh z żonami i konkubinami. Przy drzwiach stało kilku strażników. U stóp pagody formował się drugi zbrojny oddział pod wodzą siedmiu braci księcia.

Pierre widział dokładnie pola i wiechy ryżu kołyszące się na wietrze. Zdawało mu się, że pod osłoną drżących źdźbeł przesuwają się coś czarnego niczym stado bydła. Słyszał, że wieśniacy

potrafią stawać się niewidzialni: pokrywali ciała ziemią i gliną i wtapiali się w naturalne otoczenie.

Król Due Tong stanął na grzbiecie słonia. Za nim jechali mandaryni najwyższej rangi, najlepsi wojownicy na dworze. Następnie maszerowali żołnierze z muszkietami, a dalej gwardia uzbrojona we włócznie, miecze i łuki.

Wojsko zatrzymało się nagle, jakby napotkało opór. Ziemia ożyła, gdy tysiące brązowych ciał powstało niczym trupy z grobów. Trzy stogi przemieniły się w słonie szarżujące na królewską brygadę.

Książę Ánh krzyknął z przerażenia. Pierre opuścił lunetę. Wśród nieprzyjacielskich generałów jadących na słońiach była kobieta. Nosiła zbroję z bambusowych płyt, a jej włosy powiewały jak sztandar, gdy stała na grzbiecie zwierzęcia i potrząsała mieczem. Zatrąbił róg, dając sygnał do ataku. Chłopi ruszyli z wrzaskiem.

Armia królewska struchlała. Napastnicy mieli ogromną przewagę liczebną. Przerażone konie z rżeniem stawały dęba, zderzając się ze sobą. Kilku gwardzistów wypuściło muszkiety z rąk przed oddaniem strzału. Żołnierze z ariergardy próbowali zawrócić do cytadeli, lecz było za późno. Brama została zamknięta. Górale się zbliżali, zmuszając wojsko do zwarcia szeregów pośrodku pola.

– Ognia! Ognia! – wrzasnął Due Tong do żołnierzy.

Deszcz strzał buntowników spadł na jego armię. Szczęknęły muszkiety. Liczne kule trafiły chłopów, ale część poraziła także żołnierzy. Po chwili górale starli się wręcz z siłami królewskimi. Zadźwiewczała stal.

Wojownicza zatrzymała się na skraju pola bitwy, obserwując rozwój wydarzeń. Jej zachowanie zdradzało dużą pewność siebie. Wynik bitwy zdawał się przesądzony, bo gdy ginął jeden buntownik, dwóch innych zajmowało jego miejsce. Niebawem oddziały króla zostały zdziesiątkowane. Żołnierze zbili się w bezładną gromadę, broniąc się desperacko. Due Tong obrócił głowę w stronę pagody, z której Pierre i książę śledzili przebieg bitwy. Zachwiał się, rozpaczliwie machnął rękami.

– Ratować króla! – krzyknął Ân.

Strażnik zbiegł po krętych schodach, ale na dole armia siedmiu książęcych braci już ruszała do boju. Zaskrzypiały zawiasy i granitowe wrota stanęły otworem, odsłaniając mur wieśniaków po drugiej stronie. Konie długimi susami wypadły z cytadeli na zielone pastwisko. Broń książąt błysnęła wysoko. Żołnierze wylegli na rozległe pole, w blask światła słonecznego.

Pierre patrzył, jak najstarszy książę wyrąbuje sobie drogę przez rzeszę buntowników. Odcięte kończyny fruwały we wszystkie strony. Ciało księcia poczerwieniało od krwi. Jego wysiłki szybko zostały udaremnione. Czarna strzała wystrzelona przez łucznika ukrytego w koronie drzewa oddalonego o dwadzieścia kroków przeszła mu szyję. Książę pochylił się w siodle i zsunął pod ogiera, niknąc pod kopytami galopujących koni.

Pozostali książęta i wojownicy runęli ścieżką wyciętą w szeregach wieśniaków. Widzieli już Due Tonga i otoczonych żołnierzy. W tej chwili mieli przewagę nad buntownikami, a ich jedynym celem było ocalenie króla. Łucznicy niezmordowanie strzelali z końskich grzbietów. Kilku wieśniaków upadło, wielu się wycofało.

Generał krzyknęła i uderzyła stopą w grzbiet słonia. Zaczęła się wyginać w prymitywnym tańcu, wrzeszcząc przesywającym głosem. Zwierzę zatrąbiło w odpowiedzi. Ryk poniósł się nad zgiełkiem, inne słonie dołączyły do chóru.

Zdawało się, że ziemia zadygotała jak w czasie trzęsienia. Dudnienie rozeszło się aż do dalekich lasów, wprawiając drzewa w drżenie. Pojawili się kolejni wieśniacy, jakby wykluli się z łona ziemi. Straszny krzyk rozległ się u podnóża pagórka, na którym zgromadziły się niedobitki królewskiego wojska. Pokonani żołnierze jeden po drugim rzucali broń.

Pochodnia króla zgasła. Due Tong tym razem nie spojrzął w stronę cytadeli.

Zapadła cisza. Stoń podniósł nogę, tworząc stopień, po którym kobieta generał zesłała na ziemię.

Śledzona wzrokiem przez wszystkich, podeszła do królewskiego słońa. Ignorując jeźdźca, bez słowa dała znak słoniowi i cofnęła się kilka kroków. Zwierzę zrozumiało komendę i przyklękło. Grupa wieśniaków ściągnęła króla na ziemię. Kobieta klasnęła w ręce i wszystkie słońe stanęły na zadnich nogach.

Zwierzęta podniosły trąby i przeraźliwie zatrąbiły.

Pierre położył rękę na ramieniu Ánha, zmuszając go do spojrzenia na pole bitwy.

– Co Wasza Wysokość zamierza zrobić?

Książę siedział nieruchomo, spoglądając wzrokiem pozbawionym wyrazu.

– Nie uratujesz wuja i braci. Jak widzisz, już nic nie może ich ocalić. Niebawem cytadela zostanie zdobyta. Zostaniesz uwięziony i osądzony wraz z innymi członkami rodziny królewskiej. Nikt z was nie przeżyje.

Kobiety szlochały, obejmując się ramionami. Ánh strącił rękę Pierre'a i krzyknął:

– Milczeć, wszyscy! – Ścisnął skronie. – Ty też, biały diable! Nie mogę myśleć, gdy wciąż mówisz o klęsce. – Zerwał się z krzesła i niemal upadł.

Pierre był nieubłagany.

– Jestem twoim jedynym przyjacielem. Strzegę cię, odkąd zostałeś moim podopiecznym. Wasza Wysokość, obawiam się, że tym razem może być za późno na zapewnienie ci ochrony.

Górale wycofali się z pola widzenia, zabierając jeńców. Ánh sapnął.

– Skoro sytuacja jest beznadziejna, spróbuję się przebić i ucieknę albo zginę z resztą moich ludzi.

Pierre nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Tego właśnie chcą buntownicy. Ułatwiłbyś im zadanie, gdyż nie musieliby forsować murów i polować na ciebie w cytadeli. Tutaj można urządzić zasadzki i kontratakować. Pamiętaj,

oni wiedzą, że poza księciem Hoàngiem tylko ty nie wpadłeś w ich ręce. Na razie bawią się twoim kosztem. Liczą, że albo się poddasz, albo spróbujesz uciec. Dlatego się wycofali.

Zdawało się, że jego argumenty dotarły do księcia.

– Co mam zrobić, Cha Cà?

– Mało prawdopodobne, żeby uderzyli niebawem – odparł Pierre, prostując ramiona. – Spodziewają się kapitulacji. Mamy kilka godzin na opracowanie planu.

– A jeśli się nie poddam?

– Wtedy zamienią to miasto w ruiny, cegła po cegle, żeby cię znaleźć. Ten dzień wejdzie do historii jako jedno z największych zwycięstw buntowników – dzień podbicia Południa. Musisz...

Przerwał mu krzyk pani Jade Binh. Pierre obrzucił ją zirytowanym spojrzeniem, ale to nie uciszyło zawrota głowy. Trzymała się za brzuch, krzywiąc z bólu zlaną potem twarz. Oszołomiony książę odwrócił się w jej stronę.

– Co się dzieje?

Dziewczyna przygryzła wargi. Pierre zauważył, że zacisnęła uda w taki sposób, w jaki robi to dziecko, któremu chce się siusiu. Ktoś odezwał się za plecami żon:

– Twoja Trzecia Pani zostanie pobłogosławiona dzieckiem, Wasza Wysokość.

Po raz pierwszy od chwili wejścia do pagody Pierre zauważył Xuan. Była ubrana w prostą tunikę z jedwabiu w kolorze miodu. Książę szeroko otworzył oczy.

– Nie! Niemożliwe! Teraz? Przecież jest za wcześnie, prawda? Jak to możliwe? – bełkotał. – Szybko, niech ktoś jej pomoże. Zabierzcie ją i sprowadźcie akuszerkę, żeby pomogła przy porodzie. Nie mogę na to patrzeć. To ściągnie na mnie pecha. Nie przeżyję kolejnych nieszczęść.

– Dokąd ją zabrać? – zapytała Xuan.

Najstarsza żona uderzyła ją w twarz. Głowa Xuan przekręciła się na bok, policzek poczerwieniał.

– Dlaczego ją uderzyłeś? – zapytał Anh ze zdumieniem.
– Dwa razy odezwała się bez twojego pozwolenia, Wasza Wysokość – odparła księżniczka. – Nie mogłam stać beczynnym.

Wskazał na nią.

– Nigdy więcej tego nie rób. – Do Xuan powiedział: – Zabierz ją do sąsiedniego pokoju i sprowadź akuszerkę. Jeśli nikogo nie znajdziesz, weź do pomocy służbę. Powiadom mnie o płci dziecka, gdy tylko się urodzi.

Opadł na fotel, wyczerpany. Pierre położył rękę na jego ramieniu.

– Módl się do Boga, dziecko – szepnął. – Poddaj się Jego chwale. To święty znak: w ciemnych godzinach śmierci i zniszczenia rodzi się nowe życie.

Ruszył do drzwi.

Księżę zadarł głowę i krzyknął:

– Cha Cà, dokąd idziesz?

– Pomodlić się o zdrowie twojej żony i dziecka.

Nie podnosząc się z krzesła, Anh chwycił go za łokieć.

– Nie zostawiaj mnie, proszę. Nie mogę zostać sam.

Pierre uśmiechnął się w odpowiedzi.

Pierre słyszał tupot kroków w korytarzach, szepty służących, od czasu do czasu krzyk pani Jade Binh. Dźwięki stopiły się w pomruk, gdy zbliżył się wieczór. Anh przesunął fotel w kąt pokoju, żeby nie widzieć otwartej równiny.

Pierre wyrzwał przez okno.

– Wasza Wysokość, musisz to zobaczyć.

Księżę podszedł powoli. Nie potrzebował lunety, żeby ujrzeć to, co przyciągnęło uwagę biskupa.

Ubrana w zbroję kobieta generał kołysała się na grzbiecie słonia. Za nią na kłodach toczono bambusową ścianę trzy razy większą od bramy cytadeli. Widniał na niej szereg oświadczeń.

ŚMIERĆ RODZINIE KRÓLEWSKIEJ I ICH GRZESZNEJ
PRZESZŁOŚCI! ZABIĆ PANUJĄCEGO MONARCHE!
WOLNOŚĆ I SZCZĘŚCIE DLA CHŁOPÓW!

Gdy słońce oświetliło ziemię za ruchomą ścianą, biskup zobaczył rzesze buntowników: mężczyzn i chłopców z widłami, maczugami, kubłami, linami i pochodniami; starych rolników dźwigających kamienie; wyjące dziewczęta i kobiety z niemowlętami na plecach. Wszyscy ze złością pędzili ku cytadeli. Zgiełk ich wrzaskliwych głosów odepchnął księcia od okna.

Rozległ się płacz noworodka.

– Nie! Niemożliwe – szepnął książę z niedowierzaniem.

Xuan weszła do pokoju.

– Tysiącrotne szczęście, Wasza Wysokość – powiedziała. – Masz syna, książę...

Zamilkła gwałtownie, gdy spojrzała przez okno. Głosy więźniaków brzmiały coraz donośniej. Pierre odwrócił się, ciekaw, co zobaczyła dziewczyna.

Bambusowa ściana z piskiem obróciła się wokół osi, ukazując widzom z cytadeli drugą stronę. Na umieszczonej wysoko bambusowej tacy leżała przywiązana za włosy głowa Jego Cesarskiej Mości króla Due Tonga. Oczy były na wpół otwarte, krew sączyła się z nozdrzy. Poniżej w rzędzie wisały głowy siedmiu książąt, a pod nimi dwa rzędy głów mandarynów wysokiej rangi. Pierre wyobraził sobie ściętą głowę swojego podopiecznego, uzupełniając ostatni portret rodu Nguyen na tej ścianie hańby.

Cichym głosem zapytał Ánha:

– Jeśli cię uratuję i uczynię królem, czy dasz mi słowo, że otworzysz swój kraj dla chrześcijan?

– Co? – szepnął książę, nie rozumiejąc.

– Masz niewiele czasu. Odpowiedz. Czy przysięgniesz, że nawrócisz swój lud na chrześcijaństwo oraz zagwarantujesz ochronę wszystkim misjonarzom w czasie swojego panowania i później?

– Jeśli mnie uratujesz, moje królestwo będzie do twojej dyspozycji.

– Mam więc twoje słowo?

– Tak, tak! Obiecuję.

– Dobrze. Idź teraz do sali tronowej. Brat João czeka. Wie, co zrobić.

– Co się ze mną stanie?

– Ty i twój syn jesteście ostatnią nadzieją rodziny Nguyen. Z tego względu twoje życie jest ważniejsze niż kiedykolwiek. Musisz udać się na wygnanie i pozostać w ukryciu, dopóki nie sprowadzę pomocy. Jak najszybciej zabiorę twojego syna do Europy, aby wybłagać u króla Francji wsparcie militarne i finansowe. Czeką nas długa i trudna podróż. Musisz nauczyć się cierpliwości i czekać na mój powrót. – Chwycił rękę księcia. – Od tej chwili nie będę stał u twojego boku, żeby cię chronić, Wasza Wysokość. Nie możesz dłużej działać impulsywnie. Zaczynaj kierować się rozumem.

Z wewnętrznej kieszeni wyjął aksamitną sakiewkę i podał ją księciu.

Ánh rozpoznał zawartość po kształcie i ciężarze. Rozluźnił sznurek. Na jego dłoni spoczęła królewska pieczęć dynastii Nguyen.

Pierre uklonił się i powiedział:

– Wasza Wysokość, przed laty wybrałeś mnie na strażnika pieczęci. Do dziś dnia spełniałem swój obowiązek. Jesteś królem Kochinchiny. Pieczęć należy do ciebie i teraz ty musisz jej strzec. Niech Bóg będzie z tobą. – Nakreślił znak krzyża nad głową oszołomionego księcia.

Ánh sięgnął w fałdy szaty, wyjął sztabkę złota i sztylet. Szybkim ruchem przeciął sztabkę i podał jeden kawałek biskupowi.

– Przekaż to pani Binh na znak mojego szacunku. Pewnego dnia wrócę i te dwa kawałki znów utworzą całość.

Pobiegł do drzwi.

Mijając Xuan, złapał ją za ramię.

– Idziesz ze mną.

Dziewczyna zeszywniała. Księżę objął ją ramieniem.

– Jesteś moją konkubiną – powiedział, z czułością dotykając czerwonego znaku na jej policzku.

Odepchnęła go.

– Proszę, chodź ze mną – nalegał Ánh. – Potrzebuję cię, ktoś musi się mną zająć.

Przestała się opierać.

Nowy król zwrócił się do Pierre'a:

– Opiekuj się moim synem. Nie pozwól go skrzywdzić. Boję się, że jeśli teraz go zobaczę, to nie odejdę.

– Będę chronił go tak, jak chronilem ciebie – obiecał Pierre.

– Ochrzczę go w imię naszego Ojca w niebie. Wtedy zawsze będzie nad nim czuwać Bóg chrześcijański.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Ánh zbiegł po krętych schodach i pośpieszył przez zakazany ogród. Trzystu konnych wciąż strzegło zrujnowanej sali tronowej. Widział blask pochodni za główną bramą, słyszał głosy górali wykrzykujących jego imię. Rozglądał się, szukając wśród żołnierzy brata João. Nie mógł go znaleźć.

Z determinacją kluczył pomiędzy wierzchowcami. Wokół widział same obce twarze, znał tylko towarzyszącą mu dziewczynę z kuchni. Jej spokojne rysy nie zdradzały, co myśli. Wreszcie przedarli się przez gromadę żołnierzy i ksiązę zobaczył, że ktoś szybko zmierza w ich stronę. Krzyknął cicho, gdy rozpoznał dominikanina.

Brat João miał na sobie cesarską szatę i metalowy napierśnik ze smoczym symbolem rodziny Nguyen. Ánh zastanawiał się, dlaczego zakonnik włożył jego ceremonialny strój, gdy dostrzegł słońca z dwuosobowym tronem na grzbiecie. Po jednej stronie kulił się ksiązę Hoàng. Drugie miejsce było puste. Nagle zrozumiał, na czym polega plan biskupa.

– Musisz dać mi swój hełm, panie – powiedział João.

Ksiązę posłuchał. Włosy opadły mu na ramiona.

– Poświęcisz życie, aby mnie ocalić? – spytał.

– Odprawiam pokutę za grzech śmiertelny i dla odkupienia duszy – odparł zakonnik prawie bez emocji. – Czym jest jedno

życie w porównaniu z powodzeniem misji bożej? Poniosę śmierć męczeńską.

Włożył hełm, spod którego widać było tylko oczy. Odwrócił się i wspiął po zwisającej linie na grzbiet słońia.

Brama cytadeli rozwarła się z głośnym hukiem. Barbarzyńcy wtargnęli do świętego miasta.

Na tyłach cytadeli Ánh galopował po zwodzonym moście, który prowadził do dżungli. Xuan mocno obejmowała go w tali, dysząc mu w kark. Brat Tiago i tuzin żołnierzy tworzyli eskortę. Na drodze spowolniła ich rzeka uciekinierów zmierzających w tym samym kierunku.

Ánh i jego ludzie wjechali na wzgórze. Za bujną łąką wyginał się łuk mostu Tęczowego z malowanego bambusa, spinający brzegi głębokiego wąwozu, w którym płynęła rwąca rzeka. Przez most wiodła jedyna droga z cytadeli do lasu. Książę słyszał już szum spadającej wody i czuł chłodną mgłę.

Wiedział, że za mostem będzie bezpieczny. Uderzył piętami wierzchowca, zmuszając zwierzę do przedzierania się przez tłum przerażonych uciekinierów.

Strzała świsnęła przy jego uchu i ugrzęzła w plecach jadącego z przodu brata Tiago. Usłyszał stłumione kasznięcie i łoskot ciała padającego na ziemię. Kolejna strzała trafiła strażnika po prawej stronie. Potem z konia spadł ten jadący po lewej. Ánh nie śmiał się obejrzeć. Wróg eliminował jego towarzyszy w przemyślanym porządku; on miał być ostatnim celem. Łucznicy, kimkolwiek byli, strzelali wyjątkowo celnie, nie marnując ani jednej strzały. Książę spisał wierzchowca, przynaglając go do cwału.

Miał przed sobą dwa ciągi schodów: jeden prowadził w dół, nad rzekę, drugi na most. Wybrał drugie schody, kierując konia na bambusowe stopnie. Trzech ludzi, których jeszcze nie dosięgły strzały, jechało tuż za nim.

Na moście oślepiły go ostatnie promienie słońca. Gdy oczy przywykły do blasku, zobaczył, że jest w połowie drogi. Nagle drzewa i krzaki na skraju lasu zmieniły kształty. Mur wieśniaków zagroził mu drogę. Księżę zatrzymał konia, oburącz ściągając wodze, i zawrócił.

Ánh znalazł się w pułapce. Z drugiej strony mostu patrzył na niego wysoki łucznik, zapewne ten, który zabił większość jego ludzi. Był muskularny, ciemnoskóry, z gęstymi, czarnymi, falistymi włosami. Ánh słyszał legendy, a teraz na własne oczy mógł się przekonać o talencie łucznika. Zrozumiał, że ma przed sobą słynnego wroga rodziny Nguyen: samozwańczego księcia Thoma, przywódcę buntowników.

W oszołomieniu patrzył, jak tamten się zbliża. Już się nie bał, strach ustąpił lodowatej wściekłości.

– Zsiadaj z konia, Xuan – powiedział. – Ratuj się.

Nie puściła jego talii.

– Słyszysz? Zsiadaj! Ratuj się.

– Za późno. To mnie nie uratuje – odparła.

Ánh trzymał się grzywy tańczącego konia, czekając na atak wrogów.

Z głębi wąwozu ktoś krzyknął:

– Xuan! Xuan!

Księżę był zbyt oszołomiony, żeby zwrócić na to uwagę. Xuan rozpoznała głos.

Zawołała nad jego ramieniem:

– Ông Tây!

Ánh spojrział w dół. Woda pienila się pod mostem. Srebrne fale podnosiły się i biły o skalisty brzeg. Zobaczył łódź miotającą się w nurcie, przywiązaną liną do drzewa. Zmierzył wzrokiem wysokość mostu i strach ścisnął mu żołądek.

– To ja, Henri! – wołał człowiek w łodzi. – Skaczcie! To wasza jedyna nadzieja.

Ánh szarpnął wodze i koń stanął dęba, rżał, bijąc powietrze kopytami. Księżę wyprostował się w siodle.

– Trzymaj się – krzyknął do Xuan.

Poczuł, jak dziewczyna obejmuje go rękami i nogami. Kiedy koń opadł na ziemię, Ánh z całej siły kopnął go w boki, zmuszając do skoku.

Razem wzbili się w powietrze. Balustrada mostu pękła i runęła w przepaść.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Górale roztrzaskali bramę i wdarli się do cytadeli. Zaroili się na głównej drodze, która wiodła do pałacu króla, opadając ku szerokiej fosie. Zatrzymali się na skraju wody. Z kamiennego mostu, który łączył brzegi, zostały stosy gruzu. W jego miejsce przerzucono wąską kładkę bez poręczy.

Zniszczenie wielusetletniego mostu było ostatnim aktem obrony przed buntownikami. Teraz, aby wejść do Zakazanego Miasta, napastnicy musieliby kolejno pokonywać kładkę. Po drugiej stronie znajdowało się serce cytadeli, zrujnowana sala tronowa. Ogień wciąż tlił się w zgłiszczach. Kłęby czarnego dymu plamiły gorące niebo.

Szeregi górali rozciągnęły się wzdłuż fosy. Nikt nie przeszedł po mostku. Czekali na rozkazy przywódców.

Zza sali tronowej wyłonił się słoń niosący na grzbiecie dwóch pozostałych przy życiu członków rodziny Nguyen, ubranych w królewskie zbroje. Towarzyszyło im kilkuset żołnierzy, którzy nie mieli innego wyboru, jak stoczyć swą ostatnią bitwę. Słoń zatrał bojowo.

Niewidzialna ręka rozdzieliła tłum wieśniaków, tworząc przejście. Nhac, chłopski król w lśniącym żelaznym pancerzu, jechał na sioniu na czele oddziału wojowników. Ich broń świeciła jak tysiące słońc.

Siostra Lucía i ojciec François jechali w straży przedniej, ona na siwej klaczy, on na narowistym gniadoszu. Zakonnica od kilku godzin sprawiała wrażenie pogrążonej w transie. Od czasu napaści na Kim Lai widok zniszczeń nie był dla niej niczym nowym, ale tutaj wprost nie mogła uwierzyć w okrucieństwa wojny. Pani Bui, triumfująca na grzbiecie ukochanej Mii, uśmiechnęła się do Lucíi.

– Wielu wrogów nie żyje, siostro – powiedziała. – Poraziłam ich swoim gniewem. Raduj się, twoja hańba została pomszczona.

Lucía rozejrzała się po mieście skąpanym we krwi. Serce ją bolało na myśl o martwych i konających. Tęskniła za spokojem Jaskini Trędotatych. Nie przywiodła jej tutaj chęć zemsty. Chciała zobaczyć brata João.

Król Nhàc odwrócił się do wojowników.

– Witajcie w Sajgonie. Oto miasto zepsucia i grzechu, gdzie na tronie zasiadają szczury z dynastii Nguyen. Zabiliśmy wszystkich prócz dwóch ostatnich szkodników. Zostaną unicestwieni...

Zza fosy ze świstem posypał się grad strzał. Kilka trafiło w zbroję Nhàca i odbiło się, nie wyrządzając mu szkody. Żołnierze królewscy przystąpili do ofensywy.

Nhàc nie zwracał na nich uwagi.

– Wiem, że jesteście zmęczeni po długich bitwach – mówił. – Wielu z was straciło ojca, syna albo brata. Zapewniam, te ofiary nie poszły na marne. Niedługo wszyscy będziemy mogli orać pola, hodować bydło i żyć w pokoju zgodnie z boską wolą.

Potężny głos i odwaga Nhàca wprawiły wieśniaków w zdumienie. Potrząsnęli bronią w odpowiedzi na jego przemowę. Król wydał rozkaz, który rozszedł się niczym echo, przekazywany z ust do ust.

Lucía patrzyła, jak ludzie przystępują do działania. Tylne szeregi zaczęły podawać do przodu okaleczone zwłoki, niektóre bez głów czy kończyn. Ci stojący na samym brzegu wrzucali trupy

do wody. Głęboki rów stał się zbiorową mogiłą pełną rąk, nóg i tułowi żołnierzy, kobiet i dzieci. Gdy fosa została zasypana, buntownicy przemknęli po moście z ludzkich szczątków.

Wdarli się niczym powódź do Zakazanego Miasta, wycinając w pień żołnierzy stojących im na drodze. Gwardziści nie mogli ani uciec, ani się poddać. Lucía i jej wojowniczy towarzysze przyglądali się makabrycznemu widowisku z odmiennymi uczuciami – ona z bólem, oni z dumą. Straż chroniąca królewskiego słonia przestała istnieć. Dwaj książęta kołysali się na tronie, otoczeni przez wzbierającą falę ludzi. Nie stawiali oporu, gdy wyciągnięte ręce ściągały ich na ziemię. Lucía patrzyła, jak nikną w ludzkim mrowiu. Bliźniacze strugi krwi trysnęły ku zachodzącemu słońcu.

Dwie głowy, jedną wciąż w metalowym hełmie, położono na bambusowych tacach i przyniesiono do króla Nhàca. Generał Zicheng podniósł za długie włosy głowę księcia Hoànga. Żołnierze krzyknęli triumfalnie. Król pochylił się i pogroził palcem odciętej głowie.

– Już więcej nie dostaniesz opium – powiedział.

Tłum ryknął śmiechem.

Król zwrócił się do generała:

– Pokaż mi drugiego.

Wojownik spróbował wyciągnąć głowę z hełmu. Słońce zachodziło szybko. Ziemię spowiło miękkie światło. Po paru daremnych szarpnięciach generał zaprzestał prób i podniósł metalową przyłbicę. Ukazała się zakrwawiona twarz, z której spoglądały duże niebieskie oczy. Zapadła głucha cisza. Zaskoczony Zicheng popatrzył na króla, coś wymamrotał i wzruszył ramionami.

Siostra Lucía spojrzała na odciętą głowę i zemdląła.

François był wstrząśnięty, ale nie zaskoczony śmiercią brata Joào. Tylko biskup de Béhaine mógł wymyślić taki podstęp, żeby uratować swojego protegowanego, księcia Ânha. Poświęcenie

jednego z kapłanów dla dobra misji było bezwzględny posunięciem. Co się stało z biednym Henrim? Czy nowicjusza spotkał równie okrutny los?

Ślepe oddanie biskupa rozwścieczyło go, ale też skłoniło do zastanowienia nad sobą. Czy poświęciłby życie własne albo swoich zwolenników, żeby ocalić księcia Thoma? Odpowiedź uświadomiła mu, że nie w pełni należy do świata górali – ani do żadnego innego. Miał dwadzieścia siedem lat, był księdzem, uchodzącą z ojczyzny, rozbitkiem dryfującym w pogańskiej kulturze. Los uczynił go wiecznym odmieńcem.

Gdzie byli książę i biskup? Z pewnością nie uciekli razem. Biskup, legendarny cudzoziemiec, przyciągałby uwagę. Aby nie rzucić się w oczy, Anh musiał podróżować samotnie bądź z garstką wiernej straży. Skoro Tonkińczycy zajmowali Północ, a zachodni górale ziemie pomiędzy Hue i Sajgonem, książę nie miał innego wyboru, jak uciekać jeszcze dalej na południe.

Jeśli chodzi o biskupa, bez księcia nie groziło mu poważne niebezpieczeństwo. Buntownicy nie uznawali cudzoziemców za groźnych, o ile żaden z nich nie podniósł broni. François przypuszczał, że biskup już opuścił cytadelę, chyba że zatrzymało go coś naprawdę ważnego.

Przed salą tronową żołnierze wieśniacy gromadzili cesarskie konkubiny, żony i dzieci, dzieląc je na grupy według statusu. François dostrzegł królową Kochinchiny, potarganą, ale pełną dumy. Zachowywała się spokojnie pomimo agresji buntowników. Buntownicy odebrali matkom męskich potomków. Rozległy się płacze i krzyki. Dzieci skuliły się obok góry ludzkich zwłok. Na rozkaz kapitana łucznicy wypuścili strzały. Płacz dzieci ucichł. Żołnierze poćwiartowali szablami zwłoki.

Generał Zicheng wrócił i uklonił się przed królem Nhacem. Ze znużeniem w głosie zameldował:

– Wasza Wysokość, straciliśmy wszystkich krewnych oraz żony i konkubiny rodu Nguyen z wyjątkiem Anha, jego żon i jednej konkubiny. Nigdzie nie można ich znaleźć. Powiedziano mi, że jedna z kobiet jest w ciąży. Nie mogli uciec daleko.

– Czy ktoś został w królewskich pawilonach albo w Zakazanym Mieście? – zapytał król.

– Szukaliśmy wszędzie, Wasza Wysokość. Nikogo nie ma.

– Sprawdźcie jeszcze raz, przeszukujcie dom po domu, dopóki ich nie znajdziecie.

Zicheng się zawahał.

– Robi się ciemno, ludzie są wyczerpani. Nie zdołamy przeszukać wszystkich domów w cytadeli. Co mamy zrobić z ich mieszkańcami, buddyjskimi mnichami i cudzoziemcami, panie?

– Rozstaw strażę i powiadom mieszkańców, że nie zrobimy im krzywdy. Nie pozwalaj nikomu odejść. Jutro wydam nowe rozkazy.

François odetchnął z ulgą. Zastanowił się, czy biskup i jego nowicjusz wciąż są gdzieś w fortecy. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, gdy zsiadł z konia. Choć nigdy wcześniej nie był w Sajgonie, wiedział, dokąd iść. Gdzieś w tym rozległym mieście musiał być pawilon przeznaczony dla zagranicznych chrześcijan. Przy odrobinie szczęścia zdoła go znaleźć.

Słońce szybko opadało za górskie szczyty, cienie nocy już się gromadziły pod wysokimi drzewami. Wzdłuż brukowanej drogi, która prowadziła przez ogród orchidei, stało wiele pałacowych pawilonów. Wszystkie drzwi i okna były otwarte, okiennice kołysały się na wietrze.

François zaglądał do pokoi. W żadnym nie paliło się światło, nigdzie nie dostrzegł znaku życia. Rozrzucone rzeczy, otwarta książka, jedzenie zostawione na stole – wszystko to świadczyło, że mieszkańcy uciekali w pośpiechu. Na końcu ulicy znajdowała się publiczna studnia. Parę kroków dalej stała kadź z sosem rybnym, a za nią kulił się eunuch. François złapał go za kołnierz i wyciągnął z kryjówki.

– Daruj mi życie, błagam – wymamrotał eunuch, zasłaniając oczy.

– Cha Că! – krzyknął ksiądz. Gdy zobaczył ślad zrozumienia na twarzy eunucha, zapytał spokojniej: – Znasz Cha Că?

Eunuch pokiwał głową, wskazując w stronę grupy pagód i wież. Piętrowe czerwone dachy ze złotym wykończeniem Przypominały płatki lotosu nawiane na wzgórze.

– Tak, tak, chrześcijański kapłanie! Wiem, gdzie mieszka. Tam! Zaprowadzę cię.

Kompleks przypominał z wyglądu buddyjską świątynię, eunuch ruszył pierwszy przez galerie łączące mieszkania, by dotrzeć na dziedziniec, za którym stała wieża z piaskowca. Miała kształt głowy Buddy i otaczały ją mniejsze budynki tworzące mandale, buddyjski symbol wszechświata. François przystanął, zdjęty podziwem. Wspaniałość starożytnej świętej budowli urzeźbiła jego artystyczną duszę.

Potem zobaczył setki buddyjskich mnichów – pogrążonych w medytacji, siedzących w rzędach tak spokojnie i cicho, że z początku wziął ich za posągi. Pomarańczowe szaty i brązowa skóra wskazywały, że są żywi. Na wszystkich twarzach widniał ten sam uśmiech. Zabrakło mu śmiałości, żeby przeszkodzić choć jednemu z nich.

Eunuch pociągnął go za ramię i szepnął:

– Tutaj mieszka. – Wskazał bogato zdobioną pagodę.

François bez słowa wspiał się po schodach do wejścia.

Ciężkie drewniane drzwi były zamknięte. Pociągnął okrągłą gałkę, grzechocząc w metalową futrynę. Słuchał, jak echo rozchodzi się po wnętrzu.

– Biskupie Pierre Pigneau de Béhaine, nowicjuszu Henri Monange! – krzyknął. – Jesteście tam?

Nie doczekał się odpowiedzi. Spróbował jeszcze raz.

– To ja, François Gervaise. Przyszedłem do was, sam! Otwórzcie!

Przyłożył ucho do drzwi i usłyszał ruch po drugiej stronie. Zesztywniał, gdy zaskrzypiały stare zawiasy. Drzwi uchyliły się

powoli i zobaczył wysokie czoło biskupa, na którym dostrzegł więcej bruzd, niż pamiętał. De Béhaine odsunął się, pozwalając mu wejść, i zaraz potem zaryglował drzwi.

– Ojciec François, znowu się spotykamy. Zdołałeś mnie znaleźć. Jestem pod wrażeniem. Jak to zrobiłeś?

François obliznął usta.

– Wasza Eminencjo, cieszę się, że jesteś bezpieczny. Aby cię znaleźć, musiałem myśleć jak ty. Zapytałem się, co zrobiłby biskup de Béhaine w tej sytuacji. I otrzymałem odpowiedź. To było całkiem proste.

– Co to znaczy, myśleć jak ja?

François zignorował pytanie. Rozejrzał się po wnętrzu, zatrzymał spojrzenie na ogromnych posągach Buddy w drugim końcu sali.

Biskup zaśmiał się.

– Dołączyłeś więc do górali. To wspaniale, mamy szpiega w armii wroga.

François spojrzał na niego gniewnie. Po raz pierwszy oniesmielająca poza biskupa nie zrobiła na nim wrażenia.

– Nie jestem szpiegiem, Wasza Eminencjo. Przyłączyłem się do nich, bo wierzę w ich sprawę.

– Niepodobna! Nie jesteś buntownikiem.

Na prawo od wejścia François zobaczył zamknięte drzwi. W szczelinie pod nimi jaśniało światło. Ciągłe miganie wskazywało, że wewnątrz ktoś się porusza. Biskup stanął przed nim, zasłaniając widok. Zapłakało dziecko. Ciche kwilenie szybko zostało stłumione.

– Posłuchaj mnie – podjął biskup. – Nie możesz być buntownikiem. Potrzebuję twojej pomocy.

– Takiej samej, jakiej zażądałeś od brata João? – zapytał z lekkim sarkazmem François. – I co zrobiłeś z Henrim?

Choć raz de Béhaine wyglądał na speszzonego.

– Nic nie zrobiłem. Przepadł w zamęcie. Nie widziałem go przez cały dzień.

– Widziałem bitwę, w której zabili brata João. Górale mylnie

wzięli go za księcia, który uciekł. Nie spodziewaj się, że ja albo mój nowicjusz oddamy życie za twoją sprawę!

– Niezależnie od poglądów politycznych wciąż jesteś księdzem. Moja sprawa jest sprawą zakonu jezuitów. Przybyliśmy do tego kraju, żeby stworzyć tu chrześcijańskie królestwo, musimy więc działać razem. Wszyscy uczniowie muszą popierać mój autorytet i moją wizję. A moja wizja jest taka, że księżę Ánh zostanie następnym królem Annamu. Takie jest również życzenie Jego Wysokości Ludwika XVI, króla Francji. Wypełniam tylko jego wolę oraz obowiązki wobec Jego Świątobliwości, papieża.

– Nie służę królowi Francji – odparł François. – Służę Bogu. Poszukiwałem prawdy i oto Jego wola doprowadziła mnie do chłopskiej armii. Jej przywódca, księżę Thom, niedługo zostanie prawowitym władcą tego kraju. Jest silny, mądry, odważny i pełen współczucia. Wygra wojnę domową i zjednoczy królestwo. Rozlew krwi się zakończy i zapanuje pokój. Ludzie będą mogli myśleć o Bogu.

Biskup parsknął śmiechem.

– Widzę, że wciąż jesteś naiwnym, upartym idealistą jak wówczas, gdy poznaliśmy się w Awinionie. Młodość zaślepia cię zbyt długo. Pokój nigdy nie wzbudza wiary w religię i w Boga. Tylko wojna może to sprawić! Chaos i zniszczenia gnębią ludzi, wpędzają ich w rozpacz. To wtedy padają na kolana i wznoszą mdły.

– Ból i cierpienie? Takie są twoje cele, biskupie? Nic dziwnego, że spotyka cię niepowodzenie.

De Béhaine przygryzł knykcie. Jego kocie oczy patrzyły z przyganą na François. Ale nawet w stanie wzburzenia nie stracił panowania nad głosem.

– Księżę, zżera cię duma. Ty nie służysz Bogu. Wiem, dlaczego mnie szukałeś. Próbujesz mi pokazać swoje zwycięstwo, udowodnić, że jestem nieudacznikiem. Od dawna chciałeś to zrobić. Cóż, udało ci się. Jesteś po stronie wygrywających, lecz do czasu! Pamiętaj, nie przybyłeś tu, aby uszczęśliwiać pogan. Jesteś tutaj, żeby uczynić ich chrześcijanami. Możesz zaoferować

im lepsze życie doczesne, ale ja obiecuję im lepsze życie po śmierci.

François odwrócił się, mówiąc cichym głosem:

– Nie przyszedłem się chełpić. Miałem zamiar przedstawić cię przywódcy buntowników, żeby w ten sposób ułatwić naszą misję. Ale widzę, że nasze przekonania wyraźnie się różnią. Żegnaj, biskupie. I uważaj na kobiety i dziecko, które ukrywasz. Górale ich szukają. Prędzej czy później znajdą ich i zabiją, łącznie z tymi, co zapewniają im schronienie.

Poprawił zbroję i ruszył do drzwi.

– Zaczekaj! – zawołał za nim biskup.

François obejrzał się przez ramię. W żółtym blasku świecy pojawiła się kobieta z noworodkiem w powijakach. Nie widział jej twarzy w nikłym świetle. Dziecko już nie płakało, zajęte ssaniem odsłoniętej piersi.

– Musisz mi pomóc ich ukryć – poprosił de Béhaine.

– Podaj mi choć jeden powód, dla którego miałbym to zrobić.

– Musisz – biskupowi zadrżał głos – bo jesteś mistrzem oszustwa. Potrzebuję cię, François Gervaise. A może powinienem nazywać cię wicehrabią Etienne'em de Charney?

Złośliwość smagnęła księdza niczym bicz, wytrąciła go z równowagi.

– Pamiętasz, jak w cytadeli Hue powiedziałem, że wiem o tobie więcej, niż myślisz? – kontynuował biskup. – To prawda.

François nagle poczuł się jak przestępca. Zakrzuszył się, przełykając łzy.

– Kiedy się dowiedziałeś?

– Od samego początku miałem wątpliwości co do twojej przeszłości. Ale dopiero po znalezieniu sztyletu poczułem, że muszę zbadać jego pochodzenie. Gdy chorowałeś na cholere, pojechałem do Villaume zobaczyć się z ojcem Dominikiem. Kapłan rozpoznał sztylet i był głęboko poruszony. Ta broń z herbem szlacheckiego rodu należała do dwudziestoletniego wicehrabiego Étienne'a de Charney. – Zaczerpnął tchu i podjął: –

Widzisz, ojciec Dominik był nie tylko księdzem rodziny de Charney, ale także uczył Etienne'a sztuk pięknych i muzyki. Wedle dobrego ojca wicehrabia był obiecującym artystą, szlachcicem obdarzonym talentem i przystojną twarzą. Stracił wszystko, gdy pewien wolnomularz wyzwiał go na pojedynek z powodu córki karczmarza.

W noc przed pojedyńkiem Etienne zniknął, zbyt tchórzliwy, żeby walczyć z przeciwnikiem, i zbyt zawstydzony, żeby spojrzeć w oczy ojcu. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, gdy usłyszałem twoje wyznanie. Twierdziłeś, że zamordowałeś wicehrabiego i zatrzymałeś jego sztylet. Czy wspomniałem, że spotkałem się z tym wolnomularzem, który poślubił Helene, córkę karczmarza, i wciąż mieszka na południu Francji? Nazywa się François Gervaise.

Książd zadrżał na wspomnienie o przeszłości.

– Wtedy nie pojmowałem jednej rzeczy – ciągnął biskup – dlaczego przyznałeś się do morderstwa, którego nie popełniłeś? Przyszło mi na myśl, że to kwestia dumy. Woląłeś, żebym uważał cię za zbrodniarza niż za tchórze. Wypędzony z Villaume przez własnoręcznie ściągniętą na siebie hańbę, wyrzekłeś się nazwiska i przybyłeś do kartuzji w Villeneuve les Avignon. Tam usłyszałeś o moim wyjeździe do Annamu. Pomyślałeś, że w tym dalekim kraju mógłbyś zacząć nowe życie i nabrać odwagi.

Zaśmiał się gorzko.

– Ironia losu, prawda? Byłeś nie tylko tchórzem, ale również kłamcą. A jednak cię przyjąłem. Ocaliłem ci życie, uratowałem twoją duszę i dałem szansę na zostanie człowiekiem, jakim chciałeś być. Po co? Aby patrzeć, jak teraz wszystko zdradzasz i robisz ze mnie głupca?

Zaślepiony gniewem, uderzył pięścią w kamienny posąg. Rozległ się głuchy dźwięk. Biskup pochylił się i ścisnął bolącą rękę. François podbiegł.

– Nie dotykaj mnie! – syknął de Béhaine. – Wicehrabio de Charney, czy znalazłeś to, po coś tu przyszedł? Pamiętaj, nie

jestem jedyną osobą, która wie, jaki naprawdę jesteś. Nie jestem twoim wrogiem. Jest nim człowiek, którego widzisz w lustrze.

Ściana odbiła oskarżycielskie słowa. François padł na kolana.

– Nie jestem tchórzem! – krzyknął. – Nie stanąłem do pojedynku, bo wiedziałem, że nie mógłbym nikogo zabić.

Młoda matka odezwała się po raz pierwszy od chwili wejścia do sali.

– Kapłanie wieśniaków, jeśli naprawdę cenisz pokój, musisz pomóc Cha Cã, który chce nas ratować. – Sięgnęła do jego ręki.

Popatrzył na nią przez łzy.

– Jestem księżniczką Jade Binh, córką króla Le z Północy. Zostałam zaręczona z księciem Ánhem, gdy miałam dziesięć lat, stanowiąc rękojmię pokoju. Jeśli górale skarżą mnie i mojego syna na śmierć, ojciec wypowie im wojnę. Nasza śmierć tylko podsyci starą rywalizację pomiędzy dwoma królestwami. Jeśli wierzysz w pokój i harmonię, składam w twoje ręce odpowiedzialność za nasze życie.

François osunął się na podłogę. Z pewnością musi pomóc żonom i dziecku Ánha, aby uchronić to królestwo przed dalszym zniszczeniem. Ale czy uratuje siebie?

Oburącz trzymając się za głowę, powiedział:

– Wiesz, że górale was szukają i nie spoczną, dopóki nie znajdą. Ukrycie was to nie lada zadanie. Jesteś gotowa na wszystko, aby ocalić siebie i dziecko?

Przesunęła palcem po delikatnych brwiach noworodka.

– Zrobię wszystko, co każesz – odparła opanowanym głosem – pod warunkiem, że nie rozdzielisz mnie z dzieckiem.

– Dobrze – rzekł François. – Chodźcie ze mną.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Koń niosący Xuan i księcia skoczył do rzeki.

Henri wychylił się za burtę, żeby chwycić wodze. Nie udało się. Woda otworzyła się z głośnym pluskiem, pochłaniając wierzchowca i jeźdźców. Prąd ich rozdzielił. Księżę wynurzył się pierwszy, sapiąc i bijąc wodę rękami. Henri złapał go za kołnierz. Anh się krztusił, mrugał oczami z przerażenia.

– Trzymaj się burty – polecił Henri.

– Mam wodę w oczach! Nic nie widzę i nie umiem pływać.

Pomóż mi!

Henri spojrział w dół rzeki. Trzy metry dalej Xuan walczyła z rwącym nurtem. Płonące strzały, które wystrzelono z urwiska, zabłysły na tle ciemniejszego nieba.

Henri położył rękę Anha na burcie.

– Wciągnij się, ja odcumuję łódź.

W drewnianym nadburciu tkwiła metalowa dulka. Anh ją namacał. Wygramolił się z wody. Gdy wpadał głową naprzód do łodzi, strzała trafiła go w ramię, przyszpilając je do drewna. Wrzasnął, ale jego głos utonął w krzykach górali, którzy schodzili po stromym brzegu. Henri przeciął linę. Rzeka poniosła łódź.

Wpłynęli na bystrza, wyprzedzając Xuan. Henri wyteżał się

przy wiosłach, ale nie mógł do niej dotrzeć. Widział, że dziewczyna traci siły, jej ręce poruszały się coraz słabiej.

– Xuan, Xuan! – wrzasnął, zawracając łódź.

Zobaczyła go i przestała walczyć. Szybki wir z niebezpieczną prędkością rzucił ją w stronę łodzi. Henri puścił wiosło, żeby ją złapać. Zaparł się kolanami o szorstkie drewno, ciągnąc z całej siły. Łódź zadygotała i przechyliła się, grożąc wywróceniem. Książkę wyrwał strzałę z deski i przeczołgał się na drugą burtę, żeby przywrócić łodzi równowagę.

– Zostaw ją! – ryknął do Henriego. – Zabijesz nas.

Henri nie zwracał na niego uwagi. Miał ją w ramionach i nic, ani siła żywiołu, ani rozkaz księcia, nie mogło ich rozdzielić. Przycisnął twarz do jej policzka, wdychając woń mydleńca, którym pachniały jej włosy. Gdy łódź pędziła w dół rzeki, drzewa zdawały się przemykać jak stronicze szybko wertowanej książki. Las mrucał, przesycony miękkim, rozmytym światłem, które uśmierzyło wszystkie lęki Henriego. Jakie to cudowne: był w paszczy śmieci, ale już się nie bał.

– Kocham cię – szepnął we włosy Xuan i usiadł, nie wypuszczając jej z objęć.

Przytuliła się do niego. Rzeka wiła się za nimi, gdy łódka mknęła w ciemność.

Prąd niósł ich w głąb dżungli. Wąskie smugi księżycowej poświaty przesączały się przez listowie. Roje moskitów zaczęły uctować na odsłoniętej skórze uciekinierów. Henri klepał się po twarzy i szyi. Zapach krwi rozgniecionych owadów mieszał się z wonią butwiejących liści.

Kulili się razem, zmarznięci, przemoczeni i głodni. Szum wody, poskrzypywanie łodzi i ciężkie stąpanie niewidzialnych stworzeń targało im nerwy. Henri nie mógł dobić do stromego, skalistego brzegu.

Xuan nożem Henriego odcięła grot, który przebił ramię Ánha.

Pomimo ciemności zrobiła to bardzo sprawnie. Książę położył głowę na jej ramieniu i zagryzł kawałek drewna. Henri słyszał, jak Ánh pociąga nosem i syczy cicho. Miał szczęście, że grot nie był unurzany w truciznie.

– Pomóż mi wyciągnąć strzałę – powiedziała Xuan.

Nowicjusz zaczął modlitwę, a potem szybkim ruchem szarpnął drzewce. Xuan oddarła pas materiału od tuniki i opatrzyła ranę. Ánh zadarł głowę ku niebu i zawył.

O wschodzie słońca zbudziło ich dalekie pianie koguta. Nad pasem gęstej zieleni ukazały się strzechy i pasma dymu. Łódź płynęła wolniej, gdy rzeka podzieliła się na liczne mniejsze odnogi. Oddalony o parę metrów brzeg stał się mozaiką grzęzawisk i porośniętych hiacyntami łąk sięgających do skraju lasu. W powietrzu unosił się silny smród rozkładu.

Henri podniósł się i dla rozgrzewki zatarł ręce. Ubranie miał przemoczzone od rosy. Ziewnął i rozejrzał się, szukając miejsca do zacumowania. Woda falowała, burzyła się dziwnie niespokojnie. Wyciągnął szyję, zeszywniał. To, co zobaczył, przyprawiło go o drżenie.

W czarnym błocie, ledwo widoczne wśród kęp martwej trawy, leżały tuziny pokrytych grubą łuską krokodyli, powykęcanych jak korzenie drzewa. Xuan spojrzała tam gdzie on i skuliła się ze strachu. Książę, wymizerowany i blady, patrzył obojętnie. Przyciskał zranioną rękę do piersi. Krew skrzepła na ranie.

Niespełna dwa metry nad powierzchnią wody wisiały gałęzie i korzenie odporowe baniana. Henri chwycił konar i skierował łódź do brzegu. Ruch wypłoszył gady. Jedne znikły w gorącej wodzie, inne odeszły dalej.

– Nie chcę, żeby były blisko mnie – szepnęła Xuan.

– Posłuchaj – powiedział Henri – musimy schronić się w

wiosce. Księżę potrzebuje odpoczynku, żeby rana się zagoiła. Pójdę pierwszy. Wy za mną. Biegnijcie jak najszybciej.

Nie dając jej szansy na wyrażenie sprzeciwu, postawił stopę w błocie. Zapadł się po kostkę. Jego ruch, choć nieznaczny, zbudził całe moczary. Krokodyle wyczekująco podniosły łby. Cztery najbliższe z chlupotem popędziły przez błoto. Xuan chciała zatrzymać Henriego, ale on już biegł. Obznajomione z terenem gady poruszały się bardzo szybko. W ostatniej chwili podskoczył i chwycił gałąź baniana, umykając przed rozdziawionymi paszczami. Rozkołysał się i objął konar nogami. Nagłe niebezpieczeństwo sprawiło, że krzyknął z nerwowego podniecenia.

– Nie mogę na to patrzeć – załkała Xuan.

Księżę nie mógł się powstrzymać od histerycznego chichotu.

– Głupiec! Jeśli myśli, że pójdę w jego ślady, to jest szalony.

Henri dotarł do końca bagna, na płaski pas splekanego błota porośniętego kępami trawy i zasłanego kamieniami. Obejrzał się. Krokodyle tłoczyły się wokół łodzi. Czekwały z cierpliwością urodzonych zabójców. Jeden uniósł wysoko łeb, otwarta paszcza sięgnęła ponad burtę, błysnęły przejrzyste oczy. Księżę siedział w łodzi, zdrową ręką obejmując Xuan. Ona schowała twarz w dłoniach. Wydawali się zagubieni wśród ogromnych gadów, z których wiele miało ponad cztery metry długości.

Anh patrzył na Henriego, ściskając sztylet w dłoni. Za nim woda była gęsta od pływających zwierząt, brązowych w łąkach słońca i cienia. Łódź się kołysała.

– Nie bój się, Wasza Wysokość – zawołał Henri, odłamując gałąź.

Krzycząc i wymachując prymitywną bronią, ruszył w stronę łodzi. Liście szeleściły głośno. Krokodyle pierzchły. Henri przystanął, uświadamiając sobie ze zdumieniem, że te bagienne stworzy boją się nagłego hałasu. Po paru uderzeniach gałęzią droga była wolna. Xuan pomogła księciu wysiąść z łodzi i razem pobiegli przez błoto.

– Wróciłeś dwa razy, żeby nas uratować – wydyszał Ánh. – Dlaczego?

– Sza! – szepnął Henri. – Chyba słyszę głosy.

Uciekinierzy schowali się za kępą bambusów. Głosy się zbliżały. Nieznajomi rozmawiali cicho, z przejęciem. Henri wytyczył słuch.

– Przysięgam, kogoś słyszałem – mówił mężczyzna. – Krzyk dobiegał z tamtej strony.

– Jesteś pewien, że to był ludzki głos? – zapytał drugi. – To mogło być zwierzę.

Pierwszy odparł z przekonaniem:

– To nie było zwierzę. Słyszałem głos człowieka.

– Dobrze, poszukajmy go.

Rozdzielili się. Stopy szurały po ziemi. Henri zrozumiał, że niedługo zostaną odkryci. Popatrzył na Xuan i księcia, szukając pozwolenia w ich oczach. Ánh pokiwał głową. Razem wyskoczyli na ścieżkę. Książę uniósł sztylet.

– Stać! – wrzasnął. – Jeden krok, a zabiję.

Mężczyźni znieruchomieli. Było ich czterech, uzbrojonych w oszczepy i łuki. Wieśniacze stroje sugerowały, że są myśliwymi, nie żołnierzami. Henriemu przyszło na myśl, że mogą należeć do zachodnich górali. Jeden z nich, ubrany tylko w przepaskę biodrową, z kołczanem pełnym strzał na plecach, wskazał łukiem księcia. Jego ciało pokrywały blizny i wytatuowane starożytne symbole.

– Patrzcie na tego w środku i jego jedwabne szaty – powiedział. – To musi być smoczy książę, którego szukamy.

– Książę Ánh? – zapytał drugi, drapiąc się włócznią po policzku.

– Uważaj, to może być przynęta – dodał trzeci, najstarszy, z rzadkimi siwymi włosami.

– Jedno wiemy na pewno – rzekł czwarty z ponurym

śmiechem. Jego ton sugerował, że jest przywódca – Jeśli znajdziemy przy nim królewską pieczęć, to będzie znaczyło, że jest prawdziwym księciem. Weźmiemy go żywcem, w ten sposób zapewniając wielką pomyślność naszej wiosce. Mieszkańcy Ben Song co najmniej na trzy lata zostaną zwolnieni z podatków.

Myśliwi ustawili się w poprzek ścieżki. Uciekinierom została tylko jedna droga odwrotu – z powrotem ku rzece.

Henri szepnął do księcia:

– Mamy Łódź, Wasza Wysokość. Możemy uciec.

Odwrócili się w stronę brzegu. Nadzieje szybko się rozwiąły.

Łódź znikła, porwana przez prąd; nie pomyśleli, żeby ją przywiązać. Henri biegł z towarzyszami pogrążonymi jak on w głębokiej rozpacz. Myśliwi deptali im po piętach, śmiejąc się z ich zakłopotania.

Krokodyle uciekły, gdy usłyszały tupot stóp. Kilka śmielszych kłapnęło zębami na intruzów, ale one też się wycofały po tym pokazie agresji. Xuan wbiegła do wody, Henri za nią.

– Rzeka jest płytka – krzyknął. – Możemy przejść na drugą stronę, Wasza Wysokość.

Nie miał racji. Dno się obniżyło, Henri zaczął płynąć, Xuan obok niego. Henri czuł ruch w wodzie. Gady czyhały pod pokrywą liści, skrywały się w trzcinach. Na łądzie były płochliwe, ale w wodzie nabrały śmiałości.

Na szczęście rzeka nie była szeroka i szybko zbliżyli się do brzegu. Nagle Xuan zatrzymała się i odwróciła gwałtownie.

– Co robisz? – krzyknął Henri. Musiał ją chronić za wszelką cenę.

Zebrała siły, żeby odpowiedzieć:

– Jego Wysokość nie umie pływać. Nie mogę go zostawiać. Złapał ją za koszulę.

– Za późno na powrót. Nigdy ci się nie uda. Próbowala się wyrwać.

– Puść! – krzyknęła. – Jest moim mężem.

Henri nie chciał ustąpić.

– Nie zabiją go, a my więcej zdziałamy żywi niż martwi.

Zapłakała, ale przestała się opierać. Słabi, wyszli na brzeg, gdzie też nie brakowało krokodyli.

– Wybacz mi, wybacz – powtarzała Xuan bez tchu. – Wasza Wysokość, nie powinnam cię zostawiać.

Łzy zmieszane z błotem spływały po jej policzkach. Henri złapał ją za rękę i pociągnął na polanę, z dala od niebezpieczeństwa.

Po drugiej stronie rzeki ksiązę ukląkł wśród gadów, plecami do myśliwych. Wzniósł ręce ku niebu.

Głos rwał mu się z emocji, gdy mówił:

– Czcigodni przodkowie, dlaczego dręczycie mnie w ten sposób? Czy nie jestem prawdziwym królem? Czy moja krew nie jest szlachetna? Pokażcie mi swoją wolę. Jeśli chcecie, żeby ród Nguyen wygasł, niech bagienne stworzenia pożrą moje ciało. Wolę śmierć w szczękach tych bestii niż z rąk brudnych zdrajców z wioski Ben Song.

Śmiech zamarł na ustach myśliwych.

Anh przycisnął ręce do błota i uklonił się trzy razy, oddając cześć przodkom. Podniósł się. Chwycił gałąź upuszczoną przez Henriego i przepłoszył krokodyla z drogi. Na skraju wody wszedł na coś, co z daleka wyglądało jak grzbiet wielkiego gada. Xuan wrzasnęła. Henri patrzył z przerażeniem. Nie przypuszczał, że księcia spotka taki straszny koniec. Nie chciał na to patrzeć, a jednak nie mógł oderwać oczu. Co dziwne, zwierzęta nie próbowały atakować uciekiniera.

Wytatuowany myśliwy napiął cięciwę i wycelował, ale starzec położył rękę na jego ramieniu.

– Stój! Jesteśmy świadkami cudu. Uważaj, żeby nie obrazić bogów – powiedział i padł na kolana.

Gdy ksiązę przebył rzekę, Henri zrozumiał, że to, co wszyscy wzięli za grzbiet krokodyla, było w rzeczywistości dnem łodzi. Musiała wywrócić ją prąd albo wielkie gady. Rąbek strojnej szaty Ánha muskał powierzchnię wody. Z daleka mogło się wydawać,

że księżę płynie na ciemnoskórym stworze. Henri pobiegł z wrzaskiem, żeby pomóc mu wyjść na brzeg.

Łódź zanurzyła się głębiej.

Po drugiej stronie rzeki buntownicy klęczeli z pochylonymi głowami.

– Wybacz nam – błagali. – Byliśmy tak ślepi, że nie rozpoznaliśmy prawdziwego króla.

Ánh odwrócił się i podniósł palec.

– Dzisiaj widzieliście, że niebo jest po mojej stronie. Żaden człowiek nie może odebrać mi życia. Powiedzcie innym, niech przekażą swoim dzieciom, a ich dzieci swoim dzieciom, jak bóg chroni prawowitego króla.

Zachwiał się i osunął w wyciągnięte ramiona Xuan. Henri odwrócił wzrok.

CZEŚĆ CZWARTA

Ocalenie

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Sajgon, 1782

François od czterech lat mieszkał w Kien Tao, buddyjskim klasztorze stojącym naprzeciwko chrześcijańskiego kościoła. Trzy kobiety z domu księcia Ánha ogoliły głowy i wstąpiły do żeńskiego zakonu, żeby uciec przed mieczami buntowników. Z powodu bliskich związków z rodziną królewską biskup został uwięziony w tej samej pagodzie, w której kiedyś celebrował chrześcijańskie nabożeństwa. Obecnie odprawianie mszy było obowiązkiem François.

François został z kobietami, które obiecał chronić. W zamian za udzielenie schronienia zobowiązał się odnowić wielką salę w klasztorze. Miał nadzieję, że przywracanie piękna buddyjskiej świątyni i głoszenie kazań we własnym kościele będzie sprzyjało tworzeniu harmonii pomiędzy buddystami a chrześcijanami.

Zamierzał stworzyć jeden wielki fresk, który stanowiłby tło głównego ołtarza. Północną i południową ścianę miały ozdobić po trzy duże malowidła z niniejszymi bocznymi tablicami – łącznie piętnaście obrazów, każdy wysoki na prawie cztery metry. Ogromne przedsięwzięcie! François nie wyobrażał sobie, że potrafi je zrealizować, ale zabrał się do pracy z zapałem. Projekt był dobrym sposobem na oderwanie myśli od trosk, a jednocześnie umożliwiał zaznajamianie się z tutejszą religią.

W cytadeli panował spokój, ale w głębi kraju wciąż dochodziło do starć pomiędzy siłami księcia Ánha a góralami. Armia księcia była nieliczna i nie cieszyła się dużym poparciem, jednak dzielnie walczyła. Lud opowiadał o cudownym zdarzeniu z krokodylem, a przekazywana z ust do ust historia stawała się coraz barwniejsza. W końcu dotarła do uszu François, który usłyszał, że za księciem podążają dzikie zwierzęta wszelkiego rodzaju, gotowe poświęcić życie, byleby tylko wypełniło się jego przeznaczenie.

Ánh wychodził bez szwanku z każdej przegranej bitwy. Zdawało się, że żadna nagroda wyznaczona przez rząd za jego głowę nie jest dość wysoka, by ktoś powążył się o nią ubiegać. Nawet górale wierzyli, że ich wroga chronią boskie siły nieba.

Kolejne wieści przypominały François o jego związkach z księciem i królewską sprawą. Kiedyś przyczynił się do uratowania Ánha na drodze pod miastem Hue. Teraz strzegł jego trzech żon i jedyne dziecko. Był zwolennikiem chłopskiego rządu, ale dwa razy go zdradził. Choć usilnie się starał, nie mógł pogodzić lojalności wobec księcia z lojalnością wobec wieśniaków.

Mnisi, wśród których mieszkał, okazali się prostoduszni i niewinni. Nigdy nie próbowali nawrócić go na swoją wiarę. Ponieważ zasady i historia pogańskiej doktryny były tematami pracy François, czuł się zobowiązany do ich zgłębiania. Nauki wschodniej religii zrodziły nowy dylemat. Znany mu katolicyzm opierał się na surowych tradycyjnych dogmatach, które nie dopuszczały żadnych odstępstw, buddyzm natomiast okazał się mniej prymitywny, niż kiedyś uważał. Miotał się, szukając jakiejś wspólnej podstawy tych dwóch systemów religijnych.

Z pomocą mnichów zbudował rusztowanie z bambusów, na którym położył deski. Codziennie przez dwa lata mieszał farbę w wielkich kadziach i malował drewno, żeby uchronić je przed pękaniem. Żony Ánha, obecnie buddyjskie mniszki, pomagały

w kuchni. Pani Jade Binh miała osiemnaście lat, ale wyglądała na dwa razy starszą. Syn był jej jedynym źródłem radości.

Głowę chłopczyka pokrywał teraz gąszcz sztywnych włosów. Matka dała mu na imię Canh, czyli „pejzaż” albo „czujność”. Miała nadzieję, że będzie czujny. Podczas gdy François pracował, dziecko bawiło się w pobliżu. Matka chowała się za parawanem obok głównego ołtarza i podglądała ich obu. Nie zdawała sobie sprawy, że od drugiej strony widać jej sylwetkę, poruszającą się jak lalka w teatrze cieni. François wcielił się w rolę swojego dawnego nauczyciela, ojca Dominika, i uczył Canha trzymać pędzel.

– Nie – krzyknął chłopiec, odrzucając narzędzie.

Matka parsknęła śmiechem. Widziała sprzeciw w oczach syna i była zadowolona.

Nocami François śnił o Villaume i zbliżającym się nieuchronnie pojedynku. Nie cierpiał siebie z tego okresu wyczekiwania. Powrócił stary strach, realistyczny i dręczący. Annam wydawał się fantazją.

Pewnej nocy zbudził się zasapany i podniósł na łokciu. Przez moskitierę osłaniającą łóżko widział ciemność. Zagubiony i przestraszony, wsłuchiwał się w noc. Z wielkiej sali dobiegało ciche szuranie.

Zabrał lampę olejną i wszedł przez drzwi prowadzące do ołtarza. Zobaczył na ścianie charakterystyczny cień chudej szyi i ogolonej głowy buddyjskiego mnicha, mistrza Chi Tama. Przerzucona przez ramię pomarańczowa szata była splewiała i wystrzępiona na rąbku. Mnich przechodził od jednego obrazu do drugiego, przyglądając się im uważnie. François nie krył zaskoczenia. Mistrz Chi Tam był żarliwym poszukiwaczem prawdy. Nieczęsto wychodził z pokoju, gdzie większość czasu spędzał na medytacji.

François jeszcze nie miał się czym pochwalić. Dopiero rozpoczął pracę nad obrazami, tylko gdzieś tam widniały budzące się do życia twarze.

– Prawdziwy artysta musi uprawiać sztukę z siłą, która nie wymaga wysiłku – zauważył mnich, nie patrząc na niego. Mówił cichym głosem, ale pełnym krytycyzmu. – Twoje pociągnięcia pędzlem są niezdecydowane. Jak możesz wyrazić to, co czujesz?

François przestąpił z nogi na nogę. Pomyślał, że uszy starca, cienkie, pomarszczone i żyłaste, przypominają huby.

– Zapewniam cię, że nie brakuje mi wytrwałości i siły. Przez sześć lat pracowałem bez przerwy. Dzięki technice i wykształceniu stworzę piękny wystrój twojej świątyni. – Rozejrzał się po mrocznej sali. – Spójrzaj dokoła. Pagoda jest brudna i zaniedbana. Niczego tutaj nie naprawiano co najmniej od stu lat.

Wskazał ołtarz z kamiennym Buddą. Deszcz z przeciekającego dachu niszczył posąg. Woda zmyła połowę twarzy. Wróble uwiły gniazdo na prawym ramieniu. Nieudolne próby, jakie podjęli mnisi, żeby odmalować posąg w miejscach, gdzie złuszczyła się farba, tylko pogorszyły jego stan.

– Mimo wszystko – rzekł Chi Tam – formułowanie koncepcji może zająć cztery lata. Realizacja nie powinna trwać tak długo.

Mistrz odwrócił się do wyjścia. Ruchem ręki nakazał, żeby ksiądz poszedł za nim. François zdziwił się, ale posłuchał.

Jego kroki zakłócały ciszę, gdy przemierzał wielką salę. Mnich pomimo podeszłego wieku stąpał lekkim krokiem. Szafranowa szata chłonęła ciemność jak gąbka artysty.

Weszli do kuchni, gdzie pośrodku podłogi stały żarna. Dwaj konwersi pracowali w nocy, rozcierając strąki sojowe na mleko. Żarna składały się z dwóch ciężkich kolistych kamieni, umieszczonych jeden nad drugim. Wprawiany w ruch za pomocą korby górny kamień obracał się wokół osi, w jednostajnym tempie

rozniatając strąki. Struga białego płynu ściekała rowkiem do stojącego niżej naczynia.

Chi Tam poklepał po ramionach służących, którzy przerwali pracę.

– Już późno – powiedział. – Musicie odpocząć. To może zająć do rana.

Konwersi ukłonili się i wyszli z kuchni, zostawiając dwóch mężczyzn. François roztarł odrobinę mleka sojowego pomiędzy palcem wskazującym i kciukiem. Było aksamitne w dotyku.

– Po co tu przyszliśmy?

– Dzięki temu urządzeniu otrzymujemy mleko na tofu – odparł Chi Tam. – To podstawa naszego pożywienia, pozwalająca zachować zdrowy umysł.

Chwył korbę, wysunął prawą nogę, mocno zapierając ją o ziemię. Zaczął kręcić korbą, wprawiając żarna w ruch. Rozległ się trzask pękających strąków. Niższy dźwięk dobiegał z wnętrza żaren. Ciężkie koło obracało się z początku powoli. Niebawem prędkość wzrosła tak bardzo, że koło rozmyło się w oczach. François słuchał jak urzeczony. Ze zdumieniem patrzył, jak starzec obsługuje ciężkie urządzenie. Robił to nie tylko z wdziękiem, ale na pozór bez wysiłku. Przez okno wlewała się księżycowa poświata. Skąpany w niej mistrz zdawał się unosić nad ziemią. Skierował na księdza oczy tryskające energią. Żarna powoli znieruchomiały.

– Zrób to samo – polecił. – Pokaż mi swoją wytrzymałość. Ale pamiętaj, mielenie nie wymaga siły mięśni. Wprawianie koła w ruch wymaga siły ducha.

Biorąc z niego przykład, François przyjął taką samą postawę. Od razu zrozumiał, że do obracania koła potrzebna jest znaczna siła. Korba znajdowała się na wysokości piersi, uznał więc, że może pchnąć ją swoim ciężarem. Ale gdy tylko koło wykonało pół obrotu, musiał pociągnąć ją ku sobie. Pchał i ciągnął z całej siły, żeby obracać koło. Księżyc świecił mu w oczy. Po piętnastu minutach pracy zaczęły mu drżeć ręce, a oddech stał się wyteżony.

Wreszcie François osunął się na zimną powierzchnię kamienia, zlany potem.

– To musi być jakaś sztuczka – wydyszał. – Ukryłeś przede mną jakiś sekret.

Mnich zachichotał, zwiększając jego frustrację.

– *Thây Chi Tam*, nie przyszedłem tu po to, żeby ucierać soję – powiedział z oburzeniem. – Jestem malarzem, pracą i talentem odnawiam twoją świątynię. Jeśli nie jesteś zadowolony z moich starań, po prostu mi to powiedz.

Starzec zmarszczył czoło.

– Wybacz mi, cudzoziemcze – odparł, machając rękami. – Źle zrozumiałeś moje intencje. Nie mam wątpliwości, że żywisz duży szacunek dla naszej religii i kultury. Ale odnowienie miejsca kultu wymaga znacznego wkładu pracy, wytrwałości, cierpliwości i nade wszystko pasji. Zdaje się, że nie umiesz panować nad swoją energią. Jeśli nie wkładasz w pracę serca, stracisz wiele lat, a wyniki okażą się mierne. Twój obraz udusi się jeszcze przed narodzeniem.

– Jak mam znaleźć pasję? Mieląc soję? – zachnął się François.

– Obsługa żaren jest próbą.

– Pokaż mi jeszcze raz. Nie umiem pociągać korby w taki sposób jak ty.

Mnich podszedł i znów stanął przy żarnach. François skupił się na jego ruchach. W powietrzu popłynął zapach miazdżonych strączków, a z nim łagodny głos.

– Nie umiesz, bo nie panujesz nad oddechem. Połóż dłoń na korbie. Głęboko wciągnij powietrze i napnij przeponę, żeby je utrzymać. Użyj tej energii do pchnięcia korby. Wydechaj powietrze równo i powoli, jednocześnie pociągając korbę. Skoncentruj się na wdychaniu i wydychaniu. Siła twoich kończyn wzrośnie, gdy znajdziesz właściwą ścieżkę, i obsłużysz żarna bez trudu. Praca przestanie być pracą.

François dotknął ramienia mnicha, gdy kamień zaczął się obracać. Mięśnie wydawały się rozluźnione, jak w czasie

odpoczynku. W kuchni słychać było tylko zgrzyt kamieni. Ten dźwięk miał na zawsze pozostać mu w pamięci – dźwięk głębokiej, ale niewymagającej wysiłku koncentracji. Ta chwila była jego pierwszą lekcją buddyzmu.

Ukończenie północnej ściany świątyni zajęło rok. Mistrz Chi Tam poprosił, żeby sceny przedstawiały życie księcia Siddharthy przed dostąpieniem oświecenia. François miał też namalować obrazy ukazujące ból, starość, choroby i śmierci. Budda szukał przyczyny tych cierpień, aby położyć im kres.

François dobrze wiedział, co to nieszczęście. Na jego interpretację życia Siddharthy wpływały osobiste doświadczenia z tej części życia, przed którą próbował uciekać. Wspomnienia były żywe, gotowe przemówić. To one kierowały jego rękami. Pędzel sunął po drewnie, wskrzeszając przeszłość. François pracował zapamiętane. Dłonie miał poplamione pigmentami, a zapach terpentyny przesiąknął jego ubranie. Buddyjski klasztor stał się dla niego miejscem świętym. Wydawał się odrębnym światem, a on znalazł w nim azyl, przenosząc wspomnienia na ściany. Mrużąc oczy w sącącym się słońcu, przyglądał się krytycznie każdej linii, każdemu pociągnięciu pędzlem.

Pierwszy z trzech głównych obrazów przedstawiał *Śmierć księcia*. Drugi był *Portretem oszusta w masce*. Ostatni, zatytułowany *Wejrzenie w siebie*, ukazywał Siddharthę patrzącego na odbicie w rzece. Na czterech mniejszych tablicach François sportretował ludzi konających na nieuleczalne choroby, wychudłe dzieci cierpiące z głodu, stare kobiety kryjące się w ciemności i skazańca kłęczącego przed katem.

Kiedy nadszedł czas na południową ścianę, naszkicował szereg rysunków ilustrujących ostateczną próbę Buddy – atak złego ducha, Mary, jego trzech synów, Podniecenia, Wesołości i Ponurej Dumy, a także trzech córek, Niezadowolonia, Rozkoszy i

Pragnienia. Aby oprzeć się pokusom, Siddhartha pogрузił się w medytacji.

François był obznajomiony z praktyką medytacji, bo widział, jak robią to mnisi. Ale nie chciał godzinami przesiadywać z nimi na bruku w promieniach słońca. Stwierdził, że kiedy maluje, w jego żyłach płynie spokój. Ręka z pędzlem posłusznie wykonywała polecenia głowy. Nie był pewien, która jego część – duch czy ciało – budzi sztukę do życia.

Na południowej ścianie namalował dżunglę z piękną pagoda pod wielkimi, obwieszonymi pnączami drzewami. Siddhartha, jeszcze nie Budda, medytował nad cichym stawem, po którym pływały różowe lilie wodne. Strach, zwątpienie w siebie i brak wiary burzyły wodę, tworząc ogromną falę.

Główny fresk za ołtarzem stanowił największe wyzwanie, musiał bowiem wyobrazić cykl życia – narodziny, śmierć i odrodzenie – pojmowany przez buddystów jako koło, które nigdy nie przestaje się obracać. François malował tak, jakby obracał żarna, i w trakcie pracy przyszło mu na myśl, że zapomniał o wszystkim, czego się nauczył, o wszystkim, co czuł, o wszystkim, co wiedział. Już nie dręczyło go poszukiwanie dowodów istnienia Boga, stał się wolny od strachu. Zastanawiał się, czy odkryty spokój jest podobny do tego, który mnisi osiągają w czasie medytacji.

Wiedział, że musi głębiej zbadać to uczucie. Czy to możliwe, że właśnie w taki sposób Budda osiągnął wyzwolenie?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Sajgon, 1784

Mały Canh wyrzał zza matki. Jasne letnie światło zalewało ogród. Ptaki śpiewały, ale nie mógł ich wypatrzeć. Zauważył kilka kurczaków dziobiących coś w pobliżu wielkiego hibiskusa. Wydawały się za małe i zbyt powolne, żeby wyśpiewywać taką śliczną, szybką melodię.

– *Où êtes-vous?* – zawołał, naśladowując głos ojca Phana.

Tego dnia według ojca Phana wypadały jego szóste urodziny, ale matka się upierała, że ma już siedem, nie sześć lat. Wszystkie annamskie dzieci mają rok, gdy przychodzą na świat. Matka, która wiedziała i zauważała wszystko, lecz nigdy nie wydawała się niczym poruszona, ganiła go za każdym razem, gdy pomylił się co do swojego wieku.

– Słuchaj Cha Cà i ojca Phana i ucz się od ich, ale pamiętaj, kim jesteś – mówiła, stukając go w pierś, a potem dodawała szeptem: – Jesteś synem wielkiego Annamity. Nie możesz zapomnieć o naszych zwyczajach.

Czasami, gdy Canh pytał o ojca, matka marszczyła czoło i przyglądała mu się badawczo. Jej tęskne spojrzenie zawsze go zasmucało.

– Czekanie i samotność są dwoma przekleństwami kobiety, która jest żoną wielkiego człowieka – powtarzała.

Imię ojca Canha nigdy nie zostało wypowiedziane, nawet w

odosobnionej buddyjskiej celi, w której mieszkali. W szkicowniku ojca Phana Canh znalazł rysunki królów, królowych, mandarynów, konkubin i dworzan. Były wśród nich portrety matki, pięknej i wyglądającej majestatycznie w ceremonialnych szatach. Po jego narodzinach ogoliła głowę i przywdziała szary strój buddyjskich mniszek, podobnie jak ciocia Lan i ciocia Bao. Trzy kobiety mieszkały razem w pokoiku za kuchnią, odizolowane od wszystkich, nawet od mnichów. Canh był jedynym ogniwem łączącym je ze światem zewnętrznym i sądził, że właśnie dlatego stale go karcą.

– Mów do nas w naszym języku – mówiła matka. – Nie posługuj się tym cudzoziemskim. I pamiętaj, nie obchodzimy urodzin. To zwyczaj Zachodu. Jesteś chrześcijaninem tylko ze swoimi nauczycielami. Przebywając wśród nas, masz modlić się do naszego pana, Buddy. Ojciec by sobie tego życzył.

Ale Buddami, jakich znał najlepiej, byli ci wyobrazeni na ścianach przez ojca Phana. Obrazy wisiały pomiędzy pokrytymi czerwoną laką kolumnami świątyni albo leżały rozrzucone w wielkiej sali, gdzie buddyjscy mnisi przychodzili na codzienne modlitwy. Twarze Buddy nie przypominały nikogo z cytadeli. Polakierowane powierzchnie zostały wypolerowane na wysoki połysk, dym kadzidła przysłańiał jasne oczy.

Canh, jak daleko sięgał pamięcią, spędzał ranki i popołudnia na pomaganiu ojcu Phanowi przy pracy. Dla małego chłopca pracownia księdza, małe pomieszczenie za głównym ołtarzem, była światem pełnym zabawek i cudów. Wnętrze miało kształt statku, a w środku stał skamieniały potwór morski, wbijający szczyki w drewnianą tablicę. Ojciec Phan nazywał go sztalugą.

W pracowni Canh odkrył, ile zabawy daje robienie farby z jedzenia. Ojciec Phan pozwalał mu próbować pewnych rzeczy. Jego ulubionym kolorem była jadalna żółcień z sera, żółtek, mąki i mleka, zmieszanych w płynne ciasto. Zjełczały zapach sera przywierał do jego palców jak woń sfermentowanego tofu do ubrania matki, kiedy gotowała.

Kapitan Petijeau, który miał brodę barwy miedzianej i nastrożone włosy jakby skradzione staremu kudłatemu lwu, przywoził składniki farb z dalekiego kraju, który nazywał Francją. Canh z początku się go bał, ale kapitan szybko oczarował go barwnymi opowieściami o piratach, zakopanych skarbach, syrenach, ogromnych potworach morskich i damach, które wpadały w tarapaty. Chłopiec przywiązał się do niego i wypatrywał jego wizyt.

Czasami kapitan Petijeau odwiedzał tylko Cha Cã, który nigdy nie wychodził ze swojego chrześcijańskiego azylu. Długi łańcuch, łączący żelazną obrozę z kolumną, grzechotał przy każdym jego ruchu. Kiedy Cha Cã spotykał się z gościem, Canhowi nie wolno było im przeszkadzać. Mógł za to siedzieć przed drzwiami i strzec wejścia. Po zakończeniu wizyty kapitan łaskotał go szorstką brodą po brzuchu, pobudzając do śmiechu.

W każdą niedzielę Canh pomagał ojcu Phanowi odprawiać mszę w chrześcijańskiej świątyni. Tylko wtedy kościół otwierano dla wiernych. Po mszy dwóch czy trzech mandarynów zostawało na katechezę. Ojciec Phan skarżył się, że nie może zrozumieć, dlaczego tyle osób przychodzi do kościoła, a tak niewiele zostaje na nauki. Być może mieszkańcy cytadeli przychodzili jedynie z ciekawości, żeby zobaczyć uwięzionego biskupa, który w czasie nabożeństwa siedział na krześle przy ołtarzu. Po obu jego stronach stali na baczność strażnicy. Po przyjęciu komunii Cha Cã zęgnął się i wracał do swojej celi. Łańcuch nie pozwalał zamknąć szczelnie drzwi. Gdy tylko zniknął, kościół pustoszał.

W kuchni unosił się rozkoszny zapach dmuchanego ryżu i miazdzonej trzciny cukrowej. Matka siedziała na drewnianym stołku przy piecu. Jej ogolona głowa, odrobinę ciemniejsza niż twarz, wyglądała jak posypana piaskiem. Układała na talerzu parujące ciastka ryżowe. Ziarenka ryżu pływały w syropie z trzciny cukrowej, złote jak krople miodu. Canh oblizwał usta.

– *Má*, myślałem, że nie obchodzimy urodzin – powiedział, wyciągając rękę po łakocie.

Matka zmrużyła oczy i pogroziła mu palcem. Ubrała go w nową białą bluzę z małymi guzikami z brązu.

– Ta koszula skrywa sekret – oznajmiła tajemniczo.

Wyłożyła lewy rękaw, żeby odsłonić wyhaftowanego zielonego smoka, i prawy z wizerunkiem cytadeli Sajgon. Gdy Canh przyglądał się z zaciekawieniem, złapała go za lewą rękę i wsunęła ją w prawy rękaw.

– Patrz! Widzisz, jak smok wchodzi do cytadeli?

– Dlaczego?

– Wraca do domu. Ale nie wolno ci nikomu o tym mówić, bo takie stroje są szyte tylko dla księcia.

– Jestem księciem, *má*?

Odciągnęła rękawy, żeby ukryć haftowane symbole.

– Nie zadawaj głupich pytań. Zjedz ciastka, a ja poproszę cię o przysługę. – Mrugnęła.

Skrzywił nos. Natychmiast zrozumiał, o co jej chodzi.

– Nie, nie taką przysługę, proszę. Nie zmuszaj mnie!

Podawała mu pęsetę i rozpięła bluzkę. W taki sposób prosiła go o wyskubanie włosów spod pach. Rzucił szczypczyki.

– Nie, *má*.

Roześmiała się.

– No dobrze, idź pomóc ojcu Phanowi. Szukał cię. Pamiętaj, maluje postacie Buddy dla mnichów w zamian za to, że udzielili nam schronienia. Jesteś małym mężczyzną. Okazuj szacunek dobremu ojcu, służąc pomocną dłońią.

– Mogę pokazać mu smoka w rękawie?

– Nie – odparła krótko. – Nie pokazuj nikomu.

Na korytarzu chłopiec znów usłyszał ptasi śpiew. Ptak jakby go przyzywał, przemykając z pokoju do pokoju. Matka zajęła się piecem. Canh wybiegł na dziedziniec i zbliżył się do głównej świątyni. Podkulił palce stóp, gdy poczuł chłód wyłożonej płytkami podłogi. Nad rzędem pędzli, farb, garnków i brudnych szmat zobaczył prawie ukończone malowidło. Budda, o bardzo okrągłej twarzy, otoczonej wyrysowaną węglem aureolą, wydawał

się drzemać. Oczy były niebieskie i zapadnięte, włosy spływały w gładkich lokach wystających nad drewnianą powierzchnię. Ćwierkanie ptaka zdawało się płynąć zza głównego ołtarza, z pracowni ojca Phana.

Canh wszedł, zostawiając niedomknięte drzwi. Światło sącząca się z kilku okrągłych otworów pod sufitem zalewało pomieszczenie bursztynowym blaskiem. Uwagę chłopca przyciągnęły rozrzucone nieznane przedmioty. Ze wstrzymanym z przejęcia oddechem przeglądał książki, papiery i drewniane modele. Potem zaciekawiła go biblioteczka. Na najniższej półce, ukryta pod stertą rękopisów, leżała skórzana teczka. Spomiędzy okładek wystawały szkice. Canh zastanowił się, czy wewnątrz są portrety matki.

Przycisnął twarz do szorstkich grzbietów książek, wdychając zapach wilgotnej, pleśniejącej skóry. Czubkami palców pogładził szkicownik i po paru szarpnięciach wyciągnął kilka kartek. Przekładał je, nie pojmując, co widzi. Patrzyła na niego cudzoziemka sportretowana w różnych pozach, prawie zawsze naga. Oczy miała błękitne jak woda, a jej włosy burzyły się w kasztanowych chmurach. Na jednym obrazie trzymała bochenek chleba. Na innym wyglądała przez okno, okryta białym prześcieradłem. W skupieniu przyglądał się postaciom, mimowolnie szurając nogą. Podskoczył, gdy zaćwierkał nad nim niewidoczny ptak. Ojciec Phan powoli wszedł w jego pole widzenia.

Canh bez zastanowienia rzucił rysunki i popędził do drzwi.

Książd złapał go za ramię.

– Nic się nie stało – powiedział. – Nie bój się. Nie zrobiłeś nic złego. – Złapał go za brodę i przekreślił mu głowę. – Spójrz!

Coś się kryło za białą płachtą na sztaludze. Ojciec Phan wziął go na ręce i zaniósł bliżej.

– Śmiało – zachęcił. – Ściągnij.

Canh posłuchał. Gdy bawełniana płachta spadła na podłogę, roześmiał się z zaskoczenia. Ojciec Phan namalował tygrysa

z jego twarzą. Ksiądz zagwizdał i chłopiec roześmiał się jeszcze głośniej. Poznał znajomą melodię tajemniczego ptaka. Przynął rękę do ust księdza, żeby dotknąć muzyki, która płynęła pomiędzy palcami jak wiatr.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – powiedział ojciec Phan, przytulając go serdecznie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Pierre otworzył drzwi i wyszedł tak daleko, jak tylko pozwalał łańcuch. Zamknął oczy, witając poranne słońce. Omywało go spływające z góry roziskrzone ciepło.

– Dobry Boże – szepnął, zwracając się do boskiej siły, która rządziła jego życiem, do przyczyny wszelkiego istnienia.

Zaskrzypiały zawiasy. Usłyszał kroki i szczekanie psa, które zmieszało się z nieustannym, monotonnym śpiewem buddyjskich mnichów. Zwykły hałas, który wisiał nad kwaterą Pierre'a jak ciągły szum deszczu, ostatnio stał się głośniejszy. Wydawało się, że mnisi Kien Tao przygotowują świątynię na jakieś wyjątkowe zdarzenie.

W Annamie wciąż trwała wojna, ale obecnie biskup nie odgrywał w niej żadnej roli. Marzenie o umieszczeniu Ánha na tronie wydawało się nieziszczalne. Teraz widział przyszłość w synu księcia. Mały Canh był ostatnim dziedzicem – iskrą, która podsycala nadzieję.

Prawie przez dziesięć lat Pierre wspierał rodzinę Nguyen, zrywając więzi z innymi frakcjami. Czy dzięki chłopcu spełni swoją misję? Codziennie patrzył, jak Canh rośnie, i zadawał Bogu to samo pytanie.

Z powodu związków z monarchią Nguyen górale uznali go za wroga. Zostałby stracony, gdyby nie onieśmielał ich jego tytuł

i powiązania z zagraniczną potęgą. Książę Thom wydał edykt nakazujący biskupowi opuścić Annam i udać się do Indii. Na szczęście François przekonał księcia buntowników do zmiany zdania. Pobyt w areszcie domowym w Sajgonie był jedynym sposobem na realizację planu bez alarmowania władz.

Biskup strącił nogą z progu uschnięty liść. Nadszedł czas działania. Mały książę podrósł na tyle, że mógł odbyć morską podróż. Pierre chciał zabrać go do Wersalu, gdzie obecność chłopca pomogłaby mu przekonać Ludwika XVI do jego sprawy. Petijean donosił, że książę Ánh, choć wciąż słaby, stopniowo zdobywał poparcie wśród Annamitów. Fakt, że górale nie mogli go zabić, uczynił z niego żywą legendę. Pierre chciał wciągnąć Francję w wojnę przeciwko buntownikom. Czy zdoła namówić francuskiego króla do inwestycji w to małe królestwo? Największą przeszkodą była Ameryka, która wysysała bogactwa Francji, bo sama toczyła walkę z Wielką Brytanią. Pierre miał po swojej stronie tylko niewinność małego Canha i wiarę w słuszną sprawę. Reszta spoczywała w rękach Boga.

Dotknął żelaznej obroży pokonany przez zmęczenie. Następnym krokiem była ucieczka z więzienia. Ale jak? Wiele razy prosił François o wyjednanie ułaskawienia u buntowników, ale jego prośby zawsze spotykały się z odmową. Czuł, że książę niezbyt mocno się stara. Zauważył również, że gdy prosił o pomoc, wizyty François stawały się rzadsze.

Złote słońce prześwitywało przez gęste liście. Gong zabrzmiał w świątyni Kien Tao. Na placu przed pagoda, gdzie mnisi spotykali się na medytacje, Pierre zobaczył siedzącego François. Ciemne chłopskie ubranie wyróżniało się wśród pomarańczowych szat.

Zamiast wybuchnąć gniewem, uśmiechnął się. Głupi książę właśnie podsunął mu pomysł, jak wykaraskać się z tarapatów.

François wszedł po schodach do kościoła. Jak zwykle towarzyszył mu mały Canh. Przez otwarte drzwi zobaczyli biskupa

siedzącego na krześle. De Béhaine podniósł głowę, która zrobiła się taka łysa, że lśniła jak szelak na drewnianej podłodze. Był ubrany w czarną szatę z czerwonym krzyżem wyhaftowanym z lewej strony na piersi. Na kolanach trzymał kota, białego w żółte i czarne łaty. Zmrużył oczy i popatrzył na przybysza.

– Wyglądasz na wypoczętego – skomentował, głaszcząc zwierzę.

François się rozpromienił.

– Rozmyślałem nad wystrojem świątyni Kien Tao.

– Naprawdę? Myślałem, że wynalazłeś nowy sposób na spanie, przesiadując wśród tych pogańskich głupców.

François zignorował przytyk.

– Skończyłem ostatni obraz tuż przed weselem księcia Thoma.

Biskup uniósł brwi.

– Interesujące! Jaki numer ma żona? Myślałem, że książę biedaków nie popiera osobistej wystawności. – Przeniósł spojrzenie na Canha, przyglądając mu się spod przymkniętych powiek.

– To pierwsze małżeństwo Jego Wysokości – odparł François. – Narzeczoną jest księżniczka Jade Han, najmłodsza córka północnego króla.

De Béhaine zareagował na informację cynicznym uśmiechem.

– Ciocia małego Canha wychodzi za przywódcę buntowników. Wróg chłopca będzie teraz jego wujem. Co za ironia losu!

Canh odsunął się od François, z zaciekawieniem rozglądając się po sali. Biegał od jednego posągu do drugiego, wreszcie stanął i popatrzył na biskupa.

– Co się stało z twarzami Buddów? – zapytał, wskazując oszpecone głowy.

– Rozbiłem je młotkiem – odparł de Béhaine.

François szybko przyskoczył do drzwi i je zatrasnął.

- Dlaczego? – krzyknął z oburzeniem.
- Oszalałem.
- Wasza Eminencjo, kiedy Annamici zobaczą, co zrobiłeś z ich posągami, ukamienują cię, nie bacząc na to, że jesteś biskupem.
- Otóż to. Dlatego musisz pomóc mi uciec, zanim przyjdą na niedzielną mszę.

François wpadł w furję. Zrozumiał, że biskup postąpił tak z wyrachowania; chciał manipulować swoim dawnym uczniem. Uznał, iż de Béhaine przewidział również jego wybuch złości i liczył na to, że on, François, w takim stanie ducha będzie chciał za wszelką cenę uwolnić się od niego.

Ze smutkiem pokręcił głową.

- Jeśli chciałeś mojej pomocy, nie mogłeś poprosić?
- Ojciec François, jestem świadom, że poganie cię przekabacili. Prosiłem cię wiele razy, ty jednak albo odmawiałeś, albo nic nie robiłeś.
- Ale dlaczego zniszczyłeś takie piękno? Wasza Eminencjo, niektóre z tych posągów mają ponad tysiąc lat.
- Tym bardziej powinny przestać istnieć! – ryknął biskup.

Canh wrócił do dwóch mężczyzn. Jego oczy zatrzymały się na zwierzątku, które trzymał de Béhaine. Wydawało się, że kot i chłopiec są nawzajem sobą zafascynowani.

- Dziś są twoje urodziny, prawda? – zapytał biskup.

Chłopiec skinął głową.

- Pamiętam dzień, kiedy się urodziłeś. Byłeś słaby i bezradny jak ta mała kotka. A teraz spójrz, jak wyrosłeś. Niedługo będziesz gotów wejść w świat. Chcesz podróżować po świecie na wielkim statku?

Canh znowu pokiwał głową. Biskup podniósł kotkę.

- Chcesz ją potrzymać?

Chłopiec ostrożnie wziął ją w ramiona.

- To mój prezent dla ciebie – powiedział biskup, poklepując go po głowie. Potem bez entuzjazmu zwrócił się do François:

– Pomożesz mi? Proszę cię po raz ostatni. To nie moja wola. To wola boska.

François złapał Canha za rękę.

– Idziemy, mama czeka.

– Proszę. Nie zapominaj, że jesteś księdzem, a ja wciąż jestem twoim zwierzchnikiem.

François odetchnął głęboko.

– Wasza Eminencjo, nauczyłem się zrzucać z barków brzemia. Powinieneś uczynić to samo. Nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić. Będziesz musiał odpowiedzieć za swe czyny.

Gdy odchodził, de Béhaine zawołał:

– Wicehrabio, pamiętaj o swojej hańbie.

Słowa zatrzymały François w pół kroku.

– Jedź ze mną do Villaume – rzekł biskup jedwabistym głosem. – W ciągu wszystkich tych lat w Annamie wykazałeś się siłą, dobrymi uczynkami i męstwem. Nikt nie potępi cię za dawne błędy i brak odwagi. Czas zmierzyć się z wrogami i upomnieć o to, co prawowicie ci się należy, tytuł, nazwisko, majątek. Mając po swojej stronie Boga i mnie, biskupa Madrasu, odzyskasz honor, wicehrabio de Charney.

François zrobił krok w stronę wyjścia. Biskup kontynuował:

– Masz tylko trzydzieści trzy lata. Nie kroczyć w cieniu hańby do końca życia.

François odwrócił się i spojrzał w zimny bursztyn oczu biskupa.

– Wasza Eminencjo, dziękuję za wspańiałomyślność. Wicehrabia, o którym mówiłeś, nie żyje. Zabrał do grobu hańbę, jaką się okrył.

– Kłamca! – krzyknął biskup z jadem. – Jak możesz być taki ślepy? Jesteś taki sam jak w dniu, kiedy cię poznałem, tchórz bez charakteru.

François zszedł po schodach, nie oglądając się za siebie. Etykieta „tchórz” przestała go ranić.

– Z twoją pomocą czy nie, wydostanę się z tego miejsca – dobiegł go głos biskupa.

Dwa dni później François zobaczył, że słońce świeci ostro, nałożył więc Canhowi słomiany kapelusz. Chłopiec wyglądał zabawnie w szerokim stożkowym nakryciu głowy, jak dwunogi grzyb. W torbie na piersi nosił kotkę. Nie spuszczał jej z oka, bo dostał ją od biskupa.

Jego matki i pozostałych żon Ánha nigdzie nie było widać. Pani Jade Binh już wcześniej zostawiała synka pod opieką księdza, ale nigdy nie dłużej niż na jeden dzień. Nikt nie wiedział, nawet buddyjscy mnisi, gdzie są kobiety. Zachowanie pani Binh było według François niezwykle i niepokojące. Zastanawiał się, czy ma to coś wspólnego z dzisiejszym ślubem jej siostry z księciem Thomem. Chcąc oderwać myśli Canha od matki, postanowił zabrać go nad jezioro, żeby mógł obejrzeć spotkanie księżęcej pary.

Za otwartym placem za świątynią wznosiło się zachodnie skrzydło pałacu, należące kiedyś do księcia Ánha. Obecnie jego właścicielem i mieszkańcem był książę Thom. Za pałacem rozciągał się ogród orchidei. Aby dotrzeć na miejsce ceremonii, musieli przejść przez park, w którym wśród wielu egzotycznych kwiatów gnieździły się rzadkie gatunki ptaków i owadów.

François trzymał Canha za rękę ze strachu, że chłopiec ucieknie do lasu. Canh był jednak zdecydowany zobaczyć uroczystości. Miał silną wolę, ale nie nogi; upał narastał, a wyboistą ścieżkę przegradzały wystające z ziemi korzenie. Nagie gałęzie chwytaly chłopca za ubranie. Na murszejącej korze drzew po obu stronach ścieżki kwitły orchidee wielu gatunków. Chmury żółtego pyłku wirowały w promieniach słońca. Powietrze było ciężkie od zapachu kwiatów i brzęczenia pszczoł.

Nie byli sami. Z każdym krokiem coraz wyraźniej słyszeli pomruk dziewczęcego śpiewu. Za ogrodem orchidei i za kępami drzew rozciągały się zielone łąki pełne peonii, hiacyntów, lilii, słoneczników i dali w głębokich kolorach. Dalej pod ścianami stajni, gdzie mieszkała pani Bui ze swoimi ogromnymi słoniami, rosły rabaty róż.

Dziewczęta chodziły od kwiatu do kwiatu, powiewając tęczkowymi sukniami, i śpiewały piosenkę miłosną.

*Jestem dobrą gospodynią;
Utkalam belę jedwabiu;
Przygotowałam kałamarnicę i pędzelki, otworzyłam serce
na przyjęcie
odpowiedniego mężczyzny.
Mój mąż musi być pracowity;
Modlę się do bogów, aby moje trudy dobrze się opłaciły.
Powinien zdać egzamin przed królem,
Żebym pewnego dnia została żoną mandaryna.*

Przerwały pracę, żeby pomachać do Canha i jego opiekuna. Palce miały przyprószone złotym pyłem. François odpowiedział na pozdrowienie.

Zerwał białą lilię i pokazał ją Canhowi. Słupek w głębi kwiatu, jak ręce dziewcząt, pokrywało złoto. Napylenie złota do kwiatów było pierwszym etapem starożytnej metody wyrabiania świec dla rodziny królewskiej. François kiedyś miał okazję zobaczyć, jak się to odbywa.

– Widzisz, pyłek kwiatowy zmieszał się ze złotym pyłem – powiedział do chłopca. – Jest gotów do zebrania przez pszczoły. Z wosku zostaną zrobione świece dla króla. Kiedy zapłoną, płomień będzie skrzyły się złotem.

Gdzieś na polu jedna z dziewcząt zaśpiewała:

*Hej-ho, braciszku, dokąd to idziesz bez matki?
Chodź tu i przedstaw przystojnego ojca tej ślicznej pani.*

Dziewczęta zachichotały. François się zarumienił. Złapał Canha za rękę i pośpieszył w kierunku jeziora Thien Thu, które leżało na północny wschód od pałacu króla. Śmiech ścigał ich do końca ogrodu.

Mały Canh powąchał białą lilię i złoty pył osiadł mu na nosie. Chłopiec przytulił kota, popatrzył na François i parsknął śmiechem.

Ksiądz też się roześmiał. Chwilowo zapomniał o biskupie i jego szalonym uczynku.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Karawana księżniczki Jade Han, będąca w drodze od dwóch i pół miesiąca, zmierzała do Sajgonu nie drogą, lecz siecią rzek i strumieni. Gdy François i mały Canh przybyli nad jezioro Thien Thu, na brzegu gromadził się tłum czekający na pannę młodą. Po drugiej stronie rozciągał się gęsty las drzew wyrastających z wody, wczepionych w ziemię potężnymi korzeniami. Jaskrawozielone liście lśniły w oslepiającym słońcu.

Z mgielki wyłonił się orszak weselny, flotylla trzydziestu kolorowych łodzi. Każda miała tuzin par bambusowych wiosł, które poruszały się jednocześnie jak długie odnóża stonogi. Na brzegu rozległy się wiwaty.

Wkrótce François zauważył panią Bui. Pokiwała do niego. Paciorki potu błyszczały na jej jasnobrązowej twarzy, mimo że miała na głowie słomiany kapelusz. Piegi ciemniały na policzkach jak pieczone ziarenka sezamu. Rubinowa plama soku betelowego pogłębiała czerwień ust. Kobieta była chuda, ale aura władzy wyróżniała ją pośród ludzi stojących w pobliżu. François uklonił się i cofnął w tłum. Miał obowiązek chronić syna księcia Ánha.

Wojowniczką ruszyła za księdzem, przedzierając się przez ludzki mur, szukając go wzrokiem. Zauważyła go, rozepchnęła grupę mandarynów, złapała księdza za koszulę i pociągnęła

w swoją stronę. François z zakłopotaniem przeprosił potraconych ludzi.

– Ojciec Phan, minęło dużo czasu od naszego ostatniego spotkania – zagadnęła pani Bui. – Jak się miewasz? Słyszałam, że odnowiłeś świątynię Kien Tao. Chciałam przyjść i zobaczyć, ale ciągle jestem zajęta przy słońiach. – Spozregła Canha i zapytała: – Co to za chłopiec? Twój syn?

Canh schował się za jego nogi. Ignorując pytanie, François powiedział:

– Jak się miewasz, pani? Jesteś pełna energii jak zawsze.

Kobieta westchnęła i przeciągnęła się, aż zachrzęciły kości kręgosłupa. Wzruszyła ramionami.

– Wyszkoliłam grupę słońi na występ w czasie dzisiejszych uroczystości. Zostały pochwycone w zeszłym roku. Ułożenie ich wymagało długiej, ciężkiej pracy. Dwa tygodnie temu stratowały jednego z moich ludzi. – Pociągnęła go za rękaw. – Chodź ze mną. Z wyżej położonego miejsca będzie lepiej widać.

Wskazała stopień skalny wodospadu. Już tłoczyli się na nim liczni goście. Wyżej stał król Nhac z rodziną. Potok spadał z występu na występ. Gęsta dżungla osłaniała przywódców buntu przed oczami ciekawskich.

François pokręcił głową, szukając wymówki, żeby odrzucić propozycję, ale pani Bui ani myślała go słuchać. Nie mając wyboru, wziął Canha na rękę i ruszył w górę po nierównej ścieżce parę kroków za wojowniczką.

Przez jaskinię wyszli na skalną półkę, gdzie woda odświeżała i chłodziła powietrze. Nikt nie zwrócił uwagi na François, Canha czy panią Bui. Wszyscy patrzyli, co się dzieje na leżącym sześć metrów niżej jeziorze. Kobieta przepchnęła się pomiędzy gośćmi. François odszukał wzrokiem księcia Thoma. Ciemne sylwetki na końskich grzbietach czekały na flotyllę.

Na brzegu jeziora urządzono niewielkie miejsce do zacumowania. W dno wbito tuzin grubych bambusowych pali podtrzymujących baldachim, więc konstrukcja przypominała pagodę.

W słupach tkwiły wielkie metalowe pierścienie, przez które przeciągnięto łańcuchy połączone szeregiem bloczków. Tutaj miał dobić orszak panny młodej. Pani Bui szepnęła księdzu do ucha:

– To małżeństwo jest związkiem dwóch potężnych królestw. Od wielu ludzi znających pannę młodą słyszałam, że jest bardzo piękna i mądra, w przeciwieństwie do swojej niesławnej siostry, żony tego psa Ánha.

– Też tak słyszałem – przyznał François.

– Chcesz coś do picia? Powiem zięciowi, żeby przyniósł kokosy. – Spojrzała w dół i krzyknęła w stronę chaty, która stała nad wodą: – Lộc, chodź tutaj.

Jej żywiołowość działała księdzu na nerwy, ale starał się zachować spokój. Pani Bui znów zainteresowała się Canhem, przypatrując mu się czujnymi oczami.

Dotykając jego ubrania, zmarszczyła nos i zapytała:

– Kimże ty jesteś, że nosisz bluzę z takiego pięknego jedwabiu?

Chłopiec mocniej przytulił się do księdza. Objął go za szyję, wsuwając ręce w rękawy.

– Jest moim uczniem – odparł François. – Uczę go malować.

Pani Bui nie słuchała. Z widocznym zniecierpliwieniem spoglądała na jezioro.

– Lộc, gdzie ty się podziewasz? – krzyknęła.

Zjawił się zadyszany około dwudziestoletni mężczyzna. Niósł tacę z rozciętymi dojrzałymi kokosami. Uśmiechnął się szeroko, gdy zobaczył księdza.

– Ojciec Phan – zawołał radośnie. – To naprawdę ty?

François pokiwał głową.

Lộc uśmiechnął się jeszcze szerzej. Palcem wskazującym postukał w przednie zęby.

– Patrz, wciąż doskonale pasują. Tak się cieszyłem, gdy wyżeźbiłeś dla mnie zęby z kości słoniowej.

– Już nie przychodzisz na mszę.

Lôc przeganiał ręką krótkie czarne włosy.

– Jestem żonaty, ojcze. Mam dwójkę dzieci. Muszę się nimi zajmować. Nie mam czasu.

– Zabierz z sobą rodzinę. To tylko jedna godzina w niedzielę.

– Dopilnuję, żeby przyszedł na mszę – obiecała wojowniczką. Zabrała napoje i powiedziała do Lôca: – Wracaj na posterunek. Sprawdź, czy księżę Thom nie potrzebuje pomocy.

Młodzieniec zniknął w głębi jaskini. Pani Bui poczęstowała François i chłopca kokosami.

– Wypijcie. Ta odmiana kokosa pochodzi z Syjamu. Jest mniejsza, ale słodsza.

Na brzegu wybuchł gwar. Łodzie wplywały na jezioro. Flotyłę prowadziła największa, długa i płaska jak barka. Na dziobie pyszniła się rzeźbiona głowa feniksa. W koronie ptaka powiewały barwne proporce. Dwunastu wiosłarzy w czerwonych mundurach zajmowało stanowiska wzdłuż burt. Pośrodku pokładu wznosił się fantastyczny pawilon osłaniający księżniczkę przed oczami tłumu. Z tyłu siedzieli muzycy w złotych i srebrnych strojach, gotowi do gry na różnych instrumentach, od dętych po perkusyjne.

Duże oczy rzeźbionego ptaka zatrzepotały. Zagrzmiał róg, dając sygnał innym łodziom. Muzycy zaczęli grać. Melodia poniosła się po jeziorze. Tłum się uciszył, a niedługo później umilkła muzyka. Ludzie patrzyli w milczeniu, nie wiedzieli, czego się spodziewać.

François przysunął się bliżej skraju występu. Ciszę zmącił słowiczy śpiew skrzypiec. Do słodkiej melodii dołączyły się tryle fletu i dźwięki zatańczyły razem nad powierzchnią wody. Była to pieśń dziewczęcia tęskniącego za małżonkiem. Łodzie zbliżyły się na tyle, że wszyscy mogli zobaczyć pióra wymalowane na burtach.

Odezwały się bębny, stopniowo odbierając pierwszeństwo innym instrumentom. Wiosłarze pracowali wiosłami w takt hipnotyzującego bicia, zmieniając ustawienie łodzi. Gdy flotylla rozciągnęła się w długi łańcuch, wciągnęli wiosła.

Księżę Thom wyjechał na białym ogierze na powitanie narzeczonej. Jego długie włosy powiewały na wietrze. Był ubrany w zwyczajny chłopski przyodziewek. Nie dziwiło to jego poddanych, którzy nazywali go „siermiężnym księciem” w odróżnieniu od braci.

Przed dziobem pierwszej łodzi wielkie bąble powietrza wypłynęły na powierzchnię wody. Coś się unosiło. Niebawem François zobaczył, co to takiego. Po obu stronach dziobu ukazały się złote szpony z pazurami z kości słoniowej. W środkowej części łodzi rozpostarły się wielkie skrzydła, żagle z płótna rozpięte na bambusowych tyczkach, przyprószone złotym pyłem. Rufa podniosła się ku niebu. Zwisająca z niej kula otworzyła się z głośnym hukiem i wystrzelił z niej pęk proporców, które uwieńczyły majestatyczną wspaniałość feniksa. Skrzydła załopotały, pchając statek ku brzegowi.

Tłum wydał zbiorowy okrzyk zachwytu. Nikt dotąd nie widział takiego widowiska.

– Co za wejście! – zauważyła pani Bui. – Ciekawe, jak księżę Thom poskromi tego królewskiego ptaka.

François nie odrywał oczu od rozgrywającej się w dole sceny.

Księżę zsunął się z konia. Dwóch służących posmarowało mu nogi wapnem i sokiem z areki, żeby w wodzie nie oblepiły go pijawki. Pawilon panny młodej i głowa feniksa zsunęły się z głównej barki na sampan, skromny w porównaniu z dotychczas zaprezentowanym przepychem.

Gdy mała łódź zbliżyła się do baldachimu, dumna głowa feniksa pokornie skłoniła się przed księciem.

Księżę Thom zrzucił koszulę i chwycił jeden z łańcuchów, wyczekująco prężąc mięśnie. W chwili gdy dziób wsunął się pod pagodę księżę silnie pociągnął łańcuch. Widzowie krzyknęli zachęcająco. Z krzaków wokół przystani wyskoczyły tuziny ludzi. Razem pociągnęli ciężkie łańcuchy. Baldachim został zerwany ze słupów, a z dna podniosła się ciężka sieć z grubych lin. Uwięziona w niej łódź wyłoniła się z wody. Zazgrzytały

wprawione w ruch bloczki. Po kolejnym wysiłku mężczyźni wyciągnęli na brzeg zdobycz Thoma.

Księżę dobył miecza i zaczął wycinać sobie drogę przez sieć. Z każdym ciosem okrzyki tłumu stawały się coraz bardziej żywiołowe. Wreszcie mógł sięgnąć do pawilonu. Zdarł zasłonę i cofnął się o kilka kroków.

Z wnętrza wysunęła się delikatna dłoń posypana perłowym proszkiem. Tłum ucichł. Thom ujął rękę księżniczki, która wyszła z pawilonu. Trzymała się go kurczowo, dopóki jej stopy nie dotknęły ziemi.

W ciszy zabrzmiał głos księcia:

– Czy któraś z twoich sióstr może się poszczycić podobnym wdziękiem, urodą albo mądrością? Czy dostałem to, co najlepsze w twojej rodzinie?

Księżniczka przyklęła i schowała twarz za szerokim rękawem.

– Daleko mi do wyrafinowania sióstr, jestem bowiem najmłodsza i najbardziej niemądra. Ale, panie, spotkało mnie największe szczęście, gdyż zostałam wybrana, żeby służyć największemu ze wszystkich wojowników.

Thom podniósł głowę ku niebu i roześmiał się z całego serca.

– Dobrze powiedziane, moja bezcenna Jade.

Chwycił ją za rękę.

François zerknął na panią Bui i szepnął:

– Pani, jestem przekonany, że znasz już odpowiedź na swoje pytanie: w odpowiednich okolicznościach można poskromić nawet królewskiego ptaka.

Canh zasnął z głową opartą na jego ramieniu.

Na zakończenie ceremonii wystrzelono z armat. Donośny huk uwieńczył symboliczną przemianę Jade Han z księżniczki w żonę. Hałas przebudził małego Canha. Chłopiec patrzył z lękiem na otaczające go radosne twarze, powoli przypominając sobie,

gdzie jest. Uspokoił się, gdy zobaczył François. W pobliżu pani Bui żuła kolejne porcje betelu i orzechów arekowych – był to jej ulubiony sposób świętowania. Zapach mieszanki przyprawiał księdza o mdłości.

Pozostałe łodzie, rozproszone na jeziorze, kolejno podpływały do przystani. Wsiadali muzycy, wioślarze i goście, wszyscy w odświętnych strojach. Canh wiercił się w ramionach François, chcąc się uwolnić.

– *Mà! Mà!* Tam jest moja *mà* – krzyknął. Wyciągnął ręce w stronę grupy buddyjskich mnichów i mniszek, idących w podwójnym rzędzie ku pomostowi.

François spojrział i rozpoznał panią Jade Binh. Szła z pochyloną głową. Zachowywała się jak jej prości i skromni towarzysze. Przesuwała w palcach sznur z modlitewnymi paciorkami. Wolną ręką przytrzymała szatę, ale wiatr odślaniał jej niebieski strój.

François zrozumiał, dlaczego od kilku dni była nieobecna. Odbywały się przecież zaślubiny jej siostry. Najwidoczniej nie chciała zrezygnować z okazji obejrzenia tego wydarzenia. Gdyby jednak spróbowała jawnie skontaktować się z panią Jade Han, spotkanie sióstr wywołałoby polityczną burzę, ponieważ ich mężowie byli śmiertelnymi wrogami.

François nie znał młodej księżniczki, ale jej współczuł. Ponury cień kładł się na pierwszy dzień jej małżeństwa i być może już ukrywała głęboko sekret przed mężem.

Canh wybuchnął płaczem.

– Chcę do *mà* – zawodził, tłukąc piąstkami w ramię księdza.

Patrząc na tłum, pani Bui przełknęła sok z betelu.

– Która jest jego matką?

– Wybacz nam, proszę – powiedział François. – Musimy iść.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Pierre w końcu otrzymał zezwolenie na wyjazd z Annamu. Pani Jade Binh przyniosła mu radosne wieści jeszcze przed dostarczeniem pisemnej zgody księcia Thoma.

Przez długie godziny czekał na żołnierzy, którzy mieli go uwolnić. Światło gasło na dziedzińcu. Czerwony blask ognisk rozbłysnął w cytadeli. Tysiące kolorowych latarń oświetlało drogi wiodące do pałacu. W dali wciąż świętowano. Zmęczony czekaniem Pierre usiadł na krześle z modlitewnikiem.

Czytał znajome słowa jak tysiące razy wcześniej, ale nękały go wątpliwości.

Dlaczego nikt nie przychodzi? Czyżby ksiązę zmienił zdanie? Czyżby wieści o moim uwolnieniu były tylko okrutnym żartem?

Zastanawiał się, czy François ma coś wspólnego ze zwłoką.

François Gervaise był największą porażką w całej jego duszpasterskiej pracy. Początkowo, pomimo kłamstw artysty na temat skandalicznej przeszłości, jego możliwości i wrażliwość napawały biskupa optymizmem. Ale burzliwa, uparta natura sprawiła, że François dał się zatruć przez pogańską religię. Bliskie kontakty ze środowiskiem buddyjskim wyrządzały nieodwracalne szkody naukom i przykazaniom chrześcijańskim.

Nieustępliwość artysty stanowiła dla Pierre'a osobistą znie wagę. François mógł przynajmniej okazywać mu szacunek, gdy przebywali razem w tym pogańskim kraju. Postanowił napisać list do Rzymu i poprosić papieża Piusa VI o ekskomunikowanie księdza. Nikt bezkarnie nie sprzeciwiał się biskupowi Madrasu. Dla tego zbłąkanego kapłana karą będzie wieczne potępienie.

Pierre zachichotał. Był zły, ale czuł się jak zwycięzca. Gdyby nie długi język François, prawdopodobnie nie dowiedziałby się o pokrewieństwie łączącym buddyjską zakonnice i żonę księcia Thoma. Wezwawszy do siebie panią Jade Binh, bez trudu zdołał ją przekonać, żeby poszła do siostry i wybłagała wolność dla niego. Mniszka, choć wydawała się potulna, chętnie brała udział w knowaniach, które obiecywały przywrócenie władzy jej mężowi, a w przyszłości osadzenie na tronie jej syna. Wierzyła, że tylko Pierre może pomóc zrealizować te marzenia.

Pod wpływem siostry pani Jade Han namówiła męża, żeby w dzień zaślubin ułaskawił jednego więźnia na szczęście. Wybrała jego, świętego człowieka. Czyżby strategia zawiodła? Pierre podjął większe ryzyko niż zwykle, ale nie miał wyboru. Sześć lat czekania było długim okresem nawet dla człowieka tak dalekowszrocznego jak on.

Pierre spojrzął w ciemność za drzwiami. Kilka plamek światła, pomarańczowych i srebrnych, oderwało się od innych i sunęło w jego stronę.

Gdy się zbliżyły, zobaczył czterech tragarzy z palankinem. Przed nimi szedł François Gervaise.

Pierre przeciągnął się. Wyzwolenie było tuż-tuż.

– Przypuszczam, że masz coś dla mnie? – zapytał biskup, ściskając Biblię, żeby nie stracić panowania nad sobą. Podniósł łańcuch i wyprostował plecy.

Artysta się uklonił.

– Przybywam z polecenia Thoma, księcia zachodnich górali, żeby cię uwolnić. – Podał zwój Pierre'owi. – Ten list zagwarantuje ci bezpieczeństwo w drodze do sajońskiego portu. Tragarze cię tam zanosą. Popłyniesz do Francji i nigdy nie wrócisz do Annamu. Jeśli z jakiegoś powodu znów postawisz stopę na tej ziemi, zostaniesz ukarany śmiercią. Rozumiesz?

Pierre popatrzył na niego gniewnie.

François rozejrzał się po sali. Posągi Buddy zostały przysłonięte czerwonymi welonami, symbolizującymi małżeństwo i szczęście.

– Wasza Eminencjo, zakryłeś twarze wszystkich posągów. Zgodnie z tradycją nikomu nie wolno zdjąć zasłon, dopóki uroczystości weselne nie dobiegną końca. Święto będzie trwało jeszcze trzy dni. Przypuszczam, że to wiesz. Gdy święto się skończy i zniszczenia zostaną odkryte, będziesz bezpieczny, wiele mil od lądu. Muszę przyznać, że nie przestajesz mnie zdumiewać. Jak zawsze wykazałeś się dużą przebiegłością.

Pierre zaśmiał się cicho.

– Żebyś wiedział.

François wziął klucz od kapitana straży i zdjął biskupowi żelazną obrozę. Pierre stanął chwiejnie. Łańcuch tak długo był jego pępownią, że bez niego miał kłopoty z zachowaniem równowagi. A jednak odepchnął rękę księdza, który chciał mu pomóc.

– Żegnaj, Wasza Eminencjo – powiedział François. – Być może nigdy się nie spotkamy.

– Obmyśliłem wspaniały plan. – Pierre położył rękę na ramieniu artysty. – Sprawa pomiędzy nami jeszcze się nie zakończyła.

Roześmiał się, gdy François odszedł w ciemność.

Za jakiś czas artysta odkryje, o co mu chodziło. Pod zasłonami Pierre zostawił zapieczętowany list, napisany po francusku i zaadresowany do księcia Thoma. W liście opisał, że François ukrywał żony i dziecko arcywroga Thoma, jednocześnie udając, iż służy buntownikom. Ujawnił również wydarzenia, które

doprowadziły do jego ułaskawienia, łącznie z rolą żony księcia Thoma i jej współdziałanie w oszukaniu męża. Najprawdopodobniej Thom poprosi François o przetłumaczenie listu. Artysta był wśród chłopów jedynym cudzoziemcem, który umiał czytać po francusku. Jeśli jest tak uczciwy i świątły, jak mu się wydaje, wiernie odczyta list Pierre'a, a to będzie równoznaczne z własnoręcznym wykopaniem grobu. Z tego samego powodu żony Ánha i nowa żona buntownika zostaną ścięte albo przynajmniej wtrącone do więzienia. To spowoduje zerwanie przymierza pomiędzy północnym królestwem a góralami. Wybuchnie wojna domowa, która osłabi obie strony.

Wszystko to się stanie, gdy on z małym Canhem w Wersalu będzie prosił Ludwika XVI o wysłanie armii. Gdy wróci do Annamu, jego protegowany, książę Ánh, będzie miał znacznie mniej przeszkód w dojściu do władzy. I za jaką cenę? Niewielką! Tylko kilku zbytecznych żon.

Pierre doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej François ocenzuruje list. Robiąc to, dowiedzie jemu i sobie, że jednak jest tchórzem. Taki scenariusz był mało satysfakcjonujący, ale na myśl, że François do końca życia będzie okryty hańbą, Pierre rozpromienił się z zadowolenia. Mógł napisać ten sam list po annamsku i bez trudu wysłać go do księcia Thoma, postanowił jednak tego nie robić. Chciał dać François swobodę wyboru przeznaczenia. W ten sposób wyzywał artystę na pojedynek, żeby zobaczyć, jak znów ucieka ze wstydem.

Miał to być jego ostatni ruch w partii szachów, którą rozgrywali od dnia spotkania w Awinionie. Niezależnie od tego, jak postąpi François, biskup był pewny swego zwycięstwa.

Tragarze dźwigali palankin na ramionach, niosąc Pierre'a przez wioski i pola ryżowe wzdłuż rzeki Dong Nai. Szli od zeszłej nocy, zmierzając do portu oddalonego o ponad sto kilometrów od cytadeli.

Przed lektyką maszerowało sześciu królewskich żołnierzy. Stopami wzbijali pył, który osiadał na ich mundurach. Kurz przeniknął przez drewnianą podłogę palankinu i sprawił, że czarne buty Pierre'a zrobiły się szare.

Dochodziło południe. Z nieba lał się letni żar. Od czasu do czasu gorące podmuchy przekradały się pod nieruchomymi drzewami, poruszały liśćmi i uciekały w bezbarwne niebo. Starzy wieśniacy kucali pod wystrzępionymi okapami chat, wyplatając bambusowe kosze. Młodszy brodzili po kolana w błocie, orząc ziemię prymitywnymi pługami ciągniętymi przez ociężałe woły. Słońce mocno grzało i dzieci biegały nago. Wszyscy, od młodych do starych, mieli ten sam apatyczny wyraz twarzy.

Biskup zadrzał. Kiedyś z powodu takich obrazów cierpienia postanowił wypełniać swoją misję. Nie wiadomo jak i kiedy w czasie swojej podróży skręcił na inną ścieżkę. Spędził w Annamie prawie połowę życia, a jednak osiągnął niewiele. Jedna rzecz była jasna: początkowa pasja wciąż w nim płonęła. Jego oddanie sprawie wcale się nie zmieniło. Jeszcze miał czas.

Przed nim rzeka wraz z odnogami tworzyła sieć kanałów. Do palankinu wpadł wiatr niosący zapach oceanu. W dali na horyzoncie rozciągała się linia niebieskiego morza. Krew zaszumiła w żyłach Pierre'a, gdy zobaczył statki kołyszące się w porcie. Cieszył się, że wraca do domu, ale smucił, że opuszcza Annam. Zastanawiał się, czy bez niego konwertyci sprostają wyzwaniom wiary. Jedno z jego głównych zadań we Francji będzie polegało na zwerbowaniu nowych misjonarzy – wielu, bardzo wielu.

– Port Sajgon! – Słowa kapitana straży uradowały serce Pierre'a. Tragarze przenieśli palankin przez kamienny most, który oddzielał starą cytadelę od dzielnicy cudzoziemców i handlu.

Biskup rozglądał się ze zdziwieniem, bo po raz pierwszy był we właściwym Sajgonie. Wzdłuż brukowanych ulic stały drewniane domki, niektóre tynkowane i z uroczymi balkonami. Pnące

róże, jaśmin i mirt ozdabiały ich fasady. Najbogatsi kupcy zbudowali siedziby wokół placu z marmurową fontanną. W innych częściach miasta stały gwarne tawerny, salony i eleganckie hotele. Za nimi skrywały się kwatery marynarzy i dokerów, spośród których wielu pochodziło z Afryki i Indii. Wokół lądu roztaczał się ocean, jego gładka powierzchnia odbijała żywy błękit nieba.

Wesoła melodia katarynki płynęła nad zatłoczonymi ulicami z ogródka kawiarni. Pierre wszędzie dostrzegał wpływ Francji na architekturę. Nawet ostry zapach sera fromage przypominał mu Paryż. Tylko wysoka temperatura i widziane od czasu do czasu palankiny świadczyły, że miasto leży w tropikach.

– Witaj w Paryżu Orientu! – zawołał ktoś za oknem palankinu. – W czasie ostatniego spotkania obiecałeś, że zjawisz się za dwa tygodnie. Wasza Eminencjo, minęło ponad siedem miesięcy. Dla żeglarza oczekiwanie było bardzo trudne.

Pierre odwrócił się i zobaczył rumianą, uśmiechniętą twarz kapitana Petijeana. Tragarze opuścili palankin. Przytrzymując się poręczy, Pierre wysiadł z ciasnego wnętrza i odetchnął głęboko.

– Wybacz mi, kapitanie. Trochę się pomyliłem w rachubach.

Obaj się roześmieli. Pierre potarł kark, który wydawał się dziwnie nagi bez żelaznej obręczy.

– Jeszcze nie jesteś wolny, Wasza Eminencjo – powiedział kapitan i zwrócił się do dowódcy straży: – To wszystko. Cha Că jest teraz pod moją opieką. Możecie odejść.

– Nie odejdziemy, dopóki biskup nie wejdzie na pokład, a statek nie postawi żagli – odparł oficer. Podał kapitanowi list wyjęty z rękawa. – Oto nakaz wydalenia. Proszę podpisać.

Pierre spojrział na papier i powiedział:

– O jeden raz za dużo poproszono mnie o opuszczenie tego kraju. Zaczynam czuć się obrażony.

Kapitan Petijeau podpisał dokument.

– Módl się do Boga, aby to wydalenie było ostatnie. Jestem za stary, żeby wciąż przybywać ci na ratunek.

- Kiedy wypływamy?
- Jutro rano. Dziś odpoczniesz w hotelu Claudine, najlepszym w Sajgonie.

Pierre zabrał tobołek z dobytkiem i wszedł przez wysoką żelazną bramę do zajazdu. Od gorąca kręciło mu się w głowie. Obrzucany spojrzeńiami przez gości, nagle poczuł się nieswojo.

Pierre usiadł na sofie w pokoju kapitana Petijeana. Był zlany potem. Przez otwarte okiennice wpadał nieustanny szum fal.

Dwunastoletni służący czekał przy bambusowej szafce. Jego gołe nogi wydawały się czarne pod nieskazitelnie białymi spodenkami. W chwili gdy Pierre zajął miejsce, chłopiec podbiegł i stanął za nim z wielkim wachlarzem skleconym z liści palmowych. Powiew chłodnego powietrza przyniósł biskupowi ulgę. W ciężkim skwarze popołudnia opadła go senność. Petijeau przeprosił i zniknął w drzwiach sypialni. Po chwili wrócił ze skrzynką owiniętą w złoty cesarski materiał. Pierre podniósł się na łokciu. Rozpoznał odcisk nefrytowej pieczęci księcia Ánha. Nagle zmęczenie odeszło.

– Wasza Eminencjo, twój protegowany, Ánh, księżę Kochinchiny, powierzył mi tę kasetkę na przechowanie – oznajmił kapitan. – Poleciał przekazać ją tobie po uwolnieniu z niewoli.

Może otworzyć ją tylko król Francji, Ludwik XVI. Nikt inny.

Podał skrzynkę Pierre'owi i dodał:

– Miałem ją w posiadaniu od ostatniego spotkania z księciem, które odbyło się miesiąc po naszym ostatnim spotkaniu.

– Jak on się miewa? Dobrze wygląda?

– Tak, panie. Od upadku cytadeli Sajgon uciekał przed buntownikami. Podjąłem wiele bezskutecznych prób kontaktu. Za każdym razem byłem informowany o miejscu jego pobytu, podobnie jak górale. Zanim zdążyłem się z nim zobaczyć, uciekał dalej na południe. Wreszcie skończył mu się ląd, został przyparty do morza. Znalazł schronienie w Bangkoku i król Syjamu, Phra

Buddha Yod Fa Chulalok Rama, udzielił mu azylu. Dopiero wtedy mogłem zaaranżować prywatne spotkanie z Jego Wysokością. Dzięki Bogu, zawsze miałem dobre stosunki handlowe z syjamskim rządem.

Pierre przeciągnął palcami po czerwonym wosku. Czuł ulgę i zadowolenie na myśl, że księciu udało się zachować pieczęć Kochinchiny. Ten drobiazg świadczył o dojrzałości jego ucznia.

– Uciekając do Syjamu, pokazał, że jest znacznie sprytniejszy, niż myślałem.

Kapitan wzruszył ramionami.

– Zgadzam się, ale jego poczynania w dalszym ciągu cechuje lekkomyślność. Jak się wydaje, Jego Wysokość nigdy niczego nie planuje, tylko reaguje na rozgrywające się wydarzenia. Z pewnością dlatego przegrywa wszystkie bitwy.

– Zapewne również dzięki temu żyje.

– Miał szczęście – powiedział kapitan Petijean powściągliwie. – Po wysłuchaniu wszystkich tych opowieści i legend można by pomyśleć, że jest półbogiem. Wielu nazywa go „śliskim smokiem” z uwagi na liczne ucieczki.

– Annamici są prostoduszni jak dzieci.

Rozmowę przerwało im pukanie. Służący odłożył wachlarz i pobiegł otworzyć drzwi. Pierre odruchowo schował kasetkę pod szatą. Służący z tacą z napojami i jedzeniem bez słowa wszedł do pokoju. Pierre dostrzegł pod siateczką zarys pieczonego kurczaka. Ślina napłynęła mu do ust. Nie jadł przez cały dzień.

Kapitan podjął rozmowę, nie zwracając uwagi na krajowca.

– Za parę lat będzie się zachowywał z większym wyrafinowaniem.

– Albo padnie trupem w trakcie nauki – dodał Pierre.

Służący położył tacę na stole pomiędzy nimi, zdjął siatkę i wyszedł. Biskup miał ochotę sięgnąć po udko, lecz zdołał się pohamować.

– Gdy ostatni raz widziałeś księcia, czy sprawiał wrażenie osoby przy zdrowych zmysłach? – zapytał.

– Był pobudliwy, ale nie ma co się dziwić. To było przygnębiające. Spotkaliśmy się w pokoju, który nie nadawałby się dla sługi. Wyobraź sobie spotkanie z królem Sedecjaszem po wypędzeniu do Babilonu. Wydaje się, że księżę Kochinchiny wpadł w rozpacz. Jesteś jego jedyną nadzieją, Wasza Eminencjo.

Pod wpływem aromatu przypraw i pieczonego kurczęcia Pierre'owi głośno zaburczało w brzuchu. Kapitan to usłyszał.

– Drogi biskupie. – Wyciągnął ręce, wskazując jedzenie. – Jesteś głodny. Jedz, proszę.

Nie czekając na powtórne zaproszenie, Pierre chwycił udko. Było idealnie upieczone, więc oderwał je bez trudu. Smakowało równie bosko, jak wyglądało. Wolną ręką sięgnął po drugie udko.

Kapitan popatrzył na niego.

– Jesteś bardzo zmęczony. Czeka nas długa droga. Skorzystaj z mojego łóżka i odpocznij po obiedzie.

– Nie masz nic przeciwko?

– Oczywiście, że nie. Sprawisz mi przyjemność.

– Ale zaczekaj! Co z moim wyjątkowym bagażem? Czy został dostarczony w dobrym stanie?

Petijeau się uśmiechnął.

– Będziesz zadowolony, jestem pewien.

Pierre cieszył się, że nie musi dłużej rozmawiać. Kapitan miał rację. Był wygłodniały i zmęczony.

– Dziękuję.

Kapitan Petijeau podniósł palec.

– Jeszcze jedno, Wasza Eminencjo. Twój drugi protegowany, Henri, udał się z księciem do Syjamu. Jego oddanie monarchii Nguyen napełni cię dumą.

Pierre złapał się za brzuch. Nagle stracił apetyt.

Ranek obudził się z wróblami, które ćwierkały na parapecie okna sypialni. Kapitan stał na balkonie, ubrany w mundur,

z laską w dłoni. Popatrzył na biskupa z entuzjazmem, którego nie zgasiły lata.

– Nie myślałem, że będę spał tak długo – powiedział Pierre przepraszającym tonem. – Powinieneś mnie zbudzić.

– Nie chciałem ci przeszkadzać.

Kapitan Petijeau podał mu laskę. Prymitywnie rzeźbiona rączka miała kształt głowy kaczki.

– Zauważyłem, że masz kłopoty z chodzeniem. To najlepsza laska, jaką w pośpiechu mogli znaleźć słudzy hotelowi. W Paryżu zdobędę ci lepszą.

Pierre ujął prezent w dwa palce, niepewny, jak zareagować.

– Nie powinieneś. Naprawdę nie potrzebuję, lecz oczywiście dziękuję. – Spojrzał kapitanowi w oczy. – Ruszamy?

– Jak sobie życzysz – odparł Petijeau.

Godzinę później przybyli do portu. Z każdą minutą Pierre coraz bardziej się niecierpliwił. Irytowali go towarzyszący mu cesarscy strażnicy, ale mógł tylko starać się ich ignorować.

Wśród pływających belek, długich i ciężkich, czekał na nich sampan. Popłynęli nim do klipra, który ku zaskoczeniu biskupa był dwa razy większy i okazalszy niż „Wędrowiec”. Na rufie statku dziesiątki kulisów wciągały kłody na pokład.

Kapitan krzyknął w szumie wiatru:

– To „Święty Jacek”, moja najnowsza pasja.

Pierwszy oficer wyrzucił sznurową drabinkę przez reling.

Pierre z trudnością wspiął się na pokład, dziękując kapitanowi, który chciał mu pomóc. Przyznał jednak, że minione sześć lat dało mu się we znaki. Musiał odzyskać siły, żeby osiągnąć cel, jaki sobie wyznaczył.

– Zabieramy ładunek drewna tekowego – wyjaśnił kapitan. – Obecnie jest modne w Europie i przynosi duże zyski.

Pierre ostatni raz rzucił okiem na Sajgon. Królewska straż stała bez ruchu na piasku.

– Pewnego dnia to będzie chrześcijańska kolonia Francji – oznajmił.

– Bez wątpienia, Wasza Eminencjo – odparł kapitan. – Chodź ze mną, pokażę ci kabinę. Ktoś na ciebie czeka.

Pierre trzy razy postukał laską i otworzył drzwi. Na poplamionej morską wodą podłodze stało łóżko, jedyny mebel w kabinie. Zatrzymał oczy na postaci, która siedziała ze skrzyżowanymi nogami na materacu – był to chłopiec w księżęcej szacie. Na jego kolanach leżał zwinięty łaciaty kot.

Mały Canh podniósł głowę. Twarz mu pojaśniała, gdy zobaczył biskupa.

– Kiedy przyjdzie moja mama?

– Nie przyjdzie – odparł Pierre. – Tę podróż odbędziemy sami.

EPILOG

Jaskinia Trędowatych, 1785

W tym roku dławigady wcześniej pojawiły się na brzegach jeziora Tam.

Był kwiecień. Deszcze monsunowe miały się rozpocząć za kilka tygodni. Poziom wody w jeziorze opadł, błotnisty brzeg pokryła pajęczna sieć spękań. Im wyżej wznosiło się słońce, tym większy stawał się skwar. Kępy požółkłej trawy zapalały się samoistnie, a suche liście podsycaly ogień.

Dławigady były pierwszymi ptakami, które powróciły do Jaskini Trędowatych. Ich szerokie białe skrzydła rumieniły się na końcach. Zdawało się, że lot tysięcy ptaków nawiewa świeże powietrze aż znad Rzeki Perfumowej, a podmuchy wzbudzone trzepotem skrzydeł nabierają siły wichury. Niebawem niebo zasnuły ciemne chmury, zapowiadające długo oczekiwany deszcz.

François stał przed chatą, obserwując ptaki. Szybowały w eliptycznym wirze jak pierzaste proporce. Góra w dali parowała, oddając wilgoć brunatnym chmurom deszczowym. Gdy spojrzął na jezioro, pomyślał o małym księciu. Życie wydawało mu się puste bez głosu i śmiechu Canha. Biskup zabrał mu dziecko w imię swoich ambicji. Jakże spokojna była pani Jade Bing, gdy mówiła mu, że jej syn wyruszył z de Béhaine'em w podróż na drugą stronę świata.

– Żegnaj, żegnaj – szepnął do wiatru. – Gdziekolwiek jesteś, mam nadzieję, że nic ci nie grozi.

Nie czuł potrzeby, aby pożegnać się z biskupem czy z górami. Prawie od roku wszyscy oni należeli do przeszłości.

Od chwili gdy poznał sprytnego i przebiegłego biskupa, ten usiłował nagiąć go do swojej woli. Zbyt wiele czasu zostało zmarnowane, wydarzyło się zbyt wiele tragedii. François był zadowolony z życia w kolonii trędowatych.

Już nie chciał mieć nic wspólnego z polityką Pierre'a ani jego religią. Aby zapobiec wojnie domowej, spalił list biskupa, ale nie mógł zrobić nic więcej. Wiedział, że pewnego dnia de Béhaine wróci do Annamu z wojskiem. Wojna była nieunikniona. Biskup, zdecydowany osiągnąć cel swojej misji, z pewnością w końcu zatriumfuje.

Niebo pociemniało i zapach wilgotnej gliny przeniknął powietrze. François objął się ramionami i wsparł głowę o pień. Dławigady opadły na ziemię i gałęzie drzew. Nie brakowało wśród nich czarno-zielonych kaczek, ciemnosiwych brodziec, bilbili z czerwonymi baczkami i innych, egzotycznie upierzonych ptaków. Wszystkie przybyły w oczekiwaniu na zmianę pogody. Kiedy błyskawica rozcięła brzemienne chmury i otworzyła niebiosa, deszcz lunął z siłą wodospadu.

François usłyszał kroki za plecami. Podeszła do niego Lucía. Żółtym parasolem osłoniła mu głowę.

– Kto umarł? – zapytała.

Z początku nie rozumiał, o co jej chodzi. Wskazała wielki ziemny kopiec. Była to termitiera, ale przypominała nagrobek. Odpowiedź nasunęła się sama.

– Dzień wczorajszy.

W roku 1802 Nguyen Anh z pomocą sił lądowych i morskich, pozyskanych przez biskupa Pigneau de Béhaine'a i sfinansowanych przez króla Francji, pokonał zachodnich górali i Tonkińczyków. Po raz pierwszy w historii Annamu Północ i Południe zjednoczyły się, tworząc jedno państwo. Anh został koronowany jako cesarz Gia Long i zmienił nazwę królestwa na Wietnam.

Panował przez osiemnaście lat. Jego potomkowie, przedstawiciele ostatniej dynastii cesarskiej Wietnamu, sprawowali władzę do połowy dwudziestego wieku.

PODZIĘKOWANIA

Wymienione poniżej osoby wspierały mnie w czasie pisania tej książki:

Frank Andrews
Judy Clain
Christine Cronin
Phuong Khanh Do
Thu Doan
Fiona i Jake Eberts
Michaela Hamilton
Tom John
Brenda Marsh
Peter Miller
Ilona Price
Ninh Quang Vu

Specjalne podziękowania składam Deanowi C. Alfano i Elyse Bloom z wydziału stomatologii na uniwersytecie w Nowym Jorku.

Dziękuję również:

Corbin and Associates
Little Sajgon Radio
Gazecie „Viet Tide”
Thuy Nga Productions

Nie napisałbym tej książki bez rodziny – mojej matki, brata Jimmy'ego, siostry Be Ti i nade wszystko ojczyma, uznanego pisarza Nhat Tiena, który traktuje mnie jak rodzzonego syna.